

JONATHAN WYLIE

SIUDZY ARKI KSIĘGA III

Magiczne Dziecko



Fantasy

WYLIE JONATHAN

Sludzy Arki #3 Magiczne

dziecko

JONATHAN WYLIE

Słudzy Arki

Księga III

Przełożył JACEK KOZERSKI

Amber 1993

Dla

Teri'ego, Rossa, Lyn, Rossa,

Iris, Teda, Gail i Milesa

za ich miłość i zachętę.

I szczególnie dla

Yvetty, Rebeki, Luke'a i Gemmy

z powodów, które staną się oczywiste.

PROLOG

Kamienie milczały, obserwując. W samym środku ich prastarego kręgu stał mężczyzna – a raczej twór, który niegdyś był mężczyzną.

On również milczał, a niewidzialne prądy tajemnej mocy wirowały wokół niego, wzdymając i targając nad masywnymi barkami jego srebrno-czarny płaszcz. Ogromne pięści przycisnęły do boków; mięśnie ramion drgały, napięte.

Mężczyzna stał nieruchomo; stopy wparł mocno w ziemię, która zdawała się niemal drżeć pod jego ciężarem. Patrzył na wschód dziwacznymi bezbarwnymi źrenicami, uważnie przyglądając się jakiemuś odległemu celowi. Złośliwe lśnienie tych oczu odpowiadało wyrazowi jego zdeformowanej, odrażającej twarzy. Nienawiść i cierpienie przemieszane z tłumioną furią sprawiały wrażenie, – choć przecie milczał, – że krzyczy z wściekłości, która zrównałaby miasta z ziemią, przesunęła góry i zniszczyła całe wyspy, gdyby ją uwolnić.

Jego myśli odpowiadały w pełni jego wyglądowi i kamienie wokół niego zadrżały od ich siły.

Tak blisko! Jak mogliście mnie zawieść właśnie teraz? Czy zapomnieliście, kim jestem? Jak was zrodziłem? Stworzyłem was! Nie wycofujcie się! Wróćcie! Mogę was zniszczyć, moje śliczne, pamiętajcie o tym. Nie wycofujcie się! Nie! Nie!...

Bardzo dobrze. Postanowiliście zostawić mnie samego. Ale to nie jest mądre. Już czuję, jak się trzęsiecie. I macie rację. Nie zapomnę takiej zdrady. Jednak być może nie jesteście tak bez reszty winne, moje córki. Ci intruzi...

Daleko na wschodzie mroczne niebo zaczynało jaśnieć. Bezbarwne źrenice zwężyły się podejrzliwie, a potem zamknęły odruchowo, gdy oślepiające światło pojawiło się w polu widzenia. Jasny, złocisty blask zalał noc, odsłaniając szarą masę mgły spowijającą całą perspektywę i sprawiającą wrażenie, jakby pokrywała świat – wyjąwszy ten właśnie szczyt góry otoczony nieruchomymi kamieniami.

Stojący w kamiennym kręgu mężczyzna osunął się na kolana, z ramionami uniesionymi ku górze, jak gdyby chronił oczy przed blaskiem, który wznosił się coraz wyżej na niebie. Cała jego sylwetka mówiła o klęsce. Płaszcz zwisał bezwładnie, okrywając pochyloną postać.

Jeszcze tam był, kiedy kilka godzin później na wschodzie znowu pojawiło się światło, tym razem już nie w tak niezwykły sposób. Słońce wznosiło się, aby rozproszyć resztki wrogiej mgły. Morze błyszczało pogodnie wiele lig poniżej górskiego szczytu. Mężczyzna tkwił wciąż nieporuszony, lecz teraz jeszcze jedno stworzenie pojawiło się wewnątrz kamiennego kręgu. Szkaradny ptak, poruszający się niezgrabnie, jak gdyby samo istnienie wywoływało w nim ból. Jego kształt przywodził na myśl orła – okrutny, zakrzywiony dziób, potężne skrzydła i ostre jak brzytwa szpony – jakże jednak zdeformowanego, potwornego, wykrzywionego przedziwnie, tak, że doprawdy niemożliwe było wziąć go za zwykłego ptaka. Miał beziopórą szyję i głowę, oczy koloru krwi. Nieskrywany lęk lśnił w tych karmazynowych oczach, gdy włókł się ostrożnie ku mężczyźnie i bojaźliwie dziobnął w nieruchome fałdy jego płaszcza.

Początkowo nie wywołało to żadnej reakcji i ptak poruszył się nerwowo. Potem, powoli, Alzedo powstał. Górował nad ptakiem, choć ten był tak ogromny, że mógłby stać ramię w ramię ze zwykłym mężczyzną. Czerwone oczy spoglądały w górę i czarodziej popatrzył nieruchomym wzrokiem na swojego przyjaciela.

Więc nie opuścisz mnie, Sivadlu. Bo i przecież nie mógłbyś tego zrobić, prawda? Jestem takim dobrym i tolerancyjnym panem. Nie cofaj się przede mną, ty rozczulająca się nad sobą kreaturo! Rozejrzyj się wokół. Czy nie widzisz i nie czujesz mroku, rozkładu i fetoru mojej wyspy? Czyż to nie piękne, mój kochany? Brogar jest mój, robię tutaj, co chcę. Wszystko na tej wyspie posłuszne jest moim kaprysom, Sivadlu – również ty. Pamiętaj o tym. I byłoby tak już na wszystkich wyspach, gdyby nie...

Tak blisko! Moje zwycięstwo było tuż!

Ale to tylko chwilowy odwrót. Muszę okiełznać moją niecierpliwość. Teraz rozumiem, że

błędem było przenosić się od razu na wszystkie wyspy. I czemuż to jesteś taki wstrząśnięty? Nawet największy z czarodziei może uczyć się na własnych błędach. Moje posunięcia będą od tej pory rozważniejsze, ale tym bardziej pewne.

Córki me okazały się zbyt słabe w końcowym starciu, ale przecie mogą się jeszcze przydać. Pomogę im po kolei wypełnić ich zadania. To dość proste. Właściwie wszystkie wyspy są już osłabione. Z wyjątkiem...

Ha! Wkrótce Arka będzie się kulila ze strachu tak jak ty teraz, mój wspaniały ptaszku. Ta przeklęta wyspa poczuje ciężar mojego gniewu. Już zbyt długo trwa ta skała, w której ugrzęzły moje ambicje. Niech się cieszą w głupim przekonaniu, że zostałem zwyciężony.

Słyszysz mnie, Ferragamo? Żadne sprytne sztuczki nie uratują cię, tylko odwleką twoje przeznaczenie. Jak możesz nazywać siebie czarodziejem? Dojrzałem, co jest twą zgubną słabością – będziesz cierpieć nieskończone męki za to, że mi się przeciwstawiłeś. Ty i twoi patetyczni Słudzy! Następnym razem, kiedy stawię ci czoło, będziesz czołgał się u moich stóp i błagał o litość. I podwójną rozkosz sprawi mi odmówić tobie.

Widzisz, Sivadlu, jak jedna noc rozmyślań odnowiła moje siły duchowe? Nie martw się. Patrz! Uśmiecham się. Już smakuję moją zemstę.

Część pierwsza

YVE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lugg była najbardziej na południe wysuniętą z jedenastu dużych wysp, które tworzyły znany świat. Za nimi, tak daleko jak sięgała ludzka wiedza, ciągnął się już tylko bezgraniczny ocean.

Chociaż Yve nie cieszyła perspektywa podróży, to jednak poczuła znaczną ulgę, kiedy „Alesia” w końcu podniosła żagle i opuściła schronienie przystani Carrhaven. Było gorąco, nawet jak na późne lato, ale na otwartym morzu wiała przynajmniej zimna bryza, a przykre odory doków zastąpił ostry, słony zapach. Yve pozostała na pokładzie, na dziobie, nie chciała, bowiem wchodzić w drogę załodze.

„Alesia”, choć nie najzgrabniejszy ze statków, płynęła jednak dość równo, jako że morze było spokojne. Początkowo skierowali się na zachód, halsując szerokimi zakosami pod wiejące z przeciwka wiatry. Bram i jego załoga mieli nieustannie pełne ręce roboty, – gdy starali się wykorzystać wszelkie zalety żagli i takielunku – pozostawili, więc Yve w spokoju, tak, że mogła rozmyślać i umacniać swoje postanowienie, co do zadania, które miała wykonać. Cieszyła ją ta chwila wytchnienia. Żeglarze okazywali jak dotąd niewielki respekt dla jej pozycji i czuła, że ta podróż ma być dla niej w jakiś sposób próbą. Wiedziała, że wkrótce skrecają na południe, aby pożeglować wzdłuż zachodnich wybrzeży Lugg, a stamtąd ruszą dalej na południowy wschód ku swemu przeznaczeniu. To da załodze więcej wolnego czasu i spożytkują go niewątpliwie na ocenianie jej osoby, a ona znowu będzie musiała stawić czoło ich sceptycyzmowi.

Yve od dawna przyzwyczała się do tego, że jako jedyny żeński czarodziej w historii wzbudza wiele komentarzy – w większości niepoehlebnych. I tylko niezaprzeczalny fakt, iż rzeczywiście okazywała znaczny talent magiczny, zapobiegał przerodzeniu się owych uwag w otwarte zniewagi. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni uważali ją za kogoś nienormalnego, a tę przepojoną podejrzliwością postawę umacniało dodatkowo to, że Yve ciągle jeszcze nie mogła znaleźć swego najbliższego przyjaciela. Większość początkujących czarodziei załatwiała tę sprawę, zanim osiągnęli wiek Yve, to jest jakieś dwadzieścia osiem lat. Połączenie umysłów czarodzieja i zwierzęcia od tak dawna równoznaczne było z magicznym autorytetem, że w istocie niektórzy twierdzili, jakoby Yve nie miała prawa nazywać siebie czarodziejem, skoro brakuje jej czegoś tak oczywistego.

Ta krytyka bolała Yve daleko bardziej niż jakiegokolwiek drwiny dotyczące jej płci i czuła z tego powodu tak wielką urazę, że poszukiwanie przyjaciela stało się niemalże podstawowym celem jej istnienia. Dopóki nie doświadczy owej jedynej w swoim rodzaju milczącej łączności, tak bliskiej jej w teorii, a tak przygnębiająco odległej w praktyce, dopóty będzie się czuła niekompletna. Co więcej, nigdy nie potrafi stawić czoła swoim krytykom z taką pewnością

siebie, na jaką, – o czym wiedziała – zasługiwał jej talent. A zresztą, jeśli Drogo, niewiarygodnie stary czarodziej, jej mistrz, zaakceptował ją i uznał jej zdolności, to w końcu nie ma żadnych powodów, by inni nie mieli tego zrobić.

„Gdyby to tylko mogło być takie proste” – rozmyślała Yve, przyglądając się iskrzącym falom rozcinanym dziobem „Alesii”.

Tęskniła za dniem, w którym przyjaciel jej się przedstawi i zastanawiała się, jakim też stworzeniem może się okazać. Kotem? Albo sokołem? A może delfinem czy jeszcze czymś bardziej egzotycznym? Aktualny towarzysz Droga był – coś takiego! – jeżem, co skrycie wielu rozśmieszało. Yve wiedziała, że jej mistrz pozostawał całkowicie obojętny na to, co ludzie o nim myślą, i traktował jeża z wielką czułością. Miała świadomość, że każdy związek czarodzieja ze swoim przyjacielem jest właśnie taki. Kilka lat temu widziała reakcję mistrza na śmierć jego poprzedniego przyjaciela. Orzeł dożył niezmiernie sędziwego jak na swój rodzaj wieku i jego koniec nie mógł być niespodziewany, a jednak poruszyło to głęboko Drogo. Ukrywał starannie uczucia przed ludźmi, ale Yve nawet w swych młodzieńczych latach potrafiła dokładnie wyczuć nastrój starego człowieka. Kiedy pojawił się jeż, pompatyczny i zdziwaczały stary czarodziej doszedł do siebie i powitał nowego przyjaciela radośnie, pomimo jego komicznego wyglądu i sennego usposobienia.

Drogo miał już wielu przyjaciół, liczył sobie, bowiem kilka stuleci, a czas życia dany poszczególnym zwierzętom, choć rozciągany dobrze poza jego zwykłą miarę, nie mógł się jednak równać z długowiecznością czarodzieja, zwłaszcza tak uzdolnionego i potężnego jak Drogo.

„Czy dorosnę do takiej dojrzałości? – zastanawiała się Yve. – To chyba nieprawdopodobne”.

Roześmiała się głośno z niezamierzonego, podwójnego znaczenia swoich myśli i przypomniała sobie o cenie, jaką czarodzieje płacą za przedłużenie życia. Żaden z nich nie był zdolny do spółdzenia dziecka. I tego właśnie Yve niekiedy żałowała. Choć z drugiej strony, połączenie się z przyjacielem – a wiedziała, że istnieje, należało tylko go odnaleźć – oznaczałoby coś więcej niż tylko zwykłe skompensowanie sobie tego braku.

„No a poza tym – pomyślała gorzko – dzieci nie zawsze są mile witane”.

Cofnęła się myślami do własnego dzieciństwa, swych najwcześniejszych wspomnień, i tego, czego udało jej się dowiedzieć z nich o sobie samej.

Yve porzucono jako małe dziecko na stopniach ogromnego domu Droga, który wznosił się obok królewskiego pałacu w centrum miasta Carrhaven. Opatulono ją wprawdzie ciepło dla ochrony przed zimowym chłodem, ale nie zostawiono żadnej kartki ani innego znaku pozwalającego ustalić jej pochodzenie.

Takie wypadki, choć niezbyt częste, nie były jednak czymś nieznanym na Lugg. Ubogie matki czy też te, którym dziecko było nie w smak, czasami porzucały w ten właśnie sposób swoje

potomstwo w nadziei, że bogate lub wielkoduszne rodziny zaopiekują się niemowlęciem, które im pozostawiły. Yve oczywiście nie mogła wiedzieć, co skłoniło jej własnych rodziców do podjęcia takiej decyzji, ale myśl o tym, że ją porzucili, wciąż piekła jak jątrząca się rana.

Kiedy je odkryto, dziecko, wciąż szczelnie zawinięte, zostało zabrane przez sługi i pokazane Drogowi, który początkowo spojrział na nie obojętnie. Jednak po kilku chwilach zastanowienia wykazał oznaki nieoczekiwane zainteresowania. Wziął maleństwo na ręce i spojrział mu głęboko w oczy, słudzy zaś czekali cierpliwie, wiedząc, że lepiej nie zastanawiać się nad poczynaniami Droga. W końcu czarodziej oddał dziecko sługom, polecając, że ma być zatrzymane i wychowane jako domownik.

–W tym chłopczyku tkwią wielkie możliwości. – Drogo się zadumał. – Zastanawiające. Zaopiekujcie się nim, a kiedy już będzie zdolny do prowadzenia sensownej rozmowy, przyprowadźcie go do mnie. Czy to jasne?

Chociaż zdziwiona tymi rozkazami, służba miała dość zdrowego rozsądku, by tego nie okazać, a kiedy odkryto, że ów „chłopczyk” jest dziewczynką, żadna ze służących, którym powierzono nad nią opiekę, nie ośmieliła się stanąć przed swym panem z tą wieścią. Czarodziej sprawdził dziecko jakąś dziwną metodą i odkrył w nim możliwości – nie całkiem jasne, jakie, ale to im wystarczało. Wkrótce całe domostwo, z wyjątkiem jego głowy, wiedziało, że najda jest dziewczynką, – co więcej, Drogo nigdy nie został o tym fakcie poinformowany wprost.

Jakieś cztery lata później, kiedy główny zarządca czarodzieja uznał, że Yve – tak nazwały ją dziewczęta – dorosła na tyle, by przedstawić ją panu, wśród służby zaczęto spekulować, co do tego, jaka też będzie reakcja starego mężczyzny. Drogo zawiódł ich oczekiwania nie okazując w ogóle zdziwienia. Nikt się nie dowiedział, czy po prostu zapomniał o przybyciu dziecka, o którym sądził, że jest chłopcem, czy też postanowił zignorować kobiecość Yve i skoncentrować się na sprawach dla niego daleko ważniejszych. Możliwe też, że od początku odgadł płeć Yve, ale nie chciał tego ujawnić dla swych własnych powodów.

To spotkanie stanowiło najwcześniejsze świadome wspomnienie Yve. Przedtem docierały do niej jedynie nieokreślone wrażenia ciepła, hałasu i krzątaniny, i dodająca otuchy obecność Hannah, jej piastunki i przybranej matki. Zarządca wszedł do pracowni Droga, a potem skinieniem wezwał Hannah i ją, aby za nim podążyły. Usłuchały go, idąc ręka w rękę. Yve była zdenerwowana. Mimowolnie wchłonęła wiele z tego, co wokół niej mówiono o Drogu, ale nigdy przedtem nie widziała go z bliska, a także, to oczywiste, nie zamieniła z nim nawet słowa.

Stała przed czarodziejem tak odważnie, jak potrafiła, czerpiąc siłę z uspokajającego uścisku Hannah. To, co mała dziewczynka zobaczyła, było o wiele dziwniejsze od tego, co dosłyszała. Ten zgarbiony stary mężczyzna, ubrany w lachmany, o brunatnej i zasuszonej skórze, z niemal łysą głową – z pewnością nie mógł być tym, o kim wszyscy mówili z nabożną czcią przemieszana z lękiem. Jednak, gdy tylko spojrzała w jasne, niemal bezbarwne źrenice i stwierdziła, że przeszywa ją jego przenikliwy wzrok – zaczęła rozumieć. Maleńkie serce załomotało, przypomniawszy sobie wpajane jej zasady dobrego wychowania i zachęcona przez

Hannah, niezgrabnie dygnęła.

–To jest Yve, panie – powiedziała Hannah, a instynkt macierzyński sprawił, że jej głos zabrzmiał śmielej niż zwykle.

Drogo wciąż nie spuszczał oczu z twarzy dziewczynki.

–Podejź, dziecko – powiedział. – Zostawcie nas – dodał, machnąwszy władczo ręką w stronę swojego zarządcy i Hannah.

Nie pozostało im nic innego, jak tylko wyjść natychmiast, choć Hannah rzuciła za siebie jednak kilka spojrzeń. Drogo nie poświęcił w ogóle uwagi ich wyjściu; skinął od razu na Yve, by zbliżyła się do jego fotela, podziwiając sposób, w jaki się poruszała, i to, jak falowały jej włosy, gdy ku niemu kroczyła. Pomimo że zaabsorbowany sprawami umysłu, Drogo nie był tak zupełnie nieczuły na wdzięk i piękno.

–Witaj, Yve.

–Witaj – wyszeptała, przypominając sobie w ostatniej chwili, by dodać: – panie. – Spróbowała odwrócić oczy, ale stwierdziła, że nie jest w stanie tego zrobić.

–Powiedz mi – ciągnął Drogo – czy chciałabyś zostać czarodziejem?

Yve okazała się całkowicie niezdolna do udzielenia odpowiedzi, ale zaskoczenie i nagła nadzieja na jej twarzy sprawiły, że czarodziej uśmiechnął się i wówczas zmarszczki na jego twarzy stały się jeszcze wyraźniejsze niż zwykle.

Wiele lat minęło od czasu ich pierwszego spotkania, a Yve spędziła niezliczone godziny w pracowni czarodzieja i w końcu przyjęła jako zwykle te dziwne i cudowne rzeczy, które wypełniały wszystkie kąty i skryte miejsca komnaty. Poznała i zaprzyjaźniła się z orłem, towarzyszem Droga, wyczuła też szczególną naturę ptasiego umysłu ukrytą pod dzikim i groźnym wyglądem. Widziała, jak czarodziej przeżywał pojawiające się przejawy słabości – pochylone plecy, laska do podpierania, ciągle narzekania i opryskliwe zarzuty, – ale nauczyła się przenikać i tę fasadę i widzieć wewnętrzną moc, którą ujawniał jedynie w chwilach silnego wzruszenia i magicznej potrzeby. I co najważniejsze, zaczęła stawiać pierwsze ostrożne kroki ku realizacji magicznego potencjału otaczającego ją świata, a także jej własnego umysłu.

Jedyną rzeczą, jakiej żałowała, gdy ten proces zachodził, było to, że nieuniknienie oddalał ją od Hannah i innych towarzyszy dzieciństwa, albowiem ich doświadczenia i widzenie świata z biegiem lat zaczęły się różnić. Gdy trochę podrosła, Yve zaczęła sobie uświadamiać, że jest kimś jeszcze bardziej niezwykłym, niż sądziła o tym z początku. Przewertowała bibliotekę Droga, by odnaleźć wzmianki o dawniejszych żeńskich czarodziejach, ale natknęła się tylko na jedną. To, co o niej przeczytała, sprawiło, że Yve zapragnęła gorąco odzyskać nieświadomość i z całych sił starała się zapomnieć o swojej starożytnej przodkini.

Dla wszystkich z jej otoczenia, którzy to rozważali, była pierwszą kobietą, jaka kiedykolwiek marzyła o czarodziejstwie, toteż wielu z nich znalazło w niej cel kpin tradycyjnie zarezerwowanych dla prawdziwych pionierów. Dla innych zaś była przedmiotem wzgardy lub źródłem strachu. W konsekwencji jej dorastaniu towarzyszyło wiele sprzecznych emocji, walczących w niej o lepsze. Na przemian przeklinała i hołubiła swój talent i rosnące zdolności, i spędziła wiele godzin wyszlochując przed Hannah swoje kłopoty, ale piastunka, choć jej współczuła, nie potrafiła tak naprawdę zrozumieć wielu uczuć i pobudek Yve. W ten oto sposób proces stawania się czarodziejem przygnębiał jedną i drugą. Co do Droga, pozostał w najwyższym stopniu obojętny na fakt, że Yve jest zarazem kobietą i początkującym czarodziejem, jak również na to, że okazała się więcej niż chętna pogodzić się z dziwactwami i władcym sposobem bycia starego człowieka.

„Gdybym tylko mogła znaleźć mojego przyjaciela! – pomyślała znowu Yve, być może milionowy raz. – Prawdopodobnie wówczas wszystko wyglądałoby inaczej”.

A Droga przecież zupełnie nie martwiło, że nie mogła go znaleźć. Wypytywany o to, zawsze odpowiadał, że Yve ma jeszcze mnóstwo czasu. Mówił, że nikt nie może wymusić takiego związku, że zaistnieje tylko i wyłącznie wówczas, kiedy przeznaczenie tak postanowi, a wtedy objawi jej się jako całkowicie naturalny proces, daleko łatwiejszy niż nauka mówienia. Po prostu musi być cierpliwa.

„Łatwiej powiedzieć niż zrobić – rozmyślała, przypominając sobie słowa mistrza. – Jestem pewna, że on sam nie musiał czekać tak długo!”

Okrzyk z rufy sprowadził Yve z powrotem na ziemię. Rozejrzawszy się wokół, zobaczyła marynarza mówiącego coś z przejęciem do Brama i pokazującego na prawą burtę. Spojrzała we wskazywanym przez niego kierunku, ale z początku nie mogła nic dostrzec wśród jaskrawych rozbłysków popołudniowego słońca, potem, gdy dalej uparcie wpatrywała się w kierunku zachodnim, odkryła źródło niezwyklego podniecenia.

Wciąż jeszcze odległa, zbliżała się do nich szybko mała trąba wodna albo – jak powszechnie je nazywano – morski diablak. Małeńka trąba powietrzna kołysała się i tańczyła, podrywając w górę poskręcaną kolumnę wody i rozsiewając wokół miniaturową ulewę. Yve słyszała opowieści o morskich diablakach, – które pojawiały się tylko na południowych morzach – o tym, jak towarzyszyły okrętom, pozornie swawolne, uniemożliwiając niekiedy dalszą żeglugę. Wiedziała też, że realne niebezpieczeństwo stanowiły tylko wówczas, gdy znalazły się zbyt blisko małej łodzi. Nigdy przedtem nie widziała czegoś takiego i teraz stwierdziła, że jest to naprawdę piękny widok. Morski diablak przesunął się i migotał jak senne widziadło.

Zdziwiła się, kiedy marynarz, który pierwszy zauważył trąbę, przeszedł do niej po pokładzie i poprosił, aby udała się do kapitana. Próbę wyrażono z dostatecznym szacunkiem, ale Yve dosłyszała delikatny nacisk ukryty w jego słowach. Z zasady czarodzieje byli mile widzianymi pasażerami na pokładzie każdego statku, ponieważ zwykle potrafili kontrolować do określonego stopnia wiatr i fale lub, – co najmniej – pomniejszać ich potencjalnie szkodliwe

oddziaływanie. „Alesii” z pewnością nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo ze strony morskiego diablika. Bram na pewno był w stanie pokierować okrętem tak, by uniknąć szlaku trąby powietrznej.

„Więc po co to wezwanie?” – zastanawiała się Yve, a jej żołądek nagle skurczył się z powodów nie mających nic wspólnego z chorobą morską. – Co mogę dla ciebie zrobić, kapitanie?

Bram w milczeniu wskazał na zachód, ale Yve nie odwróciła oczu od jego twarzy.

–Morski diablik? – zapytała.

–Podąża za nami – odparł po prostu.

To nieco wstrząsnęło Yve i rzuciła szybkie spojrzenie na morze. Jej twarz musiała zdradzić zaskoczenie, gdyż marynarz uśmiechnął się krzywo, a w jego oczach błysnął daleki ślad okrucieństwa.

–Gdyby posuwał się zwykłym kursem – ciągnął kapitan – byłby teraz daleko za rufą. Śledzi nas. W tej sytuacji już wkrótce nas przechwyci.

Teraz Yve zrozumiała. Wypróbowywano ją. Bram i jego załoga wiedzieli, że to jej pierwsza samodzielna wyprawa poza wyspę i morski diablik dawał im idealną sposobność do sprawdzenia jej czarodziejskiego temperamentu. To, czy stwierdzenie Brama, że trąba podąża za nimi, wynikało z przesądu, czy ze złego zamiaru, było w tej chwili całkowicie nieistotne. Postanowiła, że da im wszystkim, co nieco do myślenia.

Zebrawszy wszystek autorytet, na jaki było ją stać, Yve powiedziała:

–Zwińcie żagle, kapitanie, i postarajcie się unieruchomić statek, na ile to tylko możliwe. – Rozmyślnie mówiła tak głośno, żeby kilku członków załogi mogło ją usłyszeć. Jak jeden mąż, marynarze ci utkwili teraz wzrok w kapitanie.

Bram zawahał się, uświadamiając sobie, że wpadł w pułapkę, którą sam zastawił. Gdyby nie zgodził się ustąpić swej władzy i pozełgował dalej, Yve albo udowodniłaby mu, kiedy morski diablik minąłby ich bez żadnej szkody, że nie miał racji, albo mogłaby twierdzić, o ile zdarzyłoby się cokolwiek innego, że stało się tak, ponieważ nie posłuchał jej wskazówek. Z drugiej zaś strony, podporządkowując się jej obrałby drogę działania, którą cały jego marynarski instynkt określał jako krańcowo nierozsądną. Rozmyślne unieruchomienie „Alesii” i utrata zdolności manewrowania oznaczałoby wyrzeczenie się kontroli nad okrętem, – czyli spowodowanie jedynej sytuacji, w której trąba wodna mogłaby się okazać naprawdę niebezpieczna.

Yve czekała w milczeniu, obserwując, jak te myśli odbijają się na twarzy Brama. Nie mogła się powstrzymać, by nie czerpać złośliwej satysfakcji z kłopotliwego położenia, w jakim się

znalazł. Początkowo próbował się asekurować.

–Jeśli utracimy całą szybkość, dużo czasu zajmie, nim ją znowu osiągniemy – powiedział opryskliwie.

–To już twoja sprawa, kapitanie. Jesteś żeglarzem, prawda? – odcięła się Yve, nawet nie starając się ukryć sarkazmu brzmiącego w jej głosie.

–Nie będę w stanie usunąć mu okrętu z drogi, jeśli nie będziemy mieli sterowności.

–O ile trąba podąża za nami, tak czy inaczej nie mógłbyś się usunąć – odparła spokojnie Yve.
– A jeżeli tak jest, chcę stawić temu czoło wprost.

Czekała z nadzieją, że nie podrażniła go zbyt mocno. Zastanawiała się również, co zrobi, gdyby morski diablík nie przeszedł nieszkodliwie obok, tak jak była tego pewna. Ci, którzy nie mają do czynienia bezpośrednio z magią, nie wiedzą, ile mocy pochłania oddziaływanie na świat fizyczny, szczególnie na coś tak żywiołowego i pełnego energii jak trąba wodna. Yve nie miała pewności, czy da sobie z tym radę, nigdy przedtem, bowiem nie próbowała kontrolować czegoś równie potężnego. Żywiła gorącą nadzieję, że nie będzie miała okazji wypełniać tej luki w swej wiedzy.

Bram spojrzał na zachód. Morski diablík znacznie się przybliżył. Kapitan podjął raptownie decyzję.

–W porządku – oświadczył. – Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz. – Odwrócił się od Yve i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

Cokolwiek załoga sądziła o słuszności takiego postępowania, nie wpłynęło to na jej sprawność. Zgrabnie zwinięto żagle i dano całą wstecz wiosłami, dopóki „Alesia” nie osiadła bezwładnie na łagodnej fali.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę chwiejącej się kolumny wody. Yve zignorowała wrzawę wokół niej i nie spuszczała nieruchomych oczu z diablíka, równocześnie próbując ocenić kierunek i siłę wiatru oraz prądu, tak, aby przewidzieć ich poruszenia. To, co odkryła, uspokoiło ją. Jeśli będzie zachowywał się normalnie, diablík podąży dalej swoim kursem na południowy wschód, co biorąc pod uwagę obecne położenie okrętu, oznaczało, że minie go daleko z przodu.

Początkowo wydawało się, że tak się właśnie stanie, ale kilka chwil później Yve zauważyła zmianę w zachowaniu się trąby. Zwalniała swój bieg. Zawracała ku nim!

Wyczuła raczej, niż usłyszała nagle szepty wśród marynarzy i ich nerwowe poruszenia. Przełknęła ślinę, serce zaczęło jej walić.

„Nie panikuj! – rozkazała sobie. – Myśl! To tylko kapryśny podmuch wiatru”.

Niezwykła – usłyszała, jakby ktoś wyszeptał to obok niej.

Yve wiedziała, że przy takim spotkaniu jak to najważniejszą rzeczą jest dowiedzieć się wszystkiego, co tylko można, o wrogu. Zmusiła się do przestudiowania wzorów kreślonych przez trąbę, teraz już przerażająco bliską. Śledziła poruszenia u podstawy błyszczącego wiru, usiłując znaleźć najsłabsze miejsca, które mogłyby zaatakować. „Tam... i tam!” – postanowiła, wyobrażając sobie walącego się, zapadającego bezsilnie w morzu diablika.

Była już doprawdy ostatnia chwila, żeby działać. Diablik znalazł się w odległości pięćdziesięciu kroków i wydawał się teraz o wiele większy. Marynarze szemrali, najwidoczniej o włos od wzięcia spraw w swoje ręce. Yve wzięła głęboki oddech, aby uspokoić nerwy i zgromadziła wszystkie wewnętrzne rezerwy mocy. Miała właśnie uderzyć i chciała włożyć w to całą tak gorliwie zebraną magiczną siłę, do najostatniejszej cząstki, kiedy – ze swej własnej woli – morski diablik się zapadł. W przeciągu kilku chwil pozostała z niego zaledwie migocząca masa kropli, która na mgnienie oka rozpostarła miniaturową tęczę, zanim również nie zapadła się w morze. Dla „Alesii” i jej załogi jedynym tego skutkiem była cienka warstwa wilgoci na pokładzie i ubraniach.

Ogłuszającą ciszę przerywał tylko nieustający oddech morza.

W końcu jeden ze starych wilków morskich mruknął:

–Dobra robota, dziewczyno.

To przerwało tamy i wkrótce wszyscy rozmawiali, gwizdząc i wznosząc radosne okrzyki. Tylko Yve nie mogła wydobyć z siebie głosu, rozdarta pomiędzy przyjęciem tej akceptacji za uratowanie statku, co niewątpliwie uczyniłoby jej życie lżejszym, i przyznaniem, że nie rozumie, co się stało. Zmieszanie uwidoczniło się na jej twarzy i Bram spojrzał na nią na poły ze zdziwieniem i świeżo zrodzonym podziwem.

–Składam ci gratulacje – powiedział głosem brzmiącym mniej oficjalnie niż jego słowa. – To wspaniała umiejętność.

„Ale ja przecież nic nie zrobiłam!”

Nie, ale myślałaś o tym – odparł gdzieś w głębi jej umysłu słabiutki, nieproszony głosik.

„Może to rzeczywiście wystarczyło” – stwierdziła Yve.

–Dziękuję ci, Bram – powiedziała w końcu, zdobywając się na słaby uśmiech. – Miałeś rację, że podąża za nami. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

–Dziwne rzeczy zdarzają się na morzach... Yve – odparł kapitan.

„Aha, nie musisz mi tego mówić dwa razy” – pomyślała Yve, wciąż zbyt zdumiona tym, co się

ostatnio wydarzyło, by zauważyć, że Bram wypowiedział jej imię.

–Tak – potwierdziła cichym głosem.

Dziwne rzeczy zdarzają się na morzach.

–Co? – zapytała Yve, niepewna, czy dokładnie zrozumiała słaby głos.

Bram popatrzył na nią ze zdziwieniem, ale nic nie powiedział. Yve potrząsnęła głową, jak gdyby chcąc się czegoś pozbyć. Czowała się w osobliwy sposób wyodrębniona z otaczającego ją świata.

–Powinnaś odpocząć – stwierdził Bram, okazując zrozumienie, które zaskoczyło Yve. – Najlepiej, jeśli skryjesz się przed słońcem pod pokładem. Zaraz ruszamy dalej.

–Oczywiście – odparła słabo Yve i pozwoliła odprowadzić się do kabiny, gdzie niemal natychmiast zasnęła.

Obudziła się dwie godziny później, pokrzepiona, ale i wciąż oszołomiona. Dalsze analizy nie zaowocowały większym zrozumieniem, a tylko przyniosły groźbę bólu głowy, więc zwróciła swe myśli ku bardziej przyziemnym sprawom. W przeciągu dwóch dni powinni osiągnąć cel – Haele, małą wyspę mającą tylko kilka lig długości i utrzymującą niewielką społeczność rybacką. Yve nigdy dotychczas tam nie była, ale słyszała opowieści o tym miejscu, i wcale nie brzmiały zachęcająco. „Głupi jak Haeleńczyk” było dość rozpowszechnionym wyrażeniem na Lugg, a poza tym mieszkańcy wysepki mieli reputację ludzi przewrażliwionych na punkcie swej niezależności i trudnych we współżyciu.

„Alesia” odbywała podróż, aby złożyć kurtuazyjną wizytę, której od dawna zaniedbywano. Jako czarodziej Lugg, Drogo sprawował również teoretyczną jurysdykcję nad kilkoma małymi, położonymi na uboczu wyspami, z których Haele leżała w największym oddaleniu. Było przyjętą praktyką, że czarodziej odwiedzał każdą z tych wysp raz na kilka lat i zaspokajał różnorodne potrzeby ich mieszkańców, wykorzystując umiejętności związane nierozdzielnie z talentem magicznym. Yve towarzyszyła Drogowi w kilku takich wycieczkach, lecz pierwszy raz powierzono jej samodzielną wyprawę. Nie była pewna, czy było to wynikiem reputacji Haele, czy też kilkudziesięcioletniej przerwy od ostatniej wizyty Droga, co w konsekwencji stawiało pod znakiem zapytania to, jak odwiedzający zostanie przyjęty. Powodem mogła być również niezmierna niechęć Droga do podróży i równie dobrze – jego autentyczne pragnienie, by pozwolić wreszcie Yve rozwinąć skrzydła. Niezależnie jednak od powodu, wiedziała, że będzie musiała działać samodzielnie.

Teoretycznie jej obowiązki powinny być dość proste – zarówno w sferze dyplomatycznej, jak i praktycznej. W czasie wizyty Yve, oprócz reprezentowania oficjalnych funkcji i odnowienia starych więzów, miała również doradzać przywódcom wyspiarzy w każdej sprawie, jaką zechcą jej przedstawić. Oczekiwano od niej także, by wykorzystwała swoje umiejętności lecznicze i przekazała tyle wiedzy na ten temat, ile tylko możliwe. Była to jedyna strona jej misji, co, do

której Yve czuła się pewna; uzdrawianie stanowiło dla niej najbardziej naturalną i przynoszącą najwięcej satysfakcji gałąź czarodziejstwa.

Nagle mała kabina zaczęła sprawiać wrażenie dusznej i przygnębiającej, tak, że Yve skierowała swe kroki ku drabinie wiodącej na pokład. Gdy wyłoniła się z luku, poczuła ostrą bryzę i zobaczyła wzdęte żagle, co dowodziło, że „Alesia” znowu nabrała dobrego tempa. Grupa mężczyzn, a wśród nich Bram, stała przy kole sterowym. Przerwali rozmowę, kiedy pojawiła się na pokładzie i wszyscy odwrócili się ku niej, obserwując ją, gdy się zbliżała. Wyraz ich twarzy był znacząco różny od tego, do jakiego przywykła.

Nieoczekiwanie pojawił się jeszcze jeden marynarz, aby pomóc jej postawić ostatnich kilka kroków po łagodnie kołyszącym się pokładzie. Yve uśmiechnęła się do mężczyzny z wdzięcznością, a on w odpowiedzi wyszczerzył zęby.

–Dziękuję.

–Winniśmy ci coś więcej niż tę drobną uprzejmość, panienko – odparł.

Yve nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Czując się jak oszust, odwróciła oczy, ale nie miała ochoty odrzucić uśmiechu losu, który tak poprawił jej pozycję. Jak tego najwidoczniej oczekiwano, podeszła na rufę, by przyłączyć się do Brama i jego ludzi.

–Mam nadzieję, że odpoczęłaś – powiedział kapitan, gdy podeszła bliżej.

–Tak. Dzięki. – Rzuciła okiem na marynarzy.

Bram odchrząknął.

–Czarodziejko Yve... – zaczął, a serce Yve skoczyło na ten niezwykle cenny znak akceptacji.
– Jesteśmy winni ci przeprosiny.

Usiłowała przemówić, przerwać mu, ale Bram był najwyraźniej zdecydowany dokończyć to, co zaczął.

–Zachowałem się głupio tego popołudnia i to dzięki tobie jestem tutaj, i mogę to przyznać. Cóż... nie zawsze darzyliśmy cię zaufaniem, na jakie zasługujesz z powodu twoich umiejętności. Jest nam przykro, ale od dzisiaj to się zmieni.

Rozległ się chór popierających go głosów i Yve poczuła, jak wzruszenie ściska jej gardło. Pragnęła tego bardzo od tak dawna, a teraz otrzymała to na skutek szczęśliwego przypadku! A może jednak ona to sprawiła? Niemal zaczęła wierzyć, że w jakiś niewytłumaczalny sposób przyczyniła się do ich ocalenia. Jedna rzecz była pewna: w żaden sposób nie mogłaby teraz przyznać, że nie miała z tym nic wspólnego i stracić szacunek, który tak nieoczekiwanie zdobyła.

–Twoje słowa znaczą dla mnie wiele, kapitanie – przyznała. – Mam tylko nadzieję, że w przyszłości zdołam udowodnić z nawiązką, iż jestem godna waszego uznania.

–Skąd wiedziałaś, co robić? – zapytał jeden z pozostałych.

–Czy kiedykolwiek przedtem widziałaś morskiego diablaka? – wypytywał inny.

–Nie – odparła, uśmiechając się. – Są wcale piękne, prawda? Z daleka!

Marynarze roześmiali się, a potem spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Było jasne, że chcieliby zadać więcej pytań, ale żaden nie był dość pewny siebie, by zacząć.

Dlaczego wciąż się ukrywasz?

–Co? Nie ukrywam się – zaprzeczyła, zaintrygowana.

Milczenie opadło na grupę. Yve spojrzała po kolei na każdego z mężczyzn i na wszystkich twarzach widniał ten sam wyraz całkowitego niezrozumienia. Z jej głową znowu stało się coś dziwnego, jak gdyby odgłosy morza i wiatru były bardziej w niej niż na zewnątrz.

–Przepraszam – powiedziała powoli. – Wiele się wydarzyło. Muszę przez chwilę pobyć sama.

–Oczywiście – zgodził się Bram.

Yve pomaszerowała ostrożnie do swego zwykłego miejsca na dziobie i usiadła. Kilka par oczu obserwowało ją uważnie.

„Co się ze mną dzieje?”

Wsparłszy brodę na dłoniach, zapatrzyła się w morze. Słońce zaczęło opadać ku zachodniemu horyzontowi i ukośne promienie błyszcząły i migotały na falach. Po chwili Yve stwierdziła, że została zahipnotyzowana iskrzącym, nieustannie zmieniającym się wzorem wodnego pyłu. Pomalu zaczęła wierzyć, że widzi obrazy wśród tęczyowych barw; dziwne, niepokojące obrazy, a równocześnie osobliwie znajome. Jednak każdy trwał tylko chwilę. Bez względu na to, jak mocno wyteźiała wzrok, szybko znikające formy pozostawały nieuchwytnie. Aż...

Yve stwierdziła, że wpatruje się w parę błyszczących oczu. Iskrzyły się i migotały, zdając się kołysać w rozbłyskującym świetle, a zarazem były niezwykle realne.

Przez kilka chwil wpatrywała się w hipnotyczną głębię tych źrenic, wstrzymując oddech i odnosząc wrażenie, że jej serce przestało bić. Zmusiła się do zamknięcia oczu i skoncentrowała bez reszty na nabraniu oddechu, a potem następnego, zwalczając zalewającą ją falę mdłości. Kiedy zebrała tyle odwagi, by spojrzeć znowu, bezcielesne oczy zniknęły. Yve drżała.

„Za długo siedziałam na słońcu” – doszła do wniosku.

Lecz choć nienaturalne oczy umknęły przed jej wzrokiem, nie chciały umknąć z jej myśli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tej nocy spała źle, częściowo z powodu swej wcześniejszej, nie zaplanowanej drzemki, częściowo zaś, dlatego, że jej umysł wzbraniał się przed spoczynkiem. Kiedy w końcu zapadała w niespokojny sen, zakłócały go dziwne majaki. Piękne trytony o świetlistych, błyszczących oczach zadawały jej bezsensowne pytania, a potem rozpływały się jak woda, zanim zdołała odpowiedzieć. Nieznane głosy rozbrzmiewały i milkły w jej uszach. Widziała gwiazdy nad sobą pomimo solidnego drewnianego stropu nad łóżkiem, a ciemna, łagodnie kołysząca się kabina stała się wylęgarnią wszystkich straszliwych wytworów jej chorobliwie pobudzonej wyobraźni.

Kilka razy podczas tej nocy Yve pytała samą siebie: „Czy ja czuwam, czy też jest to część mojego snu?” – I za każdym razem odpowiadała na to sobie bez krzty pewności.

Odczuła ulgę, kiedy światło przesączające się przez szczeliny wokół drzwi powiedziało jej, że nie śpi, że wzeszło słońce, a ona może wstać wraz z nim. Ubrawszy się szybko, skierowała swoje kroki na pokład, gdzie przy kole sterowym znalazła samego Brama. Przyglądała mu się przez chwilę, odczuwając na jego widok dziwną życzliwość. Kapitan był wprawdzie niższy od Yve, ale ciało miał zwarte i muskularne. Prezentował się doskonale – jedna z rzeczy pomagających mu być tak dobrym dowódcą. Jego statek płynął teraz chyżo, pchany zimnym wiatrem, kierując się ku blademu, świeżo wzniesionemu nad horyzontem słońcu.

Yve poczuła przyływ dobrego nastroju. Świeże powietrze, wspaniały poranek – wszystko to razem zdmuchnęło pajęczynę z jej mózgu i usunęło ponure obrazy jej snów. Otaczał ją bezmiar morza. Nigdzie w zasięgu wzroku ani śladu lądu. Przez chwilę Yve odczuła, jak nieskrępowaną potęgą jest ocean, zrozumiała, dlaczego delfin skacze ponad falami. Wciągnęła głęboko powietrze, smakując je jak wino.

–Wcześniej wstałaś – zauważył Bram, przyglądając się jej spod współprzymkniętych powiek, gdy zbliżała się do niego na tle wschodzącego słońca.

–Wspaniały dzień – odparła, przysuwając się do jego boku.

–Nie przezięb się – ostrzegł, spoglądając na jej cienkie szaty. – Jeszcze chwila, a ten wiatr cię zmrozi.

–Nie jest mi zimno.

–Nie. Oczywiście, że nie – powiedział kapitan po chwili namysłu.

Yve odwróciła się, by spojrzeć na niego, ale on wpatrywał się nieruchomo przed siebie.

–Niekiedy trudno myśleć o tobie jak o czarodzieju, a nie jak o kobiecie – oświadczył w końcu Bram.

Yve zaskoczyła go – i siebie – śmiechem. „Niekiedy?” – pomyślała.

–Jestem i tym, i tym, kapitanie – zapewniła.

–Tak – odparł, a na zahartowanej słońcem i wiatrami twarzy pojawił się tak dla niego obcy wyraz zakłopotania. – Wiem. Ale zapomniałem, że możesz się ogrzać, w cokolwiek byś się nie ubrała.

–Nawet, jeśli byłabym naga – zgodziła się, ciesząc się jego zmieszaniem.

Zaskoczony, rzucił jej spojrzenie, ale roześmiał się widząc figlarny uśmiech.

–Bez wątpienia – przyznał. – Choć nie sądzę, że to dobry pomysł, byś demonstrowała tę swoją umiejętność na pokładzie.

–Potrafię się o siebie zatroszczyć!

–Ach wiem! To o moich ludzi bym się martwił!

Roześmieli się oboje i Yve odczuła takie wewnętrzne odprężenie, jakiego nie zaznała już od lat.

Reszta dnia minęła spokojnie. Nie pojawiły się więcej morskie diabliki ani nieziemskie oczy i Yve stwierdziła w końcu, że nie ma nic do roboty. Wiele czasu spędziła rozmawiając z marynarzami; jak się zdawało, wszyscy teraz, za przykładem kapitana, gotowi byli zawrzeć z nią znajomość. Zanim zapadł wieczór, dowiedziała się o żeglarstwie i o Haele i niemal upewnili ją, że to właśnie ona była zbawczynią „Alesii” poprzedniego dnia. Marynarze przypisywali jej ten czyn tak bezkrytycznie i tak gorąco prosili, by wyjaśniła, jak to się stało – pytanie, na które wprawiała się wkrótce unikać odpowiedzi, – że doprawdy łatwo było wejść w tę rolę.

Tylko jedna sprawa tego pięknego dnia budziła w Yve niezadowolenie. Z anegdot, które mężczyźni opowiadali o Haele i jej mieszkańcach, wynikało jasno, że załoga jest uprzedzona, i to w niemałym stopniu, wobec południowców. Prawda, wiele z tego wyrażano w formie żartów, ale kryjące się pod tym uczucia były jasno widoczne. Yve nie uśmiechało się spędzić nawet kilku dni w roli pośrednika między żeglarzami a wyspiarzami. Problem nabrzmiał nieco, kiedy po zmierzchu Bram powiedział:

–Mamy całkiem dobre tempo. Jeśli ta bryza się utrzyma, będziemy tam jutro wczesnym rankiem.

Później tej nocy, wkrótce po tym jak ułożyła się w łóżku i zgasła lampę, znowu poczuła się dziwnie. Pospieszne, trzeszczące odgłosy wtargnęły do jej głowy – zatykanie uszu nie uciszyło ich ani na odrobinę. W rzeczywistości pogorszyło tylko sprawę, gdyż odcięło ją od uspokajających odgłosów statku i jego załogi. Usiłowała się odprężyć, nie myśleć o niczym, ale jej się to nie udało. Myśli zataczały koła, a głos w głowie doprowadzał ją do szaleństwa.

Lękała się nieprzyjemnych snów, więc zmuszała się, by czuć. Wpatrywała się w ciemność, dopóki przed jej oczyma nie pojawiły się małe błyski światła. Czepiała się ich w rozpacz, aż w końcu zmęczenie odniosło swe nieuniknione zwycięstwo i jej powieki opadły.

Z bardzo daleka usłyszała śmiech – dziwny, dziecięcy śmiech, który zamierał i falował. „Żadnych więcej trytonów” – błagała we śnie bezgłośnie. Potem jej włosy z tyłu głowy zaczęły się unosić. Szybko otworzyła oczy i usiadła gwałtownie, nagle bardzo przestraszona. Coś się poruszało w półmroku jej kabiny.

Gdy tak siedziała nieruchoma, przez jej umysł przepłynęły ciche słowa.

Przepraszam... przestraszona... dziwnie tutaj...

–Przestań! – wrzasnęła Yve, szukając jak oszalała lampy, by ją zapalić.

Coś poruszało się obok drzwi kabiny. Odwróciła się, by stawić temu czoło – i stwierdziła, że spogląda w te same błyszczące oczy, które tak zaniepokoiły ją poprzedniego dnia. Niezdolna odwrócić się, odwzajemniła spojrzenie; jej serce waliło, dodając swój oszalały rytm do natarczywego zgiełku rozlegającego się w jej uszach.

–Kim... jesteś... – wyszeptała ochryple.

Nie było żadnej odpowiedzi.

–Kim jesteś?! – wrzasnęła ze strachu przeszywającym głosem. I znowu żadnej odpowiedzi. Tęczowe oczy mrugnęły wolno. Yve wrzasnęła jeszcze raz.

Drzwi jej kabiny rozwarły się gwałtownie, uderzając z wstrząsającym trzaskiem w gródź. W wejściu stanął Bram, w jednej ręce trzymając lampę, w drugiej sztylet. Na jego twarzy widniała mieszanina strachu i gniewu. Yve zamrugnęła szybko w potoku światła, podczas gdy oczy kapitana omiatały kabinę. Jeszcze zanim się odezwał, Yve wiedziała, że kajuta jest pusta. Bram wsunął sztylet do pochwy i powiesił lampę na haku, a potem uklęknął przy jej koi.

–Nic ci się nie stało? – zapytał cicho. – Pomyślałem... słyszałem... – jego głos zamarł.

Yve wpatrywała się w to miejsce, gdzie po raz ostatni dojrzała nieziemskie oczy.

–Przepraszam za najście – jeszcze raz nerwowo spróbował Bram. – Usłyszałem twój krzyk i pomyślałem, że być może któryś z moich ludzi...

Yve odwróciła się powoli, by spojrzeć w zakłopotaną twarz marynarza. Jego rzeczywiste zaniepokojenie sprawiło, że wróciła do rzeczywistości. Zamknęła oczy, odczuwając krańcowe wyczerpanie.

–Nie, nie – wyszeptała. – To tylko koszmarny sen. Przepraszam.

Poczuła, jak silne ręce obejmują jej ramiona. Jej głowa była taka ciężka... Wydawało się całkowicie naturalną rzeczą złożyć ją na piersi mężczyzny, by słyszeć, jak uspokajająco pewnie bije jego serce. Bezpieczna w zbawczych ramionach, Yve zasnęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Yve obudziła się następnego ranka sama, nie pamiętając, co jej się śniło, i nie wiedząc, jak długo spoczywała w objęciach kapitana. Drzwi od jej kabiny były otwarte; z góry sączyło się dzienne światło i po kilku chwilach doszły ją odgłosy ruchu w korytarzu. W wejściu pojawił się Bram, a niepewność malująca się na jego twarzy gwałtownie skierowała jej myśli ku wydarzeniom ostatniej nocy. Yve stwierdziła, że z trudem przychodzi jej nie okazać niepokoju, który poczuła.

–Dzień dobry. Żadnych więcej koszmarów?

Yve zdobyła się na uśmiech i potrząsnęła głową.

–Lepiej pozbieraj się szybko – ciągnął dalej kapitan. – Haele w zasięgu wzroku. Teraz zamknę już twoje drzwi. – Jego uśmiech odzwierciedlił jej własny.

–Dziękuję ci – powiedziała Yve, dziwnie zakłopotana.

Zostawszy sama, siedziała przez kilka chwil usiłując zebrać myśli. „Czyżbym popadała w obłąd?” – zastanowiła się krótko, potem jednak potrząsnęła głową i odrzuciła tę myśl. Wstała i zaczęła się ubierać.

Z daleka Haele wyglądała jak pływająca masa listowia i zaskoczyła ich swą zielonością, jako że przywykli do brązowo-złotych barw jesiennego krajobrazu Lugg. Yve nie wiedziała, jakie szczególne właściwości gleby czy też klimatu powodowały tak bujny rozwój roślinności, ale instynktownie odgadła, że wyspa musi być tak samo niezwykła jak jej mieszkańcy. Szczególny wygląd Haele uwypuklała jeszcze przez kontrast naga skalista góra, wznosząca się ponad lasami na południowo-wschodniej, przeciwległej stronie wyspy. Miała stożkowaty kształt i płaski, jakby ścięty wierzchołek. W rzeczywistości była wygasłym wulkanem, oczywiście wcale nie płaskim, jej najwyższą część tworzyło obrzeże krateru o średnicy niemal pół ligi.

Jedyna większa osada na Haele, znana po prostu jako Miasto, leżała nad osłoniętą zatoką w północno-zachodniej części wyspy. Dwa drewniane mola wybiegały w morze, ale woda była zbyt płytka, by „Alesia” mogła bezpiecznie żeglować. Bram planował zakotwiczyć pośrodku zatoki i stamtąd przewieźć ludzi łodzią.

Gdy „Alesia” zbliżyła się do wyspy, kapitan przywołał Yve do siebie.

–Zejdę na brzeg pierwszy – powiedział. – Potem przyślę łódź po ciebie.

–Raczej zejdę na brzeg od razu – odparła stanowczo Yve, chcąc bez zwłoki stawić czoło swym nowym obowiązkom.

–Staruszek... mam na myśli Droga, lubił kazać im czekać – wyjaśnił Bram z poważną miną. –

Po prostu dla pewności, że powita go spory tłum.

Yve stłumiła uśmiech. „Cały on!” – pomyślała.

–Nie mam czasu na takie bzdury – oświadczyła. – Powita mnie, kto mnie powita.

–Jak sobie życzysz – odparł Bram niewyraźającym niczego tonem.

–Czy będą nas oczekiwali?

–Jeśli mają oczy. – Kapitan wskazał na proporce trzepoczące na szczycie masztu. Pod błękitnymi i żółtymi barwami Lugg powiewały dumnie na bryzie wczesnego poranka czerwone i złote insygnia Droga.

Yve skinęła głową.

–Wyruszę pierwszą łodzią – powiedziała.

Do czasu, gdy „Alesia” została bezpiecznie zakotwiczona, zebrał się całkiem spory tłum, czekający przy molach, i Yve przyglądała mu się z niepokojem, spostrzegłszy, że główna grupa składa się wyłącznie z mężczyzn. Kobiety trzymały się z tyłu, tłocząc w grupkach przy wejściach pobliskich, bezbarwnych, drewnianych domów. Pomiedzy nimi biegały dzieci i psy; Yve wyraźnie słyszała ich podniecone głosy niosące się po spokojnej wodzie zatoki. Mężczyźni po prostu stali i przyglądali się.

Ludzie Brama spuścili łódź na wodę i podali wiosła siedzącym w niej marynarzom. Kiedy zakończono przygotowania, kapitan skinął na Yve, która zdecydowanie i śmiało zeszła po drabinie sznurowej, przeklinając przy tym nienadający się do takich wyczynów jej czarodziejski płaszcz.

„Drogo zrobiłby z tego całkiem niezłe przedstawienie” -przemknęło jej przez głowę, gdy wprowadzano ją do łódki.

–Robisz to lepiej niż twój mistrz – zauważył jeden z wiosłarzy, jakby odpowiadając na jej myśli.

–Jestem po prostu odrobinę młodsza – odparła, uśmiechając się.

Bram i dwóch z jego załogi dołączyli do Yve i wiosłarzy.

Jarlath i Krow byli najtęższymi z marynarzy i obaj nosili ślady dawnych potyczek. Nie należeli do ludzi, z którymi można byłoby się spierać i Yve zastanawiała się, czy to właśnie, dlatego ich wybrano.

–Spodziewasz się kłopotów? – wyszeptała Yve usiadłszy obok Brama na dziobie łodzi i wskazała głową potężnych mężczyzn na rufie.

Kapitan udał zdziwienie, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Tych dwóch jest jedynie dla ozdoby – odrzekł spokojnie. – To twoi chłopcy na posyłki.

Yve roześmiała się, a Krow odwrócił się i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Dostrzegła to, chociaż jego pokryta bliznami twarz miała spokojny, nieco otępiały wyraz.

Kiedy dobito do dłuższego z dwóch falochronów, Jarlath wspiął się szybko na molo i przywiązał liny cumownicze. Gdy tylko łódź znieruchomiała, marynarze pomogli Yve wejść na molo. Bram i Krow dołączyli do niej, a potem, na znak kapitana, wiosłarze ruszyli z powrotem do „Alesii”.

Żaden z wyspiarzy nie poruszył się, by im pomóc, kiedy przybijali; tkwili spokojnie w milczeniu na łądzie u końca mola. Gdzieś z tyłu zaczęło płakać jakieś dziecko, ale szybko je uciszono. Na końcu mola mężczyźni jakby zwarli szeregi, przedstawiając sobą całkiem pokaźną masę.

–Kto nimi dowodzi? – wyszeptała Yve do Brama.

–Po prostu poszukaj największego – odparł. – Ich wyborcze kryteria nie są zbyt subtelne.

–W porządku. Chodźmy.

Na tyle zuchwale, na ile było ją stać, Yve skierowała swe kroki w stronę lądu. Bram podążał u jej boku, a dwóch „chłopców na posyłki” oskrzydlało ich. Deski skrzypiały pod stopami. Gdy szli w stronę komitetu powitalnego, Yve przyjrzała się twarzom oczekujących ich ludzi i serce w niej zamarło. Przez chwilę ich oblicza zlewały się w jedno, potem podeszła bliżej i zauważyła kilka drobnych deformacji – zajęczką wargę, powykręcane członki, cofnięte czoło.

„Nieba! – pomyślała. – Ich reputacja jest w pełni zasłużona! Jak wyglądają ich dzieci?” – Zadrżała mimowolnie.

Jeden z mężczyzn wystąpił naprzód. Zgodnie z przewidywaniem Brama był po prostu największy. Pomimo skrzywionego kręgosłupa, który sprawiał, że wyglądał, jak gdyby nieustannie pochylał się naprzód, jego małe oczka i masywne barki przywiodły Yve na myśl byka. Kilka chwil minęło w ciszy, zanim się odezwał.

–Jestem Damek. Przywódca wyspiarzy. – Jego głos był donośny i ochrypły.

–Ja... – zaczęła Yve, ale Damek jej przerwał:

–Gdzie jest czarodziej? – zapytał, dźgając palcem w kierunku stojącego na kotwicy statku.

„Nie spodoba ci się to” – pomyślała Yve.

–To ja jestem czarodziejką – powiedziała głosem dostatecznie

głośnym, by dotarł do wszystkich widzów. Chociaż była świadoma

kilku zdumionych szeptów, całą swoją uwagę skupiła na wodzu.

Spojrzał na nią pogardliwie, z jawnym niedowierzaniem, wyraziście malującym się na twarzy.

–Nie ma czasu na żarty – oświadczył gniewnie. Teraz z kolej wskazał na Brama. – Ty! Gdzie jest czarodziej?

–Przed tobą – odparł kapitan. – Tak jak powiedziała.

–Nie słyszysz? – zapytał Krow, a jego głęboki, powolny głos ciężki był od groźby.

Bram gestem nakazał mu milczenie.

–Jestem czarodziejką Yve. Przynoszę pozdrowienia od Droga i mojej rodzinnej wyspy dla Damka i jego ludzi. Obdarz nas pokojem swojej wyspy, a my odpłacimy wam umiejętnościami, jakimi dysponujemy.

Oficjalna przemowa Yve najwyraźniej wprawiła Damka w za kłopotanie. Odwrócił głowę i splunął na ziemię, a potem znowu skierował wzrok na dziewczynę. Milczał tak długo, że pozostali wyspiarze zaczęli pomrukiwać.

–Dlaczego nie prawdziwy czarodziej? – odezwał się w końcu. – Stary mężczyzna?

Yve dotknęły same słowa, jak i ton obrażonej dumy. Dopiero zaczęła zdobywać szacunek marynarzy, teraz będzie musiała, więc jeszcze raz udowodnić wszystkim swoją wartość. Wiedziała, że jest niebezpiecznie blisko chwili, kiedy wpadnie w złość, i była wdzięczna, gdy Bram się odezwał.

–Czarodziejka Yve jest najbliższym współpracownikiem i przyjacielem czarodzieja Droga – powiedział spokojnie. – W czasie naszej podróży uratowała mój statek przed złośliwym morskim diablikiem. Powitanie, jakie jej sprawiliście, nie przynosi waszej wyspie wielkiego honoru.

To stwierdzenie wywołało głośniejszy pomruk. Wzmianka o morskim diabliku najwyraźniej wywarła wrażenie na wyspiarzach. Chociaż w tej chwili była zbyt zajęta własnymi myślami, później przypomniała sobie słowa kapitana i oceniła je właściwie – nawet, jeśli stanowiły drobne upiększenie rzeczywistości.

–Jesteś kobietą! – odezwał się do Yve znowu wódz wyspiarzy, jak gdyby w tej właśnie chwili dokonał wiekopomnego odkrycia.

–Jak widzisz – odparła uśmiechając się.

Za nią Krow chrząknął pogardliwie.

–I czarodziejką – dodała stanowczo.

Niespodziewanie Damek podjął decyzję. Jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu i z wyciągniętą ręką postąpił naprzód. Uszczęśliwiona Yve odpowiedziała tym samym i nagle stwierdziła, że jej szczupła dłoń zniknęła w stwardniałych paluchach mężczyzny. Zbyt późno dostrzegła złośliwy błysk w świńskich oczkach – wyraz wrodzonego przekonania o męskiej wyższości nad każdą kobietą. Skrzywiła się z bólu, gdy zaczął miażdżyć jej dłoń, czuła, jak stawy protestują przeciwko nienaturalnemu uciskowi.

Instynkt – i nie tylko – doszedł do głosu.

Owładnął nią gniew, który gromadził się w niej przez wszystkie te lata, kiedy była traktowana jak wybryk natury, jak coś niewłaściwego. Zapłonęła w niej uraza, że nie oceniano jej według jej własnych, rzeczywistych zasług.

Spokojnie, pomimo bólu, jaki odczuwała, uwolniła część mocy, którą przygotowała przeciwko morskiemu diablukowi i skierowała ją w swoją rękę. Nigdy przedtem nie wykorzystwała magicznego talentu, by skrzywdzić inną ludzką istotę. Taka myśl była jej absolutnie i całkowicie obca. Ale teraz, jakże krótko po tym, gdy marynarze obdarzyli ją odrobiną szacunku, obelżywa postawa Damka przepełniła miarę.

Podobny do byka mężczyzna stwierdził nagle, że sytuacja uległa odwróceniu. To jego dłoń opłotły szczupłe palce Yve, tak przecież delikatne, i trzymały ją w stalowym uścisku. Zwycięski uśmiech zmienił się w rozpaczliwe wygięcie półotwartych ust, a zwycięski wyraz oczu przeradzał się w nieme błaganie o litość, w miarę jak Yve zaciskała uchwyt, nie przestając przy tym uśmiechać się słodko. Krople potu zaperliły się na czole Damka.

Ludzie wokół nich, świadomi napięcia tej potyczki, trwali nieruchomo; Yve potrafiła tak zniżyć głos, że nikt oprócz Damka nie mógł jej usłyszeć.

Damek, powinieneś wiedzieć, że to niedobrze nie doceniać czarodzieja, bez względu na to, jaki jest jego... lub jej, wygląd zewnętrzny.

Przywódca skinął gorliwie głową, z oczyma utkwionymi w swej zmaltretowanej dłoni.

–Jeśli chcesz zachować władzę w ręce, pozwól, że udzielę ci kilku rad, dobrze? – ciągnęła dalej Yve.

–Wszystko, czego sobie życzysz – wyszeptał ochryple Damek.

Potem zdarzenia potoczyły się już szybko. Znalaziono kwatery dla Yve i załogi „Alesii” i poczyniono przygotowania, aby czarodziej mógł wypełnić swe tradycyjne obowiązki, które polegały na leczeniu, udzielaniu rad, podejmowaniu quasi-prawnych rozstrzygnięć i wymianie wieści między wyspami.

Okazało się, że Damek, znalazłszy w swojej filozofii stosowne miejsce dla żeńskiego czarodzieja, miał szczególne powody, by być zadowolonym z przybycia Yve. Gdy tylko rozpakowała swe niewielkie bagaże w przeznaczonym dla niej, czystym, lecz skromnym, pokoju, do drzwi rozległo się nieśmiało pukanie. Na zaproszenie Yve, weszła jedna z mieszkańek wyspy. Yve oceniła, że kobieta może być tylko kilka lat starsza od niej, jednak jej twarz i ręce nosiły ślady nieustannego znoju, a szaty miała brudne i wypłowiałe. Musiała być niegdyś piękna, ale światło w jej oczach zgasło już dawno temu. Stała w milczeniu, każdą linią swojego ciała wyrażając służalczość i Yve zrobiło się jej żal.

„Nie zasłużyłaś na to – pomyślała. – Nietrudno dostrzec, co życie na Haele z tobą zrobiło”.

–Jak masz na imię?

Kobietę zaskoczyło to pytanie. „Ja? – zapytały jej oczy. – Ja się nie liczę”.

–Ciana.

–Jakie piękne imię? Co mogę zrobić dla ciebie, Ciano?

–Och, to n-nie dla mnie – wyjąkała, sprawiając wrażenie wzburzonej. – W domu kobiet... – Wskazała szybkim gestem. – Proszę, pokażę ci.

Yve podążyła za nią ulicą i dalej krętą ścieżką do małej, pozbawionej okien, położonej z dala od innych budynków chaty. Damek stał samotnie na zewnątrz, przy drzwiach. Kiedy się zbliżyły, Ciana cofnęła się, niemal ukrywając za Yve.

–Odejdź – rozkazał Damek i Ciana odwróciła się, by ich opuścić.

–Nie. Zostań – powiedziała stanowczo Yve. – Mogę potrzebować twojej pomocy.

–Ona nie potrafi pomóc – odparł wódz. – Zawiodła już wcześniej. Wiele razy.

Ciana czekała, niezdecydowana.

–Sama to osądzę – rzekła Yve. – Dlaczego mnie tu sprowadziliście?

–Mój syn – odparł Damek, wskazując chatę za sobą.

–Czy jest chory?

–Może. Wkrótce się urodzi. Spraw, aby wszystko było z nim w porządku. – W jego głosie słychać było błagalny ton. – Mężczyzna musi mieć syna.

Yve zaczęła rozumieć.

–W tym tam?

Damek skinął głową.

–Zrobię, co będę mogła. Ciana, chodź ze mną, proszę.

Kobieta, z oczyma jak zbity pies utkwionymi w Damku, okrążyła Yve i pchnęła drzwi chaty. Yve weszła za nią do środka i natychmiast ogarnął ją odór krwi, potu i bólu. Przemogła mdłości, a jej oczy przyzwyczajały się do przyćmionego światła lampy. Młoda kobieta, jęcząc cicho, leżała na zmiętym pościeliu. Była w zaawansowanej ciąży, tuż przed rozwiązaniem. I było jasne, że nie jest dobrze – ani z matką, ani z dzieckiem. W oczach położnicy malowały się niemal dotykalne uczucia cierpienia i strachu. Yve uklękła szybko obok łóżka i położyła rękę na spoconym czole kobiety. Zauważyła błękitne wargi, nabrzmiałe nogi i napięty brzuch i poszerzyła swoją czarodziejską percepcję, tak, że mogła śledzić i po części dzielić jej niedolę. U boku Yve pojawiła się nieproszona Ciana przynosząc wodę i świeże ubranie i zaczęła obmywać pacjentkę. Po kilku chwilach spojrzała pytająco na Yve.

Do tego czasu czarodziejka uświadomiła sobie, że prawdopodobnie będzie mogła uratować matkę, ale miała też rozpaczliwą pewność, że dziecko jest już martwe.

Kiedy tego wieczoru Yve wróciła do swojego pokoju, była całkowicie wyczerpana. Z naciskiem zażądała, żeby młoda kobieta – w rzeczywistości jeszcze niemal dziewczyna – została umieszczona w bardziej dogodnych warunkach. Była przekonana, że Zana, bo tak się nazywała, wkrótce dojdzie do siebie przy pomocy Ciany i innych kobiet. Nigdy jednak nie będzie mogła mieć już dzieci; być może była to jedyna dobra rzecz w tym całym nieszczęściu.

Wieści o trwających cały dzień zmaganiach Yve z chorobą najwidoczniej rozeszły się wśród wyspiarskiej społeczności i kiedy wracała do swojej kwatery, była celem wielu ciekawych spojrzeń. Nikt jej jednak nie wypytywał; być może zniechęcał do tego wyraz twarzy eskortujących ją Brama i Jarlatha. Damek przybył do oddanego gościom domu, ale Yve nie chciała go widzieć; przekazała mu informacje przez Brama.

Gdy znalazła się już sama w swoim pokoju, rzuciła się na łóżko i zasnęła.

Zbudziło ją krótkie pukanie do drzwi. Na zewnątrz panowała ciemność, a na jej poduszce widniały mokre plamy.

–Proszę! – zawołała, siadając i przeciągając się.

Weszła Ciana, niosąc parujący, aromatyczny napój. Podała miseczkę Yve i zapaliła dwie znajdujące się w pokoju lampy.

–To żebyś się wzmocniła – powiedziała nieśmiało, tak jak gdyby obawiała się, że jej ofiara zostanie odrzucona.

–Dzięki. Cudownie pachnie. – Yve pociągnęła łyk i Ciana pochyliła się nad nią. Płyn był gorący i słodki, choć niezbyt sycący, najwyraźniej wywar z kilku ziół, z których części nie udało się

jednak Yve zidentyfikować. Zapisała sobie w pamięci, żeby spytać o nie później.

–Właśnie tego było mi trzeba – powiedziała, uśmiechając się do Ciany. – Dlaczego nie usiądziesz?

Wyspiarka spojrzała z niezdecydowaniem, lecz potem uśmiechnęła się krótko i przysiadła na brzeжку krzesła.

„Wygląda jak gdyby była gotowa zerwać się na baczność” – pomyślała Yve, kończąc przyniesiony jej napój. Odstawiając czarke, stwierdziła:

–To było doskonale, niemal tak dobre jak wino z księżycowych jagód! – Jej uśmiech nagle zgasł, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Ciany.

–Ale księżycowe jagody są trujące!

–Nie. Są po prostu bardzo potężne i przynoszą szkodę tylko wówczas, jeśli używa się ich nierozważnie. W niewielkich ilościach ich magia jest dobroczynna.

Ciana skinęła potulnie głową.

–Zapomniałam, że jesteś czarodziejką.

–To nie ma z tym nic wspólnego – odparła Yve. – Każdy może skorzystać z dobroczynnych skutków jagód. Zostały stworzone specjalnie po to, by chronić ludzi przed jakimkolwiek złym korzystaniem czarodziejstwa i nie byłoby z nich wiele pożytku, gdyby tylko czarodzieje mogli je jeść!

–Jadłaś je? – wyszeptała Haeldenka.

–Odrobinę. Tak jak wszyscy na dworze. Stało się to tradycją od czasu Wojny Czarodziejów.

–Ale to się działo wieki temu! – Ciana była przejęta lękiem.

„Wieki, w ciągu, których straciliśmy tyle wiedzy – pomyślała Yve, że ludzie uważają największy skarb świata za truciznę!”

Dwie kobiety przyglądały się sobie przez chwilę w milczeniu. Potem Ciana odchrząknęła.

–Czy... czy naprawdę uważasz, że mam piękne imię? – zapytała cicho ze spuszczoneymi oczyma.

–Tak. A ty tak nie uważasz? – dopytywała się Yve.

–Nigdy przedtem o tym nie myślałam.

Znowu zapadła cisza.

–Lepiej już pójdę – powiedziała w końcu Ciana. – Niedługo zaczniesz się uczyć. Przyjdiesz, prawda? To na twoją cześć.

–Oczywiście. Wkrótce będę gotowa. Ale zostań i porozmawiaj ze mną przez chwilę. Opowiedz mi o sobie.

–Jestem pierwszą kobietą Damka – rzekła, jak gdyby stanowiło to początek i koniec całego jej istnienia. Spojrzała na Yve. – Urodziłam mu dzieci – dodała tonem obrony.

–Ale nie chłopców? – domyśliła się Yve.

–Dwóch... ale zmarli.

–Dziewczynki?

–Cztery. Zana jest najstarsza.

Kiedy znaczenie tego, co usłyszała, stało się dla niej jasne, Yve nie mogła opanować odrazy.

–Zrobił to... zrobił to swojej własnej córce?

Ciana nie była w stanie na nią spojrzeć.

–Trzeba będzie zrobić coś z tym mężczyzną – ciągnęła Yve zimnym jak lód i nabrzmiałym furją głosem. – I to szybko.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Biesiada tej nocy była – zgodnie z oczekiwaniami Yve – czysto męską imprezą; fakt, który rozdrażnił, ale nie zadziwił czarodziejki. Długie drewniane stoły zostały ustawione na wolnym powietrzu i oświetlone lampami zawieszonymi na pobliskich domach oraz kilkoma ogniskami, przy których przygotowywana jedzenie. Damek siedział u szczytu centralnego stołu z Yve i Bramem po obu stronach jako honorowymi gośćmi. Zdawał się nie pamiętać o utracie swego spadkobiercy i najwyraźniej miał zamiar wyrzucić na przybyszach wrażenie swoją gościnnością. Na stole przed nim stała butelka i gdy tylko najważniejsi goście zajęli miejsca, Damek nalał im i sobie do szklaneczek.

–Yarglat – wyjaśnił. – Wyśmienity.

Bram powąchał mętny płyn, posmakował go ostrożnie, a potem rzucił Yve ostrzegawcze spojrzenie. Yve zignorowała je i bez słowa wypila duszkiem całą zawartość swojej szklaneczki. Damek uśmiechnął się rozkosznie i zrobił to samo. Zaraz potem nalał znowu.

–Dobre, prawda?

Yve skinęła głową i znowu przełknęła yarglat. Gdy Damek przechylił głowę do tyłu, aby uczynić to samo, Yve mrugnęła do Brama, który natychmiast zwrócił się do niej, poruszając samymi tylko ustami:

–Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

–Nie martw się – otrzymał bezgłośnie odpowiedź.

Gdy tylko wszyscy mężczyźni usiedli, z ciemności wyłoniły się kobiety niosąc duże drewniane tace z rybami, pieczonym mięsem kozim i drobiem, jarzynami i owocami. Bram wybrał dość niezwykle w smaku, ale względnie smaczne, ale, które pili i inni mężczyźni, podczas gdy Yve i Damek wciąż spełniali toasty yarglatem. Przywódca wyspiarzy zaczął dość szybko okazywać skutki upicia się, natomiast czarodziejka wydawała się tak opanowana jak zawsze. W końcu przestano jeść i stoły zostały uprzątnięte przez te same milczące kobiety, które przystanąły tylko po to, by uzupełnić zapasy trunków, po czym znowu zniknęły wśród cieni.

Damek wygłosił krótką, bełkotliwą przemowę powitalną, po czym usiadł z rozmachem i zawołał o więcej yarglatu. Hałas wzmógł się i rozpoczęły się śpiewy, przeistaczając się niebawem w umiarkowane przyjacielskie zawody pomiędzy wyspiarzami i ludźmi Brama. Damek nie przyłączył się do nich; skoncentrował swoją uwagę na Yve. Zakres jego słownictwa był nieco ograniczony, prawdę mówiąc prymitywny i ubogi, mimo to Yve okazywała uprzejmość, najwyraźniej ciesząc się jego towarzystwem.

Byli w połowie trzeciej butelki, a czarodziejka zupełnie nie zdradzała jakichkolwiek oznak, że straciła ochotę na ognisty napitek. Co do Damka – był już najwyraźniej upity oraz oszołomiony

trzeźwością Yve. Traktując to jako sprawę honoru nie pozostawał w tyle ani o jedną szklaneczkę i ich współzawodnictwo w piciu stało się przedmiotem komentarzy ze strony innych uczujących. Kiedy otwarto czwartą butelkę, zainteresowanie zmieniło się w wyraźną zachętę, przy czym każda grupa popierała swego własnego mistrza.

Po kilku następnych kolejkach Damek powstał i rozejrzał się wokół siebie; z jego niemogących skupić się na niczym oczu wyczierała rozpacz. Okrzyki i rozpalone twarze powitały go, kiedy podnosił napelnioną szklaneczkę. Jednak nim dosięgła jego ust, runął z trzaskiem do tyłu, pociągając za sobą krzesło. Przywódca wyspiarzy leżał jak ogłuszony, ze szklanymi oczyma i twarzą lśniąca bladym, niezdrowym połyskiem.

Yve wstała powoli i ze smakiem wysuszyła swoją szklaneczkę. Gdy zabrzmiały brawa, chwyciła na pół opróżnioną butelkę i rzuciła ją w powietrze. Dramatycznym – i całkowicie niepotrzebnym – gestem wymierzyła w nią palec. Butelka eksplodowała w powietrzu, zawarty w niej płyn zapłonął jaskrawo pomarańczowym blaskiem, który oświetlił zdumione, zadarte w górę twarze całego towarzystwa. Po chwili ogłuszającej ciszy rozległ się potężny ryk aprobaty, tak ze strony marynarzy, jak i Haeleńczyków. Yve usiadła, nagle czując się całkowicie wyczerpana.

To wydarzenie wyznaczyło koniec uroczystości i mężczyźni zaczęli się rozchodzić, kilku z nich niosło niezdarnie swego bezwładnego przywódcę. Wkrótce tylko Yve i Bram pozostali w świetle gwiazd i zapadłej ciszy.

–Czy nic ci nie jest? – zapytał kapitan.

–Nie. Jestem po prostu zmęczona.

–W jaki sposób?... Przecież ten napitek to śmierć!

–W porównaniu z leczeniem innych dokonanie kilku drobnych zmian we własnym metabolizmie to prosta sprawa – odparła Yve. – Przez cały wieczór piłam mleczko kokosowe.

Bram się roześmiał.

–Przypomnij mi, bym nigdy nie wzywał czarodzieja do pojedynku na picie. Wywieraliście duże wrażenie. A finał był rzeczywiście widowiskowy!

–To było głupie z mojej strony, zwykle marnowanie energii. – Yve wyglądała na zakłopotaną.

–Och, to nie przyniesie żadnej szkody twojej reputacji.

–Po prostu byłam bardzo zawiedziona. Głupotą tego mężczyzny, tą straszną sytuacją. Co mam zrobić z tą okropną wyspą?

–Nie bierz całego świata na swoje barki – odparł poważnie Bram. – Nie zmienisz tych ludzi

przez jedną noc.

–Zbyt długo byli sami. Wątpię, by po wszystkich tych latach zechcieli w ogóle czegokolwiek słuchać – rzekła gorzko Yve. – Tak wiele zła jest tutaj... Są tak ciemni, że nie potrafią dostrzec szkody czynionej przez kazirodztwo, a kobiety traktują nie lepiej niż niewolnice!

–Moi chłopcy mogą dać tu zastrzyk świeżej krwi – wtrącił Bram. – To tylko żart! – dodał pospiesznie, widząc wyraz twarzy Yve.

–Przepraszam. – Czarodziejka uśmiechnęła się ze znużeniem. – To nie ty zasłużyłeś na mój gniew... i nie taki to zły zresztą pomysł...!

–Damek i jego ludzie pewnie by tak nie uważali.

–Cóż, przynajmniej żadna kobieta nie będzie niepokojona przez niego tej nocy – skomentowała Yve z ponurą satysfakcją. – Małe zwycięstwo.

–Na moje oko, nie będzie niepokoił żadnej przez kilka nocy – odparł marynarz. – Co daje nam czas na pomyślenie o bardziej trwałych rozwiązaniach.

–Tak, ale nie bardzo widzę, co możemy zrobić. Ich sposób myślenia jest tak trwale ukształtowany, że prawie niemożliwa wydaje się jego zmiana. Są po prostu zamknięci na racjonalne argumenty.

–Czy nie możesz zwyczajnie kazać im zrozumieć?

Yve spojrzała na Brama, a jej oczy wyrażały wstrząs, jaki wywarły na niej jego słowa. – Za pomocą magii? – zapytała przerażona, a potem uświadomiła sobie, że jego pytanie było całkiem niewinne.

–Nie wiesz wiele o czarach, prawda?

–Nie mogę temu zaprzeczyć.

Wtrącanie się do umysłu innego człowieka jest najpotworniejszą rzeczą, jaką może zrobić czarodziej. To nie do pomyślenia. Stało się to przyczyną wojen, dosłownie. Kilka lat temu z tego powodu również omal nie doszło do wojny. – Yve zadrżała, przypominając sobie przerażające rzeczy, które podsłuchiwała w owym czasie, przebywając w towarzystwie dziwnego małego chłopca. „Luk musi być teraz prawie mężczyzną”, zadumała się.

–Słyszałem o tym – powiedział Bram.

–To wtedy udałam się z Drogim na Arkę na tajne zebranie czarodziejów – ciągnęła Yve.

–Ale wszystko minęło bez śladu, czyż nie?

–Taką mam nadzieję...

Przez chwilę oboje milczeli. Yve przywołała wspomnienia narady. Od dawna o tym nie myślała i teraz znowu oładnęły nią zapomniane emocje. Obrazy masywnych granitowych bastionów Portu Szarej Skały i zatłoczonych ulic Gwiaździstego Wzgórza wypełniły jej myśli. Polubiła swych gospodarzy z Arki, szczególnie dwuletniego księcia, w towarzystwie, którego podsluchiwała toczone na naradzie rozmowy. Yve całkowicie przekonały – i zatrwożyły – argumenty wysuwane przez Ferragama, czarodzieja Arki, zaciekłość zaś, z jaką pozostali, wliczając w to Droga, mu się przeciwstawiali, wręcz ją przeraziła. Yve i jej mistrz wyjechali zaraz następnego dnia. Drogo był w paskudnym nastroju, którego wcale nie polepszyła ich długa podróż do domu.

Spoglądając teraz wstecz, zdawało się, że Drogo miał rację. Lata upływały dość spokojnie i Yve, teraz już dorosłą kobietę, dawno po okresie nowicjuszowskim, zajmowały jej własne problemy.

–Więc co robimy? – zapytał w końcu Bram. – Szkoda, że nie można wykorzystać twojej magii, tak mi się wydaje. Z pewnością sytuacja na tej wyspie wymaga zdecydowanego działania. Gdybyś jej użyła, nikt z tego powodu nie zacznie tutaj wojny.

–Nie. – Yve była niewzruszona. – Nawet gdybym tylko rozważała taką możliwość, ja stałabym się przyczyną wojny, nie Haele. Muszę znaleźć jakieś inne sposoby.

–Moglibyśmy zabić Damka. To byłby początek – podsunął Bram. – Zasłużył na to – powiedział usprawiedliwiając się. – Nawet się nie wstydzi tego, co zrobił Zanie!.

–Lubisz proste rozwiązania problemów!

–Bo jestem prostym marynarzem – odparł Bram uśmiechając się. – Od morza nie można oczekiwać, by było rozsądne i racjonalne.

–Może nie, ale zabicie Damka niczego nie rozwiązuje. Po prostu zostałyby zastąpiony jakimś innym bydlęciem. Musimy wpłynąć na zmianę całej ich postawy.

–Jeszcze kilka takich demonstracji jak dzisiejsza i od razu zaczną cię słuchać.

–Tak sądzisz? Szybko by o tym zapomnieli. W każdym razie wszystko to nie miało sensu. Pozwoliłam, by moje emocje określały moje działanie.

–Czy to tak źle? – zapytał zdziwiony Bram. Yve zastanowiła się przez chwilę.

–Dla czarodzieja tak.

Nie zabrzmiało to całkowicie przekonująco, ale Bram nie chciał się spierać.

–Cóż, nie możemy naprawić świata czuwając całą noc – powiedział Bram. – Potrzebujesz odrobiny odpoczynku.

Powoli skierowali się do chaty Yve.

–Mogę chronić ludzi, być może wpłynąć nieco na to, co się dzieje, kiedy tutaj jestem – rzekła Yve – ale nie możemy zostać na tej wyspie na zawsze. A kiedy wyjedziemy... – Wzruszyła ramionami. – Dobranoc, Bram.

–Dobranoc. Słuchaj, Yve, bez względu na to, czy tej nocy udało ci się czegoś dokonać, czy nie, to i tak miło było na ciebie| patrzeć. Śpij dobrze.

Odwrócił się i odszedł. Przyglądała mu się, gdy odchodził, zastanawiając się, dlaczego jego słowa rozbudziły w niej tępy ból.

Następne dni minęły szybko, gdyż Yve była bez reszty zajęta oficjalnymi obowiązkami czarodziejскими. Niekiedy wyglądało to tak, jak gdyby wszyscy na Haele chcieli wykorzystać jej lecznicze zdolności. Potrafiła i robiła to najlepiej, ale musiała rozczarować niektórych, oświadczając, że ich dolegliwości – głównie będącej skutkiem długoletniej izolacji ludności wyspy – są poza jej możliwościami uzdrawiania. Nie było to tak całkiem prawdą, ale Yve wiedziała, że każdy taki pacjent zużyłby tyle jej mocy, i wkrótce stałaby się niezdolna do zajęcia się ich wieloma innymi problemami. I tak już zbliżyła się niebezpiecznie do granicy całkowitego wyczerpania.

Czarodziejka spędzała również wiele czasu przekazując informacje o roślinach i lekarstwach, wskazówki, co do leczniczych diet, to wszystko, co mogło być skutecznie wykorzystane także przez tych, którzy nie zostali obdarzeni talentem magicznym.

Z kolei opowiadano jej o ziołach, korzeniach i owocach rosnących tylko na Haele. Wchłaniała te nowe dla siebie wiadomości zadowoleniem, pewna, że taka wiedza, jakkolwiek mętna, z pewnością nie jest bezużyteczna.

Kiedy tylko mogła, poszerzała zakres swego nauczania włączając weń podstawowe wiadomości nieodzowne do przeprowadzenia zdrowego i bezpiecznego porodu i – choć w bardziej określony sposób – mówiła o swych przekonaniach co do roli kobiet w wyspiarskiej społeczności. Rozmawiała z tak wieloma kobietami, jak to tylko możliwe, i z każdym mężczyzną, który chciał słuchać. Kiedy mówiła, wszyscy słuchali, spokojni, cisi i uważni, a wiele kobiet pomrukiwało i kiwało głowami na znak zgody – nie miała jednak Yve wielkich złudzeń, że to, czego naucza, zapisze się na trwałe w pamięci wyspiarzy. Mogła przedstawiać wszystkie swoje argumenty niezwykle przekonująco i nikt ich nie kwestionował, ale gdy tylko znajdowała się poza zasięgiem słuchu, stare idee i uprzedzenia natychmiast brały górę. To było beznadziejne.

„Bram miał rację – myślała przygnębiona. – Oczekuję od morza, by było rozsądne i racjonalne”.

Po którymś szczególnie przygnębiającym poranku, spędzonym w jednym z jej oficjalnych wcieleń – sędziego rozstrzygającego drobne, ale zajadłe osobiste wyspiarskie spory, Yve stwierdziła, że ma wszystkiego dość. Pomaszerowała do tymczasowej wioski z namiotów, gdzie marynarze spędzali większość wolnego czasu i odszukała ich kapitana.

–Proszę, Bram, przypilnuj za mnie spraw tego popołudnia. Chcę mieć chwilę dla siebie.

–Dobrze – odparł. – Stanowczo za ciężko pracowałaś. Ci ludzie nie zasłużyli sobie na ciebie.

–Nie osądzaj ich wszystkich miarką Damka – odparła Yve, dziwiąc się samej sobie. – Większość jest tak samo przyzwoita, jak ty czy ja.

–Całkiem być może, ale tak czy inaczej potrzebujesz chwili wytchnienia. Chłopcy powiedzieli mi, że na zachodnim wybrzeżu jest śliczna plaża. To niedaleko. Poślę jednego z nich, żeby cię tam zaprowadził.

–Dzięki za dobre chęci, ale raczej wolałabym znaleźć ją sama. Ten dzień jest w sam raz na pływanie i leniuchowanie w słońcu.

–Dopilnuję, by cię nie niepokojono – zapewnił ją Bram. – Uważaj na siebie.

Teraz, kiedy pomysł się skryształizował, odczuwane przez Yve pragnienie spokoju i samotności stało się nagle przemożne i czarodziejka niezwłocznie ruszyła w drogę, unikając zabudowań miasteczka i kierując się linią brzegu. Na długo przed południem słońce sprawiło, że pożałowała swojego pośpiechu. Od wczesnego ranka nic nie jadła i nie wzięła ze sobą wody. To w połączeniu z upałem sprawiło, że poczuła się dość mocno oszołomiona.

„Jesteś czarodziejką – powiedziała do siebie surowo. – Opanuj się!” Wbrew temu, co pomyślała, postanowiła jednak nie regulować temperatury swego ciała, wolała poczekać z tym, dopóki nie dotrze do plaży, tyle, że do tego czasu w głowie huczało jej jak w ulu. Zrzuciwszy ubranie wskoczyła do morza, rozkoszując się jego wstrząsającym chłodem, ruchem i grzmotem fal, które przebyły tak ogromną drogę, by tu właśnie ją spotkać.

Już nie tak rozpalona, czując się świeżo, choć wciąż jeszcze spragniona, wyszła na brzeg rozchlapując wodę i ruszyła wzdłuż plaży, podziwiając drobny piasek, którego kolor zmieniał się od srebrzystoszarego do czarnego – świadectwo wulkanicznego pochodzenia wyspy. Ciepła bryza wysuszyła jej skórę, ale nie zdołała przejaśnić jej w głowie. Czowała się oddzielona i oddalona od swojego własnego ciała, niemal jak gdyby patrzyła na samą siebie idącą wzdłuż plaży.

Nagle poczuła, że jest obserwowana i odwróciła się szybko, gotowa zrzucić swój gniew na człowieka, który ośmielił się ją szpiegować. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, jednak wrażenie nie ustąpiło, więc Yve wróciła do swoich rzeczy i nałożyła tunikę.

Dziwny pogłos w jej głowie nie ustawał i pomyślała, że musi znaleźć coś, co ugasiłoby jej

pragnienie. W razie konieczności mogłaby zmienić morską wodę w taką, która nadawałaby się do picia, ale związany z tym wysiłek kazał odrzucić jej ten pomysł. Nie mogła sobie przypomnieć, czy widziała gdzieś po drodze jakieś strumyki ze słodką wodą.

„Muszę coś znaleźć – stwierdziła, zmuszając się do racjonalnego myślenia. – Owoce?”

Natychmiast przypomniała sobie o obsypanym owocami drzewie rosnącym kawałek dalej na południe, za dużą piaszczystą wydumą. Ruszyła w tamtą stronę i bez trudności odnalazła drzewo. Owoce, zielone i w kształcie gwiazd, nie były podobne do żadnych, z jakimi spotkała się wcześniej. Miały gładką, nawoskowaną skórkę i ostry, cierpki w smaku, rozkosznie soczysty miąższ.

Yve rozprawiała się z dwoma i zabierała za trzeci, kiedy hałas w jej głowie z dalekiego stłumionego pomruku wzrósł do ryku.

Czarodziejka poczuła zawroty głowy. Usiadła gwałtownie na ziemi. "Te owoce są z pewnością w porządku – pomyślała. – Co się ze mną dzieje?" Po chwili dziwne uczucie minęło, ale Yve zaczęła się nagle zastanawiać, skąd wiedziała, gdzie szukać owocowego drzewa. Podniosła się z ożywieniem i ruszyła powoli w stronę złożonych na plaży rzeczy. Przez chwilę myślała o powrocie do miasteczka i swojego pokoju, ale pomysł ten szybko stracił cały urok. Wobec tego wyciągnęła się w słońcu, zdecydowana odpocząć.

Powoli odgłosy przyboju, ciepłe promienie słoneczne i jej własny bezruch wprawiły ją w stan całkowitego spokoju i wkrótce zapadła w drzemkę. Teraz upał stał się czymś pożądanym – zdawał się wyciskać z niej troski całego dnia. *Jak gąbka* – rozległo się w jej głowie i Yve zachichotała.

Nowy dźwięk wdarł się do jej świadomości; coś, co w przeciwieństwie do wcześniejszych odgłosów, było bardzo łatwe do zidentyfikowania. Tuż obok ktoś – lub coś – ciężko dyszał.

Yve usiadła szybko i rozejrzała się wokół siebie z przestraszonym wyrazem twarzy, jej serce załomotało. W promieniu setki kroków nie było nic oprócz piasku. Znowu się położyła, przeklinając sztuczki, jakimi zabawiał się jej umysł, ale tym razem odprężenie nie przyszło już tak łatwo.

W końcu, na wpół śpiąc, zdała sobie sprawę, że śni. Leciała, szybując w powietrzu, by z wielkiej wysokości zanurkować gwałtownie i niemal pionowo ku morzu. Z głośnym pluskiem uderzyła o wodę, zanurzyła się, a potem wypłynęła na powierzchnię czując radość i chłód. Jak miło!

Przebudziła się i natychmiast poczuła, jak bardzo jest rozgrzana i spocona. „To dobry pomysł” – doszła do wniosku i ruszyła ku falom tylko po to, by nagle zatrzymać się jak wryta. Stała całkowicie bez ruchu, zaledwie śmiać oddychać.

Przed nią, na skraju pieniających się fal, coś było. Migoczący układ światła, przezroczysty a jednak niezwykle realny. Widziała już przedtem te oczy, ale nigdy całego kształtu.

Rozpoznawała tę sylwetkę, ale jej umysł bezwiednie ją odrzucał: kształt ze starożytnych opowieści i mitów, coś, czym straszono dzieci, A jednak owo coś było tu przed nią teraz i miała, co do tego, całkowitą pewność.

–Kim jesteś?

Odpowiedź nadeszła niezwłocznie, udzielona cichym i zniekształconym głosem, który wydał jej się w jakiś nieokreślony sposób znajomy i który zabrzmiał w jej głowie.

Może wyda ci się przyjemniej rozmawiać w ten sposób... kiedy jest tak gorąco. Czy nie masz zamiaru się wykąpać?

–To ty podsunąłeś mi ten pomysł? – Yve знаła odpowiedź nim przebrzmiało pytanie.

Nie musisz mówić głośno.

–Co? Ale... – Yve powstrzymała się. – *Ale ciebie tu nie ma!* – ośmieliła się wyrazić swoją wątpliwość.

Więc gdzie jestem? Nie bądź taka głupia. To przecież ty wciąż znikasz!

Ja? – Yve przerwała, gdy pewna myśl, jednocześnie podniecająca i oszołamiająca, przysłała jej do głowy. – *Myślałam, że tylko czarodzieje i ich przyjaciele mogą rozmawiać w ten sposób.*

Co to jest przyjaciel? – zapytał smok.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Yve była oszołomiona. Jej umysł wirował, niemniej jakaś jego część cieszyła się doświadczeniem bezpośredniego myślowego kontaktu, czymś, o czym marzyła od tak dawna. Nawet gdyby miało się to zdarzyć z na wpół widzialnym smokiem! Zastanawiała się też gorączkowo nad naturą majaczącej przed nią wizji. Jeśli była magiczna, to w takim razie nigdy przedtem nie zetknęła się z tą formą magii. Nie mogła to być zjawą; z jakichś szczególnych powodów obraz był daleko zbyt stabilny. Jeszcze inna część jej umysłu zaczęła śledzić bieg ostatnich zdarzeń, analizując je w świetle wiedzy, jaką ostatnio nabyła. A poza tym gdzieś w głębi jej głowy odzywał się głos, którego nie mogła zignorować: od tysięcy lat nie było żadnych smoków!

Dostrzegła, że mityczne zwierzę zaniepokoiło się i uchwyciła wyraz skrępowania w jego lśniących oczach.

Wprawiasz mnie w zmieszanie – powiedziało żałośnie. – Czy nie masz zamiaru się wykąpać?

Muszę pomyśleć – odparła Yve.

Ale jest tak gorąco!

Czarodziejka uśmiechnęła się w myślach w odpowiedzi na rozdrażniony ton smoka. *W porządku, jeśli cię to uszczęśliwi. Ale nie odchodź, chciałabym z tobą porozmawiać.*

Ostrożnie obeszła smoka, podziwiając błyski błękitno-zielonego światła na łuskach jego głowy i całego ciała. Odwrócił się podążając za nią wzrokiem, co pozwoliło dostrzec jej kilka następnych szczegółów jego powierzchowności. Spiczasta głowa smoka podobna była do głowy gigantycznej jaszczurki, z jej charakterystycznymi ukośnymi nozdrzami i długim, zakrzywionym pyskiem.

Smocze zęby – pomyślała Yve. – Twardsze niż diamenty.

W odpowiedzi szczęki bestii rozwarły się i czarodziejka ujrzała dwa rzędy lśniących zębów.

To śmieszne! Nawet nie jestem przestraszona!

Yve dojrzała do przyboju, potem zanurkowała i wypłynęła poza linię załamujących się fal. Pływała przez chwilę, ale ciekawość pchnęła ją szybko z powrotem w kierunku plaży.

Smok podążył za nią kilka kroków w morze.

Czy teraz lepiej? – zapytała.

Smok skinął głową; zadziwiająco ludzki gest jak na stworzenie posiadające błoniaste skrzydła i długi może na sześć kroków stożkowaty ogon. Owe skrzydła, podobne do skrzydeł ogromnego

nietoperza, spoczywały teraz zgrabnie złożone u jego boków. Stawy kolanowe smoka skierowane były do tyłu, co sprawiał wrażenie, że w każdej chwili gotów jest skoczyć naprzód. Yve zauważyła to wszystko równocześnie, świadoma, że może widzieć przez każdą część ciała stworzenia i że jego uzbrojone w pazury stopy nie zostawiają śladów ani w pianie, ani na piasku.

–Czy jesteś snem? – zapytała głośno.

Nie wiem. A chciałabyś, żebym był?

Yve roześmiała się.

Możemy porozmawiać?

Pytania? – Smok popatrzył podejrzliwie.

Dlaczego nie? – odparła Yve siadając na piasku.

A dlaczego nie mielibyśmy się po prostu pobawić? Znam kilka wspaniałych gier.

Jeszcze jedna myśl pojawiła się w mózgu Yve.

Jesteś młody – powiedziała, nadając temu raczej ton stwierdzenia niż pytania.

Owszem, ale nie jestem dzieckiem! – odparł gwałtownie smok, z jasnym błyskiem w oczach.

Jak masz na imię?

Widzisz! – odparł. – *A jednak myślisz, że jestem dzieckiem!*

Yve zakłopotana się.

Tylko, dlatego, że nie noszę jeszcze mojego imienia-od-zębów – ciągnął dalej wściekłym tonem smok – *uważasz, że jestem dzieckiem. To nie w porządku.*

Więc jakie imię nosisz? – zapytała łagodnie Yve.

Moje imię-od-ognia, oczywiście.

Yve czekała, ale smok nie dał żadnego znaku, że ma zamiar mówić dalej.

Czy nie powiesz mi, jak brzmi twoje imię-od-ognia? – zdenerwowała się w końcu.

Nie powiedziałaś mi jeszcze swoich – odciął się.

Mam tylko jedno. Yve.

Tylko jedno imię? Dla ognia, zębów i skrzydeł?

Yve skinęła głową, zastanawiając się, o czym właściwie mówią, a potem ponagliła go:

Jak brzmi twoje imię-od-ogma?

A nie będziesz się śmiała?

Oczywiście, nie.

To, że jakiś smok ma... pewnego rodzaju imię, wcale nie oznacza, że nie jest on odważny i dziki.

Nie wątpię, że jesteś odważny i...

I dziki - wtrącił.

I dziki – kontynuowała Yve. – A sądząc z twojej wielkości, rzeczywiście nie jesteś dzieckiem.

Będę o wiele większy niż teraz – powiedział pewnym siebie tonem. Potem w jego głosie znowu pojawiła się nuta niepewności. - Wkrótce otrzymam swoje imię-od-zębów.

Jestem pewna, że tak. Ale do tego czasu jak powinnam cię nazywać? Niezmiernie trudno rozmawiać z kimś nie używając jego imienia.

Smok przysunął się nieco bliżej i pochylił głowę, jak gdyby chcąc się jej uważnie przyjrzeć. Mrugnął z wolna.

Słodycz – rozległ się w głowie Yve cichutki głosik.

Zdusiła chichot, który wprost wyrwał jej się z gardła. Świadoma baczego wzroku smoka utrzymała wyraz powagi na twarzy.

Wspaniale imię – stwierdziła myśląc z wdzięcznością o treningu, który pozwolił jej teraz się opanować.

Naprawdę tak sądzisz? – zapytał smok z nadzieją w głosie. – Yve jest równie miłe. Chociaż nieco krótkie – dodał z namysłem.

Słodycz, czy zostaniemy przyjaciółmi?

Zastanawiał się przez chwilę.

Sądzę, że tak. Czy chcesz, aby tak było?

Tak.

No to jesteście.

Czy teraz mogę zadać ci kilka pytań?

Dobrze.

Tak wiele spraw zajmowało myśli Yve, że nie wiedziała, od czego zacząć. Słodycz najwyraźniej wyczuł jej zmieszanie, ale nie podsunął jej żadnej myśli, jak z tego wybrnąć. Kiedy tak się sobie przyglądali, Yve odczuła, że w jej głowie znowu pojawiły się owe pospieszne dźwięki. Nie słyszała ich, od chwili, gdy smok przemówił po raz pierwszy. Równocześnie wydało jej się, że stworzenie zaczyna migotać, a jego postać staje się mniej wyraźna.

Nie odchódź – powiedziała szybko.

To nie ja – nadeszła cicha odpowiedź. – To ty. Czasami w ogóle nie mogę cię dostrzec.

Te odgłosy – zapytała – Czy również je słyszysz?

Tak. Brzmią jak przejście. Ale jednak inaczej.

Yve nie miała okazji zażądać wyjaśnienia tych tajemniczych słów, ponieważ głos Słodyczy ucichł w jej myślach, a jego obraz zniknął sprzed jej oczu. Pospieszne odgłosy również przepadły.

Znowu sama, czarodziejka siedziała przez jakiś czas na plaży doznając nieokreślonego, ale bardzo głębokiego poczucia straty.

Kiedy kilka godzin później wróciła do miasteczka, jej głowę wciąż przepełniały pytania. Spędzone na rozmyślaniach popołudnie przyniosło kilka możliwych teorii, ale żadnych odpowiedzi. Czując zmęczenie, ale i wiedząc, że nie będzie w stanie odpoczywać, Yve nie poszła do swojej chaty, tylko skierowała się w stronę namiotu Brama. Nie zastała kapitana, lecz jeden z marynarzy wskazał jej skalisty cypel na północ od obozu.

Bram siedział grając na małym, podobnym do fletu instrumencie i wpatrywał się w morze. Yve przysłuchiwała się przez kilka chwil, czując się tak, jak gdyby wtargnęła w czyjś prywatny świat. Pieszczotliwe, słodkie tony mieszały się z dźwiękiem fal, gdy podnosiły się i waliły między ciemne głązy.

„Jeszcze kilka dni temu – zadumała się Yve – nie było między nami nic prócz uprzedzeń i braku zaufania. Teraz szukam go jako przyjaciela. Poza tym muszę z kimś porozmawiać!”

Muzyka ucichła i po chwili Yve zawołała cicho. Bram odwrócił się, zaskoczony, po czym uśmiechnął i skinął na nią, by usiadła przy nim. Przekroczyła ostrożnie pokrytą skorupiakami skałę i usiadła.

–Nie wiedziałam, że jesteś muzykiem.

–Nie jest to coś, co wyznaję wszem i wobec – odparł, – ale nawet prosty marynarz może cenić sobie piękno.

W jego głosie pobrzmiwał ledwie uchwytny gorzki ton i Yve zastanowiła się, jakie ukryte ambicje mógł nosić w sobie Bram, gdy był kilka lat młodszy.

–Im więcej dowiaduję się o tobie, tym mniej „prosty” stajesz się dla mnie – powiedziała. – Jestem zadowolona...

–Że teraz rozumiemy się lepiej nawzajem? – Bram dokończył zdanie za nią. – Ja również jestem zadowolony. Wiele zdążyłaś już mnie nauczyć.

–A ty mnie.

Spoglądali na siebie przez chwilę z powagą na twarzach. Wreszcie marynarz się uśmiechnął.

–Jestem pewien, że nie przyszłaś tutaj tylko po to, by dać raz naszemu wzajemnemu podziwowi. Czy coś się stało...? Przerwał widząc nieobecny wyraz, który pojawił się w oczach czarodziejki.

–Bram?... – Yve zawiesiła głos, niepewna samej siebie. – Czy nic się nie działo tego popołudnia? – spytała w końcu.

–Nie to chciałaś powiedzieć.

–Nie, ale...

Bram czekał.

–Co ty na to – Yve wypowiadała słowa coraz szybciej – gdybym ci wyznała, że spędziłam to popołudnie rozmawiając bezgłośnie z niewidzialnym smokiem o imieniu Słodycz? Spotkałam go na plaży. – Zachichotała.

–Znowu napiłaś się yarglatu, prawda? – zapytał Bram uśmiechając się.

–To nie żart, Bram!

–Wiem – rzekł, a jego twarz znowu stała się poważna. – Ale po tym, co powiedziałaś, nie spodziewaj się, abym wiedział, o czym mowa. Wyjaśnij mi to lepiej.

Było już niemal ciemno, kiedy skończyli rozmawiać. Spokojne i cierpliwe pytania Brama pomogły ukoić zamieszanie panujące w myślach Yve. Teraz przynajmniej wiedziała, o co ma pytać Słodycz, kiedy wróci. I jeśli wróci.

Stwierdziła, że rozpaczliwie tego pragnie.

Jej życzenie spełniło się szybciej, niż się spodziewała, chociaż w sposób ledwie umożliwiający jasną i zrozumiałą rozmowę. Rozstawszy się z Bramem poszła prosto do swojej chaty i po zjedzeniu odrobiny pozostawionej dla niej kolacji, położyła się do łóżka. Noc mijała spokojnie, aż do chwili, gdy o najciemniejszej godzinie na zewnątrz chaty wybuchł zgiełk.

Kiedy z trudem odpychała od siebie sen, w jej uszach zabrzmiały krzyki i śmiech. W nagłym przebłysku zrozumienia zapaliła lampę, wyskoczyła z łóżka i gwałtownie otworzyła drzwi chaty. Ciana leżała tuż przy drzwiach, skulona w obronnej pozycji, ramionami osłaniając głowę. Nikogo innego nie było w zasięgu wzroku.

Yve uklękła i dotknęła jej ramienia. Ciana wzdrygnęła się od dotknięcia, ale potem, kiedy czarodziejka zaczęła ją podnosić, powoli się wyprostowała. Trzęsła się cała, kiedy Yve wprowadzała ją do chaty i sadzała na łóżku.

–Wszystko w porządku. Już jesteś bezpieczna.

Z wolna drgawki wstrząsające Ciana ustąpiły, a jej utraciły wyraz oczu zaszczutego zwierzęcia.

–Już jesteś bezpieczna – powtórzyła Yve. – Cóż tak cię przeraziło?

–Widmowe ogniki – wyszeptała Ciana. – W morzu.

–Co?

–Mówią... pochodzą od marynarzy, którzy utopili się w morzu... Mówią...

–Czekaj – przerwała Yve. – Opowiedz mi, co się wydarzyło, dokładnie to, co widziałaś.

Ciana umilkła, zbierając myśli.

–Miałam zły sen – zaczęła wreszcie. – Zbudził mnie. Było mi tak gorąco, że na chwilę wyszłam przed chatę. I wtedy je zobaczyłam.

–Co zobaczyłaś?

–Światła. Błękitne i zielone. Przy molo.

–I to cię tak przestraszyło?

–Nie. – Ciana przełknęła i ciągnęła dalej: – Światła poruszały się. Widziałam, jak przedostały się tutaj.

–Do tej chaty?

–Tak. Więc poszłam, żeby cię ostrzec, ale wtedy... – Zamknęła oczy, a Yve ujęła jej ręce i uklękła przed nią dodając jej otuchy. – Biegłam, ale one były szybsze. Przeniknęły przez ściany chaty Adary i znalazły się po drugiej stronie. Słyszałam też coś.

–Co?

–Ja... nie mogę sobie przypomnieć. Potem nagle były wszędzie wokół mnie... wirując tak szybko. Kiedy się zatrzymały, zobaczyłam... – Przełknęła ślinę. – To wszystko, co pamiętam.

Jakiś ruch w oknie za Ciana przykuł uwagę Yve. „Już wiem, co widziałaś” – pomyślała Yve, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy wpaść we wściekłość.

Za otwartym oknem mrugnęło wolno dwoje błyszczących oczu

–Ciana, czy mi ufasz?

Kobieta wolno skinęła głową.

–Mam zamiar coś ci pokazać. Proszę, uwierz mi, naprawdę nie ma się, czego bać.

Jeszcze jedno kiwnięcie.

Czy mogę wejść? – zapytał znajomy głos.

Jeszcze nie. Czekał tam – odparła w ten sam sposób Yve. Głośno zaś powiedziała:

–Odwróć się i wyjrzyj przez okno.

Ciana posłuchała. A potem jej ciało zeszytywniało; zacisnęła palce na ręce Yve. – Te oczy – wyszeptala.

Więc nie jestem jedyna, która je widzi? – pomyślała Yve.

–Czy to widmo? – Ciana znowu się trzęsła.

–Nie – odparła spokojnie czarodziejka. – Prawdę powiedziawszy, nie jestem pewna, co to jest, ale to mój przyjaciel. Mogę z nim rozmawiać.

Ciana spojrzała na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, a potem znowu wytrzeszczyła je na smoka.

Czy teraz mogę wejść?

Nie ma tu dla ciebie miejsca – odparła Yve.

Więc może tylko dla części?

Co? Och. W porządku, tylko powoli. Nie chcę, żebyś znowu ją przestraszył.

–Rozmawiasz z nim? – zapytała cicho Ciana.

–Tak. Nie bój się. On nie chce zrobić ci krzywdy. Błękitno zielony pysk pojawił się w oknie, a potem jedna szponiasta łapa przeszła przez ścianę. Głowa Yve wypełniła się dźwiękiem dziecięcego śmiechu, a Ciana wydała cichy okrzyk.

–To te hałasy – zawołała. – Właśnie to słyszałam.

Słodycz posuwał się naprzód, dopóki jego głowa i znaczna część ciała nie znalazły się wewnątrz.

To łaskocze – zauważył wśród napadów chichotu.

Co łaskocze? Przechodzenie przez ścianę?

Tak – odparł i zwinął się w wygodnej pozycji na podłodze.

Czy możesz przechodzić przez wszystko?

Tylko przez rzeczy, które nie są stałe.

Yve na jakiś czas pominęła to milczeniem. Gdyby miała uwierzyć, że jej chata nie jest stała, musiałaby zacząć wątpić w istnienie całej reszty. Na przykład w istnienie na wpół widzialnych smoków.

Co się dzieje? – wyszeptala Ciana. Jej ciało było nadal sztywne, ale już się nie trzęsła. – Czy wciąż z nim rozmawiasz?

–Tak. Słyszysz nas?

–Nie, ale... coś tam jest... jak śmiejące się dziecko...

Nie jestem dzieckiem!

Uspokój się – prychnęła w myśli Yve.

–Ciano, jesteś szczególną osobą. Porozmawiam o tym z tobą później, ale teraz muszę zadać temu stworzeniu kilka pytań. Czy chcesz tutaj zostać?

Ciana skinęła głową.

–Będę cicho – zapewniła potulnie.

–Dziękuję ci – odparła Yve, po czym skierowała swą uwagę na Słodycz.

Z pewnością lubisz takie wielkie wejście – zauważyła.

Muszę postępować zgodnie z moją naturą – odparł smok. – Odważną i dziką.

Jest jak powiedziałaś. Mógłbyś jednak trochę mniej chichotać, psuje efekt – skarciła go Yve, dodając, że przestraszył Cianę.

Słodycz spuścił wzrok.

I czy musisz przychodzić w środku nocy? Spałam w najlepsze.

Przez jakiś czas nie nadeszła żadna odpowiedź i Yve zaczęła się zastanawiać, czy smok się nie dąsa.

Nie zawsze mogę wybierać czas, kiedy przychodzę – padło przepraszającym tonem, a zaraz potem smok pojaśniał i dodał: Mówisz dziwne rzeczy, kiedy masz zamknięte oczy.

Yve wcale nie podobała się myśl, że jej sny mogą być oglądane.

Nie będziemy się w to teraz wgłębiać.

Czy śpisz każdej nocy?

Tak.

Dlaczego?

Ponieważ staję się zmęczona i rozdrażniona, jeśli tego nie robię.

Słodycz zignorował ostrzegawczy ton brzmiący w głosie Yve i oświadczył z zadowoleniem:

Ja nigdy nie śpię, a jednak nigdy się nie męczę.

Yve zdołała się opanować.

Wiele o tobie myślałam – zaczęła.

To naturalne – wtrącił smok.

I mam kilka pytań...

Słodycz wyglądał na skwaszonego.

Ostatnim razem zniknęłaś – ciągnęła Yve – zanim zdołałam z tobą porozmawiać. Dokąd poszedłeś?

Donikąd! To ty zniknęłaś.

Ale w rezultacie straciliśmy ze sobą kontakt.

Tak.

Nasze światy są w tym samym miejscu, ale jednak się różnią?...

Twój świat nie płonie.

Co?

Pokażę ci – zaproponował Słodycz.

Odwrócił głowę i z jego nozdrzy błysnął jasny pomarańczowy płomień. Zanim Yve zdołała zareagować, urósł do ognistego potoku, który objął drewniane krzesło. Ciana wstrzymała oddech, a Yve przyglądała się temu jak urzeczona. Po kilku chwilach płomień niespodziewanie zniknęły. Krzesło, które powinno stać e kupką żarzących się węgielków, nie zostało nawet osmalone.

Widzisz?

Słodycz, czy byłbyś tak dobry i ostrzegł mnie, kiedy znowu zechcesz zrobić coś takiego?

W porządku – odparł tonem świadczącym o tym, że nie ma pojęcia, co też niewłaściwego uczynił.

Kiedy jesteś tutaj, mam na myśli mój świat, przecież go widzisz, prawda? – naciskała Yve, chcąc uzyskać potwierdzenie swoich teorii, zanim znowu zostaną rozdzieleni. – Powiedziałeś mi, gdzie są owoce.

Tak. Myślałem, że o to prosiłaś – stwierdził, dodając: – Chociaż mogę widzieć przez niektóre rzeczy.

Przez te, które nie są stałe?

Słodycz skinął głową.

Możesz nas również słyszeć?

Tak.

Czy możesz rozmawiać z kimś innym, tak jak ze mną?

Nie.

Yve była świadoma, że smok staje się coraz bardziej niespokojny, rozmowa go nudzi, ale drążyła dalej.

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, na plaży, chciałeś, żebym się wykapała. Dlaczego?

Było ci gorąco.

Odczułeś to?

Słodycz unikał jej wzroku, jak gdyby zawstydzony – coś, czego dotychczas u niego nie dostrzegala. W myślach, które wysyłał smok, zapanował zamęt i przez chwilę Yve odniosła wrażenie, że znowu traci kontakt. Z wysiłkiem skoncentrowała się i zapytała:

Co się stało?

Słodycz zdołał nieco powściągnąć swoje zmieszanie.

Czuję... – powiedział powoli – twoje ciało... wewnątrz.

Yve zapięły czerwieniejące policzki i pospiesznie to opanowała, zastanawiając się, co też, u diabła, Ciana może wywnioskować z ich milczącego spotkania. „Czyż nie mam już nic własnego? – pomyślała. – Moje myśli, sny, uczucia? Moje ciało?”

Smok zaczął teraz odczuwać jej własne zmieszanie. Mrugnął kilka razy z niezwykłą jak na niego szybkością i poruszył się nerwowo.

Zacznijmy jeszcze raz – zaproponowała po chwili Yve.

Kiedy pierwszy raz odnalazłeś mnie na statku, czy widziałeś morskiego diablaka?

Zrobiłem go – odparł pogodnie Słodycz.

Co?!

To dzieje się, kiedy lecimy nad morzem. Nie wiem, dlaczego... śmieszny, prawda?

Zależy od punktu widzenia. Mogłeś zniszczyć statek.

Powstrzymałem go w porę – odparł urażonym tonem. – Chciałaś tego ode mnie, więc to uczyniłem.

Zatem niekiedy możesz oddziaływać na mój świat – stwierdziła z namysłem Yve – nawet, jeśli nie płonie.

Smok milczał, najwyraźniej rozważając tę myśl.

Przypuszczam, że tak – zgodził się w końcu.

Co kazało ci zbliżyć się do statku? Czy mnie szukałeś?

Wiedziałem, że tam jesteś. Senne wiatry wskazały mi drogę.

Serce Yve podskoczyło. Wiatry snów były tajemniczą siłą, którą przyjaciele często przytaczali w odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób odnaleźli swoich czarodziei.

„Ale to śmieszne. Jak to może być? Słodycz jest w innym świecie!”

I wówczas smok zniknął. Nie zgasł powoli, jak to działo się przedtem i w głowie Yve nie zabrzmiało ostrzegawcze bzyczenie. W jednej chwili spoglądał na nią, w następnej była już sama z Ciana. Tak nagle skończył się ich kontakt, że nie mieli czasu na pożegnanie, nie mówiąc już o dalszych pytaniach. Yve poczuła się oszukani

–To nie tak miało być – wyszeptała do pustej przestrzeni za oknem.

–Co? – zapytała nieśmiało Ciana.

Czarodziejka niemal zapomniała o obecności kobiety i odwróciła się gwałtownie w odpowiedzi na jej ciche pytanie. Ciana przestraszyła się, co zmusiło Yve do przyjęcia uspokajającej postawy. Uśmiechnęła się słabo i ujęła rękę kobiety.

–Przepraszam, Ciana. Nie chciałam cię przestraszyć.

–Dokąd on poszedł?

–Do innego świata. Jest tutaj tylko gościem.

–Nie rozumiem.

–Ani ja – odparła cicho Yve.

Milczały przez kilka uderzeń serca, każda pogrążona w rozmyślaniach.

–To był smok, prawda? – odezwała się w końcu Ciana. – Taki, jak w starych opowieściach Adary?

Yve skinęła głową, zauważając niezwykle blask w oczach swej towarzyszki.

–Widziałaś go wyraźnie?

–On... on iskrzył. Szczególnie oczy i płomień. – Ciana spojrzała na nietknięte krzesło. Wypowiedziała te słowa z ożywieniem i wydawało się, że nie jest już przestraszona. – Ale mogłam dostrzec, jak wygląda, chociaż równie dobrze widziałam przez niego. Czy to była magia?

Yve nigdy nie widziała jej tak ożywionej. Zalążek przypuszczenia zaczął kiełkować w umyśle czarodziejki.

–Tak, magia – odparła cicho, dodając w myśli: „a przynajmniej coś, co za nią uchodzi”. – A my byliśmy jej częścią.

–My? – wyszeptała Ciana, a jej oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej.

–Nie każdy byłby w stanie zobaczyć smoka. Jesteś kimś wyjątkowym, Ciano. Pamiętaj o tym.

Wyspiarka w niedowierzaniu potrząsnęła głową, potem znieruchomiała.

–Słyszałam też coś – powiedziała. – Jakieś dziwne odgłosy.

–Smoczy śmiech... – odparła Yve i uśmiechnęła się, widząc, jaki efekt sprawiły jej słowa.

–Słyszałam śmiech smoka – szepnęła Ciana.

Następne dni płynęły dla Yve niezwykle wolno. Przechodziła męczarnie niepewności. Słodycz nie pojawił się i chociaż wiedziała, że wypłynięcie „Alesii” z Haele jest już i tak opóźnione, Yve nie miała najmniejszej ochoty opuszczać wyspy, obawiając się utraty szansy na ponowne ujście smoka. Rozmawiała o tym, czego doświadczyła z Bramem, ale nawet pomimo jego wyważonych pełnych otuchy słów pozostała niespokojna i niezadowolona. Nieustannie spoglądała przez ramię, spodziewając się zobaczyć te tęskniące, błyszczące oczy. Wkrótce wszyscy na wyspie zdali sobie sprawę, że czarodziejka ma kłopoty, chociaż tylko dwie osoby wiedziały, dlaczego.

Spełniając prośbę Yve, Ciana nie powiedziała nikomu o tym, co widziała. Prawdopodobnie tak czy inaczej milczałaby z obawy przed śmiesznością, niemniej plany czarodziejki wymagały, żeby Słodycz pozostał tajemnicą. Wszystko zresztą mogło skończyć się niczym, gdyby smok nie pojawił się znowu.

Wykonywała dalej swoje czarodziejskie obowiązki, ale stwierdziła, że niezwykle trudno jej się na nich skoncentrować i w konsekwencji coraz więcej czasu spędzała sama. Kilka razy powracała na plażę, ale bez rezultatu i to właśnie podczas jednej z tych wypraw podjęła decyzję o powrocie na Lugg. Zaczęła wątpić w istnienie smoka – na tym czy jakimkolwiek innym świecie. A nawet, jeśli był realny, myśl o tym, że właśnie on miałby się stać jej od dawna upragnionym przyjacielem, teraz wydawała się godna śmiechu i absurda.

Zrobiła wszystko, co mogła – jakkolwiek niewiele to było by zmienić społeczność Haele, a ich przedłużająca się obecność na wyspie zaczynała wywoływać kłopoty. Już dochodziło do poważnych napięć pomiędzy marynarzami a mężczyznami z Haele, chociaż dzięki wyczuciu Brama i strachowi, który wzbudzała Yve, nie doszło do żadnych rzeczywistych potyczek. Jednak sytuacji stale się pogarszała, głównie zresztą, dlatego, że z pobytami załogi „Alesii” na wyspie łączył się wcale znaczny drenaż haeleńskich zapasów żywności.

„To beznadziejne! To wszystko jest zupełnie beznadziejne” – zawyrokowała w końcu gorzko Yve. – Czas wracać do domu.

Swymi ostatnimi działaniami na Haele próbowała umocnić tę odrobinę dobra, którą udało jej się osiągnąć podczas całego pobytu. Rozmawiała z wieloma wyspiarzami i większość kobiet przypominała sobie jej wcześniejsze lekcje. Ciana była zatrzwożona zbliżającym się wyjazdem czarodziejki, ale mężnie starała się ukryć swoje uczucia. Dwie kobiety stały się sobie bliskie w tym krótkim okresie, kiedy przebywały razem, i Yve miała gorącą nadzieję, że jej próby rozbudzenia w Cianie wiary w siebie dadzą widoczny i stały efekt. Jako nieodłączna towarzyszka czarodziejki Ciana już zyskała spore poważanie, którego wcześniej jej odmawiano, a Yve ze swej strony nie pozostawiała cienia wątpliwości, iż pragnie, by po jej wyjeździe Ciana w dalszym ciągu występowała w swej nowej roli doradcy w sprawach leczniczych. To, czy jej życzenie miało być brane pod uwagę przez jakiś okres czasu – było całkiem inną sprawą. Damek i jemu podobni prawili jej miłe słówka, ale nie bardzo wierzyła w trwałość wywieranego przez siebie wpływu.

„Gdyby tak... – pomyślała po raz setny, ale nie dokończyła myśli czując obrzydzenie dla samej siebie. – Powinnaś była robić więcej – ganiła się. – Teraz wszystko, co możesz zrobić, to wrócić do domu i mieć nadzieję!”

"Alesia" płynęła kursem na północ-północny wschód. Bram zamierzał wrócić do Carrhaven dłuższym szlakiem. Opłynięcie wschodniego wybrzeża Lugg umożliwiłoby mu wykorzystanie sprzyjających wiatrów w długiej podróży na północ.

Załoga była w pogodnym nastroju, szczęśliwa, że znowu znalazła się na morzu, i z radością oczekiwała powrotu na cywilizowaną wyspę. Yve natomiast nie mogła oprzeć się przygnębieniu i wiele czasu spędzała na dziobie, wpatrując się w wodny pył. Na ogorzałej twarzy Brama malowała się troska o Yve, ale wkrótce i on, tak jak reszta załogi, nauczył się pozostawiać czarodziejkę samą z jej myślami.

O świcie drugiego dnia na morzu kapitan objął wachtę przy kole sterowym. Czyste niebo obiecywało jeszcze jeden gorący dzień, a mocna bryza zapewniała statkowi dobre tempo. Jak zawsze w takich chwilach Bram czerpał przyjemność ze sposobu, w jaki „Alesia” reagowała na dotknięcia koła sterowego i doznawał znanego sobie uczucia pewności, że bez względu na to, jakie były jego młodzieńcze marzenia, nie popełnił błędu w wyborze zawodu. Przez kilka chwil był człowiekiem całkowicie pogodzone z światem – i z sobą samym.

Jego spokój został jednak wkrótce zburzony przez dwa, szybko po sobie następujące zdarzenia. Po pierwsze, Yve – ubrana jedynie w koszulę nocną – wyskoczyła z luku na pokład. Zatoczyła się, trzymając ręce przyciśnięte do głowy, gdy statek zboczył nieco z kursu. Spoglądała wokół dzikim wzrokiem.

–Gdzie?! – krzyknęła. – Te dźwięki wracają!

W tej właśnie chwili jeszcze jeden okrzyk zwrócił uwagę kapitana. Bystre oczy Krowa wypatrzyły coś w tyle, za rufą statku. Bram i Yve odwrócili się, by podążać wzrokiem wzdłuż linii wskazywanej przez palec marynarza.

Daleko za nimi, jednak szybko zmniejszając dystans, pędził morski diablík.

–Och, nie, byle nie to – jęknął Bram.

–To Słodycz! – wykrzyknęła Yve. – Poznaję go! – Podbiegła do rufowego nadburcia z wyrazem urzeczenia na twarzy.

Wszyscy na pokładzie obserwowali czarodziejkę i morskiego diablika, wiedząc, że z pewnością coś się zdarzy. Wirująca kolumna wody pędziła wprost na nich, ale byli przekonani, że Yve jeszcze raz potrafi ich ochronić.

I rzeczywiście, kiedy diablík był jakieś dwadzieścia kroków od statku, niespodziewanie zapadł się w morze, rozsiewając migotliwą błękitno zieloną mgiełkę kropli. Rozległy się gwizdy i radosne okrzyki marynarzy, ale Yve nie zwróciła na to uwagi. Pozostała przy nadburciu, wpatrując się nieruchomym wzrokiem za rufę.

Halo – odezwał się w jej głowie znajomy zuchwały głos.

Gdzie byłeś? – zapytała błagalnym tonem.

W domu – odparł z radością Słodycz. – Czy tęskniłaś za mną?

Smok szybował unosząc się nad kilwaterem „Alesii” z szeroko rozpostartymi skrzydłami i podkurczonymi łapami.

Tak, tęskniłam za tobą – przyznała Yve, nie zważając, że w ten sposób spotęgować wcale nie małą próżność Słodyczy. – Dlaczego odszedłeś tak nagle?

Zostałem wezwany – odparł znudzonym tonem Słodycz. Dokąd zmierzasz?

Z powrotem na Lugg, do domu.

Nie możesz – stwierdził smok. – Nie ma jej tam.

Nie bądź śmieszny! – krzyknęła. – Oczywiście, że jest. Wyspy nie znikają ot, tak sobie, bez powodu, jak, nie wspomnę, pewne stworzenia.

Sama zobaczysz – oświadczył zaczepnie Słodycz.

Udajesz się z nami na Lugg? – zapytała z ożywieniem Yve, ale nie otrzymała odpowiedzi. Smok nie oddalał się wprawdzie od statku, ale i nie odezwał się więcej i Yve skonstatowała z rezygnacją, że Słodycz się dąsa. „Ale przynajmniej jest tutaj!” – przypomniała sobie z radością.

Opowiedziała o spotkaniu Bramowi. Przyjrzał się jej kpiącym wzrokiem, ale o nic nie zapytał. Próbowala wskazać mu smoka, ale marynarz dostrzegał jedynie nieokreślony układ świateł bez

wyraźnego kształtu czy formy. Po chwili oczy zaczęły go boleć wysiłku i poniechał dalszych prób.

– Żeby tylko nie sprowadził jeszcze jednej trąby wodnej – zażartował i uśmiechnął się, widząc, jak bardzo zmienił się nastrój czarodziejki.

Godzinę później Słodycz wciąż milczał, ale do tego czasu wszystkich na pokładzie „Alesii” zaczęła gnębić o wiele poważniejsza troska. Przed nimi, wyrósłszy nagle, gdy płynęli na północ, widniało coś, co wydawało się ogromnym wałem gęstej mgły. Nie miało to sensu, – ale jednak tam było.

Kiedy się zbliżyli, mgła ujawniła jeszcze jedną złowróżbną cechę. Rozciągała się tak jak horyzont, od wschodu do zachodu, najwyraźniej nieskończona i niewiarygodnie gęsta. W jej głębiach ociężałe i złowieszczo poruszały się jeszcze ciemniejsze kształty. Na dodatek szara ściana promieniowała intensywnym zimnem całkowicie niezrozumiałym przy naturalnym dziennym cieple.

Załoga przyglądała się temu zjawisku z przerażeniem w sercach, aż Bram rozkazał im zmienić kurs statku i płynąć na wschód.

– Nie możemy przedostać się przez to świństwo – powiedział poważnie. – Musimy to opłynąć. Jakies pomysły, Yve?

Czarodziejka potrząsnęła głową, czując się, jakby była chora. Przypomniała sobie straszliwe słowa Słodyczy: „Nie ma jej tam”.

– Więc płyniemy wkoło – powiedział Bram.

To nic nie da – zabrzmiał niespodziewanie w głowie Yve głos smoka. – *Mgła tworzy zamknięte koło.*

Ale mój dom...? – zapytała z błaganiem.

Lugg zniknęła – odparł Słodycz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Alesia” płynęła na wschód, nie będąc w stanie oderwać się od mgły, która również przesuwała się wraz z wiejącymi w tę stronę wiatrami. Na jakiś czas marynarze nabrali nieco otuchy, wydawało się, bowiem, że zepchnie to mgłę ze strony północnej, co pozwoli statkowi zbliżyć się nieco bardziej do ich rodzinnej wyspy. Jednak wkrótce stało się jasne, że musieliby zbroczyć wiele lig od swego pierwotnego kursu, zanim w ogóle osiągnęliby jakiś znaczący postęp – i wniosek ów był nie do podważenia. Lugg pozostawała dla nich niedostępna, ukryta za nieprzeniknioną ścianą szarości.

Yve spojrzała na Słodycz – błękitno zielone migotanie na niebie.

Widzisz ją? – zapytała, wiedząc w duszy, jaka będzie odpowiedź.

Tak.

Czy jest coś po drugiej stronie?

Nie. Szarość rozciąga się wszędzie. Jest zimna.

Czujesz zimno?

Tak.

Przerażenie, które ogarnęło Yve, wzmoгло się. Mgła była manifestacją czegoś tak złego, tak ogromnego i potężnego, że nie mogła mieć nawet nadziei na przeciwstawienie się temu. To tak jak gdyby wysłać wróbla z żądaniem pokonania orła. Wróbel miał jedyną szansę – starać się, nie rzucając w oczy na ile to tylko możliwe, próbować uciec niezauważony. Uświadomienie sobie tego faktu nie wpłynęło dobrze na poczucie własnej wartości Yve, ale nie widziała żadnego celu w mrzonkach o spełnieniu nierealnego.

Bliskość mgły sprawiała, że czuła się chora i rozgorączkowana i tęskniła za ciepłem minionego bezchmurnego dnia. Kiedy Słodycz zaczął narzekać, że przez nią i on czuje się źle, Yve uznała się za pokonaną i poszła do Brama.

–Musimy wracać – powiedziała. – Nie dotrzemy do Lugg, na to nie mogę poradzić.

Kapitan najwyraźniej nie wiedział, co robić i po raz pierwszy od czasu, kiedy Yve go spotkała, wyglądał na dezorientowanego. Stwierdziła, że widok Brama w takim stanie niewiarygodnie rozstraja.

–Doszedłem do takiego samego wniosku – przyznał w końcu.

–Nie jesteśmy dostatecznie zaopatrzeni na podróż do którejkolwiek z północnych wysp.

– Nawet gdybyśmy byli – odparła Yve, nienawidząc siebie to, że przynosi jeszcze gorsze wieści – nic by to nie dało. Jesteśmy odcięci od wszystkich wysp. Znajdują się wewnątrz tego kręgu. Bram wpatrywał się w szarą ścianę z pobladłą twarzą. Zdawało się, że nie słyszał jej dziwnych słów. Marynarze milczeli, ujarzmieni okropnością czegoś, co, do czego nie mogli nawet mieć nadziei, że to zrozumieją. Pośród dźwięków wiatru i fal „Alesia” wydawała się niesamowicie cicha.

W tej śmiertelnej ciszy rozległ się nowy dźwięk – zgrzytliwy, żywiołowy huk, odbijający się, głęboki trzask napierających na siebie, ogromnych sił. Gdy w końcu ostatnie dudniące echa zamarły, cała załoga trwała pogrążona w absolutnym milczeniu. Potem znowu zaczęli oddychać, wymieniać spojrzenia i szeptać ze strachem.

Góry lodowe – powiedział Słodycz.

W Brama wstąpiło nowe życie.

– Wracamy na Haele, chłopcy! – zawołał. – Wiem, że tamtejsze panie będą zadowolone widząc was znowu. – Przez następnych kilka minut kapitan „Alesii” był nieustannie w ruchu, rozmawiając, przechodząc od jednego marynarza do drugiego, wykrzykując rozkazy. Załoga ochoczo zareagowała na jego uspokajający powrót do normalności i wkrótce statek płynął na południe, z każdą chwilą unosząc ich od zgrozy.

Ich ponowne przybycie na Haele odebrane zostało z dającymi się przewidzieć mieszanymi uczuciami. Yve zaczęła znowu leczyć chorych wyspiarzy, uczyć i radzić każdemu, kto tego pragnął.

Bram zaś i jego załoga starali się trzymać na uboczu tak bardzo, jak to było możliwe. Ponownie została wzniesiona ich wioska z namiotów i zajęli się łowieniem ryb albo polowaniem w lesie porastającym centralną część wyspy. Robili wszystko, co się dało, aby ich obecność była jak najmniejszym obciążeniem dla wyspiarzy. Nikt nie wiedział, jak długo potrwa ich wymuszony pobyt i Bram postanowił zrobić, co tylko w jego mocy, żeby uniknąć kłopotów. Postarał się, by sprawy życia codziennego wypełniały większość czasu i energii marynarzy i rozbudzał w nich przekonanie, że to, co spotkali, nie było niczym więcej jak wybrykiem pogody. Sam nie podzielał tej wiary, ale spekulacje mogły tylko pogorszyć ich sytuację – i uczynić oczekiwanie jeszcze trudniejszym.

Wyspiarze odebrali wieści o mgle i wynikłym stąd odosobnieniu bez zaciekawienia czy strachu. Prawie w ogóle nie kontaktowali się z innymi wyspami i dla większości to, co działo się poza Haele, było całkiem obojętne, jedyny wyjątek stanowiła Ciana. Ucieszyła się niezmiernie z nieoczekiwanego powrotu Yve, chociaż otwarcie tego nie okazywała. Pomogła czarodziejce zagospodarować się ponownie w jej chacie i gdy tylko zostały same, dała poznać, że zauważyła wyraz twarzy Yve i zapytała o powód nieoczekiwanego powtórnego przybycia „Alesii”. Wyjaśnienia Yve przeraziły ją, ale już po kilku chwilach zebrała się na odwagę, by zapytać o coś, co najwyraźniej mocno zaprzętało jej myśli.

–Smok... – zapytała nieśmiało – czy wrócił?

Yve skinęła głową i uśmiechnęła się, zadowolona, że może mówić o czymś bardziej radosnym. Oczy Ciany rozjarzyły się.

–Czy jest tutaj? – wyszeptała z ożywieniem, rozglądając się wokół siebie, jak gdyby oczekiwała, że w tej właśnie chwili Słodycz wyłoni się ze ściany.

–Gdzieś w pobliżu – odparła Yve, mając nadzieję, że jest w istocie. – Leciał z nami przez dwa dni. Nie sądzę, aby pojawił się w mieście, zresztą, nie chciałabym, żeby kogoś przestraszył. Ale – ciągnęła widząc, jak zawiedziona jest Ciana – myślę, że go jeszcze zobaczysz. O ile znam Słodycz, twój problem może polegać na tym, jak utrzymać to stworzenie z dala od siebie.

Następnego ranka Yve wstała wcześniej, pragnąc się przejść. Ciana najwyraźniej czekała na nią i dołączyła do czarodziejki, gdy ta wychodziła z miasteczka. Dwie kobiety kroczyły w niewymuszonym milczeniu ścieżką pomiędzy skalistą linią brzegową a jedynym większym skrawkiem nadającej się pod uprawę ziemi Haele.

Kiedy znalazły się poza zasięgiem wzroku z miasteczka, usiadły na skałach wśród pozostałych po przyplywie sadzawek i przyglądały się niespokojnemu morzu. Ciana pochyliła się nad najbliższą kałużą i przez chwilę obserwowała swoje odbicie, a potem spojrzała na Yve i powiedziała:

–Chciałabym, żeby moje włosy były tak piękne i proste jak twoje.

–Ale twoje nie są wcale gorsze z tego powodu, że się kręcą.

–To takie brzydkie!

–Bzdura.

Obie pochyliły się, by spojrzeć w zwierciadło z morskiej wody.

–Masz piękną twarz – orzekła stanowczo Yve, a potem westchnęła krótko, gdy w wodzie pojawiło się trzecie odbicie.

Tak, raczej tak – zgodził się Słodycz.

Ciana wrzasnęła i obie kobiety odwróciły się gwałtownie. Za nimi stał smok, wciąż wyciągając szyję i podziwiając własny wizerunek.

Okazując wielką odwagę Ciana wyciągnęła rękę, aby dotknąć pokrytej łuskami skóry, ale jej palce przeszły na wylot. Zadrzała, Słodycz zaś zachichotał.

To łaskocze – zaprotestował. – *Przestań.*

Nie może cię usłyszeć – poinformowała go Yve, gdy smok cofnął się nieco.

–To on jest piękny – powiedziała bez tchu Ciana.

–Nie ośmielaj go – sprzeciwiła się Yve.

–Czy on jest samcem? – zapytała Ciana.

Yve zastanowiła się nad tym przez chwilę, czując, jak rozbudza się jej własne zaciekawienie. Żadna ze starych opowieści nie mówiła o smoku jako o samcu lub samicy.

Ciana chce wiedzieć – zaczęła, świadoma, że Słodycz prawdopodobnie słyszał ich słowa – czy jesteś chłopcem, czy też dziewczyną.

Jestem smokiem! – nadeszła pełna pychy odpowiedź.

Dobrze, ale męskim czy też żeńskim smokiem? – kontynuowała Yve, bawiąc się raczej dobrze. – Czy będziesz miał dzieci?

Dzieci? – Po kilku chwilach, w czasie, których Yve wyczuwała zamieszanie w myślach smoka, Słodycz odpowiedział: – Nie będę wysiadywał jaj. To delikatne zajęcie. Ja jestem odważny i dziki.

–Jest samcem – zwróciła się Yve do Ciany z rezygnacją w głosie. „Jaja! – dodała do siebie. – Oczywiście!”

Czy długo tutaj zostaniemy? – zapytał smok. – To mała wysepka.

Tak długo, jak długo będzie ta mgła. Poczekamy kilka dni, Potem spróbujemy znowu. O ile mi wiadomo, mogła już zniknąć – dodała.

Czy mam sprawdzić? – zapytał Słodycz.

Co? Jak...? – zaczęła Yve, lecz przerwała, gdy smok zniknął.

Powrócił niemal natychmiast i troskliwie złożył swoje skrzydła.

Jest w dalszym ciągu – zameldował.

Byłeś tam? – upewniała się zdumiona czarodziejka.

Oczywiście.

Ale, w jaki sposób przebyłeś całą tę drogę, i z powrotem, tak szybko?

Całą, jaką drogę?

Yve poniechała próby zrozumienia i postanowiła przyjąć słowa Słodycz na wiarę.

Czy mógłbyś to sprawdzać dla mnie każdego dnia?

Z przyjemnością, pani – odpowiedział oficjalnie, najwyraźniej zadowolony z siebie.

Dzięki ci – powiedziała Yve. – Widzę, że ktoś uczy cię dobrych manier.

Przecież jesteś panią, prawda? – zapytał niespokojnie Słodycz.

Yve roześmiała się, nie wiedząc, czy jej dokuczają, czy nie.

Niektórzy tak uważają – stwierdziła.

Poranne przechadzki z Ciana stały się codziennym rytuałem. Każdego dnia Słodycz witał je, meldował, że mgła wciąż jeszcze jest, a potem żądał, by mu powiedziały, co będą robili tego dnia

Na podstawie serii ostrożnych eksperymentów Yve ustaliła, że nikt z wyjątkiem Ciany – która już całkiem przywykła do obecności Słodycza – nie może wyraźnie dostrzec smoka. Niektórzy ludzie mrugali i wyglądali na zakłopotanych, inni przecierali oczy i potrząsali głowami, jak gdyby chcąc je oczyścić, ale większość była całkowicie nieświadoma jego istnienia. W konsekwencji Yve pozwoliła mu towarzyszyć sobie, nawet, kiedy wokół byli inni, chociaż wciąż nie zabierała go z sobą do miasteczka.

I wszystko było dobrze, do chwili, kiedy bezgraniczna ciekawość smoka wzięła górę.

Któregoś ranka Ciana poderwała Yve z łóżka wcześniej niż zwykle.

–Nadszedł czas rozwiązania Robyn – powiedziała. – Prosi abyś przyszła.

–Czy wszystko z nią w porządku? – zapytała Yve, pospiesznie naciągając coś na siebie.

–Sądzę, że tak, ale to jej pierwsze dziecko, a nie jest zbyt młoda.

Pospieszyły do chaty ciężarnej wyspiarki w półmroku, który zwiastował świt. Gdy przybyły na miejsce, obok nich zmaterializował się znajomy kształt. *Wciąż tam jest* – zameldował Słodycz. – *Czy możemy się...*

Nie teraz. Mamy robotę do wykonania – odparła Yve.

Czy mogę pomóc?

Nie.

Zasmucony smok w milczeniu przyglądał się, jak dwie kobiety wchodziły do chaty, całym sobą

wyrażając żal i zawód.

Robyn była szczupłą dziewczyną, a jej chude członki kontrastowały nieprzyjemnie z nabrzmiałym brzuchem. Skurcze następowały teraz szybko po sobie, ale dziecko nie dawało żadnych znaków, że chce się już urodzić. Kiedy Yve położyła delikatnie dłoń na czole Robyn, stwierdziła, że jest śliskie od potu.

Po kilku chwilach czarodziejka uśmiechnęła się i powiedziała:

–Jest zdrowe i całe, Robyn. Twoje dziecko wkrótce tu będzie.

–Ale to boli! – jęknęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. – Nie powiedzieli mi, że tak bardzo będzie bolało.

Yve wiedziała, jak wiele bólu jest z tym związane, od tej chwili stała się, bowiem częścią samego porodu, starając się ochronić matkę przed jeszcze większym cierpieniem, które wkrótce miało się stać jej udziałem.

–Wiem – powiedziała łagodnie i pomyślała: „Nigdy nie byłam z nikim tak blisko”. – Ale będzie warto. Bądź dzielna.

Dwie godziny później tak czarodziejka, jak i pacjentka były niemalże wyczerpane, ale wiedziały, że jeszcze nie można odetchnąć. Wytworzyła się między nimi więź. W końcu Ciana zawołała:

–Jest!

–Wysil się ostatni raz – powiedziała Yve, kierując to w takim samym stopniu do siebie, jak do Robyn.

Pojawiła się główka dziecka. „Już niedługo” – pomyślała czarodziejka, ale niespodziewanie poczuła dokuczliwe mdłości. Słabość ogarnęła ją tak gwałtownie, że jej koncentracja zmniejszyła się, a ochrona, jaką dawała matce, osłabła. – Nie chce wyjść! – krzyknęła Robyn w hysterii, której źródłem były ból i strach.

Zmieszanie Yve wzrosło, ponieważ to, co widniało przed nią, wydało jej się odrażające. Poczuli się słabo i odwróciła głowę. Gdy to zrobiła, zobaczyła Słodycz.

Smok znajdował się częściowo w chacie, wpatrując się jak urzeczony, z przerażeniem w oczach, w dziewczynę na łóżku.

Wyjdź! – rozkazała dobitnie Yve. – Wyjdź! – ryknęła na głos.

Robyn krzyknęła, smok zniknął, a opanowanie Yve powróciło, gdy ucichły ostatnie echa jej wykrzyzanego rozkazu. Wkrótce Ciana czule składała maleńką dziewczynkę w ramiona jej

matki Czarodziejka, upewniwszy się, że Robyn nic nie będzie pomimo długotrwałego wysiłku i utraty krwi, opuściła chatę i wróciła do własnego łóżka.

Obudziła się przed południem, wciąż zła na Słodycz. Jego pojawienie się w nieodpowiedniej chwili łatwo mogło przynieść fatalne skutki. Yve nie uświadamiała sobie, że fizyczne i emocjonalne reakcje mogą przenosić się ze smoka na nią, tak samo jak i w drugą stronę. To czyniło więź pomiędzy nimi jeszcze silniejszą i jeśli jak się domyślała, Słodycz był jeszcze nieco niedojrzały, nie mogła winić go za tę gafę.

Do czasu ich następnego spotkania jej gniew zmalął i smok – nerwowy i pełen skruchy – został odprawiony po dosadnym kazaniu i z surowym napomnieniem, by trzymać się z dala od Yve, kiedy ta będzie się zajmowała leczeniem. Zgodził się ochoczo, wstrząsany gniotącym żołądek wspomnieniem ludzkiego jaja, które najwyraźniej pękło zbyt wcześnie.

Po tym wszystkim Yve rzadko widywała Słodycz, z wyjątkiem chwil, kiedy była sama. Zaczęła chodzić na długie krajoznawcze spacer, a on znajdował wielką przyjemność w pokazywaniu jej jak doskonale zna wyspę. Najwidoczniej wypełniał sobie samotne godziny odwiedzając każdą część wyspy i teraz szczegółowo relacjonował jej swe wyczyny. Choć wyraźnie upiększane, niemniej jednak były zajmujące.

Yve zaczęła postrzegać Słodycz jako osobowość, w przeciwieństwie do wcześniejszego myślenia o nim wyłącznie jako o dziwnym i fascynującym zjawisku, i cieszyć jego pragnieniem podobania się, jego niespożytą energią i prostym poczuciem humoru. Smok, choć wciąż próżny, pomimo jej licznych prób stosowania jego samochwalnych wyczynów, był jednak niewątpliwie miłym towarzyszem. A tego Yve bardzo potrzebowała. Na jakiś czas mogła zapomnieć, że jej świat zdawał się sięgnąć kresu.

Przez wszystkie te dni Yve rozmyślała o mgle i wynikających z tego konsekwencjach. W końcu jednak fakt, że Haele ma zostać jej domem na jakiś czas – a być może na zawsze – pobudził ją, by powrócić do wcześniejszych planów. Słodycz stanowił teraz stałą część jej świata – na tyle, na ile rzeczywiście kiedykolwiek w nim był – to dostarczyło dodatkowego bodźca jej myślom. Zaczęła sprawdzać swoje teorie, czyniąc z tego zabawę dla smoka, który cieszył się niezmiernie.

To bardzo zabawne – zauważył po jednym z zakończonych powodzeniem eksperymentów. – Nie sądziłem, że będziesz chciała, bym robił takie rzeczy. - Nuta niepewności zakradła się do jego głosu, ale uspokoił się, słysząc radosny śmiech Yve.

Byłeś bardzo dobry – zapewniła go, – ale możesz to robić tylko wtedy, gdy ci powiem. To bardzo ważne, Słodycz - zakończyła poważnie.

Smok skinął uroczyście łbem, a potem z charakterystyczną dla niego nagłą zmianą nastroju, rzucił:

Czy wiesz, że wulkan znowu się rozpala? To bardzo ładne: – wszędzie żółty dym i małe

czerwone plamki.

Dla mnie wcale nie brzmi to ładnie – odparła, pewna, że jest to jedna z jego bardziej ubarwionych opowieści. – Poza tym wulkan jest nieczynny od tysięcy lat.

Cóż, teraz się budzi – powiedział smok. – Czy mam ci pokazać?

Zbyt wiele czasu zabrałoby mi pokonanie tej całej drogi na górę.

Jeśli wejdiesz do mojego świata – podsunął z nadzieją – mógłbym cię tam zanieść w ułamku chwili.

Yve zadrżała. Zdawała sobie sprawę, że nawet próba czegoś takiego byłaby wielkim błędem.

Nie sądzę, bym to potrafiła, Słodycz – odparła ostrożnie. – Chociaż chciałabym pojechać na twoim grzbiecie. Latanie musi być cudowne.

Nikt już nas nie dosiada – rzekł smok głosem przepełnionym jakimś prastarym smutkiem.

Yve spojrzała na niego ze zdumieniem. Ton, którym to powiedział, tak nie przystawał do jego charakteru, a implikacje wynikające z tych słów były tak zadziwiające, że zaintrygowało ją to głęboko.

Czy w dawnych czasach ludzie dosiadali smoków? – zapytała.

Ale Słodycz nie chciał powiedzieć nic więcej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Najstarszą mieszkanką Haele była Adara, miejscowa bajarka – zasuszona starucha o skołtunionych siwych włosach i zamglonych oczach. Z rzadka opuszczała swoją chatę, lubiła, bowiem spędzać czas z trzema zazdrosnymi kotami, których lśniące futra wskazywały, że jadają lepiej niż ich maleńka pani.

„Kobiety są dobre do robienia trzech rzeczy: gotowania, rodzenia dzieci i opowiadania historii” – to powiedzenie często słyszało się na Haele. Adara niewiele troszczyła się o pierwsze, jej potrzeby zaspokajali, bowiem inni, dawno przestała myśleć o drugim, jeśli chodzi zaś o trzecie – była prawdziwą mistrzynią. Wszyscy oprócz najbardziej wojowniczych mężczyzn zbierali się, by posłuchać jej opowieści, kiedy wpadała w stosowny do ten nastrój. Wówczas to jej głos zyskiwał dźwięczną barwę i stawał się niewiarygodnie zmienny. Potrafiła mówić głosem maleńkiego dziecka lub bohaterskiego wojownika oraz naśladować odgłosy zwierząt i ptaków z nadzwyczajną dokładnością. Ów talent – w połączeniu z podeszłym wiekiem – sprawiał, że traktowano ją z szacunkiem, jakiego nie doznawała żadna inna kobieta na Haele.

Była jedyną kobietą, która mogła powiedzieć to, co myśli, Damkowi i nie zebrać za to cięgów. Yve próbowała włączyć ją w proces zmian, nad którymi pracowała, ale Adara stwierdziła, że nie jest zainteresowana ani przyszłością, ani teraźniejszością – i rzeczywiście: tak naprawdę ożywiała się tylko wtedy, kiedy opowiadała historie z przeszłości. Prowadziły wiele rozmów i czarodziejka z czasem nabrała szacunku i polubiła starą, kłótliwą kobietę. Toteż, gdy Yve usłyszała, że Adara ma zamiar opowiadać stare historie pewnego określonego wieczoru, zrobiła wszystko, żeby znaleźć się w jej chacie.

Słodycz prosił, by pozwoliła mu sobie towarzyszyć, a jego błaganie było tak żałosne, że Yve, wbrew swemu wcześniejszemu postanowieniu, zgodziła się, pod warunkiem jednak, że obieca trzymać się z tyłu i postara się nie rzucać w oczy na ile tylko możliwe. Smok tak bardzo pragnął usłyszeć opowieści, że ochoczo zgodził się na warunki Yve i przynajmniej tym razem okazał się wart swego słowa. Ukrył się tak dobrze, że gdyby specjalnie nie szukała go wzrokiem, sama Yve by go nie dostrzegła. Ułożył się w stosie porąbanego drewna, zgromadzonego na zimę. Tylko głowa i przednie łapy sterczały na zewnątrz i one wydawały się bardziej przezroczyście niż zwykle. Słodycz obserwował czarodziejkę, kiedy zbliżała się do chaty Adary, a gdy go wreszcie zauważyła, powitał ją długim, powolnym mrugnięciem. Yve uśmiechnęła się krótko w odpowiedzi, a potem odwróciła wzrok.

Ciana została uprzedzona o tym, że może spodziewać się obecności smoka, i gdy go w końcu zauważyła, pilnowała się, by odwracać wzrok w inną stronę. Nikt inny nie zwrócił uwagi na stos drewna.

Wieści o tym specjalnym wieczorze najwyraźniej rozprzestrzeniły się szybko, kiedy bowiem pojawiła się Adara i zajęła swoje miejsce na ganku, zobaczyła spory już tłumek dzieci i kobiet

siedzących wokół na ziemi, a nieco dalej, w cieniu, kilka grupek mężczyzn. Yve, jako honorowemu gościowi, przyniesiono poduszkę, na której zasiadła tuż obok krzesła bajarki.

Wieczór, sądząc z tego, czego dowiedziała się czarodziejka, rozpoczął się tradycyjnie: Adara, spoglądając na ożywione twarze przed nią, zapytała, jakie historie chcieliby usłyszeć. W odpowiedzi na każdą sugestię powoli potrząsała głową i podawała powód, dla którego nie akceptuje proponowanej opowieści.

–Ta jest tylko dla głupich dziewcząt.

–A ta dla jeszcze głupszych chłopców.

–Ta mnie zmęczyła. Mój język wysycha na samą myśl o niej.

–Czy mam zhańbić moich przodków opowiadaniem takiej paskudnej historii przed tak wspaniałą publicznością?

–Nasz gość nie oceniłby wysoko takiej kłamliwej i chełpliwej opowieści.

I tak dalej, dopóki publiczności nie wyczerpały się pomysły, a gdy zabawa się skończyła, Adara zaczęła opowiadać dokładnie tę historię, którą sobie wcześniej wybrała. W tym wypadku była to długa, zawiła opowieść o młodym człowieku, przez całe życie poszukującym pieczary, w której śpi słońce. Jego wędrówka wiodła przez dziwne krainy, rozległe oceany do miejsc dziwniejszych niż te, które można sobie wyobrazić. Stawiał czoło trąbom powietrznym, gigantycznym wirom na morzach, wulkanom pożarom lasów; walczył z dzikimi olbrzymami, okrutnymi wilkami i złymi rozbójnikami; pomagali mu, a niekiedy przeszkadzali, różni ludzie: dziewczyna, którą kochał – „pojawiała się ona w najbardziej nieoczekiwanych momentach” – królowie, królowa i bohaterowie – „ale żadne z nich nie potrafiło mu pomóc, udzielali mu tylko całkowicie bezużytecznych rad” – i nawet smok – „wprawdzie krótkowzroczny i stąd słaby był z niego wojownik, ale wiedział wiele interesujących rzeczy”.

W tym momencie opowieści Yve spojrzała szybko na Słodycz, obawiając się najgorszego, ale smok nie poruszył się nawet przykuty do miejsca magiczną mocą języka starej kobiety. Uspokoiwszy się, czarodziejka ponownie zwróciła swoją uwagę na gawędziarkę i jeszcze raz zatraciła się w potoku jej słów.

Było już ciemno, kiedy opowieść dobiegła końca: „Młodzieniec zestarzał się, zanim udało mu się z powodzeniem zakończyć swoje poszukiwania. Gdy już odnalazł pieczarę, poczuł takie zmęczenie, że nie mógł iść dalej. Ułożył się wygodnie – w południe, gdy słońce świeciło na zewnątrz – i już tam pozostał. Śpi do dzisiaj w jaskini, której nikt inny po nim nie zdołał odnaleźć, a nocą unosi się wśród gwiazd”.

Jak reszta milczących, oczarowanych słuchaczy Yve stwierdziła, że wpatruje się w czyste nocne niebo, szukając wzrokiem mężczyzny, który wlatywał tak wysoko. Kiedy opuściła oczy, Adary już nie było.

Gdy inni w milczeniu się rozeszli, Yve po cichu zbliżyła się do drzwi chaty Adary. Zapukała i ochryply głos kazał jej wejść. Staruszka leżała w łóżku, a jej pomarszczona twarz wydawała się blada i ściągnięta w świetle lampy. Wyglądała na wyczerpaną i Yve doznała chwilowego poczucia winy, że ją niepokoi.

–Wejdz, dziewczyno. Nie stój tam jak głupia – odezwała się chrapliwym głosem Adara.

Yve usiadła na krześle przy łóżku starej kobiety. Gdy to uczyniła, ze ściany chaty wyłonił się Słodycz, wciąż zadumany i daleki od swych zwykłych napadów chichotu. Yve początkowo chciała go wypędzić, ale był cicho, a Adara niczym nie dała poznać, że go zauważyła, tak, więc czarodziejka pozwoliła mu zostać.

–Posiadasz cudowny talent – powiedziała cicho. – Nigdy nie słyszałam nikogo mówiącego w ten sposób.

–Dziękuję ci. – Adara wzruszyła ramionami. – To mało znacząca rzecz i niewiele warta. Do jutrzejszego ranka większość z nich nie będzie pamiętała ani jednego słowa. – Jej głos brzmiał słabo po pełnym różnorodnych brzmień opowiadaniu.

–Pójdę już, byś mogła zasnąć – powiedziała Yve i uczyniła ruch jak gdyby chciała powstać.

–Nie, nie odchodź – rzuciła szybko staruszka. – Zostań i porozmawiaj przez chwilę. Niezbyt często mam możliwość posłuchać, co dzieje się na świecie.

–Dzięki. Adaro, dzisiejsza opowieść nie była mi znana. Czy sama ją wymyśliłaś?

–Częściowo – uśmiechnęła się stara kobieta. – Sama opowieść jest bardzo stara, a ja upiększyłam ją nieco. Inaczej byłaby bardzo nudna.

–Czy macie książki?

–Na Haele? – Adara spojrzała na czarodziejkę z niedowierzaniem. – Książki są dobre dla cywilizowanych wysp! Tutaj jedynym miejscem, gdzie zapisuje się historie, jest to! – Kościstym palcem stuknęła się w skroń. – Kiedy ja odejdę, większość z tych opowieści odejdzie razem ze mną.

–Jestem pewna, że przed tobą jeszcze wiele lat.

–Czy mówisz jako czarodziej, czy jako ktoś, kto chce pocieszyć starą, głupią kobietę?

–Jako przyjaciel, mam nadzieję – odparła Yve.

–Cóż, nie nadaję się na przyjaciela. Jestem tu zbyt długo.

–Czy dzieje się tutaj coś złego? Czy chcesz mi...

–Nie, nie, dziecko. Nic złego. Nie martw się. Kilka chwil przeminęło w milczeniu.

–Smok – zapytała po jakimś czasie Adara. – Czy jest twój? Zaskoczenie odbiło się na twarzy Yve i bajarka zachichotała słabo. Słodycz mrugnął wolno, gdy czarodziejka rzuciła mu spojrzenie.

–Nie sądziłam, że możesz go zobaczyć.

–Może jestem stara, ale jeszcze nie ślepa. Czy spodobała mu się opowieść?

Słodycz skinął łbem.

Czy możemy usłyszeć jeszcze jedną? – zapytał milcząco.

Nie – rzuciła mu Yve. – Nie bądź taki zachłanny!

Jednak głośno powiedziała: – Spodobała mu się tak bardzo, że chce, byś opowiedziała Jeszcze jedną!

–Cóż za wspaniałe zakończenie – szepnęła Adara i uśmiechnęła się. – Opowiadanie historii czarodziejce i smokowi.

Yve spojrzała na starą kobietę z niepokojem i szybko zmieniła temat.

–Te stare historie – zapytała – czy wszystkie one przekazywane są ustnie?

Adara skinęła głową, a jej oczy przybrały nieobecny wyraz.

–Z pokolenia na pokolenie, zawsze w mojej rodzinie. Najstarsze zostały po raz pierwszy opowiedziane wiele stuleci temu. Nikt nie chce ich już teraz słuchać.

–Z pewnością nie masz racji – zaproponowała Yve, przypominając sobie głębokie zainteresowanie słuchaczy.

–Nikt nie rozumie starych opowieści. Nie będą sobie zawracali głowy ich zapamiętaniem. Ja jestem ostatnia.

Yve poczuła, jak przebiega ją dreszcz oburzenia na myśl, że takie bogactwo może być zapomniane i zaprzepaszczone.

–Jaka jest najstarsza historia, którą znasz? – zapytała.

–Najstarsza? – Adara leżała, długo się zastanawiając i Yve w końcu pomyślała, że bajarka zasnęła, lecz w tym samym momencie tamta poruszyła się i odezwała: – Najstarsza nie jest tak naprawdę opowieścią. Bardziej czymś w rodzaju wiersza. Jest całkiem krótki. Czy chcielibyście go posłuchać.

Tak, proszę – natychmiast wtrącił Słodycz. Yve skinęła głową.

–Ale potem powinnaś zasnąć.

–Zasnę – obiecała Adara, odchrząknęła i zaczęła mówić głosem, który stracił swą ochryplą słabość, stał się donośny i kryształowo czysty.

„To jej ostatni występ” – pojawiła się w głowie Yve nie proszona myśl. Potem strumień słów całkowicie pochłonął jej uwagę. Słodycz również zamarł w bezruchu, zatraciwszy się w magii nowej opowieści, lecz kiedy wiersz zbliżał się do końca, smok niespodziewanie rozejrzał się wokół siebie. Yve niczego nie dostrzegła, ale usłyszała go, jak mówi: Odejdź! Zostaw mnie w spokoju! – i w jednej chwili zniknął, pozostawiając czarodziejkę z nieprzyjemnym uczuciem, że jego odejście nie było tak całkiem dobrowolne.

Yve spojrzała znowu na Adarę. Spała, oddychając płytko, ale regularnie. Czarodziejka delikatnie okryła ją prześcieradłem, zgasiła lampę i wyszła z chaty. Dłuższą chwilę stała na ganku, zanim powróciła do swojego pokoju i przez cały ten czas słowa najstarszej opowieści Adary przebiegały jej przez głowę. Nie sądziła, by kiedykolwiek mogła je zapomnieć.

Z morza – niebezpieczeństwo.

Z morza – bezpieczeństwo.

Z przeszłości – przyszłość.

Z przyszłości – wiara.

Niedostrzegalne skrzydła odnajdą źródło

I powstrzymają straszliwy pochód.

Ostatni uczynek okaże się pierwszym,

W okamgnieniu dwie wyspy staną się jednym.

Dziecko z magii zrodzone i lotem napiętnowane,

Swój niemy głos do głosów innych dodaje.

Córka czasu, jej los przepowiedziany,

Wysłuchać musi słów wieków minionych.

Bliskich sobie miłością w kręgu zgromadzi,

Wypowie witaj i w ten sposób... zbudzi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

–Yve! Yve, chodź szybko!

Czarodziejka wyteńczyła siły, by strząsnąć z siebie spowijające ją pajęczyny snu. Dzielne światło zalało pokój, wpadając doń razem ze zdyszana Ciana.

–Proszę, pospiesz się – wysapała, z trudem łapiąc oddech. – Chodzi o Adarę.

Te słowa wprost wyrzuciły Yve z łóżka i narzuciwszy na ramiona pelerynę, wybiegła w chłód poranka.

Kilka osób zebrało się koło chaty Adary, ale szybko rozstąpili się przed Yve. Wewnątrz wszystko było zupełnie nieruchome. Nawet koty zniknęły. Stara kobieta leżała martwa, tam gdzie poprzedniego wieczoru pozostawiła ją Yve. Łzy wezbrały w oczach czarodziejki.

„Wiedziała – pomyślała Yve z ciężkim sercem. – Ja też wiedziałam, ale nie chciałam tego przyznać przed sobą. Och, dlaczego niczego nie zrobiłam tej nocy, kiedy istniała jeszcze jakaś szansa? – Opuściła wzrok na twarz starej kobiety. Adara miała zamknięte oczy, a lekki uśmiech błąkał się wśród zastygłych kruchych rysów. – „Właściwie mogłabym przysiąc, że ostatniej nocy czuła się zupełnie nieźle. Przynajmniej nie cierpiała” – rozmyślała ponuro.

–Czy możesz coś zrobić? – zapytała nieśmiało Ciana.

Yve smutno potrząsnęła głową.

–Nie. Adara odeszła, a nawet czarodzieje nie potrafią przywrócić martwych z powrotem do życia.

Ciana skinęła głową, tak jak gdyby oczekiwała tej odpowiedzi.

–Trzeba zawiadomić jej rodzinę – dodała Yve.

–Nie miała nikogo – odparła Ciana. – Była ostatnia.

Adara została pogrzebana tego samego popołudnia w obecności wszystkich mieszkańców wyspy. Wieczorem tego dnia okazało się, że nie tylko ludzie oplakiwali jej śmierć. Same niebiosa spłaciły haracz: na północno-zachodnim nieboskłonie weszła nowa gwiazda tak jasna, że początkowo sprawiała wrażenie fałszywego świtu. Chociaż straciła nieco blasku, w miarę jak się wznosiła, to jednak lśniła jak latarnia morska przez całą noc. Owo dziwne zjawisko napełniło lękiem wszystkich, którzy je obserwowali, i niejeden pomyślał, jak wielka to hańba, że Adara nie dożyła, by zobaczyć gwiazdę i móc opowiadać historię jej narodzin.

–Dziwne czasy – zauważył Bram, gdy wpatrywał się w niebo.

–Rzeczywiście – mruknęła Yve, zastanawiając się, czy mieszkańcy innych wysp są w stanie zobaczyć nowego niebiańskiego podróżnika.

–Nocą unosi się wśród gwiazd – szepnęła do siebie.

Następnego ranka Słodycz złamał narzucone samemu sobie ograniczenia i przybył na spotkanie Yve do miasteczka. Pojawił się w chacie w swój zwykły nieszablonowy sposób, wypełniając głowę czarodziejki dźwiękami przypominającego dziecięcy śmiech chichotu. Był wyraźnie podniecony; oczy mu błyszczały, a myśli tak szybko goniły jedna drugą, że Yve, którą zbudzono przed czasem już drugi dzień z kolei, musiała powiedzieć mu stanowczo, by się uspokoił. Kiedy w końcu myśli Słodyczy stały się zrozumiałe, okazało się, że przyniósł jak najlepsze wieści.

Rusza się – wykrzyknął. – Rozwiewa się i rozprasza. Przerzedza się i wypala. – Smok uczynił coś w rodzaju pieśni z tych słów, najwyraźniej szczęśliwy.

Mgła? – zapytała Yve, nie bardzo chcąc uwierzyć w tak pomyslny obrót sprawy. – Jesteś pewien?

Oczywiście – odparł Słodycz urażonym tonem. – Czy nie jesteś zadowolona?

Tak, jestem. Tylko to takie nieoczekiwane. – W końcu uśmiechnęła się. – Dziękuję ci, Słodycz. To wspaniała wieść. Uściskałabym cię, gdybym mogła!

Smok przyjrzał się jej uważnie.

Chciałbym tego – rzekł cicho, tonem tak odmiennym od swej poprzedniej wylewności, że zatrzymało to Yve w miejscu.

Przez kilka chwil przyglądali się sobie w milczeniu.

Wkrótce opuścimy Haele – powiedziała w końcu Yve.

Udasz się z nami, prawda?

Jeśli potrafię.

Niepewność zawarta w jego odpowiedzi sprawiła, że zamyśliła się przez chwilę.

Słodycz, co się z tobą stało tamtej nocy w chacie Adary?

Nic - odparł obronnym tonem smok. – Musiałem odejść, to wszystko.

Yve zrozumiała z tonu jego głosu, że upierając się przy tym i tak niczego więcej się nie dowie, więc zmieniła temat.

Pójdę i powiem Bramowi i innym, ale przedtem zrobię coś, do czego potrzebna mi jest twoja pomoc, coś bardzo ważnego.

Słodycz ponownie się ożywił.

Co? – chciał wiedzieć.

Pamiętasz te gry, w które bawiliśmy się podczas naszych spacerów?

Są zabawne. – Oczy smoka rozbłysły.

Z pewnością. Teraz słuchaj uważnie...

Bram i jego ludzie wpadli w zachwyty usłyszawszy wieści, jakie przyniosła Yve. Kapitan zgodził się wypłynąć nazajutrz o świcie i wraz z załogą niezwłocznie zabrali się do zwijania obozu i przygotowywania „Alesii” do wyjścia w morze. Wszyscy chcieli być już w drodze do domu – bez względu na to, co mieliby tam zastać – i pozostawić za sobą Haele. Było tak, jak powiedział Jarlath:

–Nie mogę się doczekać czegoś innego niż ryby, ryby i jeszcze raz ryby.

Wyspiarze również czuli zadowolenie z powodu mającego nastąpić wyjazdu, jako że oznaczało to koniec uszczuplania ich zapasów oraz napięcia wywoływanego obecnością tak wielu mężczyzn. Z tego, że odjedzie Yve, szczególnie zadowolony był Damek, zauważył, bowiem pewien spadek swego autorytetu. Czarodziejka siała niepokój wśród kobiet, a nawet niektórzy mężczyźni, – choć przecież zdaniem Damka powinni lepiej wiedzieć, o co chodzi – dawali posłuch jej pięknym słówkom. Tak, więc na Haele zapanował doskonały nastrój i Yve stwierdziła, że łatwo będzie namówić Damka, by na ten wieczór przygotował pożegnalną ucztę. Wódz wyspiarzy był tak życzliwie usposobiony, że nawet zgodził się, by haeleńskie kobiety przyłączyły się do uroczystości – oczywiście nie przy tych samych stołach!

Tego właśnie chciała Yve.

Czarodziejka spędziła swój ostatni dzień na Haele odwiedzając tak wielu ludzi, jak to było możliwe, i zbierając dowody na to, że korzystała swoje lecznicze umiejętności z jak najlepszym skutkiem. Poświęciła również wiele czasu na rozmowę z Cianą, być może jedyną osobą na wyspie, którą wieści o odpłynięciu "Alesii" wprawiły w przygnębienie. Wspólnie omówiły wszystkie posunięcia planu Yve. Kiedy zbliżył się wieczór, czarodziejka była zmęczona, ale gotowa zaczynać.

Uczta przypominała poprzednią, tyle, że do większych stołów dostawiono dodatkowe mniejsze. Zasiadły przy nich wyspiarki, z oczyma nieustannie błędzącymi po swoich mężczyznach i językami związanymi niezwykłością sytuacji, w jakiej się znalazły. Co jakiś czas niektóre spieszyły, by zająć się jedzeniem lub piciem, ale zawsze powracały na swoje miejsca, świadome, że jest to noc szczególnie dla nich wszystkich.

Tak jak poprzednio Yve siedziała obok Damka u szczytu głównego stołu, ale tym razem nie było żadnych propozycji, by urządzić zawody w picciu. Jadła i piła z przyjemnością, cierpliwie też wysłuchiwała mowy, jaką Damek wygłosił po kolacji. Kiedy poproszono ją o odpowiedź, zgodziła się łaskawie i powstała z krzesła, troskliwie wybrawszy przedtem miejsce, z którego miała mówić. Była widzialna w świetle ognisk dla wszystkich biesiadników, tak mężczyzn jak i kobiet, ale za nią roztaczała się tylko ciemność wyspy.

Yve poczekała, aż towarzystwo się uspokoi, a potem zaczęła mówić natężywszy głos do takiego stopnia, by wszyscy mogli ją słyszeć.

—Opuszczamy was jutro. Dziękuję wam za gościnność i w zamian chciałabym zostawić pewien prezent.

Zaległa pełna oczekiwania cisza. Yve przerwała, pozwalając, by jej słowa zawisły w powietrzu. „Adara byłaby ze mnie dumna” – pomyślała.

—Mojego podarunku nie można kupić za złoto. Niektórzy nazwaliby go wiedzą, ale jest czymś więcej. Niektórzy nazwaliby go filozofią, ale jest także czymś więcej. Niektórzy nazwaliby go magią. Jako czarodziej mogę wam powiedzieć, że jest czymś więcej nawet od tego. — Przebiegła oczami po ludziach. Wszyscy patrzyli na nią, czekając. — Znamie mnie. Rozmawiałam z większością z was jako osoba pełniąca obowiązki czarodziejskie i jako kobieta i teraz też mówię do was jako osoba pełniąca obowiązki czarodziejskie i jako kobieta. Istnieją pewne choroby, nieszczęścia, na waszej wyspie, których nie byłam w stanie uleczyć. Próbowałam wyjaśnić wam ich przyczynę i nie będę się teraz nad tym dalej rozwodzić. Wy, mężczyźni, jesteście silni. Tak powinno być. To, że dostarczacie żywności i budujecie domy dla swych rodzin jest również w porządku, ale nie oceniacie gorzej swych kobiet, tylko, dlatego, że ich ciała nie są tak silne jak wasze. W kobietach drzemią moce, o jakich nawet nie śniliście, i ja wam to pokażę! — obwieściła Yve wśród nagłego wybuchu głośniejszych pomruków.

Damek poderwał się na nogi z twarzą zeszpeconą gniewem.

—To nie miejsce... — zaczął, ale Yve przerwała mu natychmiast głosem, który nie zniósłby żadnych sprzeciwów:

—Siadaj! — rozkazała, wyciągając oskarżycielsko palec.

Wspomniawszy, co słyszał o latającej butelce yarglatu, Damek osunął się na krzesło, Yve zaś podjęła swoją przemowę, znowu mówiąc głosem brzmiącym rozsądnie i spokojnie.

—Kobiety znają wiele tajemnic ogniska domowego i domu, dzieci i paleniska, na którym przygotowują dla was jedzenie.

Pomruki niezadowolenia cichły z wolna. Kilka osób kiwnęło nawet potakująco głowami. Czuli, że znajdują się na znajomym terenie.

–Krótko mówiąc, my, kobiety, jesteśmy bliskie tajemnicom Ziemi. Wy tworzycie życie, ale my je nosimy, karmimy je i rozumiemy. Wy dostarczacie ryb i mięsa, ale my dodajemy do nich owoce Ziemi. Wy powalacie drzewa na opał, ale to my rozniecamy ten ogień dla ogrzania domów i gotowania strawy. My jesteśmy władczyniami ognia i potrafimy wzniecić płomień z samej Ziemi!

Nagle, – gdy brzmienie jej ostatnich słów zawisło w powietrzu – Yve ogarnęła masa pałającego pomarańczowego ognia. Płomienie strzelały pożądliwie wokół niej, obejmując jej ubranie, włosy, ręce i twarz. A czarodziejka uśmiechała się tylko, nieporuszona.

Wielu z przyglądających się krzyknęło ze zgrozy i poderwało na równe nogi, chcąc albo podbiec do Yve z pomocą, albo uciekać stosownie do swego usposobienia. Kiedy stało się jasne, że czarodziejka nie doznała żadnej krzywdy, nikt się nie poruszył.

–Widzicie – powiedziała Yve i płomienie zgasły.

–Jako osoba związana z magią władam ogniem Ziemi, lecz jako kobieta opieram się mu. Nie pali mnie. Nie spali żadnej kobiety.

Gromkie okrzyki powitały to stwierdzenie i Yve uniosła ręce prosząc o ciszę, a potem ciągnęła dalej:

–Czy chcielibyście dowodu?

Rozległo się kilka okrzyków zgody. Yve skierowała wzrok ku stołom, przy których siedziały kobiety.

Ciana! – zawołała i wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na żonę przywódcy wyspiarzy.

Z wdziękiem i zdecydowaniem, które sprawiły, że Yve poczuła się z niej dumna, Ciana powstała i podeszła do czarodziejki.

–Co ty sobie myślisz, kobieto? – Damek stał, wyrzucając z siebie słowa ochryłym ze złości głosem.

–Która ma być pierwsza, jeśli nie żona przywódcy? – zapytała chłodno Yve. – Oto ogień Ziemi!

Tym razem płomienie pojawiły się w postaci wąskiej gorejącej kolumny, wznoszącej się pionowo na wysokość człowieka. Yve wsunęła dłoń w ogień i rozwarła palce, pozwalając, by płomienie przemykały między nimi, a potem cofnęła rękę. Skinęła na Cianę, by uczyniła to samo. Po chwili teatralnego wahania, którym wywołała ogromny podziw Yve, Ciana wsunęła rękę w ogień.

–Nie! – ryknął Damek; krzyknęło również kilku innych mężczyzn, jednak Ciana nie wydała z

siebie żadnego dźwięku. Gdy widzowie zobaczyli jej twarz, bladą, ale spokojną, zapanowała niezwykła cisza. Kilka chwil później niespiesznie wyciągnęła rękę z ognia i uniosła do góry, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Była nietknięta i jej widok wywołał jeszcze więcej zdumionych achnięć i pospiesznej wymiany zdań. Yve ponownie zwróciła się ku stołom zajęтым przez kobiety.

–Czy któraś z was chce dorównać odwagą Cianie?

Początkowo żadna z kobiet nie poruszyła się, a potem powoli, jak gdyby w transie, powstała Zana i podeszła do swej matki.

–Nie bój się – powiedziała cicho Yve.

–Nie boję się ognia Ziemi – odparła jeszcze ciszej dziewczyna – tylko tego, co robisz. – Jej oczy zalśniły w migoczącym świetle i Yve aż zadrżała poruszona nadzieją i zaufaniem, które w nich dostrzegła. Niespodziewanie Zana wepchnęła obie ręce w płomień. Kiedy je cofnęła, na jej twarzy błyszczał uśmiech, a łzy spływały po policzkach. Jej ręce nie nosiły żadnych śladów oparzeń.

Teraz już, pomimo protestów kilku mężczyzn, coraz więcej i więcej kobiet wysuwało się do przodu i po kolei robiło to samo. Mężczyźni przyglądali się temu pogrążeni w zdumionym milczeniu, dopóki Damek nie ryknął:

–Dość! To oszukaństwo niczego nie dowodzi. To tylko jakaś tam iluzja czarodzieja. Ten płomień nie pali!

–Więc chodź i włóż swoją rękę, żeby sprawdzić, Damek. Jeśli starczy ci odwagi – odcięła się Yve głosem, który dotarł do każdego z obecnych.

Wielki mężczyzna zawahał się, postąpił kilka kroków naprzód. potem zatrzymał się. Z wyjątkiem Ciany, wszystkie pozostałe kobiety cofnęły się, roztopiając w tle. Na gest Yve płomień zdwoił swoją intensywność, jego pomarańczowy blask rzucał migoczące cienie, a Ciana włożyła jeszcze raz rękę w gorejące piekło.

–Chodź, zatem – powiedziała Yve. – Żadna iluzja nie może uczynić ci krzywdy. Z pewnością nic, co może zrobić twoja kobieta, nie leży poza twoimi możliwościami, prawda?

Damek nie odrzekł nic; pot błyszczał na jego twarzy. W końcu postąpił naprzód, aż znalazł się w zasięgu wyciągniętej ręki od potoku ognia. Yve przywołała całą swoją odwagę, by zrobić to, co musiała. Nienawidziła się za to, ale czułaby się jeszcze gorzej, gdyby zawiodła pod sam koniec. Jeśli Damek włoży rękę w płomień...

Przywódca wyspiarzy wciągnął dłoń, a potem zatrzymał ją. Spojrzał na Yve, a ona dostrzegła strach kryjący się w jego oczach. Beznamiętnie odwzajemniła spojrzenie i ogień ponownie przykuł uwagę Damka. Stał jak sparalizowany, potem zachwiał się i cofnął.

–Nie mogę – szepnął ochryple, zwieszając głowę.

–Ale to tylko iluzja! – odparła sarkastycznie Yve. – Czy mam wezwać ogień Ziemi tak, by otoczył cię ze wszystkich stron? Tak żebyś mógł odczuć do końca skutki mojego oszukaństwa? – dodała.

Damek spojrział na nią ze zgrozą, potem upadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

–Nie. Proszę!

Yve rzuciła okiem na Cianę i zobaczyła współczucie i smutek na jej twarzy. Ujmując Damka za rękę podniosła go i powiedziała cicho:

–Wracaj na swoje miejsce.

Uśluchał jej potulnie, bez jednego słowa. Płomień zgasł znowu i w nagle zapadłym mroku zadźwięczał głos Yve.

–Jutro opuszczam Haele, ale nie zostawiam was. Ciana mnie zastąpi. Jej głos będzie moim w sprawach zdrowia, dzieci i ich wychowania. Jest pierwsza, ale nie pozostanie sama. Na Haele macie wiele innych kobiet, których głosy zasługują na to, by być wysłuchane. Zobaczyliście dzisiejszej nocy, że dysponujemy siłami nieznanymi wam aż do teraz. Wasze kobiety mogą wnieść tak wiele do waszego życia, a wy nie pozwalacie im podejmować decyzji, odmawiacie należnego miejsca w waszych władzach a nawet, aż do dzisiaj, w waszych uroczystościach. Dlaczego? Czy potrafią tak dobrze jak wy myśleć, mówić, kochać? Czy byłoby wam lepiej bez nich? Oczywiście, nie! Więc dlaczego odsuwacie je od tak wielu dziedzin waszego życia? Pozwólcie im pomóc sobie; pozwólcie im dzielić z wami wasze kłopoty i wasze radości. Jestem czarodziejką. Szanujecie mnie za to. Ale jestem przecież kobietą. Chciałabym, żebyście szanowali mnie i za to.

Przerwała i przyjrzała się zwróconym ku niej twarzom. Ich wyrazy były różne – od całkowitego sprzeciwu do rozbawionego przyzwolenia, ale tu i tam dostrzegła wyrażające zgodę potaknięcia. „Może – pomyślała. – Oby...”

Odezwał się jakiś mężczyzna i jego ochryply głos zgasił część optymizmu Yve.

–To bzdura. Ziemia nie płonie, wszyscy to wiemy – powiedział, rozglądając się wokół w poszukiwaniu poparcia. – Kobiety... – zaczął, ale nie skończył.

Gdzieś w oddali rozległo się ciężkie dudnienie, a potem pióropusz czerwonych płomieni wystrzelił w nocne niebo. Przez kilka chwil kontury wulkanu były wyraźnie widoczne i w zapadłej nagle ciszy ktoś wyszeptał:

–Ziemia płonie!

Yve odmówiła w myślach dziękczynną modlitwę. Po tym zdarzeniu protestujący niczym nie pokazał, że chce kontynuować swój sprzeciw i ponownie głos zabrała Yve.

–Przyjmijcie moje słowa i świadectwo swoich oczu. Przyjmijcie mój dar.

To, co zdarzyło się potem, zaskoczyło jednak czarodziejkę zupełnie. Ciana i Zana podeszły do Damka, który wciąż siedział zgarbiony na swoim krześle. Razem, przymilając się i nadszkakując, doprowadziły do tego, że załamany mężczyzna uniósł wzrok, zaczął pić i rozmawiać. Siedziały po obu jego stronach przy centralnym stole, a ich twarze wyrażały troskę i zainteresowanie swoim mężczyzną.

„Miłość nie zna jednak granic” – pomyślała Yve.

Z wolna charakter uroczystości zaczął się zmieniać. Obie strony poczęły się mieszać. Kilka kobiet dołączyło do Ciany i jej córki przy centralnym stole, niektóre dosiadły się do swych mężczyzn w innych miejscach, a niektórzy mężczyźni przysiedli się do kobiecych stołów – coś, o czym Yve nie śmiałyby nawet marzyć kilka godzin wcześniej. Czarodziejka obserwowała całą tę przemianę w oszołomieniu, nie będąc w stanie uwierzyć, że rzeczywiście osiągnęła sukces. Wkrótce ożywione rozmowy i śmiech rozbrzmiewały wszędzie wokół niej. Nawet załozde „Alesii” udzieliła się wesoła atmosfera, lecz Yve wciąż pozostawała na zewnątrz, przyjmując pozycję sceptycznego obserwatora. Drgnęła, gdy jakiś głos odezwał się tuż przy jej uchu.

–Gratulacje. Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś, ale...

Uśmiech Brama ściągnął ją z powrotem na ziemię.

–To zbyt dobre, by było prawdziwe – westchnęła. – Coś z pewnością pójdzie źle.

–Teraz to zależy tylko od nich – odparł kapitan. – dałaś im więcej, niż na to zasługują.

Yve spojrzała na niego, pragnąc dzielić jego zdecydowany i praktyczny realizm.

–Masz rację – stwierdziła. – Nie potrzebują mnie już. Wracam do chaty.

–Odprowadzę cię.

–Nie. Dziękuję ci, ale chyba powinieneś zostać i przyłączyć się do zabawy. Twoi chłopcy...

–Będę miał na nich oko – uśmiechnął się Bram. – Jutro wcześniej wypływamy. Dobrej nocy, Yve.

–Dobranoc.

Czarodziejka dotarła już do drzwi swojej chaty, gdy uświadomiła sobie, że jednak nie jest sama.

Czy wszystko dobrze zrobiłem? – zapytał z niepokojem Słodycz.

Byłeś cudowny – odparła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

–Żegnaj, Ciano. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Pożegnania zakończyły się już i wszyscy oprócz Yve i dwóch wioślarzy w lekkiej łódce znajdowali się na pokładzie „Alesii”. Czarodziejka wraz ze swoją przyjaciółką stały na końcu mola, ściskając się za ręce. Była to smutna chwila dla nich obu.

–Zrobię wszystko, co w mojej mocy – powiedziała Ciana. – I nie zostaję sama.

–Upewnij się, żeby nie zrobiły niczego głupiego z prawdziwym ogniem – ostrzegła Yve z konspiracyjnym uśmiechem.

–Będę pamiętała.

Objęły się, a potem Yve skierowała się w stronę oczekującej łódki. Odwróciła się jeszcze raz.

–Wróć, kiedy będę mogła.

–Nie składaj żadnych obietnic – odparła Ciana. – Twój świat jest wielki.

„I niepewny” – dodała w myśli Yve, czując, jak przebiega ją dreszcz niepokoju.

–Pożegnaj i podziękuj ode mnie Słodyczy – poprosiła Ciana z lekka łamiącym się głosem.

–Zrobię to. Powodzenia.

–Dziękuję ci za wszystko, Yve, i żegnaj. Niech wam wieją pomyślne wiatry.

Nawet z dużej odległości Lugg wyglądała inaczej, groźniej, jakoś bardziej szaro. Bram i jego ludzie rozważali możliwość przybicia do lądu na południowym wybrzeżu, aby jak najszybciej dowiedzieć się, co ostatnio zaszło na wyspie, jednak w końcu postanowili zrealizować swój pierwotny plan, to znaczy popłynąć prosto do Carrhaven. Stolica była rodzinnym miastem większości z nich i tam właśnie chcieli być – bez względu na to, co się zdarzyło. Ich nieobecność trwała zbyt długo, aby rozważać możliwość dalszej zwłoki.

Ostatnie dni na morzu zdawały się trwać całą wieczność, zwłaszcza, że borykali się z przeciwnym wiatrem i prądami od strony lądu. Opłynęli północne wybrzeża Lugg z rozdzierającą powolnością. Złowieszcze przeczucia, które nękały wszystkich na pokładzie, jeszcze się potęgowały; kiedy w końcu przybili do lądu, ich najgorsze obawy zostały potwierdzone.

Carrhaven pogrążone było w chaosie. Port wypełniały gruzy, a wiele statków zostało zatopionych przy nabrzeżu, gdzie ich smutne szkielety spoczywały pod nienaturalnymi kątami i tylko gdzieniegdzie maszty sterczały ponad powierzchnią wody. Większość statków była nie do

ocalenia, lecz nawet te w lepszym stanie zostały porzucone; nie dostrzegli na nich nikogo z wyjątkiem kilku padlinożerców, zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych. Nie ulegało wątpliwości, że port nawiedziła katastrofa niewiarygodnych rozmiarów.

„Alesia” sunęła z wolna do basenu portowego, w którym zwykle kotwiczili, a jej załoga wyteżala wzrok wypatrując możliwych podwodnych przeszkód i coraz więcej szczegółów odsłaniało się ich oczom. Zobaczyli kilku ludzi; ci, którzy wyglądali na oszołomionych, włoczyli się bez celu, ci zaś, którzy ukradkiem wyruszyli po łupy, szybko ukryli się na widok przybyszów. Parę ciał leżało w różnych miejscach nabrzeża, jeszcze więcej w wodzie i wszystko wokół spowijał odór rozkładu.

Chociaż spustoszenie nie było tak oczywiste poza obszarem portu, to jednak budynki nosiły ślady niezwykłych uszkodzeń, a w oddali całuny ciemnego dymu zawisły nad miastem. Lei najwyraźniej ogień nie odegrał żadnej roli w zniszczeniu fioly Carrhaven. Cokolwiek je spowodowało, teraz nie zostało po tym śladu. Bram rozkazał swym oszołomionym ludziom przycumować w zwykłym miejscu. Kiedy liny zostały przywiązane, Bram odbył pospieszną dyskusję z marynarzami, a potem podszedł do Yve, która wpatrywała się w miasto, tak samo zaszokowana i milcząca jak każdy z nich. Podskoczyła, gdy Bram dotknął jej ramienia.

–Co tu się stało? – zapytała szeptem.

–Nie wiem. Nikt nie wie... – przerwał. – Wszyscy z wyjątkiem dwóch moich chłopców mają rodziny – powiedział w końcu, – ale w tej sytuacji nie mogę pozostawić statku bez straży. Czy mogłabyś coś zrobić?

Yve zamyśliła się przez chwilę.

–Spróbuję. Kim są ci dwaj?

–To Erchan i Neil.

–Powiedz im, że rzucę czar ochraniający. Nikt nie będzie w stanie dostać się na pokład, ale oni również nie będą mogli go opuścić. Czy mają dość zapasów na cztery lub pięć dni? Bram skinął głową.

–Dziękuję ci. Przekażę to im. Nie mogę prosić nikogo innego, by został na pokładzie, dopóki się nie dowiemy, co się tutaj zdarzyło. – Wskazał na leżącą w gruzach przystań.

–A ty? Co masz zamiar zrobić, Bram?

–Ja? Ja idę z tobą – odparł.

Główne wrota królewskiego pałacu stały otwarte, ale dostęp do nich wcale nie wyglądał na łatwy. Masywne belki leżały strzaskane na ziemi, porysowane i połupane, jak gdyby zostały rozdarte przez jakąś ogromną, żarłoczną bestię. Yve i Bram wkroczyli do środka, a ich serca

przepelniały złe przeczucia.

Z doków samo Carrhaven wydawało się względnie niezniszczone. Ale choć budynki nosiły ślady tylko drobnych uszkodzeń, miasto spowijała przerażająca, nienaturalna aura, którą potęgowała obecność pojedynczych ludzi. Chociaż było jasne, że ostatnio tutaj walczone, jedyne zauważalne tego ślady stanowiły powybijane okna i zabite deskami drzwi. Tu i tam widzieli na ulicy zwłoki i Bram szedł nie spuszczać ręki z rękojeści swego sztyletu. Jednak nikt nie zbliżył się do nich, a Yve była zbyt zajęta dotarciem do pałacu i domu Droga, by ścigać któregoś z ludzi, jakich zobaczyli.

Kiedy weszli na dziedziniec, z wewnętrznych drzwi wyłoniło się dwóch mężczyzn niosących miękki tłumok zawinięty w koc. Zwalili go bezceremonialnie na stojący na podjeździe wóz, po czym odwrócili się, aby wejść z powrotem do środka.

–Jon?! – zawołała pytająco Yve.

Mężczyźni odwrócili się szybko, a ich ręce powędrowały instynktownie ku mieczom u boków. Zmierzyli Yve podejrzliwym wzrokiem.

–Yve? – odezwał się po chwili młodszy z nich. – Czy to naprawdę ty?

–Znacie mnie od dzieciństwa. Czy raptem mnie nie możecie rozpoznać?

–Ale... myśleliśmy, że odeszłaś na dobre – odparł Jon. – Kiedy morze zamrzło, straciliśmy nadzieję.

–Co morze zrobiło?! – zakrzyknął Bram.

Jon gestem nakazał towarzyszowi, by wrócił do środka, a potem podszedł do przybyszów.

–Wiele spraw musimy omówić – powiedział. – Bardzo złych spraw. Wasz powrót jest pierwszą dobrą wiadomością od wielu dni.

Twarz młodego mężczyzny była blada i ściągnięta, a jego prawe przedramię grubo obandażowane.

–Co tu się wydarzyło? – spytała cicho Yve.

–Sam chciałbym wiedzieć. Nie mogę pojąć, co... jaki rodzaj rzeczy uderzył w to miasto, ale widziałem skutki. Nie można nazwać ich przyjemnymi. Chodźcie do środka i usiądźcie, a ja opowiem wam to, co wiem.

Zaprowadził ich do małego, ale wygodnie urządzonego pokoju i podał im po szklance wina.

–Będzie wam potrzebne – powiedział po prostu.

Opowieść, jaką im przedstawił, chociaż niekompletna i niekiedy pogmatwana, rzeczywiście nie należała do przyjemnych. Kilka dni po wypłynięciu „Alesii” Carrhaven zostało spowite lodowatą mgłą. Już samo to było nieprzyjemne, jako że Lugg nie trafiła nigdy taka lodowata pogoda, nawet w zimie, ale to, co nastąpiło później, przypominało nocne koszmary.

Mgła nie ustępowała i wiele osób zachorowało. Mnóstwo ludzi utraciło wszelką świadomość swych poczynań, stając się podobnymi do lunatyków. Jedynymi, którzy wydawali się odporni na tę chorobę, byli ci mieszkający w pałacu lub wokół niego. Stało to źródłem krótkotrwałej nadziei. Po kilku dniach miasto najechali żołnierze. Zignorowali całą masę społeczeństwa, – która najwyraźniej nie stanowiła dla nich żadnego zagrożenia – i uderzyli prosto w pałac. Doszło do krótkiej, ale zaciętej i krwawej bitwy, w której Jon został ranny i stracił przytomność. W konsekwencji ma raczej mgliste pojęcie o szczegółach walki, ale zrelacjonował kilka dziwnych i przerażających wydarzeń, które opowiedzieli im inni, ci, co pozostali przy życiu. Nawet biorąc pod uwagę wybujałe imaginacje wywołane niesamowitą mgłą, nad niektórymi z tych opowieści trudno było przejść do porządku dziennego.

Najbardziej uporczywa pogłoska głosiła, że szarzy najeźdźcy, choć martwi – „jak widma” – walczyli jednak okrutnie. Oczy były tak zimne jak ich ostrza i atakowali w ogóle nie dbając o własne bezpieczeństwo. Jonowi opowiedziano o jednym z nich, który napadł w pojedynkę na dwunastu obrońców i powalił czterech, zanim sam został zabity. Inny najwyraźniej skoczył z wysokości piętnastu metrów na kamienną posadzkę w samobójczej próbie zapobieżenia podjętej przez obrońcę ucieczki. Jednak najbardziej przerażającą sprawą z tego wszystkiego to to, że chociaż wielu z najeźdźców zostało zabitych, to nie pozostało po nich ani jedno ciało, kiedy w końcu mgła zniknęła. Zabici obrońcy leżeli tam, gdzie upadli, ale po najeźdźcach, czy to martwych, czy żywych, nie było absolutnie żadnego śladu. Jon słyszał nawet, jak mówiono, że ich ciała rozplynęły się w rzadki opar a potem pochłonęła je mgła. Odrzucał to jako podyktowane histerią bzdury, ale stwierdzał, że naprawdę niemożliwe jest znaleźć tu jakieś zdroworozsądkowe wyjaśnienie. Same skutki inwazji były zresztą dość oczywiste. Mieszkańcy pałacu zostali zdziesiątkowani. Pozostała jedynie garstka.

–Król? – zapytała słabym głosem Yve.

–Nie żyje, tak jak i jego rodzina.

–Wszyscy?

–Tak. Nic nie mogliśmy zrobić. – Twarz Jona wykrzywiła się pod wpływem wspomnień. – Wciąż jeszcze palimy martwych, jak widzicie.

–A Drogo?

–Odszedł. A przynajmniej nikt nie może go odszukać. Nie spotkałem nikogo, kto widziałby go po tym, jak spadła mgła, a jego dom stoi teraz pusty.

„Hannah!” – wykrzyknęła w myślach Yve.

–Pójdę tam i rozejrzę się – powiedziała głośno. – To był również mój dom.

–Wracaj szybko – poprosił Jon. – Potrzebujemy twoich zdolności.

Yve i Bram opuścili pałac jednym z bocznych wejść. Chociaż ich trasa wiodła przez centralną część budynku, nie spotkali nikogo. Czarodziejka szła szybkim krokiem i ani ona, ani jej towarzysz nie zauważyli zmiany w wyglądzie drzewa księżycowych jagód, kiedy spieszyli przez dziedziniec, na którym rosło. Smukłe gałęzie opadły smutno, liście były spłowiałe i poskręcane, a kilka owoców – drogocennych jagód – opadło na ziemię. Te, które pozostały, straciły połysk, niektóre popękały, inne pozaczyły cętki. Dla kogoś biegłego w wiedzy magicznej musiał to być przykry – i złowieszczy – widok, ale Yve, pochłonięta tym, co stało się z jej mistrzem i przybraną matką, minęła drzewo nie zwalniając kroku.

Frontowe drzwi domu Droga stały otworem. Wewnątrz było cicho – i bardzo zimno. Yve natychmiast pojęła, że w tych ścianach nie ma nawet odrobiny życia, ale zmusiła się, by przeszukać wszystkie pokoje. Wszystkie okazały się puste i wszystkie wypełniał tak posępny i niesamowity mrok, że Yve zadrżała. Bram poczuł, jak włosy podnoszą mu się na głowie. Tu i tam dostrzegli oznaki świadczące o pospiesznej ewakuacji lub o krótkiej potyczce czy nawet dwóch, ale mury domu nie były świadkiem żadnej prawdziwej walki. Większość wyposażenia była nietknięta... Żaden z łupieżców nie okazał się na tyle odważny, by splądrować dom mistrza czarodzieja – nawet, jeśli stało się jasne, że już go tam nie ma. Yve zastanowiła się, ile czasu będzie trzeba, nim to się zmieni, i jak długo jej dom pozostanie zbezczeszczoney.

W końcu pozostał tylko jeden pokój – pracownia Droga. Yve instynktownie zostawiła go na sam koniec, obawiając się tego, co mogłaby tam zastać. Jak dotąd nie zauważyła żadnych śladów, które by wskazywały na miejsce pobytu jej mistrza lub świadczyły o jego poczynaniach w czasie inwazji. Jeśli w ogóle jakieś były, to mogły się znajdować tylko w jego tajnej pracowni.

–Tutaj? – zapytał Bram kładąc lewą rękę na żelaznej gałce drzwi.

Zanim Yve zdołała odpowiedzieć, marynarz krzyknął z bólu i gwałtownie cofnął rękę, chowając ją szybko pod drugim ramieniem i przyciskając do boku. Smugi pary uniosły się znad metalowego uchwytu, na którym pozostały kawałki skóry Bram „Tak zimne, że pali – pomyślała Yve. – Pieczętujące zaklęcie! Co tam jest?”

–Pokaż mi rękę.

Bram skrzywił się, gdy demonstrował Yve swoje rany. Łagodnie rozprostowała jego palce, szybko zbierając i usuwając ból, i przybliżając brzydkie, podobne do oparzeń rany do zablizniania.

–Lepiej? – zapytała po chwili. Bram skinął głową.

–Dzięki. – Spojrzał znowu na drzwi pracowni.

–Nie dotykaj ich – powiedziała szybko Yve.

–Nie popełniam tych samych błędów dwa razy – mruknął Bram. – Ale musimy się tam dostać, prawda?

–Tak. Ktokolwiek położył tę pieczęć na tych drzwiach, miał w tym swój interes. Co oznacza, że jest tam coś wartego ochrony.

–Drogo?

Yve wzruszyła ramionami. Wrócili do pokoju, który przylegał do pracowni i Yve sprawdziła moc pieczęci.

–Jest silna – przyznała, gdy znowu pojawili się przy jedynych drzwiach wiodących do pracowni, – ale jej moc nieustannie maleje. Te drzwi są najwyraźniej najsłabszym miejscem. I jedynym możliwym wejściem. – Przerwała, by pomyśleć i przypomniała sobie radę z udzielanych jej dawno temu nauk: „Czasami najlepszym sposobem działania jest nie czynić nic”.

–Ale nie w tym wypadku! – powiedziała głośno. – Nie.

Zamknęła oczy, a jej twarz zmieniła się w maskę skupienia. Drzwi zaczęły się żarzyć, pulsując czerwienią i bielą, gdy wokół nich i w nich toczyła się niewidzialna bitwa dwóch przeciwstawnych sobie mocy. Bram pospiesznie cofnął się do tyłu, wiedząc, że ta walka znajduje się poza jego zdolnościami pojmowania, ale gotów jednak wkroczyć, gdyby Yve znalazła się w niebezpieczeństwie.

Właśnie w chwili, gdy zdawało się, że nastąpił pat, podwójne drzwi wybrzuszyły się na zewnątrz, potem gwałtownie wtargnęły do środka z rozdzierającym uszy trzaskiem i zatrzymały, zwisając krzywo na potrzaskanych zawiasach.

Yve, z ciałem zdrewniałym z wysiłku, wkroczyła sztywno do pracowni. Bram podążył tuż za nią, ze sztyletem w ręku.

Wewnątrz pozbawionego okien pokoju panowała smolista ciemność. Jednym słowem Yve zapaliła kilka ściennych lamp i natychmiast pożałowała takiej rozrzutności. Źródła jej mocy doznały ogromnego uszczerbku i tak osłabiona ledwie mogła znieść widok, jaki się przed nią roztoczył.

Z pracowni pozostała jedna ruina. Podłoga usłana była potrzaskanym szkłem i odłamkami drewna. Meble zostały przewracane i połamane, a na półkach nie pozostało nic z ich zawartości. Wyglądało to tak, jak gdyby trąba powietrzna wpadła w szal wewnątrz ograniczonej przestrzeni, siejąc spustoszenie w swej próbie wyrwania się na wolność.

Wszystko to Yve ogarnęła jednym rzutem oka, ale nie poświęciła temu większej uwagi. Jej

przerażone spojrzenie przykuło krzesło znajdujące się pośrodku pokoju. W nim, z powykręcanyimi członkami, odrzuconą do tyłu głową i otwartymi ustami, siedział Drogo. Jego oczy o błędnym wyrazie utkwione były w suficie.

Na podłodze, pod rozwartą dłonią, leżało naczynie, w którym wciąż jeszcze znajdowało się kilka kropel lśniącego złowieszczego płynu. Yve wiedziała, co to jest, bez potrzeby wąchania resztek. Szyja starego czarodzieja została rozplątana przez całą szerokość ostrym nożem, który również leżał na podłodze. Krew, teraz brązowa i łuszcząca się, splamiła jego pierś i ramiona i wsiąkła w obrzędową szatę.

Za sobą Yve słyszała Brama, jak rozpychając się i powstrzymując wymioty wydostawał się ze strasznej komnaty. Ona zniosła to jeszcze gorzej. Drogo był martwy – samo w sobie stanowiło to wystarczające zło, choć nie całkiem niespodziewane. Wybrał śmierć w wyniku rytualnego samobójstwa według starych reguł, – co jeszcze straszniejsze. Ale najgorszy ze wszystkiego był wyraz skrajnego, okropnego przerażenia, który śmierć zamroziła na twarzy starego czarodzieja.

Yve odwróciła się i wybiegła z pokoju w panicznej ucieczce przed tym obrazem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W ciągu następnych kilku dni wśród chaosu poczęły wyłaniać się pewne oznaki porządku. Ludzie wracali do miasta z głębi wyspy, gdzie schronili się w daremnych próbach ucieczki przed mgłą. Carrhaven powoli zaczynało wracać do życia.

O pałacu niestety nie można było powiedzieć tego samego. Z kipiącego niegdyś życiem dworu pozostała tylko garstka żołnierzy i służby. Dom Droga stał tak zimny i cichy jak grobowiec.

Chociaż mgła zniknęła, jej skutki wciąż jeszcze się utrzymywały i wielu ludzi ciągle cierpiało od chorób wywołanych nieoczekiwanym chłodem i wilgocią. Miary kłopotów dopełniała konieczność szybkiego pochowania zwłok, których w mieście było mnóstwo.

Brakowało żywności; zbiory i składy z zapasami ucierpiały jednak w straszliwy sposób, podobnie jak zwierzęta gospodarskie, pozostawione same sobie. Zaniechano również połowów ryb, gdy mgła uczyniła nawigację niemożliwą i kiedy – rzecz niewiarygodna – przybrzeżne wody zamarzyły. Zniszczyło to zresztą tak wiele łodzi, że ledwie kilku rybaków wypłynęło ponownie na morze. Niewielu z nich wróciło do stolicy – wybrali bezpieczniejsze kotwiczowiska gdziekolwiek indziej.

Te wszystkie nieszczęścia, a także i to, że straż zamkowa, – która zwykle oprócz swych żołnierskich obowiązków sprawowała również funkcje stróżów prawa – została zdziesiątkowana, sprawiły, że Carrhaven doświadczyło wielu ohydnych scen. Przemoc i grabież stały się rzeczą codzienną, dopóki Jon i inni żołnierze, którzy teraz upatrywali w młodym mężczyźnie przywódcę, nie ustanowili systemu patroli i nie wyznaczyli miejscowych strażników gdziekolwiek to było możliwe. Jednak nawet wówczas nie wyzbyto się całkiem kłopotów i kilku ludzi zasnęło na dobre. Umiejętności Yve rzeczywiście cieszyły się wielkim popytem.

Przeniosła się do jednego z wielu pustych teraz apartamentów w pałacu, nie będąc w stanie odwiedzić domu Droga, – który niegdyś przecież nazywała swoim własnym – nawet by zabrać swoje rzeczy. Bram stał się jej nieodłącznym towarzyszem, a ona nie zamierzała wypytywać go o sprawy związane z rodziną, ty] po prostu z radością zaakceptowała jego obecność. Uznała uspokajającą bliskość Brama za rzecz zupełnie naturalną.

Wspólnie wędrowali po mieście, lecząc, rozstrzygając spory i na ile to tylko było możliwe, wspierając powrót do normalności. Wielu było wdzięcznych Yve za jej usługi, ale jednocześnie stwierdziła, że jej obecność jest przez niektórych odbierana z podejrzliwością, a nawet ze sprzeciwem. Pracowała bez przerwy często aż do zupełnego wyczerpania sił, lecz wyrazy wdzięczności słyszała nieczęsto, za to wielokrotnie pytano ją oskarżycielskim tonem: „Gdzie byłaś, kiedy cię potrzebowaliśmy?”

Nikt, kogo spotkała, nie potrafił opowiedzieć jej wyczerpująco o zgonie Droga, ale było jasne, że szerzące się pogłoski miały mocno nieprzychylny wydźwięk i w konsekwencji zarówno Yve, jak i czarodziejstwo w ogóle doznały uszczerbku. Cierpliwie próbowała przeciwstawić tym

odczuciom swoją pracę i swoje słowa i chociaż Bram często wzbierał gniewem w odpowiedzi na szorstkie traktowanie, jakiego doznawała, czarodziejka niezmiennie nie traciła opanowania, zdecydowana pracować jeszcze ciężiej. Stwierdziła, że większość ludzi ma niewielkie pojęcie o tym, co się zdarzyło w czasie, kiedy ich światem rządziła mgła. Wszyscy jednak zdawali sobie w pełni sprawę z nienormalności tego, co zaszło, i uważali, że stało się to za przyczyną magii. Toteż potrzebowali czegoś lub kogoś, kogo mogliby obwiniać za swoje cierpienie. Yve oczywiście potrafiłaby się obronić, gdyby zaszła taka potrzeba – i z tego powodu odmówiła przyjęcia oferowanej przez Jona zbrojnej eskorty – mimo to była zadowolona z faktu, że Bram często doprowadzał do rozładowania potencjalnie wybuchowych sytuacji i nie musiała uciekać się do pomocy magii.

Czasami kapitanowi towarzyszył jeden lub dwóch członków z jego rozproszonej załogi. Przynosili ze sobą różne wieści. Jedni zobaczyli swoje rodziny, choć bardziej lub mniej dotknięte przez zły los; inni powracali z kamiennymi twarzami i mówili o śmierci i chorobie; wielu jak dotąd nie znalazło żadnego śladu swoich bliskich; część zaś w ogóle nie zameldowała się z powrotem. Erchan i Neil zostali zmienieni i dalsze strażowanie przy „Alesii” odbywało się już w bardziej konwencjonalny sposób.

Ludzie powracający do Carrhaven przynosili ze sobą wiele szalonych i strasznych opowieści, w których fakty i fikcja były pogmatwane w sposób niemożliwy do rozplątania. Ale jedno wciąż się powtarzało: mgła rzeczywiście zasnęła całą wyspę i nie istniała możliwość ucieczki przed jej szarym lodowatym uściskiem. To właśnie od któregoś z owych powracających Yve w końcu dowiedziała się tyle, ile kiedykolwiek mogła mieć nadzieję dowiedzieć się o ostatnich godzinach Droga. Lawson pełnił obowiązki rządcy u czarodzieja, odkąd Yve sięgała pamięcią. Był już starym człowiekiem, ale umysł wciąż miał przenikliwy. Pełniąc swoją funkcję oglądał wiele zdarzeń, które innych zmieniłyby w roztrzęsione wraki, ale nawet jego głos drżał, kiedy opowiadał czarodziejce smutną historię. Dla Yve, być może jedynej osoby, która kiedykolwiek pokochała starego czarodzieja, opowieść Lawsona brzmiała przerażająco.

Gdy pierwsze smugi mgły wpełzły do miasta, Drogo przebywał zamknięty w swej pracowni; spędził tam już nieco więcej niż dwanaście godzin. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym, ale kiedy z pałacu przybył posłaniec z wezwaniem do czarodzieja, by towarzyszył swemu królowi i przedłożył jakąś radę w sprawie mgły, nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Krótco potem żołnierze usiłowali wydobyć odpowiedź łomocząc w drzwi rękojęściami mieczy. Drogo raczył poinformować ich z irytacją:

–Oczywiście, że wiem o mgle! Jak myślicie, nad czym tutaj pracuję? Odejdźcie i zostawcie mnie w spokoju, zanim przeklnę i zniszczę was tam, gdzie stoicie!

Żołnierze wycofali się pospiesznie, wyczuwając śmiertelną groźbę w głosie starego człowieka. Od tej chwili na Lawsonie spoczął obowiązek porozumiewania się z Drogiem, ale niewiele udało mu się dowiedzieć o rezultatach pracy czarodzieja, spotykał się, bowiem albo z obojętnością, albo z obelgami dochodzącymi z drugiej strony zamkniętych drzwi.

Przez cztery dni Drogo pozostawał zamknięty w pracowni, podczas gdy sytuacja na zewnątrz szybko wyzwołała panikę i rozgardiasz. W ciągu całego tego czasu czarodziej nie przyjął ani odrobiny jedzenia i picia i w końcu jego rządca wyczuł w głosie swego pana zmianę, która go zatroskała. Nie był to rozmyślnie słabowity ton, którego Drogo niekiedy używał dla efektu, ani też jego zwykły grubiański sarkazm. Brzmiał głębiej i niezwykle złośliwie, przywodząc myśl tak absurdalną, że Lawson odrzucił ją natychmiast.

Pomimo coraz bardziej żarliwych i natarczywych próśb, czarodziej nie chciał się pojawić, a kiedy, w ostatecznej rozpacz, jeden z żołnierzy próbował wylamać drzwi, został odrzucony przez tak dziką magiczną siłę, że złamał sobie kark i zmarł na miejscu. Po tym zdarzeniu w sercach ludzi zawrzały gniew i uraza wobec starego człowieka, a jego obojętne pozostawienie Lugg jej własnemu losowi stało się jeszcze trudniejsze do przełknięcia.

Lawson błagał swego pana, by coś zrobił, ale w nagrodę usłyszał tylko jeszcze więcej obelg i niepojęte twierdzenie, że mgły przecież nie ma!

–Dlaczego zawracasz mi głowę tymi głupimi urojeniami chorych umysłów? – ryczał Drogo. Potem jego głos stał się tak słaby i ochrypły, że Lawson ledwie mógł go dosłyszeć. – Nie ma żadnej mgły. Nie. Żadnej mgły. Nie może jej tam być. Nic tak wielkiego... ponad wodą... ten naiwny głupiec z Arki... Nie ma żadnej mgły. Nie może jej tam być.

Z wnętrza pracowni dobiegł odgłos wleczenia czegoś i do rządcy przestał dochodzić zamierający głos. Usłyszał go jeszcze raz, gdy Drogo krzyknął:

–Widzę słońce!

Lawson wycofał się szybko, z sercem ogarniętym takim chłodem, jakiego nie mogła wywołać żadna mgła.

Koniec nadszedł wkrótce potem. Przybyli podobni widmom najeźdźcy, przewalając się przez ulice Carrhaven i zmieniając pałac i jego otoczenie w krwawą jatkę. Wielu z domowników Droga już uciekło, lecz nawet rozpaczliwe błagania tych, którzy pozostali, nie zdołały wzruszyć czarodzieja. Śmiał się tylko z ich przerażenia i szydził z nich jak z tchórzy i ludzi mających przewidzenia.

Lawson uciekł właśnie w tym momencie; miał więcej szczęścia niż inni, dotarł, bowiem do względnie bezpiecznych przedmieść. Jego ostatnie wspomnienie o Drogu wiązało się z krzykiem czarodzieja.

–Miał rację. Rację! Słońce!

Głos Droga przeszedł w obłąkany chichot, który jeszcze teraz odbijał się strasznym echem w mózgu Lawsons.

–Nigdy w życiu nie chciałbym usłyszeć niczego podobnego do tego dźwięku.

Kiedy rządcą umilkł, Yve zaczęła zdawać sobie sprawę z tych ciężących na niej podejrzeń.

–Nie żyje? – zapytał cicho Lawson.

–Tak – odparła Yve. – Nie żyje. – Nie dodała nic więcej, a i stary rządcą nie prosił jej o wyjaśnienia. – Co z innymi? – zapytała.

–Większość również nie żyje – rzekł smutno Lawson. – Chociaż nie mam pewności, co do wszystkich. Kiedy zaczął się atak, miasto pogrążyło się w chaosie.

–Hannah?

Rządcą spuścił wzrok.

–Zabili ją – powiedział w końcu. – Tak mi przykro, Yve. Nic nie mogłem zrobić.

Od czasu powrotu na Lugg Yve widywała Słodycz jedynie z rządcą. Miasto wyraźnie napawało go lękiem, a czarodziejka była pochłonięta własnymi problemami i najczęściej zbyt zmęczona lub zbyt zajęta, by poświęcać mu więcej uwagi. Smok na szczęście nie stracił jednak swego optymizmu i kiedy znajdowali chwilę na rozmowę, Yve cieszyła się z jego radosnego i niewinnego towarzystwa. Wiedziała teraz, że gdyby miał się pojawić jej „prawdziwy” przyjaciel, jedyny i tylko dla niej, potraktowałaby to z wyraźnie mieszanymi uczuciami. Takie zdarzenie z pewnością oznaczałoby osłabienie jej dziwnej, lecz jakże cennej więzi ze smokiem. Słodycz znaczył dla niej bardzo wiele i wierzyła, że uczucie to jest odwzajemniane. Wkrótce miała się przekonać, że tak właśnie jest.

Yve i Bram odwiedzili gospodę na przedmieściach Carrhaven, odosobnione miejsce, do którego rządcą zaglądały patrole żołnierzy. Żona oberżysty i dwoje z ich dzieci cierpieli na dolegliwości płucne, których nabawili się podczas mgły i które przedłużał niedostatek dobrego jedzenia. Yve miała już do czynienia z wieloma podobnymi przypadkami i wiedziała, że może przynieść tylko chwilową ulgę w ich cierpieniach – jedynym właściwym sposobem leczenia było świeże powietrze i odpowiednie odżywianie. Po przekazaniu tej rady i uczynieniu tego, co mogła, zeszła na dół z Braniem i oberżystą.

W sali z szynkwasmem, pomimo wczesnej pory, tłoczyła się przy stołach grupa pijących. Ucichli, gdy do sali weszła czarodziejka, i Yve natychmiast wyczuła ich wrogie nastawienie. Tęgi młody mężczyzna podniósł się od stołu.

–I co też mówi czarodziejka, ojczy? – Jego wzgarda wprost rozlewała się po całej sali.

Oberżysta udzielił mu krótkich wyjaśnień, podczas gdy Yve i Bram stali czekając.

–Śpią teraz – zakończył i rozejrzał się wokół nerwowo.

–I pewnie już się nie obudzą – rzucił gniewnie. – Dlaczego zadajesz się z tymi, którzy właśnie

ściągnęli na nas nieszczęście, ojczy?

W sali rozległy się pomruki poparcia. Yve miała własną odpowiedź, lecz Bram ją uprzedził.

–Tylko idiota może pleść takie bzdury – powiedział tak spokojnym, że aż groźnym głosem.

–Och! Któż to jest?! – wykrzyknął jego przeciwnik. Śliczniusi piezczaszek czarodziejki! Czy pozwala ci się polizać, jeśli się dobrze zachowujesz? – Wysunął język i przewrócił oczami, wywołując ogólny śmiech.

Bram skoczył naprzód z twarzą wykrzywioną furią, tylko po to, by zostać powstrzymanym przez rozpostarte ramiona Yve.

–Niebezpiecznie się bawicie, młodzieńcy – powiedziała ze spokojem.

–Niebezpiecznie! Jakim prawem mówisz nam, co jest niebezpieczne? Uciekłaś, zanim jeszcze pojawiła się mgła! Teraz siedzisz w pałacu, wyniosła i pyszna... pewnie jesz najlepsze rzeczy, idę o zakład, a nam mówisz, że mamy jeść świeże owoce! Kiedy ostatni raz widzieliście coś świeżego na rynku, chłopcy?

Odwołał się do uczuć podpitych towarzyszy, którzy zachęceni śmiałością przywódcy i piwem w żołądkach, głośnym chórem wyrazili swe poparcie.

–Nie uciekłam... – zaczęła Yve z naciskiem, ale nabrzmiały wściekłością głos Brama zagłuszył ją.

–Nie usprawiedliwiał się przed tymi szumowinami! – krzyknął. – Nie zasługują na to! Zostaw ich, żeby zgnili w swym własnym łajnie!

Yve usiłowała go powstrzymać, ale nagromadzony w nim gniew zakipiał jak oliwa na patelni, a pożar, który tym wzniecił, był już nie do ugaszenia. Syn oberżysty splunął w stronę Brama; błysnął sztylet, gdy marynarz wysuwał go przed siebie. Potem już wszystko zaczęło dziać się tak szybko, że zaskoczyło to nawet Yve.

Stoły przewrócono, cynowe kufle zabrzęczały na podłodze, cała gospoda rozbrzmiała okrzykami. Oberżysta błyskawicznie zanurkował w poszukiwaniu schronienia, podczas gdy Yve stała niezdecydowana, wstrząśnięta aż do bezwładu. W ciągu kilka chwil Bram został powalony i leżał nieruchomo, a nad nim pochylało się dwóch mężczyzn. Ramiona Yve uchwyciły silne ręce, a do jej gardła przytknięto ostry jak brzytwa nóż.

„Wielkie nieba! – pomyślała gorzko. – Jak mogłam się wpakować w taki bigos? – Z całych sił pragnęła zachować spokój, przypominając sobie jedną z pierwszych lekcji swojego szkolenia. – Czarodziej może zostać zabity mieczem lub strzałą tak, jak każdy inny człowiek. Sztuka samoobrony polega przede wszystkim na unikaniu takich przedmiotów!”

Osiągnąwszy swój cel, mężczyźni poczuli zakłopotanie. Po wścieklej szamotaninie bójk przyszło uświadomienie potworności tego, czego dokonali. W milczeniu spoglądali na syna oberżysty, który trzymał nóż przy szyi Yve.

–Nie ruszaj się ani nie odzywaj – warknął – bo inaczej rozplątam ci szyję.

–Co teraz? – zapytał jeden z jego towarzyszy.

–Poślijcie wiadomość do pałacu. Powiedzcie im, że chcemy jedzenia, pieniędzy i koni. Jeśli nie dostaniemy tego szybko, tych dwoje umrze.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie.

Jeszcze jeden nabrzmiały paniką głos wybuchł w zapadłej ciszy, ale Yve niemal natychmiast uświadomiła sobie, że tylko ona może go słyszeć.

Co się dzieje?! Co się dzieje?!

Wszystko w porządku, Słodycz. Poradzę sobie z tym – odparła tak uspokajająco, jak tylko potrafiła, ale smok nie dał się zbyć.

Nagle cała ściana sali wybuchnęła płomieniami. Mężczyźni wrzasnęli. Z ognia wyłoniło się ogromne cielsko Słodyczy, jego oczy błyszczały dziko, a łuski lśniły w blasku ognia. Nigdy nie wyglądał bardziej solidnie.

Yve uwolniła się i wymknęła z uścisku napastnika. Jego nóż zagrzechotał nieszkodliwie na podłodze, podczas gdy przerażeni mężczyźni wpadali na siebie w szalonym pośpiechu ucieczki przed straszną wizją. Wkrótce tylko Yve i Bram pozostali wraz ze smokiem w sali.

Co oni ci zrobili? Czy cię zranili? – zapytał Słodycz niespokojnie, pełnym obawy głosem.

Ze mną wszystko w porządku – odparła Yve, – *ale Bram jest ranny. Muszę się nim teraz zająć.*

Podeszła do leżącej twarzą ku ziemi postaci i szybko oceniła jego obrażenia. Nie stwierdziła niczego, co nie dałoby się naprawić w ciągu kilku godzin, ale wiedziała też, że do tego czasu Bram nie będzie w pełni sił.

Czy jest ktoś na zewnątrz? – zapytała smoka.

Nie – odparł Słodycz po chwili. – *Wszyscy uciekli. Przepląsałem ich.*

Yve miała już na końcu języka stwierdzenie, że równie dobrze mogli na skutek przestרחu ją zabić, ale Słodycz był tak dumny ze swego postępku, że nie miała serca go zganić.

Cieszę się, że cię uratowałem – dodał i tym razem w jego głosie zamiast chełpliwości słychać było autentyczne wzruszenie.

Ja też się cieszę – odparła Yve, uśmiechając się. – . Musimy się dostać z powrotem do pałacu. Czy będziesz naszym zwiadem?

Och, tak! – rzucił ochoczo, a potem dodał już bardzo wyważonym tonem: – Będzie to dla mnie przyjemność, pani.

Yve zaśmiała się i łącząc magiczne zdolności z przyrodą, siłą, uniosła Bramę w swych ramionach. Marynarz wciąż był nieprzytomny i kiedy wychodziła za Słodyczą na ulicę, pomyślała, że to właściwie dobrze. Duma nie pozwoliłaby mu na to, by go tak niosła.

Droga wolna – zameldował Słodycz. – Tędy. Gdyby ktoś chciał ci zagrozić, szybko mu to wyperswaduję.

„Właśnie takie zabawy lubi” – przemknęło Yve przez głowę, ale rozsądnie zatrzymała tę myśl dla siebie.

–Nie – powiedziała Yve. – To jest mój dom!

Bram uniósł ręce w geście zniecierpliwienia i zawodu.

–Ty z nią porozmawiaj, Jon. Przemów jej do rozsądku.

Siedzieli we trójkę w pokoju Yve. Minął już miesiąc od chwili powrotu czarodziejki na Lugg i przez ten czas kilka razy znalazła się w niebezpieczeństwie. Incydent w oberży był tylko pierwszy,

–Bram ma rację – stwierdził żołnierz. – Atmosfera tutaj jest zatruta. Nikt nie wie, co się wydarzyło, ale obwinia się za to magię, a to, co Drogo uczynił, jest już powszechnie wiadome. Nic dziwnego, że ludzie są przykrzy i chociaż my wiemy, że to nie jest wasza wina, każdy czarodziej będzie kozłem ofiarnym.

Bram nie potrafił się dłużej powstrzymać.

–Ile czasu minie, zanim dostaniesz w plecy nożem albo strzałą, której nie zobaczysz? – zapytał. – Nie jesteś nie' zranienia, szczególnie mając taką straż przyboczną jak ja dodał gorzko.

–Nie oceniaj się tak nisko – zaoponowała Yve.

–Wcale tego nie robię. Po prostu wiem, kiedy jestem bity.

–Sprawy przybierają lepszy obrót – wtrącił Jon. – W dużej mierze dzięki tobie.

–Choć tak niewielu ci za to podziękowało – zachnął się Bram.

–Teraz już sobie poradzimy – ciągnął dalej żołnierz. – nie mogę. brać na siebie

odpowiedzialności za twoje bezpieczeństwo. nie mogę być pewien nawet swoich własnych ludzi, kiedy w grę wchodzi czary... – Przerwał. – Wczoraj przyłapałem kilku z nich jak siekli mieczami drzewo księżycowych jagód.

Oczy Yve rozszerzyły się jak spodki.

–Drzewo? – wyszeptała. – Pozwoliło im na to?

–Drzewo, znajduje się teraz w nie najlepszym stanie – odparł Jon. – Jak sama wiesz.

Bez jednego słowa Yve wybiegła z pokoju, by obejrzeć drzewo. Wróciła po krótkiej chwili, z twarzą bladą i pozbawioną wyrazu. Widok drzewa księżycowych jagód z obwisłymi, pociętymi i połamanymi gałęziami i zniszczonymi niemal wszystkimi owocami wstrząsnął nią do głębi. Najpotężniejszy symbol jej profesji zwiślał w schorzałych strzępach i to sprawiło, że ogarnął ją chłód i poczuła mdłości. Ciężko opadła na krzesło, wpatrując się niewidzącymi oczyma w przestrzeń.

–Mogę zebrać dość ludzi, by wypłynąć w ciągu dwóch dni – powiedział cicho Bram.

–Przecież to na jakiś czas – dodał Jon. – Gdy tylko to minie i wspomnienia ostygną, możesz wrócić.

Yve milczała.

–Arlon leży o cztery dni żeglugi stąd – ciągnął dalej Bram. – Może moglibyśmy się tam dowiedzieć czegoś, co pomogłoby ci zrozumieć te wszystkie wydarzenia tutaj.

–Tak, moglibyśmy wykorzystać informacje z innych wysp. Ale świat stał się nagle zbyt cichy – powiedział Jon.

Yve wciąż milczała.

–Co postanowiłaś? – nie ustępował Bram. – Czy mam zebrać załogę?

Wciąż ze szklistymi oczyma Yve powoli skinęła głową. Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie, a potem powstali. Wyszli z pokoju nie mówiąc już nic więcej, ale każdy położył delikatnie dłoń na ramieniu czarodziejki, gdy ją mijał. Yve siedziała bez ruchu, dopóki nie zamknęły się za nimi drzwi, a i potem poruszyła się tylko po to, by unieść rękę, którą starła łzy spływające jej po twarzy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Podróż na Arlon zajęła rzeczywiście cztery dni. Chociaż gorycz spowodowana wygnaniem nie całkiem ją opuściła, Yve stopniowo odzyskiwała otuchę. Pamiętała, że czarodziejem Arlonu był Kai, błyskotliwy młody mężczyzna, okazujący jej więcej życzliwości i przyjaźni niż wielu jego kolegów z magicznej profesji. Drogo nie okazywał przychylności Kaiemu, ale Yve wspominała go z czułością, gdy myślała o ich wspólnej podróży na nieszczęsną naradę na Arce.

„Ciekawe, co się zdarzyło na Arce – przemknęło Yve przez głowę. – Może Kai będzie wiedział”.

Myśl o możliwości omówienia ostatnich wydarzeń ze znajomym czarodziejem, w dodatku niemal równym jej wiekiem, dodała Yve otuchy, ale przeznaczeniem jej było doznać rozczarowania. Miało minąć jeszcze wiele miesięcy, nim jej ścieżki przecięły się ze ścieżkami Kaia.

Yve nie widziała Słodczy od czasu opuszczenia Lugg, ale nie wywoływało to u niej przesadnego niepokoju. Smok pojawiał się sporadycznie, mimo to nie miała wątpliwości, że wróci. W rzeczywistości jego nieobecność przynosiła Yve swego rodzaju ulgę, oznaczała, bowiem, że niebezpieczeństwo pojawienia się jeszcze jednego morskiego diablaka jest raczej niewielkie. Yve zdawała sobie sprawę, że niektórzy członkowie pomniejszonej załogi wciąż żywili wątpliwości, co do magii, toteż wolała unikać dodatkowych kłopotów. Bram wzbudzał ich szacunek, lecz wiedziała, że lojalność marynarzy została by poddana ciężkiej próbie, gdyby Słodcz postanowił pojawić się w jednym ze swych bardziej widzialnych wcieleń.

Gdy tylko ląd znalazł się w zasięgu wzroku, stało się jasne, że Arlon ucierpiał jeszcze gorzej niż Lugg. W przystani panował chaos, pomimo że od cofnięcia się mgły minął już miesiąc, i Bram postanowił zakotwiczyć „Alesię” na otwartym morzu.

–Na brzeg dostaniemy się łodzią – powiedział. – Nie podoba mi się to, jak tam wygląda, Yve. Czy wciąż chcesz się tam dostać? Yve skinęła głową.

–Oczywiście. Inaczej to, że się tutaj znalazłam, nie miałoby żadnego sensu.

O zmirzchu dwóch marynarzy przewiozło swego kapitana i Yve na brzeg, ustalwszy przedtem sygnał, na jaki mieli się zjawić, by ich zabrać z powrotem.

Miasto było ciemne i przerażające. W zasięgu wzroku kręciło się paru uzbrojonych po zęby ludzi. Yve odruchowo rzuciła czar osłaniający, wykorzystując na to tyle mocy, ile tylko ośmieliła się użyć, i nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, gdy Bram poprowadził ją bocznymi uliczkami. Wszędzie walały się gruzy i śmiecie, a wiele domów zabito deskami. W porównaniu ze stolicą Arlonu Carrhaven szybciej wracało do normalnego życia. Bram przekonał Yve, by nie szła od razu do królewskiego zamku, gdzie mieszkał Kai, lecz by najpierw udała się za nim gdzie indziej. Zastukał do solidnych drewnianych drzwi i czekał.

Przez jakiś czas nie było żadnej odpowiedzi i dopiero powtórne pukanie sprawiło, że w drzwiach odsłonięto mały otwór na wysokości oczu.

–Krawn? To ja, Bram.

Otwór zaślepiono i rozległ się dźwięk odsuwania ciężkich rygli. Drzwi otworzyły się i jakiś głos powiedział:

–Wchodźcie. Szybko!

Wślizgnęli się do środka i czekali, podczas gdy ich gospodarz ponownie zabezpieczył drzwi. W świetle lampy Yve zobaczyła krępego mężczyznę, ubranego głównie w skóry. Kiedy się odwrócił stając twarzą ku nim, Yve zaskoczyło jego niesamowite podobieństwo do Brama. Z tym jednak, że lewą stronę twarzy Krawna szpeciła długa, pionowa blizna, a jego lewe oko było już na trwałe przesłonięte powieką. „Bracia?” – zastanowiła się.

Dwóch mężczyzn spoglądało na siebie przez chwilę w milczeniu.

–Tak źle? – spytał w końcu Bram.

–Tak – odparł Krawn. – Miasto jest w stanie rozkładu. Nie ma nikogo, kto strzegłby prawa. – Zwrócił się do Yve: – Zwykle nie jestem taki niegościnnie. Proszę, wejdźcie.

Poprowadził ich do wewnętrznego pokoju, ciepłego i pozbawionego okien. W odległym kącie siedziała kobieta o jasnych włosach, która skurczyła się bojaźliwie, gdy weszli. Bram podszedł do niej i rzekł łagodnie:

–Wszystko w porządku, Jenny. To ja.

Z wolna uśmiech pojawił się na jej twarzy i Yve zobaczyła, że kobieta jest piękna.

–Bram – wyszeptała. – Czy zagrasz dla mnie?

–Nie mogę. Wiesz o tym – odparł ze smutkiem.

Po chwili kobieta zanuciła cicho melodię, która wydała się Yve w jakiś przedziwny sposób znajoma. Niespodziewanie przerwała i utkwiała wzrok w ogniu; kiedy Bram odwrócił się do czarodziejki jego oczy błyszczały.

–To Krawn i Jenny – powiedział. – Mój brat i jego żona. A to jest Yve – dodał.

Czarodziejka, która wyczuła niezręczność i kłopotliwość tego wzajemnego przedstawiania, postanowiła na razie nie domagać się od Brama żadnych wyjaśnień. Zamiast tego zaczęła omawiać ostatnie wydarzenia. Jenny milczała podczas całej rozmowy, lecz Yve zauważyła, że Bram często spoglądał na bratową.

Opowieść Krawn była niemal dokładnym powtórzeniem historii, jaką usłyszeli od Jona. Mieszkańcy zamku zostali zdziśiatkowani w jeszcze większym stopniu, niż to się stało na Lugg. Zapasy żywności mieli bardziej niż szczupłe; prawo i porządek niemal nie istniały, a atmosfera w mieście była napięta i przepełniona gwałtem. Tak jak na Lugg mgła przyniosła ze sobą choroby i zamieszanie. Trwała niemal dokładnie tyle samo i rozwiała się tej nocy, kiedy weszła gwiazda, lecz od tej pory dokonał się tylko nieznaczny postęp w przywracaniu normalnego życia.

–Co z Kaiem? – zapytała Yve.

–Nikt nie wie – odparł Krawn tonem wskazującym, że nikt też o to nie dba. – Nie było go, kiedy nadeszła mgła. Wrócił jakiś czas temu, całkiem niedawno, ale teraz nikt nie zaprząta sobie tutaj głowy czarodziejami. Zresztą zaraz potem opuścił miasto w wielkim pośpiechu.

Yve i Bram wymienili spojrzenia.

–Większość ludzi uważa, że nie mieliśmy odpowiedniego czarodzieja od czasu śmierci starego Debramani – ciągnął dalej Krawn. – Tego młodego nigdy nie było, kiedy go potrzebowaliśmy.

–Czy wiesz, dokąd się udał? – zapytała Yve.

Krawn rzucił jej dziwne spojrzenie, a potem potrząsnął głową.

–Zostaniecie u nas? – spytał, wyraźnie wyrażając swym tonem brak entuzjazmu.

–Nie – odparł Bram. – Muszę zająć się statkiem, a poza tym sądzę, że dowiedzieliśmy się już wszystkiego, czego chcieliśmy się tutaj dowiedzieć. – Wstał. – Do widzenia, Jenny – powiedział, ale kobieta milcząc dalej wpatrywała się w ogień.

Krawn z błagalnym wyrazem w oczach wskazał Bramowi i Yve wyjście. W sieni zatrzymał się na chwilę. – Nie ma jej tutaj przez większość czasu – rzekł, a potem zaczął odryglowywać drzwi. – Uważajcie na siebie.

–Dziękuję, Krawn.

–Żegnaj – rzuciła Yve, gdy wychodziła.

Bracia rozstali się w milczeniu, pozostawiając czarodziejkę z dojmującym przecuciem osobistej tragedii.

–Co on miał na myśli? – zapytała, kiedy ruszyli w drogę.

–Nie teraz – odparł jej towarzysz i poprowadził ją szybko przez pogrążone w mroku ulice.

Pozostali na wodach przybrzeżnych Arlonu jeszcze dwa dalsze dni żeglując na północ wzdłuż zachodniej strony wyspy i zawijając do kilku innych miasteczek i wsi. Historia wszędzie się

powtarzała. Wreszcie rozmowy załogi zwróciły się ku przyszłym planom, jednak opinie były podzielone. Niektórzy chcieli powrócić na Lugg. inni woleliby pozostać przez jakiś czas bez rozgłosu na Arlonie, reszta chciała żeglować dalej na północ do Strallen. Po długiej debacie Bram wybrał ten ostatni kurs i po zaokrętowaniu dodatkowych zapasów, – za które musieli zapłacić niezwykle wygórowaną cenę – „Alesia” ponownie wyruszyła na północ.

Był to długi rejs, tym bardziej przykry z powodu pogarszającej się pogody. Znacznie się ochłodziło, często nawiedzały ich siekące deszczem szkwały i wszyscy odczuli ulgę, kiedy po dziewięciu dniach osiągnęli spokojniejsze wody na wschód od południowego przylądka Strallen. Zakotwiczyli opodal małego portu Innis, w którym dostrzegli wielkie oznaki zniszczenia, charakterystyczne dla wszystkich portów, do których poprzednio zawijali. Humory poprawiły się na myśl o zejściu na ląd i o tym, że być może Strallen w jakiś sposób uniknęła lodowatej mgły. Jednak Bram nie poniechał ostrożności i wysłał małą grupę zwiadowczą, zanim wprowadził „Alesię” do portu.

Marynarze wrócili z wieściami, że w Innis panuje porządek i że miejscowi zapytani o skutki tak niezwykłej mgły odparli: "Jakiej mgły?" Wywołało to ogromną i radosną ulgę wśród marynarzy i nawet Yve zaczęła żywić nikły cień nadziei, że jej – i Słodyczny – wizja była nieprawdziwa. Tak, więc weszli do portu. Tę noc Yve i Bram spędzili w wygodnej tawernie, gdzie po wieczornym posiłku zasiedli rozmawiając cicho w przytulnej jadalni.

–Muszę się dostać do Ahrenhold – powiedziała Yve.

Stolica Strallen była dużym miastem, leżącym dzień drogi od wybrzeża.

–Oczywiście – zgodził się Bram.

–A co ty zamierzasz robić?

Marynarz spojrział na nią, jak gdyby usłyszał niemądre pytanie.

–Pójść z tobą – powiedział w końcu.

–A co z „Alesią” i twoją załogą?

–Byli tutaj przedtem, tak samo jak i ja. Żeglowanie to mój zawód. A statek jest odpowiednio zabezpieczony.

–Przepraszam. Ja...

Bram machnięciem ręki zbył jej usprawiedliwienie.

–Będę niezwykle zadowolona z twojego towarzystwa – zakończyła Yve.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, każde zatopione w swoich własnych myślach.

–Opowiedz mi o Jenny – odezwała się Yve.

Bram się skrzywił.

–Dlaczego?

–Przez wszystkie te dni unikałeś tego tematu, a może zrobiłoby ci dobrze, gdybyś o tym z kimś porozmawiał. Poza tym nie lubię tajemnic. Zadaniem czarodziei jest wiedzieć wszystko. – Uśmiechnęła się zachęcająco do marynarza, który siedział głęboko pogrążony w myślach.

–Nie ma wiele do opowiadania – powiedział w końcu. – Nie żyje w tym samym świecie, w którym przebywa większość z nas. Ludzie uważają ją za szaloną. Nie jest, ale to pomaga im uporać się z tym, że w ogóle istnieje.

–Kochałeś ją, prawda?

–Obaj ją kochaliśmy – odparł Bram z nieobecny wyrazem twarzy. – W tym właśnie kłopot.

Yve czekała.

–Była śpiewaczką. Miała taki piękny głos, wysoki i czysty... – Bram uśmiechnął się do wspomnień. – Tak naprawdę ożywała tylko wówczas, kiedy śpiewała. – Wiele razy jej akompaniowałem, ale była dla mnie za dobra. Krawn był jedynym, który potrafił jej dorównać. – Głos Brama zadrżał.

–I co się zdarzyło? – zachęciła łagodnie Yve.

–Kochała nas obu i nie potrafiła wybrać. Byliśmy ze sobą zawsze bardzo blisko, ale to sprawiło, że oszaleliśmy. – Bram spojrzał na czarodziejkę, a ona zobaczyła, jak bardzo cierpi. Walczyliście... na jej oczach. Niemal go zabiłem. Nigdy więcej nie zagrał, a Jenny przez cały rok nawet się nie odezwała, nie mówiąc już o śpiewaniu. Nie mogła znieść mojego widoku, a ja znienawidziłem siebie i oszedłem.

–To właśnie, dlatego zostałeś marynarzem.

–Tak. Nie widziałem ich potem przez jakieś pięć lat. Pobrali się, oczywiście. – Głos Brama ucichł.

"Czy cały świat pełen jest smutnych historii?" – zastanowiła się Yve. Potem odezwała się łagodnym tonem: – Dzięki, że mi to opowiedziałeś. Bram wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. Oboje byli zadowoleni, kiedy do sali wszedł oberżysta, by uprzątnąć talerze i zapytać czy życzą sobie czegoś jeszcze.

–Tylko informacji – odparł Bram i zaczął wypytywać o możliwość wynajęcia koni i drogę do Ahrenhold.

Tak rozpoczęta, rozmowa skierowała się ku bardziej ogólnym sprawom.

–Lato skończyło się szybko, właściwie wydaje się, jak gdyby niektórych dni w ogóle nie było – zauważył ich gospodarz. – Pogoda też do niczego.

–Mgła? – zapytał Bram.

–Nie więcej niż zwykle. Chociaż jest zimno jak na tę porę roku.

–Mieście tu ostatnio jakieś kłopoty?

–Kłopoty? – Oberżysta wyglądał na zakłopotanego. – Dlaczego? My tutaj jesteśmy spokojnymi ludźmi. – Był wyraźnie urażony.

–Czy widziałeś wznoszącą się gwiazdę mniej więcej miesiąc temu? – zapytała Yve. – Mówili mi, że to całkiem niezłe widowisko.

–Trudno mi coś powiedzieć, panienko. Z tego, co wiem, nie było żadnej gwiazdy. – Oberżysta zaczął z podejrzliwością spoglądać na swoich gości, więc postanowili, że nie będą już zadawać dalszych pytań.

Wyjechali z Innis wczesnym rankiem następnego dnia. Gdy tylko wydostali się z miasta, oba konie zaczęły okazywać niepokój, tańcząc nerwowo na zadnich nogach. Znajomy głos zabrzmiał w głowie Yve.

Dlaczego te głupie konie tańczą?

Słodycz, wyglądający na niezwykle zadowolonego z siebie, pojawił się na poboczu drogi.

Bo je straszysz! – odparła Yve.

Przecież nie chcę ich skrzywdzić.

Ale one tego nie wiedzą.

Konie stopniowo przyzwyczyły się do ich nowego towarzysza podróży i zaczęły iść normalnym krokiem, ale pozostały niespokojne. Yve wyjaśniła Bramowi całą tę sytuację. Marynarz przyjrzał się uważnie smokowi, ale był w stanie uchwycić wzrokiem tylko niewyraźny obraz migoczącego stworzenia.

–Może to i dobrze – doszedł w końcu do wniosku. – Wciąż nie jestem pewien, czy wierzę w smoki.

Yve spojrzała szybko na Słodycz. Daleki od okazywania jakichkolwiek oznak niechęci wywołanej tym stwierdzeniem zdawał się wręcz uważać je za całkiem śmieszne. Głowa czarodziejki rozbrzmiała echem jego chichotu.

*Czy mam dmuchnąć w niego odrobiną płomieni? - zapytał Słodycz z absolutnie niewinną miną.
– Zobaczyłby je.*

Nie – sprzeciwiła się szybko Yve. – Wielkie dzięki, nie chcę być zrzucona przez tego konia.

*Ale one są takie małe – stwierdził Słodycz. – Czy nie wolałabyś raczej dosiąść mnie! -
Rozpostarł skrzydła i udał, że wzbija się w powietrze. – Wiuu...*

Konie spłoszyły się na widok nagłego ruchu smoka.

Słodycz!

Tak?

Czy jesteś pewien, że tę wyspę okrywała mgła?

*Oczywiście. Mówiłem ci. – Słodycz był rozdrażniony. – Poza tym wystarczy, żebyś rzuciła okiem
na drzewa.*

*Yve posłuchała rady smoka i zaraz przekonała się, co miał na myśli. Wiele drzew niemal
zupełnie zostało pozbawione liści, – chociaż zima miała nadejść dopiero za kilka miesięcy – na
gałęziach innych zaś pozostało zwiędłe, brązowe, zgniłe listowie.*

*W miarę jak posuwali się dalej, zobaczyła dalsze ślady ataku zimna i wilgoci. Dostrzegła kilka
ptaków i owadów, których nie powinno być tutaj o tej porze roku, wiele łąnów zbóż było
szarych i zaatakowanych pleśnią, a pola wyglądały na pozbawione opieki i zapuszczone.
Czarodziejka zwróciła Bramowi uwagę na te oznaki.*

–Tak, coś wydarzyło się tutaj, cokolwiek by mówili – zgodził się.

*Kiedy zatrzymali się w odosobnionym gospodarstwie, Słodycz usunął się bez potrzeby
mówienia mu o tym. Gospodarz mógł zaferować im jedynie wodę.*

*–Nie wiedzie nam się dobrze w tym roku – stwierdził. – Nie mamy żadnych zapasów żywności.
– Nie wydawał się tym nadmiernie zatroskany.*

–Zła pogoda? – zapytał Bram.

*–Nie można narzekać – odparł mężczyzna. – Ale i tak niewiele mogliśmy zrobić. Zbiory zgniły,
zanim się obejrzałeś. Tknęła je zaraza. Ot co.*

*–Słyszeliśmy o jakiejś złej mgle – powiedziała Yve. – Nie tutaj, panienko. Nad morzem, tam to
jest mgła.*

*Chociaż szybko zrobiło się zimno, aż trudno powiedzieć, gdzie się podziało lato. – Jak gdyby
spali podczas tej mgły – zauważył Bram, kiedy znowu ruszyli w drogę. Yve skinęła głową. „Jak*

gdyby niektórych dni w ogóle nie było". Poczwała, że znowu ogarnia ją strach.

Dotarli do Ahrenhold późnym popołudniem. Miasto już dawno temu wyrosło ze swych prastarych kamiennych murów i teraz rozciągało się na dość znacznej powierzchni. Po przemierzeniu peryferyjnych dzielnic, które uspokajająco wrzały życiem i były zatłoczone ludźmi, wkroczyli do starego miasta przez jedną z ogromnych kamiennych łukowatych bram. Pozostawiwszy Bramę, by załatwił nocleg i stajnię dla koni, Yve wyruszyła sama do królewskiego pałacu. Gdy Bram zaczął się temu sprzeciwiać, odparła, że nie może tracić ani chwili, by zobaczyć się z Saronnem, i że lepiej będzie, jeśli pójdzie tam sama i wystąpi w swej oficjalnej roli czarodziejki z Lugg.

Kiedy szła do zamku – wznoszącego się w samym centrum miasta – przypomniała sobie wszystko to, co wiedziała o czarodzieju Strallen. Spotkała go przedtem tylko raz, na Arce, i pamiętała go głównie z powodu jego niezdrowo wyglądającej szarej skóry i złowieszczego przyjaciela – węża. Saronno był jednym z tych, którzy wzięli stronę Droga na naradzie czarodziei, i jeśli dobrze pamiętała, zachowywał się niemal tak pompatycznie jak jej były mistrz. „Mam nadzieję, że mnie przyjmie” – pomyślała,

Gdy zbliżała się do strażnika przy zamkowych wrotach.

–Przybyłam na Strallen, aby zobaczyć się z Saronnem. Czy mógłbyś mu powiedzieć...

–Z kim?

–Z Saronnem. Waszym czarodziejem – odparła zmieszana

Mężczyzna odwrócił głowę i splunął.

–Tfu! Czarodzieje? Nie mamy tutaj żadnych czarodziejów Nie zawracaj mi głowy. O co ci naprawdę chodzi?

–Nie macie już czarodzieja?

–Czy nie słyszałaś? – rzucił gniewnie strażnik. – Nie ma tutaj żadnych czarodziejów. Nigdy nie było. Nie wiem, jakich głupich opowieści się nasłuchiwałaś, ale my ich tutaj nie potrzebujemy. Zaraz mi powiedz, o co ci chodzi, albo się stąd zabieraj!

Dalsza dyskusja była najwyraźniej bezcelowa. Po krótkiej chwili wahania Yve odwróciła się na pięcie i odeszła. Żołnierz przyglądał się jej uważnie przez kilka chwil, a potem wślizgnął się do wartowni i zawołał jednego ze swych towarzyszy.

Yve wracała wolno do zajazdu, czując, jak z powodu ostatniej porażki kręci się jej w głowie. Czowała się przygnębiona i zawiedziona, irytowała ją własna osoba i wszyscy wokół niej, ale przede wszystkim była oszołomiona. „Co się dzieje z tym światem? Drogo nie żyje. Kai zaginął. Teraz mówią mi, że na Strallen nigdy nie było czarodziejów! Czy cały świat oszalał, czy tylko

ja?"

Opowiedziała o wszystkim Bramowi, ale on też nie potrafił znaleźć w tym żadnego sensu. Poszli wcześniej do łóżek, zmęczeni po całodziennej podróży.

We wczesnych godzinach rannych Yve została gwałtownie wyrwana ze snu, kiedy drzwi do jej sypialni otworzyły się z trzaskiem. Zrzucając z siebie resztki snu, oszołomiona czarodziejka zobaczyła, że do jej pokoju wpada kilku żołnierzy, depcząc ciężkimi buciorami po rozłupanym drewnie drzwi. Zanim zdołała powstać, przyłożono jej do gardła nóż, a w pierś wymierzono dwie kusze.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bram obudził się natychmiast na dźwięk rozłupywanego drewna, czujny nawet we śnie. Zgiełk dochodzący z pokoju Yve sprawił, że w ułamku chwili wyskoczył z łóżka i znalazł się na korytarzu. Natknął się tam na żołnierza, który przyłożył wielką dłoń do jego piersi i zatrzymał go.

–Nie tak szybko, przyjacielu.

–Co tu się dzieje? – zażądał wyjaśnień Bram, a potem zeszywniał, gdy zobaczył, że Yve wyprowadzono z pokoju i jak schodzi po schodach. Dostrzegł szybkie potrząśnięcie głową czarodziejki, które powstrzymało go przed pójściem za nią.

–Nic się nie dzieje – odparł z naciskiem żołnierz. – I jeśli wiesz, co dla ciebie jest dobre, to niczego tutaj nie widziałeś! – Tak mocno pchnął Brama z powrotem do jego pokoju, że marynarz potknął się i upadł, uderzając głową o krawędź łóżka.

Drzwi zatrzęsły się za nim i Bram leżał na pół ogłuszony na podłodze i słuchał odgłosu oddalających się kroków.

Po krótkiej chwili oszołomienie zaczęło ustępować, chociaż głowa wciąż pulsowała ostrym bólem. Podźwignął się ciężko z podłogi i powoli ubrał. Wciąż jeszcze było bardzo wcześnie i nie spotkał nikogo, kiedy wyslizgnął się na korytarz, a stamtąd do pokoju Yve. Z wyjątkiem wyłamanych drzwi nic nie wskazywało, że kiedykolwiek tam przebywała. Wszystkie jej rzeczy zostały usunięte. Bram opuścił gospodę, usiłując zdecydować, co należy zrobić. Przedtem opór był bezcelowy: Yve nie walczyła, a on wobec liczebnej przewagi i uzbrojenia żołnierzy mógł tylko patrzeć bezsilnie. Ale teraz? Co robić?

Sprawcy uprowadzenia czarodziejki nosili mundury, stąd też nasuwało się oczywiste przypuszczenie, że przybyli z zamku – z pewnością nie będzie trudno potwierdzić to przypuszczenie.

Bram ruszył przed siebie, mając nadzieję, że chłodne powietrze wczesnego rana orzeźwi jego zboląłą głowę. Mundury straży pałacowej były niezmiernie podobne do mundurów porywaczy, ale na razie w niczym mu to nie pomogło. Obszedł zamek w koło starając się zapamiętać, ilu pilnuje go strażników – teraz i po zmianie wart. Jego rekonesans nie doprowadził go do żadnych wniosków, z wyjątkiem tego, że nie będzie w stanie dostać się do pałacu, o ile nie wymyśli jakiegoś uzasadnionego interesu. Nawet pomniejsze wejścia były strzeżone i nikt nie mógł dostać się do środka bez kontroli.

Kręcił się przy zamku przez cały dzień, przechodząc z miejsca na miejsce, by uniknąć podejrzeń, ale Yve nie przesłała mu żadnego znaku. Zauważył, że niektórzy niepełniący akurat służby żołnierze zachodzili do tawerny znajdującej się naprzeciwko głównych wrót i postanowił spróbować podsłuchać ich rozmowy w nadziei dowiedzenia się czegoś, co mogłoby mu pomóc.

Dwie godziny przyniosły mu tylko pijacką paplaninę bez znaczenia i żarty o królu Illvie i jego nowej królowej, której mógłby być ojcem. Niemniej jednak był w stanie rozpoznać twarze i zapamiętać nazwiska kilku ludzi – zarówno żołnierzy, jak i służących, – którzy mieszkali i pracowali na zamku. Zawsze stanowiło to jakiś początek.

Brama kuśilo, by podejść do zamkowych wrót i zapytać, co się stało z jego przyjaciółką. Zawsze wolał bezpośrednie działanie, ale tym razem postanowił z tego zrezygnować. „Yve próbowała tego wczoraj” – pomyślał. Zamiast tego wrócił do gospody, sprawdził, jak się mają konie i poszedł spać.

Zamek w drzwiach do pokoju Yve został naprawiony.

Nieco później, właśnie, kiedy znajdował się na krawędzi snu, Bramowi przypomniały się aluzje na temat królewskiej rodziny Strallen i uświadomił sobie, że cokolwiek wydarzyło się na tej wyspie, z pewnością było zupełnie odmienne od nieszczęść, które spadły na Lugg i Arlon.

Następnego dnia podjął na nowo swoje zwiady w okolicach zamku. Nikt w zajeździe nie zapytał go o przyczyny nieobecności Yve, a on sam nie podejmował tego tematu. Podejrzewał, że oni również woleli niczego nie widzieć ani nie słyszeć.

Po bezowocnym poranku dołączył do grupy zamkowych strażników w ich ulubionej tawernie i jako ktoś chętny i mogący sobie pozwolić na postawienie kilku kolejek, został przyjęty do towarzystwa. Jednak jego ostrożnie zadawane pytania o nowo przybyłych lub o niezwykle wydarzenia na zamku nie sprowokowały żadnej odpowiedzi i zaczął tracić nadzieję, co do rezultatów takiej linii postępowania. Pożegnał się, kiedy żołnierze zaczęli się rozchodzić, a potem jeszcze raz okrążył zamkowe mury. Z jednego z małych wejść wyloniła się kobieta niosąca ogromny wiklinowy koszyk. Żołnierz stojący na warcie rzucił jakąś uwagę, a ona roześmiała się razem z nim, gdy przechodziła zataczając się nieco pod ciężarem swego brzemienia. Bram szybko podszedł do niej.

–Czy mógłbym ci pomóc?

Przyglądała mu się przez chwilę, jak gdyby zastanawiając się, co nim kieruje. Jej młoda twarz była zaczerwieniona i błyszcząca od gorąca pralni.

–W porządku – zdecydowała w końcu i wręczyła mu kosz.

Poszli dalej razem.

–Od niedawna jesteś w mieście, prawda? – zapytała.

–Tak. Skąd wiesz?

–Po twoim akcencie.

–Przyjechałem z Innis – powiedział, dla wygody nie mówiąc całej prawdy.

–Po co?

–Szukam pracy.

–Pracy! – Kobieta parsknęła. – Potrzyмай go. Tutaj. – Pchnięciem otworzyła drzwi i wprowadziła Brama do małego, pustego pokoju. – Postaw tam, w kącie. Czym się zajmujesz?

–Jestem muzykiem.

–Naprawdę? – W jej oczach rozbłysło zainteresowanie. – Dzięki za pomoc. Może napiłbyś się czegoś?

Bram skinął głową i poszedł za nią do kuchni.

–Na czym grasz? – zapytała, gdy stawiała wodę na ogień.

–Na flecie.

–Chciałabym kiedyś posłuchać, jak grasz.

Bram spędził to popołudnie spacerując bez celu. On i Klara poczuli do siebie sympatię i chociaż obowiązki wzywały ją z powrotem na zamek, uzgodnili, że spotkają się tego wieczora. Marynarz oczekiwał tego zarówno dla przyjemności płynącej z jej towarzystwa i tak potrzebnego mu kontaktu z innym człowiekiem, jak i dlatego, że opowiadając o wydarzeniach w pałacu wcale nie trzymała języka za zębami. Stwarzała największą szansę, by się dowiedział, gdzie przebywa Yve.

Przybył na miejsce spotkania wcześniej, a potem niepokoił się dopóki nie przyszła Klara. Zaprosił ją na kolację i rozmawiali o sobie. Wersja własnej historii Brama była rozsądną mieszaną faktów i fikcji. Czuł się winny okłamując Klarę, ale wiedział, że prawda mogłaby sprowadzić niebezpieczeństwo na nich oboje

W końcu rozmowa skierowała się na życie w zamku i wytrwałość Brama została nagrodzona. Kiedy wymienił imię Saronna nie wywołało to żadnej reakcji i Klara roześmiała się na myśl o czarodzieju mieszkającym stale na zamku.

–Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?! – zawołała.

Była o wiele bardziej chętna do rozmowy o rodzinie królewskiej.

–Stara królowa nie dała mu przecież syna i w pewnym sensie było mu to na rękę, kiedy umarła w zeszłym roku. Nowa królowa, Ula, jest młoda i tak piękna... – Zachichotała. – Swoją drogą ciekawe, czy jest w stanie dotrzymać jej kroku.

–Skąd ona pochodzi? Nigdy przedtem nie słyszałem tego imienia.

–Teraz, kiedy zwróciłeś na to uwagę, to prawdę mówiąc... nie wiem dokładnie. – Klara wyglądała na zakłopotaną.

–Tam gdzie pracujesz, musisz słyszeć wszystkie plotki.

–Och, tak – odparła. – W pralni nie można przestać mleć językiem.

Bram naciskał delikatnie, by mówiła dalej, udając zainteresowanie różnymi dworskimi intrygami, aż dostrzegł swoją szansę.

–I to dopiero naprawdę rozdrażniło strażnika więziennego – powiedziała, kończąc jedną ze swoich opowieści.

–Czy w zamku są lochy? – zapytał Bram.

–Tak, chociaż nigdy ich nie widziałam i mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę. Zwykle stoją puste, ale sam fakt, że są, wystarcza, aby się pilnować. Nie chciałabym być w sytuacji tej biednej kobiety.

–Jakiej kobiety? – zapytał Bram, oczekując najgorszego.

–Sama jej nie widziałam, rozumiesz, ale słyszałam, że wczoraj wtrącili młodą kobietę do celi. Biedactwo. – Klara wzruszyła ramionami. – Zastanawiam się, co zrobiła.

„Żeby to ja wiedział – pomyślał Bram. To potwierdzenie jego obaw, chociaż nie nieoczekiwane, sprawiło, że poczuł się samotny i bezsilny. – I co mam teraz zrobić?”

Yve, pogrążona w posępnym nastroju, siedziała w ciemnej celi. Jedynie słabe światło przesączało się przez żelazne sztaby w drzwiach. Wewnątrz było zimno i wilgotno.

Chociaż potrafiła pokrzepić własne ciało, Yve była świadoma, że jakiś czar powstrzymuje ją od użycia magii poza granicami jej celi i żelaznymi drzwiami, za którymi ją zamknięto. Było to zaklęcie, z jakim nie spotkała się nigdy dotąd, a to oznaczało, że ktokolwiek ją uwięził, znał nie tylko jej zdolności i możliwości, ale dysponował również swoją własną mocą. Oczywistym podejrzanym jawił się jej Saronno.

„Ale, po co” – pomyślała.

Nic nie miało sensu. Tak wiele niekonsekwencji było w tym, czego się dowiedziała, że przez chwilę w ogóle nie mogła myśleć logicznie.

Gdyby Yve znała oczekujący ją los, być może usiłowałaby uciec poprzedniego dnia żołnierzom – i prawdopodobnie zginęłaby od strzały posłanej jej w plecy.

Aresztowawszy czarodziejkę, żołnierze pomaszzerowali w milczeniu do zamkowych lochów. Pytania Yve były albo zbywane niczym, albo nakazywano jej milczenie, tak, że wkrótce zaprzestała jakichkolwiek prób dowiedzenia się czegokolwiek.

Kiedy schodzili po schodach, Yve wyczuła obecność złośliwej magicznej siły i instynktownie zaczęła się jej przeciwstawiać. Potem w jej głowie zadźwięczały sygnały ostrzegawcze. Coś obserwowało ją z oddali przez lochy, coś, przed czym wolałaby pozostać o wiele bardziej ukryta.

Gdy przeszła przez niewidzialną barierę, zepchnęła swoje czarodziejskie możliwości głęboko w podświadomość, kurcząc się w sobie ochronnie i stając się tak niepozorną, jak to tylko było możliwe. W jej głowie wspomnienia mieszały się ze sobą spontanicznie, niektóre z nich uchodząc w najgłębsze zakamarki umysłu, tak, że niemal przestawały istnieć. Cały ten proces zajął ledwie kilka chwil i dał Yve pocieszające poczucie bezpieczeństwa.

Uczucie to rozwiało się już dawno temu podczas samotnych godzin, które nastąpiły potem, i teraz pograżyła się głęboko w poczuciu beznadziejności. Czy wpadła w pułapkę? Może Powinna przestać zwracać uwagę na ostrzeżenia rozbrzmiewające w jej głowie i podjąć próbę uwolnienia się ze swego więzienia? Dlaczego została tak zupełnie zignorowana przez tych, którzy ją uprowadzili?

Pytania się mnożyły. Gdy zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie na nie jakieś odpowiedzi, jej umysł wypełnił się całkowicie niepowiązanymi ze sobą dźwiękami, które towarzyszyły pojawieniu się Słodyczy. Smok wyłonił się powoli z tylnej ściany celi.

A więc tu jesteś – powiedział. – Kiedy cię szukałem, spotykały mnie same kłopoty. Nie mogę nawet przedostać się przez niektóre z tych ścian. – W jego głosie brzmiał niepokój i rozdrażnienie – I strasznie drapią. – Duże, lśniące oczy smoka mrugnęły powoli. – Dlaczego tu jesteś?

Sama chciałabym to wiedzieć – odparła Yve. – Och, jak to dobrze widzieć cię, Słodycz!

Radość czarodziejki z pojawienia się towarzysza wkrótce przygasła. Możliwość porozmawiania z kimś sama w sobie niosła wiele otuchy, ale smok miał ograniczone możliwości, by jej pomóc. Jego fizyczne oddziaływanie w świecie Yve było znikome lub żadne, nie mógł więc pomóc jej w ucieczce, a że Bram z trudnością dostrzegał Słodycz, nie mówiąc już o możliwości porozumienia się z nim, smok nie mógł również pełnić roli posłańca między nimi. I to właśnie było najbardziej przygnębiające.

Mimo tego jego radosne towarzystwo i optymistyczna postawa sprawiły, że poczuła się lepiej i rozmawiali przez długi czas. W końcu Słodycz opuścił ją, by sprawdzić jedną czy dwie teorie lub – jak on to pojmował: zabawić się w nowe gry.

„Chciałabym umieć tak robić” – pomyślała smutno Yve, gdy wtapiał się w ścianę.

Przez następne kilka dni Bram często spotykał się z Klarą i to od niej właśnie usłyszał o szczególnych pogłoskach krążących po mieście. Otóż przedmioty wybuchały płomieniami bez powodu, najwyraźniej same z siebie, co wywoływało panikę i powodowało wołanie o ratunek. Po kilku chwilach stwierdzano jednak, że przedmioty owe są chłodne i nieuszkodzone. Domyślał się przyczyny tych opowieści, a nawet miał niekiedy wrażenie, że widzi dziwne migotanie światła, ale nie był pewny. Nie wiedział zupełnie, co też Słodycz usiłuje zrobić.

O wiele bardziej martwiły go jego własne próby zdobycia zaproszenia na zamek. Dzięki Klarze spotkał się w końcu z paroma żołnierzami i dworzanami, z których każdy przedstawiał go następnemu, do chwili, gdy w końcu został powitany przez dworskiego muzyka i poproszony o zagranie czegoś. Gdyby wykazał się dostatecznym talentem, co było zrozumiałe, istniała szansa zatrudnienia go na zamku.

Bram opanował zdenerwowanie. Od lat nie grał dla nikogo oprócz siebie i teraz nie miał pewności, jak zareaguje na jakąkolwiek widownię. Jednak, gdy tylko wziął flet do ręki, poczuł, jak wzbiera w nim stara magia. Grał, tak jak zawsze to robił, dla Jenny. Kiedy skończył, doznał czegoś w rodzaju wstrząsu, zmuszony oderwać się od muzyki, by wysłuchać opinii dworskiego muzyka.

– Jesteś dobry – powiedział dworak przychylnie. – Oczywiście musisz nauczyć się paru nowych pieśni... tej nie słyszałem od lat... ale to nie powinien być żaden problem.

Klara, która w tym uczestniczyła, była zachwycona.

– To cudowne! – wykrzyknęła później z entuzjazmem. – Nigdy nie słyszałam niczego tak pięknego... ani tak smutnego. Niemal się rozplakałam.

Bram spojrzał w jej lśniące oczy, ale widział zupełnie inną twarz.

– Wydawało się, że jesteś w transie – ciągnęła dalej. – Jak gdyby w ogóle cię tu nie było.

– Grałem dla kogoś – odparł, zanim pomyślał, co mówi.

– Dla kobiety? – rzuciła cicho Klara.

Skinął głową, nienawidząc siebie za to.

– Dla tej w lochach?

– Nie. Dlaczego tak pomyślałaś – zapytał ostrożnie.

– Wydawało mi się, że się nią interesujesz.

„Uwaga” – upomniał sam siebie Bram.

– Nie – powtórzył. – Nie znam jej.

–Zatem, dla kogo? – wyszeptała.

–Dla kogoś sprzed bardzo wielu lat. Ona... już nie żyje.

–Przykro mi.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

–Chciałabym, żeby ktoś kiedyś zagrał tak dla mnie – odezwała się w końcu Klara.

–Zagra – odparł stanowczo. – Może nie na tym samym instrumencie... ale zagra.

Po jeszcze jednej chwili milczenia powiedziała tak pogodnie, jak tylko mogła:

–A jutro zagrasz na zamku!

To na nic. Mogę przestraszyć strażników, ale nie mam pojęcia, co zrobić, żeby uczynili to, co chcę. I nie potrafię sprawić, by Bram zobaczył cokolwiek. – Przygnębiony ton Słodczy współgrał z nastrojem Yve.

To nie ma znaczenia – odparła. – Próbowałeś. Wymyślimy coś.

Znalazłem człowieka z węzem – powiedział smok, ożywiając się nieco.

Saronna? Więc jest tutaj!

Tak – potwierdził Słodczy. – W pokoju takim samym jak ten.

W lochach? – Wiadomość oszołomiła Yve. Jeśli czarodziej sam jest uwięziony, to w takim razie, kto za to wszystko jest odpowiedzialny? – Opowiedz mi o nim – poprosiła.

Jest w pokoju znajdującym się dalej, w głębi korytarza. Śpi jego oczy są otwarte i w ogóle się nie rusza.

Jesteś pewien, że żyje?

Och, tak. Ale nie sądzę, żeby czuł się zbyt dobrze – odparł nieświadomie lekceważącym tonem Słodczy. – Po prostu leży na plecach, a laska obok niego. Chociaż wąż się poruszał – dodał z nadzieją w głosie. – Syczał na mnie.

Yve próbowała dopasować ostatnie kawałki wieści do łamigłówki w swojej głowie. Jednak wciąż nie miało to żadnego sensu.

Następnego ranka Bram wreszcie wkroczył do Zamku Ahrenhołd. Towarzyszący mu muzyk poręczył za niego i strażnik machnął ręką, by szli dalej. Bram wkroczył do zamku z bijącym sercem. Miał już niezłe pojęcie, dzięki swemu wytrwałemu dochodzeniu, o tym jak jest

zabudowany zamek, ale zobaczenie wszystkiego na własne oczy było na pewno lepsze. Jednak tego pierwszego dnia nie dowiedział się wiele. Po odbytej w towarzystwie zbrojnej asysty próbie został niezwłocznie odprowadzony za mury. Samego Brama zaskoczyła radość, płynąca z wyzwania, jakim była gra z zawodowcami; wiedział, że dobrze się spisał. Tak, więc, kiedy opuścił zamek, gryzł się wprawdzie z powodu braku postępu w działaniu zmierzającym do wyzwolenia Yve od nieznanymi okropności, ale też i odczuwał spokój, wiedząc przynajmniej, że zostanie zaproszony ponownie.

Już po dwóch dniach kierujący zespołem muzyk zaoferował Bramowi pracę i własny pokój na zamku. Jedno i drugie zostało przyjęte ze skwapliwością i wkrótce marynarz stał się uznanym członkiem zamkowej społeczności. Wraz z tym przyszła tak potrzebna mu do poszukiwań i układania planów uwolnienia Yve swoboda. Postępował ostrożnie, wiedząc, że każdy popełniony teraz błąd byłby fatalny w skutkach i z pewnością pozostawiłby Yve w jeszcze gorszym położeniu. Niemniej jednak musiał podejmować pewne ryzyko, a kiedy został zaczepiony przez żołnierza w pobliżu wejścia do lochów, wyjaśnił, że będąc nowicjuszem na zamku po prostu się zgubił. Powoli gromadził coraz więcej potrzebnych mu informacji.

Za kilka dni powinni dać koncert zaplanowany jako część uroczystości towarzyszących pierwszej rocznicy ślubu pary królewskiej. Oczekiwano wielu gości i zamek miał się zapełnić obcymi twarzami. Bram zamierzał wykorzystać ten fakt.

Wciąż od czasu do czasu widywał się z Klarą, ale zamknął swe serce i nie dopuszczał, by ten związek się rozwijał. Bez względu na to, co miałyby sobie o nim pomyśleć, w ostatecznym rozrachunku lepiej będzie dla niej, by nikt nie łączył ich ze sobą. Gdyby zamierzona ucieczka doszła do skutku, jakakolwiek wiadomość o łączącej go z nią przyjaźni sprowadziłaby na nią prawdziwe niebezpieczeństwo. Klarę bolała jego postawa, ale sądząc, że serce Brama wciąż należy do innej, z filozoficzną rezygnacją zaakceptowała tę sytuację.

Nim nadszedł dzień, w którym miał się odbyć koncert, Bram uznał, że wie wystarczająco dużo o planach zabudowy zamku. Wiedział, gdzie strażnik więzienny trzyma klucze, a nawet domyślał się, w której celi więziona jest Yve. Zaplanował trasę ucieczki, a jego zamierzenia dla wszystkich strażników nie zajętych uroczystością były jasne jak słońce. Jak zawsze nade wszystko przedkładał działanie bezpośrednie.

Wieczorna ucztą była olśniewającym wydarzeniem. Muzycy zostali przyjęci entuzjastycznie przez królewskich gospodarzy i ich gości, ale szybko o nich zapomniano w natłoku innych wydarzeń. Bram wyslizgnął się niepostrzeżenie, podczas gdy jego koledzy zamierzali po wykonaniu swego zadania dogodzić sobie jak najlepiej i chcieli wziąć udział w uroczystościach.

Zabrał kilka potrzebnych mu rzeczy i ruszył ukradkiem przez niemal całkowicie wyludnione niższe poziomy zamku. Dotarł przez nikogo niezatrzymany do pomieszczenia zajmowanego przez strażnika więziennego i ku swemu zaskoczeniu – i wielkiej radości – zastał je puste. Wślizgnąwszy się szybko do środka zabrał dwa kółka z kluczami, trzymając je ostrożnie, tak by jak najmniej dźwięczały. W drugiej ręce dzierżył sztylet.

Klucz od zewnętrznych drzwi lochów tkwił w zamku i to zaoszczędziło mu wiele cennego czasu. Wkroczył do środka, zabierając klucz, i zamknął drzwi za sobą. Po kilku chwilach, potrzebnych, by jego oczy przyzwyczyły się do przyćmionego światła, Bram zszedł po prowadzących w dół stopniach tak cicho, jak potrafił. Na dole ogarnęło go nieprzyjemne, zimne i przesycone wilgocią powietrze. Otrząsnął się i ruszył dalej.

Pierwsze trzy cele były puste, w czwartej zaś znajdował się nędznie wyglądający mężczyzna, który poruszył się niespokojnie we śnie, gdy Bram zajrzał przez kraty. Nie mógł jednak tracić czasu, więc poszedł dalej. Dziwne, nerwowe mrowienie przebiegło mu po ciele i rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł nikogo. Przy następnych drzwiach niemal wykrzyknął z ulgi. W środku leżała Yve, pogrążona w głębokim śnie. Szybko zaczął wypróbowywać różne klucze. Pierwsze cztery nie pasowały, ale hałas zbudził czarodziejkę. Spojrzała na Brama z niedowierzaniem, potem podniosła się szybko, gdy z palcem na ustach zasygnalizował jej milczenie.

Lecz zanim zdołał wypróbować następny klucz, drzwi znajdującej się naprzeciwko celi otworzyły się gwałtownie i wyłonili się z niej dwaj żołnierze z wyciągniętymi mieczami. Yve krzyknęła ostrzegawczo, ale było już za późno i mogła tylko przyglądać się bezsilnie, jak Bram uderzony w głowę pada na ziemię.

–Mieliśmy na ciebie oko, grajku – powiedział jeden z żołnierzy, szczerząc zęby w paskudnym uśmiechu. – Teraz dołączysz do swojej przyjaciółki w tych lochach.

Mówiąc to wrzucili jego bezwładne ciało do celi, w której byli ukryci, zabrali klucze, zamknęli drzwi i odeszli.

Yve słuchała ich przerywanej śmiechem rozmowy, dopóki nie ucichła w oddali.

–Bram – zawołała cicho. – Bram?

Nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Yve leciała. Siedziała na karku Słodyczy, zarazem przestraszona i rozradowana. Wokół przemykały błyszczące w słońcu chmury, patrzyła na nie, jakby szybowała ponad górami. Krzyknęła, ale nie usłyszała swego głosu.

Smok zmienił nagle kierunek lotu i czarodziejka przywarła jeszcze mocniej do swej niepewnej grzędy. Potem zaczął nurkować; to właśnie wówczas Yve zauważyła, że Słodycz zmienił kolor. Nawet jej własne ręce wydały się jej obce...

Nagle oślepla. Chmury, takie białe, gdy się patrzyło na nie z wysoka, okazały się zimne i ciężkie jak ołów; zakryły dosłownie wszystko, kiedy w nie weszli. Jakby się nie poruszali – pozostał jedynie gwałtowny odgłos ich lotu.

W końcu wyłonili się z chmur – ponad ciemnym i posępnym krajobrazem. Daleko w dole zlewały się szare morza, a ziemię chłostały wściekle deszcze i huragany. Pośrodku tego całego tumultu ogromny wulkan wyrzucał z siebie płomień i popiół, cuchnący siarką dym i ognistą czerwoną lawę.

Smok się zawahał.

Na dół! – rozkazała, choć część jej umysłu krzyczała w panicznym pragnieniu odwrotu.

Spadali jak kamień, prosto w ziejącą paszczę wulkanu.

Czarodziejka przebudziła się; chwyciła otwartymi ustami powietrze. Zmusiła się, by otworzyć oczy i spojrzeć na wilgotną, brudną celę, która teraz była jej domem. Jednak rzeczywistość nie zdołała rozproszyć tego, co przyniósł sen. Wciąż czuła skurcz żołądka, jakiego doznała, gdy zaczęli spadać, serce wciąż biło jak oszalałe, a pot na jej skórze nic nie stracił ze swego lepkiego chłodu. Nawet na jawie sen trwał dalej, walcząc z jej świadomą jaźnią o kontrolę nad umysłem.

„Z pewnością wpadam w obłąd – pomyślała z rozpaczą. – Bo cóż to może być innego? – A jednak wiedziała, że wątpiąc w swe zdrowe zmysły jednocześnie zaprzecza własnemu twierdzeniu. – Kiedy rzeczywiście oszaleję, nie będę o tym wiedziała... bo wówczas nie będzie mnie to w ogóle obchodziło”. – Uśmiechnęła się w ciemności.

Straciła wszelkie poczucie tego, jak długo już jest więziona. Dnie i noce przechodziły tutaj tak samo puste, a miesiące mijały z otępiającą monotonią. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, były kroki strażnika, który wpychał jej skąpy posiłek przez otwór znajdujący się w podstawie drzwi. Nigdy się nie odzywał.

Głos Brama był ostatnim ludzkim głosem, jaki się do niej odezwał. Po tym, jak stracił przytomność od uderzenia, nie odzywał się tak długo, tak, że Yve zaczęła się obawiać o jego

życie. Jednak później usłyszała, jak się porusza, i zawołała go. Jej niedoszły wybawca odpowiedział słabym głosem, mamrocząc usprawiedliwienia. Wkrótce potem wrócili strażnicy i wyprowadzi go z celi. Powiedli potykającą się postać w głąb lochów i w ten sposób unicestwili wszelką nadzieję na kontakt.

Yve zaczęła w końcu wierzyć, że stała się zapomnianą ofiarą jakiejś strasznej pomyłki. Z pewnością po wszystkich tych nieszczęsnych dniach ktoś winien był przyjść i wyjaśnić jej, dlaczego ją aresztowano, podać powód uwięzienia – nawet gdyby oznaczało to, że ma umrzeć za przestępstwo, którego nie potrafi zrozumieć lub, którego nie popełniła. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Po uwięzieniu Brama Yve nie widziała żadnej możliwości zmiany swojej sytuacji, chyba, że władza, która ją tu zamknęła, uzna za stosowne przypomnieć sobie o jej istnieniu.

Do tego czasu tylko sny mogły dać jej jakąś namiastkę wolności – a te okazały się wątpliwym dobrodziejstwem. Yve zadrzała, przypominając sobie straszliwe obrazy, a potem potrząsnęła głową i przemówiła na głos, cytując ulubione powiedzenie swego starego mistrza: „Sny są zniekształceniem rzeczywistości, Można uczyć się z nich, ale nie można im ufać”. Słowa te dodały jej odrobinę otuchy, bo przynajmniej brzmienie jej głosu było prawdziwe.

Paradoksalne, ale jedyną rzeczą, która stanowiła prawdziwą pociechę w tej ciężkiej próbie, był ten aspekt jej życia, który nie występował w normalnej rzeczywistości. Słodycz odwiedzał ją często, chociaż wiedziała, że nie lubi przebywać w tym miejscu, a milczące rozmowy, jakie z nim prowadziła, napełniały ją tak potrzebną jej otuchą. Ich wzajemny stosunek zmienił się – rozwinął poza początkowe zaciekawienie i niezobowiązującą przyjaźń, i teraz wierzyła już bez żadnych zastrzeżeń, że smok jest jej prawdziwym przyjacielem. Wiele razy wpadali w przygnębienie usiłując znaleźć sposób, w jaki Słodycz mógłby pomóc Yve w ucieczce, ale niezdolność smoka do oddziaływania bezpośrednio na jakąkolwiek rzecz w jej świecie wciąż i wciąż pozostawiała ich nurzających się w bagnie beznadziejnego teoretyzowania. Czarodziejka musiała zadowolić doniesieniami z zewnętrznego świata i właśnie w ten sposób dowiedziała się, że Bram wciąż jest więziony. Miała nadzieję, że odosobnienie nie złamie go na duchu. Podjęta przez niego próba uwolnienia Yve była aktem odwagi, ale czarodziejka obwiniała się jego niepowodzenie. Myśl, że mógłby zakończyć swoje dni zamknięty w ciemnej celi, po życiu spędzonym na rozświetlonych, otwartych morzach, była zbyt okropna, by ją rozważać. Nie zasłużył sobie na taki los i Yve przysięgła, że jeśli kiedykolwiek zdarzy się szansa, aby opuścić to miejsce, nie odejdzie bez niego.

Chociaż okazało się, że poruszanie się po lochach przychodzi Słodyczy z trudem, a nawet nie bez bólu, to jednak przynosił Yve wieści o innych więźniach. Szarokóry mężczyzna, którym jak sądziła, musiał być Saronno, wciąż leżał w swojej celi, nieporuszony i niezmienny, choć mijały kolejne miesiące. Kilku innych również marniało w dobrze odizolowanych od siebie celach. Słodycz donosił, że jeden czy dwóch więźniów mówią do siebie bez żadnego sensu; inni krzyczeli do obojętnego strażnika, żądając, by przestrzegano ich statusu posłów. Smok kilkakrotnie słyszał wzmianki o Arce i z jego meldunków Yve domyśliła się, że przynajmniej czterech z jej współtowarzyszy niedoli pochodzi z tej wyspy. To dało jej nieco do myślenia, ale

ich uwięzienie nie miało dla niej więcej sensu niż jej własne położenie.

Niewiele zmieniało się w mrocznym świecie pod Zamkiem Ahrenhold. Słodycz opowiadał Yve o wydarzeniach zachodzących w mieście, ale ona straciła wszelkie wyobrażenie świata na zewnątrz i jego słowa niewiele znaczyły. Tak, więc w końcu ich rozmowy zwróciły się ku innym sprawom: różnicom pomiędzy ich dwoma światami, naturze czasu i przestrzeni, temu, co jest solidne, a co nie – i tak dalej. Podczas dyskusji Słodycz często bywał zmieszany i opryskliwy, rozdrażniony tym, że rzeczy, które uważał za oczywiste, wymagają tak wielu wyjaśnień, i w konsekwencji wątpliwości Yve zostały tylko częściowo rozwiane. Usiłując sobie jakoś pomóc, Yve próbowała zrobić z tego zabawę, ale smok szybko przejrzał jej taktykę i odmawiał udziału w tej grze.

Tak oto stało się, że – kiedy dni rozciągnęły się w miesiące, a na świecie za murami zapanowała zima – czarodziejka i smok, by jakoś zabić czas zaczęli sobie opowiadać historie, które przynajmniej na chwilę pozwalały Yve uciec od przygnębiającego otoczenia pokrytych pleśnią kamieni i żelaznych sztab.

Początkowo Słodycz niechętnie występował w roli narratora woląc słuchać, lecz Yve stopniowo przekonała go, by zdobył się na ten wysiłek. Bardzo szybko wykazał się nieoczekiwanymi talentem gawędziarskim. Jedną z ulubionych opowieści czarodziejki, o której Słodycz twierdził, że wymyślił ją sam i która powtarzał kilka razy w nieco różniących się wersjach, nosiła tytuł „Nieoczekiwany wir”.

Dawno, dawno temu, w czasach, których nikt już z wyjątkiem nielicznych nie pamięta, żył sobie mały chłopiec zwany Belado, który mieszkał z pewną panią, władczynią wielkiego królestwa. Ludzie nazywali ją Smoczą Panią, ponieważ w jej zamku wisiało wiele obrazów przedstawiających te dzikie i waleczne stworzenia.

Yve uśmiechnęła się. Słodycz nie potrafił się powstrzymać, kiedy była mowa o smokach – tym bardziej w swojej opowieści,

Smocza Pani nie była matką Belada, ale okazywała mu niezwykłą dobroć i kochali się ogromnie. Towarzyszami zabaw chłopca były dzieci takie same jak on – również nie miały rodzin i wyrastały na zamku wielkiej pani bawiąc się i ucząc. Najbardziej ze wszystkiego uwielbiali stare opowieści o wojownikach, legendy o wielkich i bohaterskich czynach; nawet dziewczęta pragnęły wykazać swoją wartość w bitwie.

Pewnego upalnego letniego dnia dzieci zostały zwolnione z lekcji i otrzymały pozwolenie, by wykąpać się w pobliskim jeziorze. Poszła z nimi dziewczyna, by ich przypilnować, ale zaniedbała swoich obowiązków. Wkrótce po przybyciu nad jezioro zasnęła w ciepłym słońcu, pozostawiając dzieci samym sobie. Ośmioro z nich wgramoliło się do łodzi i wypłynęło na jezioro. Było niezmiernie wesoło, – choć nieco tłocznie, – więc krzyczały i śpiewały radośnie. Jednak po chwili ucichły, jedno po drugim. Coś było nie tak. Nawet wiosłując wszystkie razem, nie potrafiły skierować łódki tam, gdzie chciały. Ale skąd w jeziorze miałby się wziąć prąd? Pomimo

ich rozpaczliwych wysiłków, aby dopłynąć do brzegu, łódka zaczęła się kręcić w kółko. Początkowo powoli, potem coraz szybciej i szybciej. A potem zaczęła się trząść i chwiać tak mocno, iż dzieci nabrały pewności, że wszystkie wypadną. Krzyczały o pomoc, ale opiekunka spała, a reszta sądziła, że tylko się bawią.

Kiedy wraz z przyprawiającym o mdłości wstrząsem jezioro zniknęło pod nimi, w łódce zapadła głucha cisza. To było straszne!

Działo się coś złego, a one nie wiedziały, co robić. Były bardzo przestraszone. Belado spojrzął w dół przez burzę i zobaczył pod łodzią wirującą, kręcącą się, ryczącą masę wody – znajdowali się w samym centrum wiru!

–Pomocy! – krzyknął tak głośno, jak mógł. – Pomóżcie nam!

Przez kilka chwil słyszały tylko dźwięk rwącej wody. Ale potem – o, radości! – potem usłyszały uderzenia ogromnych skrzydeł i olbrzymi złoty smok pojawił się na niebie ponad nimi. Rzucił się w dół jak atakujący jastrząb, zanurkował pod łódką, umieścił ją sobie na grzbiecie, a potem skierował się do brzegu.

Dzieci wydostały się z łodzi na drżących nogach i spojrzały ze zgrozą na wielkie stworzenie. Więc smoki istnieją naprawdę!

–Dziękuję ci – powiedział Belado ochrypłym głosem, wciąż ogromnie przestraszony. A głos w jego głowie odparł:

–Nie ma, o czym mówić. Po to właśnie jestem, aby ratować od niebezpieczeństw tych, którzy tego potrzebują. Chociaż należy się wam słowo przestrogi: strzeżcie się wirów, szczególnie nieoczekiwanych wirów.

I Belado wiedział, że przez resztę życia będzie niezwykle ostrożny i będzie wystrzegał się wirów. Utemperowane tą nauką dzieci ruszyły do domu. Wiedziały, że któregoś dnia nadejdzie ich czas i otrzymają szansę, by udowodnić swą odwagę Smoczej Pani. Lecz może jeszcze nie w tej chwili!

Stajesz się niemal tak dobry jak Adara! – skomentowała Yve, gdy historia dobiegła końca.

Nie wydaje mi się – odparł Słodycz z niezwykłą jak na niego skromnością. – Trochę mi do niej brakuje. Ale jutro, kto wie?

Yve roześmiała się, a smok mrugnął szybko, spoglądając na nią błyszczącymi oczyma.

„Dorasta – pomyślała Yve. – Potrafi już z siebie żartować”.

Na zewnątrz rozległy się kroki nadchodzącego strażnika.

Czy mam go przypiec? – zapytał Słodycz.

Było to jego zwykłe pytanie w takiej sytuacji. Milczący dozorca nigdy niczym nie pokazał, by zauważył, że w celi znajduje się dodatkowy mieszkaniec.

Nie - odparła Yve. – Nawet gdybyś mógł, potrzebuję tego jedzenia, bez względu na to jak czasami jest obrzydliwe. Przyniósłbym ci lepsze, gdybym mógł. Wiem. - Yve wzruszył żaloszny ton smoka. – Poza tym, jestem czarodziejką. Potrafię sprawić, by smakowało mi jak cokolwiek lubię.

Homary i kapusta – podsunął Słodycz.

Morele i bita śmietana.

Wino i czekolada!

Pomidory ze szczypiorkiem!

Granaty i szparagi!

Gdy dozorca wepchnął tackę przez otwór, czarodziejka i smok wybuchnęli milczącym śmiechem.

No cóż – skonstatowała w końcu z rezygnacją Yve. – Znowu czerstwy chleb i stęchła, zimna woda.

Zaczęła żuć z determinacją. Dozorca ruszył dalej, by dostarczyć posiłek innym swoim podopiecznym.

Czy Bram wciąż czuje się dobrze?

Myślę, że tak. – Głos smoka zdradzał, że nie jest tego taki pewny. – Dużo śpiewa.

Tak bardzo chciałabym, byś mógł z nim porozmawiać – westchnęła Yve.

Ja też.

Co z Saronnem?

Nie wiem. Ostatnio nie zaglądałem do niego. - Smok zniknął i zaraz wrócił.

Nie ma go w celi – zakomunikował.

Saronno stał wśród znajomego otoczenia królewskiej sali przyjęć, opierając się ciężko na lasce, niegdyś stanowiącej zewnętrzny symbol czarodziejkiej mocy. Jego przyjaciel, wąż Ssor, który dawniej zdobił ramię Saronna, pozostał w celi, głęboko w podziemiach.

Strach czał się w oczach Saronna, ale nie z powodu obawy o własne życie. W rzeczywistości śmierć byłaby mile widzianą możliwością odrzucenia tego, co zmuszony był przyjąć do wiadomości.

–Czy nie ma w zwyczaju klękać przed swoją królową? – uśmiechnęła się zimno Ula.

Saronno nic nie odpowiedział i stał dalej, opierając się na lasce.

–Mogę cię zmusić, sam wiesz – dodała i uczyniła szybki gest ręką.

Kolana ugięły się pod Saronnem, zatoczył się, z bólem chwytając powietrze, aż roześmiała się, dając mu spokój. Czarodziej ponownie wsparł się na lasce, przeklinając swoją niemoc.

–Czego chcesz ode mnie? – zapytał słabym głosem.

–Saronno, dlaczego tak mocno pragniesz wrócić do swojej

–Tam przynajmniej nie muszę słuchać twojego kpiącego języka.

–I wszystkich pozostałych, wliczając w to swój własny – zauważyła Ula. – Śpisz bez snów. Możesz spać przez całą wieczność... i wiecznie będziesz na każde moje skinienie. Czy to ci się podoba, czarodzieju?

Saronno milczał.

–Powiedz mi, co wiesz o Rytuale Yzalbe?

Pytanie go zaskoczyło. Przez chwilę rozważał, czy nie skłamać, lecz zaraz uświadomił sobie, że nie potrafi jej oszukać i postanowił, iż lepiej będzie dać jej to, czego chciała, niż pozwolić, by wyrwała to z jego umysłu siłą.

–Jest to przebudzenie duszy Ziemi – powiedział. – Rytuał umożliwia bezpośrednie połączenie z siłami wewnątrz świata, z mocą, która stworzyła Ziemię i wciąż nią włada. Wyzwała to energie tak ogromne, że w żaden sposób nie mogą być kontrolowane. Odprawiając rytuał można zniszczyć wszystko.

–W jaki sposób dokonuje się to połączenie?

–Są tam drzwi. Wystarczy tylko, by ktoś zapukał w odpowiedni sposób. Jeśli jest się czarodziejem i pragnie się umrzeć... jest to niezwykle prosty sposób, żeby to zrealizować.

–Czy każdy czarodziej może tego dokonać.

Saronno spojrzał na nią pogardliwie.

–Żaden czarodziej z żadnej wyspy by tego nie zrobił. Byłoby to szaleństwo.

–Zatem rytuał nigdy nie został odprawiony?

–Tylko raz. Zakończył tak zwaną Wojnę Czarodziejów, ale ceną było powszechne zniszczenie. Więcej się to nie powtórzy.

Ula uśmiechnęła się.

–Możesz już iść – powiedziała i odwróciła się, odprawiając go.

Weszło dwóch żołnierzy, by odprowadzić zgarbionego czarodzieja z powrotem do lochów. Królowa przystanęła, jak gdyby coś jeszcze przyszło jej do głowy.

–Czekaj! Mam dla ciebie zagadkę. Czarnoksiężskie rymy. –

Znowu się uśmiechnęła, widząc, jak twarz Saronna przybiera wyraz obrzydzenia. – Powiedz mi, co to znaczy:

Dziecko z magii zrodzone i lotem napiętnowane

Swój niemy głos do głosów innych dodaje.

Po kilku chwilach zastanowienia stary człowiek wzruszył ramionami.

–To bzdura – orzekł. – Żaden czarodziej nie może mieć dzieci. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. To oznacza, że reszta musi być tak samo nonsensowna.

–Dzięki ci, wielki mędrco – zakpiła. – Śpij dobrze dopóki znowu po ciebie nie poślę. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Zabierzcie go.

Saronno schodził wolno w ciemność. W środku aż kipiał z bezsilnej nienawiści.

„Daj mi szansę! – myślał. – Tylko jedną!”

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Szary człowiek wrócił – zameldował Słodycz i nadzieja Yve, że w końcu być może coś się wydarzy w jej niezmiennym świecie, zgasła.

– Nawet nie próbuj mnie oszukiwać, córko! – Obraz w kamieniu zadrzał, gdy twarz Alzeda ściągnęła się w złości. Unieruchomiwszy Ulę swymi okrutnymi, wypłowiałymi oczami, mówił dalej: – Za dużo sobie pozwalasz, a to nie jest mądre. Wiedziałaś, jakie są moje zamiary wobec czarodzieja, a jednak mnie nie posłuchałaś!

– Ależ on jest moim niewolnikiem, ojcze! – krzyknęła Ula.

– Twoim? Właściwiej byłoby powiedzieć: moim! A ja tego nie chcę. I to kończy całą sprawę.

– Ależ to zwykle marnotrawstwo!

– Nie próbuj się usprawiedliwiać, Ula. Ta moc, którą posiadasz, jest na moje rozkazy. Widzę, że będę musiał dać ci nauczkę.

Obraz zniknął i szklana kula spoczywająca w rękach królowej znowu stała się nieprzezroczysta, biała i niczym niewyróżniająca. Odłożyła kulę trzęsąc się z gniewu. Ula nie zgadzała się ze swoim "ojcem", ale wiedziała, że jest niezmiernie potężny i może ją powstrzymać w jej dążeniu do osiągnięcia własnych celów. Zezłościło ją, że się dowiedział o Saronnie. Ktoś jej za to zapłaci. Co miał na myśli mówiąc o „daniu jej nauki”? Niespodziewanie kamień wizji zmienił kolor, ale zamiast wytworzyć zwykły obraz, zaczął jarzyć się głęboką, złowrobną czerwienią. Drgania mocy przebiegły przez powietrze. Ula wytrzeszczyła oczy w niedowierzaniu. "W jaki sposób może działać z tak daleka? – pomyślała. – Co on robi?"

W swej celi, głęboko w podziemiach, Saronno się poruszył. "Co teraz?" – pomyślał ponuro, a potem uświadomił sobie, że nie jest to zwykle wezwanie. Świat wokół niego się zmieniał. Czary, które sprawiały, że mury lochu były jeszcze bardziej nieprzenikalne niż sam kamień, kruszyły się – czuł, jak powraca odrobina jego dawnej mocy!

Szybko podniósł się ze swego kamiennego łóża. Ssor przyglądał mu się oczami, które znowu stały się czujne. Czarodziej nie znał powodu zmiany, ale też nie dbał o to. Jeśli miało się to okazać jego jedyną szansą na wolność – nawet za cenę śmierci – wykorzysta ją z całą gotowością. Zbadał celę, sondując jej bariery zarówno umysłem, jak i oczami. Żelazne sztaby i zamek uniemożliwiały pokonanie drzwi, a kamienne ściany były bardzo grube. „Nie mam jeszcze dość mocy” – pomyślał, ale czuł, że z każdą chwilą staje się silniejszy. Odwrócił się do Ssora i przekazał wskazówki swemu przyjacielowi; wąż prześlizgnął się szybko przez otwór do podawania jedzenia w drzwiach i popęzł wzdłuż korytarza.

Yve i Słodycz również odczuli różnicę. Zadrżeli bezwiednie i spojrzeli po sobie pytająco.

Co się dzieje? – dopytywał się smok, a jego głos zabrzmiał jak głos dziecka.

Nie wiem.

Czy mam wyjść i dowiedzieć się?

Yve skinęła głową, a on zaczął prześlizgiwać się przez ścianę na korytarz.

Jest tutaj wąż – doniósł.

Idź i zobacz, co z szarym mężczyzną – poleciała Yve. – Szybko!

Gdy Słodycz oddalał się, czarodziejka wyjrzała przez kratę w drzwiach i zobaczyła pełznącego węża, kierującego się ku schodom. – „Wreszcie ktoś ucieka” – pomyślała.

–Ojczy, co robisz?

Kamień wciąż jarzył się czerwienią, gdy przekazywał odpowiedź.

–O ile nie mylę się zbyt, masz zmiję w swoim gniazdku, Uwolniłem ją. Przypuszczam, że teraz będziesz skłonna wykonać mój rozkaz. – W głosie Alzeda słychać było rozbawienie.

–Lochy! – krzyknęła Ula. – Ty szaleńcze, co zrobiłeś?

–Walcz dobrze, córko. Wykorzystaj to doświadczenie, by nauczyć się, jak mądrze posługiwać się swoim własnym talentem, zamiast trwonić pożyczoną moc. Oczywiście masz przed sobą proste rozwiązanie, rozwiązanie, z którego powinnaś skorzystać już dawno temu.

–Straże! – krzyknęła królowa.

Słodycz wetknął głowę w zamknięte drzwi celi Saronna. Czarodziej przyjrzał mu się bez zdziwienia.

–Interesujące – powiedział, gdy smok mrugnął powoli. – Czyją iluzją jesteś? Królowej? Nie przestraszysz mnie.

Słodycz, zmieszany, potrząsnął głową.

–Więc słyszysz mnie, prawda? Zatem powiedz swojej pani: nie poniży mnie już więcej. Niech stawi mi czoło, jeśli się ośmieli!

Czarodziej przybrał dramatyczną pozę, wyciągając drżący palec w stronę głowy smoka. W mrocznym powietrzu rozległy się trzaski energii. Słodyczy nic się nie stało, ale kamienne odrzwia wokół niego zaczęły pękać i kruszyć się. Prerażony cofnął się i wrócił do Yve.

Nie śpi... i jest zły – zameldował. – Kazał, bym ci powiedział... tak myślę... – Słodycz

powtórzył słowa Saronna.

Zaintrygowało to Yve. A jednak coś się wydarzyło, to przynajmniej było jasne.

Co to jest iluzja? – zapytał smok.

Dozorca dobrze się bawił. Siedział z nogami wyciągniętymi na stole i przyglądał się twarzy swego gościa.

–Dlaczego sądzisz, że on tutaj jest? – zapytał, rozłupując następnego orzecha pomiędzy zepsutymi zębami.

–Plotki – odparła Klara. – Poza tym, nie mógł tak po prostu zniknąć. Grał z muzykami na uczcie i od tego czasu nikt go nie widział.

–Prawdopodobnie upił się, przewrócił i utopił w jakiejś kałuży.

–Gdyby coś takiego naprawdę się wydarzyło, zostałby znaleziony. Wiedziałabym o tym.

–Ale dlaczego taki miły chłopiec miałby się tutaj dostać?

–Ja nie wiem – odparła Klara, – ale ty tak. Czy jest tam?

–Ile to będzie warte? – Dozorca łypnął na nią lubieżnie.

–Jesteś okrutnym człowiekiem... – zaczęła Klara, ale zaraz przerwała, jej uwagę zwróciło, bowiem jakieś poruszenie w wejściu. Niemal krzyknęła, lecz wąż uniósł głowę i spojrzał na nią z taką przeszywającą jasnością i niesamowitym spokojem, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

–Taka już jest ta praca – odparł dozorca, nieświadom, że coś odwróciło uwagę jego gościa. – Sprawia, że stajesz się okrutny. Chociaż potrafię być miły dla kobiety.

Klara rzuciła mu szybkie spojrzenie. Chociaż mdlił ją jego lepki ton i fałszywy uśmiech, zmusiła się, by mu odpowiedzieć.

–Więc o to chodzi?

Mężczyzna skinął głową. Za nim Ssor sunął w stronę haków, na których wisały kółka z kluczami. Klara obserwowała go kątem oka. Wąż wydał jej się znajomy, ale nie miało to jednak żadnego sensu. Stała jak urzeczona.

Dozorca spuścił nogi ze stołu i powstał.

–Sądzę, że powinniśmy być dla siebie mili – powiedział ochryplym głosem. – Potem... może... może będę mógł ci przekazać parę informacji o twoim przyjacielu. Mam wygodny pokój trochę

niżej. – Zaczął się odwracać.

–Nie – rzuciła szybko Klara i uśmiechnęła się tak miło, jak potrafiła. – Dlaczego nie tutaj?

Dozorca wyszczerzył zęby.

–Jesteś zuchwała – powiedział, przysuwając się do niej, a ona szybko wsunęła się za stół. – Więc chcesz się podroczyć, co? – Jego słowa rozplynęły się w bełkotliwym krzyku, gdy Ssor zatopił w jego łydce zęby jadowe.

Dozorca zatoczył się, młócąc dziko powietrze rękami, oczy wyskoczyły mu z orbit i upadł na ziemię. Jeszcze przez chwilę jego ciało poruszało się słabo. Klara przyglądała się temu przejęta grozą. „Teraz ja?” – przemknęło jej przez głowę, ale wąż nie zwracał na nią uwagi. Sięgnąwszy swym zwężającym się chwytnym ogonem Ssor zręcznie zrzucił jedno z dwóch dużych kółek z kluczami z haka, a potem opuścił pokój ciągnąc klucze za sobą. Klara przyglądała się ze zdumieniem, jak wąż spełza po schodach do lochów. Nie zastanawiając się porwała drugi zestaw kluczy i ruszyła za nim.

Zwolniła kroku, gdy światło przygasło, nie będąc pewna, czy przy następnym kroku znajdzie oparcie dla stóp. Nigdzie nie było ani śladu węża.

–Bram? – zawołała nieśmiało, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. – Bram! – Wraz z echem jej krzyku wróciły do niej inne głosy, a wśród nich ten, którego szukała. Ruszyła dalej

–Klara?

To był on.

–Jak się tu dostałaś?

Zanim zdołała odpowiedzieć, jakiś mężczyzna o przerażająco szarej skórze wyłonił się z ciemnego przejścia, z węzem owiniętym wokół ramienia. Klara skamieniała ze strachu, lecz Saronno tylko wręczył jej drugi zestaw kluczy, wskazując jeden z nich.

–To jest klucz wytrych – powiedział. – Otwiera każde z tych drzwi. Wypuść wszystkich, tylko zrób to szybko. Będzie to mała dywersja, jeśli już nic innego. Ja mam inne sprawy do załatwienia. – Ruszył dalej szybkim krokiem, pozostawiając za sobą wstrząśniętą i przestraszoną Klarę. – Wypróbuj go! – ponaglił Bram.

Jej ręce były jak pozbawione czucia. Powoli, niezdarnie, włożyła klucz do zamka. Początkowo nie chciał się przekręcić, ale nie ustawała w wysiłkach i wkrótce została nagrodzona stłumionym, zgrzytliwym dźwiękiem. Drzwi otwarły się i padli sobie w ramiona. Bram wziął od niej klucze.

–Gdzie Yve?

–Kto?

–Kobieta o jasnych włosach.

–Och... nie wiem... – zawahała się.

–Musisz stąd wyjść – powiedział Bram. – Wkrótce będą się tu bić. Idź już! Uciekaj! – Pocałował ją. – Dziękuję ci, Klaro.

Odwróciła się i pobiegła, a Bram zaczął przesuwac się od drzwi do drzwi, otwierając je. Z cel wyszło sześciu mężczyzn; przyglądali mu się podejrzliwie, ale nie kwestionowali uśmiechu losu. Mieszkańcy innych cel albo nie mogli, albo nie chcieli wyjść, lecz Bram nie miał czasu, by się o nich troszczyć. Zaczął tracić nadzieję na odnalezienie Yve, ale wtedy właśnie usłyszał jej głos. Podbiegł do jej drzwi, użył klucza, uściskał ją szybko i wyszli na korytarz.

Ośmiu więźniów spojrzalo po sobie.

–Co się dzieje? – zapytał jeden.

–Nie wiem – odparł Bram – i nie będę się tu wałesał, żeby się dowiedziec.

–Na górę?

–Tak – zgodził się marynarz. – Czy możesz nam pomóc, Yve?

Czarodziejka wzruszyła ramionami.

–Moja moc nie działa tutaj, na dole. Może Słodycz będzie mógł.

Inni więźniowie wyglądali, jakby nic z tego nie rozumieli.

–Chodźmy – powiedział Bram i ruszył pierwszy. W pobliżu szczytu schodów zatrzymali się. Na górze, z rozpostartymi ramionami, zwrócony do nich plecami, stał Saronno.

Wszędzie wokół niego kłębiły się fale mocy, podobne płynnym błyskawicom, migocząc miriadami barw. Były to zmagania, które tylko Yve potrafiła zrozumieć i właśnie ona poczuła, jak jej nadzieje upadają. Zbliżyła się do czarodzieja, reszta zaś pozostała w tyle. Wyczuł jej obecność i powiedział:

–Przywraca swoją osłonę. Nie wytrzymam tego zbyt długo. Wyjdź, jeśli tylko będziesz mogła. – Jego głos odzwierciedlał napięcie, z jakim działał.

Yve skinęła na pozostałych i prześlizgnęła się obok Saronna. Słodycz podązał tuż za nią. Czarodziej dojrzał go i popatrzył na Yve z nowym zainteresowaniem.

–Więc to twój smok – wychrypiał. – Dobrze. Pomścij mnie, jeśli będziesz mogła. – Nogi ugięły

się pod nim, gdy minęli go ostatni więźniowie.

Dwóch uciekinierów wpadło do wartowni, wynosząc stamtąd trzy miecze, kij i cztery noże. Mężczyźni szybko rozdzielili broń między sobą. Yve obserwowała Saronna i magiczną bitwę, która szalała wokół niego. „To właśnie on miał być przez to tutaj zatrzymany – pomyślała. – Te moce w ogóle mnie nie zauważają”. Twarz czarodzieja ściągnięta była bólem, gniewem – i nieustępliwym wyzwaniem.

–Idźcie! – ponaglił. – Już! Ona nie wie...

Zaraz potem do zewnętrznego korytarza wpadli żołnierze z obnażonymi mieczami i w jednej chwili wywiązała się walka, Napastnicy przewyższali liczbą więźniów, ale ci nie mieli najmniejszej ochoty wracać do lochów i walczyli z ostateczną determinacją. Niemniej jednak pięciu z nich padło, zanim odparto pierwszą falę strażników.

Gdy pojawiła się druga grupa żołnierzy, Yve instynktownie wniosła wokół siebie, Brama i ich ostatniego towarzysza osłonę. Przypomniała sobie przelotnie, że przecież brakuje jej mocy, kiedy zaskoczona zobaczyła, jak atakujących opanowuje niepewność i zaczynają uderzać mieczami gdzie popadnie.

–Idźcie! – naciskał Saronno.

Rzuciwszy mu ostatnie rozpaczliwe spojrzenie Yve przynagliła swoich towarzyszy do ucieczki. Kiedy pędzili małym przejściem, pozostawili za sobą kilku otumanionych strażników, którzy stwierdziwszy, że sprzętnięto im ich ofiary sprzed nosa, zwrócili się ku jednemu pozostałemu celowi.

Przeznaczywszy swą moc na coś innego, Saronno nie mógł obronić sam siebie. Jego ostatnim wyzywającym gestem było uwolnienie Ssora, którego śmiertelna trucizna zabiła dwóch przeciwników, zanim miecz pozbawił węża życia. W chwilę później jego mistrza spotkał taki sam krwawy los, któremu wyszedł na spotkanie z ponurym uśmiechem satysfakcji na ustach.

Troje zbiegów kulilo się w ciemnej alkwie, nad słuchując odgłosów pogoni. Słodycz zniknął.

–Chodźmy – szepnęła Yve. – Musimy się stąd wydostać, nim będziemy mieli na karku coś więcej niż szukających nas żołnierzy.

–Czary? – zapytał ich nowy towarzysz. – Skąd wiesz?

–Jestem czarodziejką – odparła krótko. – Chodźmy. Tędy.

Wykorzystując naturalne osłony i czarodziejski instynkt Yve wydostali się z zamku i stwierdzili, że na zewnątrz panuje głęboka noc. Zapuścili się w labirynt miejskich ulic i wkrótce nabrali pewności, że nikt ich nie ściga.

–Pewnie minie niewiele czasu, nim ogłoszą alarm – powiedział Bram. – Będę się czuł o wiele lepiej, jeśli przed świtem wydostaniemy się z miasta.

–Zgadza się – poparł go drugi mężczyzna. – Dziękuję wam za pomoc. Nie sądziłem, bym kiedykolwiek jeszcze zobaczył gwiazdy. Nazywam się Gale. Jestem waszym dłużnikiem.

–Bram i Yve – odparła czarodziejka. – Co chcesz teraz zrobić, Gale?

–Spróbować znaleźć jakiś statek i wrócić na Arkę.

–Na Arkę?

–Byłem posłem na tej przeklętej wyspie. To, że przybyłem z Arki, okazało się wystarczającym przestępstwem, by mnie uwięzić. Trzech z mężczyzn, którzy padli w walce, to moi towarzysze – dodał ponuro. – A dokąd wy zmierzacie?

Yve i Bram spojrzeli po sobie, a Gale zauważył wyraz ich twarzy.

–Więc pójdziecie ze mną – powiedział.

Skradzione przez nich konie bezustannie zwiększały odległość dzielącą ich od Ahrenhold, a Yve czuła się coraz gorzej i gorzej. Kuliła się w siodle, ledwo będąc w stanie utrzymać wodze i drżała nękana mdłościami. W końcu Bram uparł się, by się zatrzymali i dali odpocząć czarodziejce. Napiała się lodowatej wody ze strumienia, nie poczuła się jednak lepiej, więc wkrótce ruszyli dalej.

Kierowali się na północ, nie mając żadnej nadziei, by „Alesia” i jej załoga wciąż jeszcze mogły przebywać w Innis. Istniał większe prawdopodobieństwo znalezienia statku płynącego na Arkę w jednym z północnych portów. Wczesnym zmierzchem dotarli do portowego miasta Lecom i znaleźli obskurną tawernę w pobliżu doków.

Yve cały czas czuła się źle i nie mogła na to znaleźć żadnego lekarstwa. Jej myśli wciąż dręczyło podejrzenie, że tę słabość wywołało coś innego niż zwykle zmęczenie. Jadła wraz z innym, ale nie czerpała z tego żadnej przyjemności, choć dania były całkiem niezłe.

Dyskretne próby zasięgnięcia języka ujawniły całkowitą niechęć kogokolwiek do wypłynięcia na morze, szczególnie w kierunku wysp na północnym zachodzie – Healdy i Arki. W końcu Bram i Gale postanowili ruszyć dalej i spróbować gdzie indziej. Dwie pary oczu śledziły ich uważnie, gdy się podnosili, pomagając wstać Yve, i wychodzili do stajni. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, dwóch pijących mężczyzn podniosło się szybko i wyszło drugim wyjściem.

Bram i Gale posadzili na siodle czarodziejkę, niemal już nieprzytomną, i wyprowadzili wszystkie trzy wierzchowce na ulicę. Ruszyli w poszukiwaniu jakiejś tawerny z pokojami do wynajęcia – i być może bardziej sprzyjającą im klientelą.

Minęło niewiele czasu, gdy Gale zauważył:

–Jesteśmy śledzeni.

Bram rzucił okiem do tyłu i w przyćmionym świetle zobaczył dwóch mężczyzn. Gdy się im przyglądał, ruszyli biegiem.

„Och, nie! Tylko tego nam było trzeba” – pomyślał i wyciągnął miecz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wiedząc, że ucieczka jest niemożliwa – Yve nie była, bowiem w stanie utrzymać się w siodle – Bram patrzył na zbliżających się napastników. W słabym świetle ich czarne ubrania nadawały im złowieszczy wygląd. Zauważył, że jeden z mężczyzn biegnąc ku nim powłóczy nogą, ale też wcale nie wydawał się przez to mniej groźny. Bram i Gale napięli ciała, gotowi do walki, a potem zauważyli, że żaden ze zbliżających się nie wyciągnął broni.

–Zaczekajcie! Znaleźliśmy jaskinię światła! – wykrzyknął jeden z nich.

Gale zeszywniał słysząc te słowa, ale dalej trzymał nóż w pogotowiu. Ciemno ubrani mężczyźni zatrzymali się kilka kroków przed trójką uciekinierów.

–Gdzie wiatr mrozi kości... – przemówił cicho poseł z Arki.

Bram spojrzał na niego osłupiały.

–Czy mam już zamilknąć? – odparł drugi mężczyzna, a potem się roześmiał.

–Durk? – padło pytanie.

–Tak, wciąż ten sam – odparł mężczyzna w czerni – i Zunik. – Wskazał na swego towarzysza.
– Miło widzieć cię znowu, Gale.

–Wszystko w porządku. To przyjaciele. – Poseł z Arki zwrócił się szybko do oszołomionego Brama. – Może będziemy mieli szczęście i okaże się, że wiedzą, gdzie można znaleźć statek.

–No i wiemy – odparł Durk. – A z waszego wyglądu wnoszę, że im szybciej się tam znajdziemy, tym lepiej. – Rzucił okiem na Yve.

–Muszą udać się z nami. Jest chora – powiedział Gale.

Drugi mężczyzna odezwał się po raz pierwszy.

–Co z innymi? – zapytał.

–Nie żyją – usłyszał. – Opowiem wam o tym później. Teraz wolałbym znaleźć się na morzu.

–Chodźmy, więc – zgodził się Durk.

Chociaż Bram nie wyzbył się ostrożności, nie miał innego wyboru, jak podążyć za innymi, kiedy ruszyli w drogę prowadząc konie.

–Co to wszystko miało znaczyć? – zapytał cicho.

–Szyfr. Oni są z Arki, tak jak i ja.

–Ufasz im?

–Och, tak. To byli banici, teraz wielcy ulubieńcy dworu.

Bram rzucił mu ostre spojrzenie, ale Gale tylko radośnie wyszczerzył zęby.

Port Lecom był ciemny i niemal opustoszały, a echa końskich kroków odbijały się głośno wśród łagodnych dźwięków wydawanych przez fale i statki.

–Zostawcie tutaj konie – powiedział Durk. – Ktoś z pewnością doceni taki prezent. Czy ona może iść?

–Poniosę ją – powiedział szybko Bram.

Zunik prowadził, ostrzegając pozostałych o przeszkodach na ich drodze, gdy maszerowali cicho nadbrzeżem, a potem po jednym z kamiennych falochronów. Po pewnym czasie, co wydało im się wiekiem, zbliżyli się do statku, na którym przyćmionym światłem paliło się kilka lamp. Wymieniwszy przyciszonym głosem parę słów z ludźmi na pokładzie, Zunik wprowadził ich na statek po trapie. Idąc ostrożnie po kołyszącym się nieco pomoście, Bram poczuł, jak Yve porusza się w jego ramionach. Gdy tylko znalazła się na pokładzie, otworzyła oczy i spojrzała zaskoczona.

–Czujesz się lepiej? – zapytał, podczas gdy za nim marynarze wciągali trap i przygotowywali się do odrzucenia cum.

–Czuję się całkiem dobrze – stwierdziła Yve. – Dlaczego mnie niesiesz? – Rozejrzawszy się dookoła, dodała: – Gdzie my jesteśmy?

–Na „Fontainie” – odparł Durk, podczas gdy Bram stawiał ją na pokładzie, – chociaż w tej chwili nie zobaczycie na statku tej nazwy. W obecnej sytuacji trudno byłoby płynąć na Strallen z imieniem królowej Arki na burcie, prawda?

–Fontaina? – pytała Yve, przypominając sobie krótkie spotkanie z matką Luka. – Arka?

–Potrzeba chyba paru wyjaśnień – wtrącił Gale.

Przedstawił pozostałym Yve i Brama, a nieco później, gdy tylko rozgościli się w kabinie Durka, opowiedział o swoim uwięzieniu i o niezwykłych wydarzeniach, które umożliwiły mu ucieczkę. Potem włączyli się Yve i Bram, opowiadając wspólnie swoją historię. Trzech mężczyzn z Arki słuchało uważnie, a ich twarze często przybierały posępny wyraz. Gdy Bram skończył, Durk rzekł:

–Więc to nie koniec.

–Zawsze uważałem, że byłoby to zbyt dobre, by mogło być prawdziwe – dodał Zunik.

–Co macie na myśli? – Yve spojrzała z niepokojem na ich poważne twarze.

–Południowe wyspy nie były jedynymi ogarniętymi przez mgłę – odpowiedział jej Gale.

–Wszystkie wyspy ucierpiały – mówił Durk, – ale Arka znalazła się w samym centrum. To tam właśnie miała miejsce końcowa bitwa, kiedy mgła i to, co ją kontrolowało, czymkolwiek to było, zostały wreszcie pokonane. Albo tak nam się tylko wydawało.

Opowiedział o latach pokoju, które nastąpiły po naradzie czarodziejów, latach, które pozostawiły ich zupełnie nieprzygotowanymi na atak, kiedy w końcu nadszedł. Chronione tumanami mgły armie widm najechały wyspy, zabijając każdego, kto natychmiast nie przeistoczył się w bezmyślnego wykonawcę. Wielu uchodźców znalazło się na Arce, która stanowiła samo centrum wciąż zmniejszającego się koła wewnątrz ohydnej szarej spirali. To właśnie na Gwiazdzistym Wzgórzu połączyły się w spektakularny sposób magia czarodziejstwa i prastarych Sług – by odwrócić groźbę unicestwienia.

To, że Luk odegrał wiodącą rolę w tych wydarzeniach, nie zaskoczyło Yve. Zawsze wiedziała, że młody książę dźwigał ciężar przeznaczenia na swoich barkach. Lecz przybycie Julii z maleńkiej wysepki Strock – leżącej po drugiej stronie znanego świata – było czymś nieoczekiwanym i wprowadzającym zamęt. Ona również, jak się zdawało, była Sługą, spokrewnioną z legendarnymi wojownikami z pradawnych czasów.

–Nie twierdę, że to wszystko rozumiem – zakończył Durk. – Będziesz musiała poprosić Ferragama, by opowiedział ci całą historię. Nie sądzę, by ktokolwiek inny mógł to wszystko zrelacjonować.

Imię czarodzieja było następnym, które rozbrzmiało w pamięci Yve. Tak wiele w relacji Durka wydało jej się znajome, mogła też sobie lepiej wytłumaczyć to, czego doświadczyła na Lugg, Arlonie i Strallen, lecz całość opowieści zdeprymowała ją i przestraszyła. To, że tak straszliwa moc działała w świecie – było wystarczająco złe. To, że w najlepszym razie zwyciężono ją tylko czasowo – było o wiele gorsze.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Później Yve, Bram i Durk wyszli na pokład. Strallen znikła z horyzontu, a „Fontaina” płynęła szybko na północny zachód. Noc była chłodna, lecz Yve wiedziała, że nie zaśnie; nie pozwolą jej spać tak skądinąd pożądane świeże powietrze i wolność.

–Naszym następnym portem jest Szara Skala – powiedział Durk – i jeśli chodzi o mnie, będę zadowolony widząc znowu Arkę. Podróżowanie nie jest już tak przyjemne jak kiedyś.

–Czy na Strallen przybyliście specjalnie po to, by odszukać Gale i pozostałych? – zapytała Yve.

–Tak. Nasi dwaj pierwsi posłowie po prostu zniknęli. Żadnej wiadomości czy sygnału. Gale i jego towarzysz zostali wysłani po to, by ich zastąpili i spróbowali dowiedzieć się, co też się stało. Kiedy oni również nie przesłali żadnej wiadomości, Mark postanowił wysłać nas. – Durk uśmiechnął się. – Zunik i ja wykształciliśmy pewne umiejętności, które pozwalają nam podróżować bez rzucania się w oczy.

–Kto to jest Mark? – zapytał Bram.

–Król Arki, ojciec Luka – odparła Yve.

–Mieście szczęście – ciągnął Durk. – Byliśmy w Lecom już od trzech dni i mieliśmy ruszyć dalej następnego ranka.

–Cieszę się, że rozpoznaliście Gale – powiedział Bram. – Niewiele dokonalibyśmy o własnych siłach.

–Nie mogłam nic pomóc – dodała Yve. – Wciąż nie wiem, co się ze mną stało.

–Ale teraz czujesz się już dobrze? – zapytał z niepokojem Bram.

–Doskonale. Jestem szczęśliwa, że płynę na Arkę. Jeśli w ogóle można gdzieś znaleźć na to wszystko jakieś odpowiedzi to tylko tam.

Yve rozejrzała się wokół siebie, wsłuchując się w dźwięki morza i wiatru, usiłując zrozumieć świat. Na wschodzie, tam gdzie zaczynały jarzyć się pierwsze nieśmiałe oznaki świtu, dojrzała morskiego diablika, dotrzymującego kroku „Fontainie”. Uśmiechnęła się. Arka nie jest jedynym miejscem, gdzie można doświadczyć dziwnych i cudownych rzeczy.

Jak długo będziemy żeglować? – zapytała. – Siedem dni. Może osiem. Utrzymamy dobre tempo, jeśli pogoda się nie zmieni, a z nawigacją nie ma problemów w dzisiejszych czasach.

–Dlaczego? – chciał wiedzieć Bram. Durk wskazał na niebo.

–Gdziekolwiek się znajdziecie – objaśnił – skierujcie dziób swojego statku na tę gwiazdę, a zostaniecie zaprowadzeni prosto na Gwiazdziste Wzgórze.

Yve i Bram spojrzeli w górę ze zdumieniem.

Część druga

HEALD

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kilka dni po tym, jak Yve po raz drugi opuściła Haele, cofnięcie się mgły umożliwiło rozpoczęcie jeszcze jednej podróży, daleko na północy. Uciekinierzy z Healdu opuszczali Arkę w podniosłym nastroju, przygotowując się do powrotu na ojczystą wyspę, którą zmuszeni byli opuścić tak wiele nużących dni temu. Jednak podróż ta miała zakończyć się tragedią, co więcej – zmienić historię wyspy w sposób, którego nikt nie mógł przewidzieć.

Zmuszeni do przyznania, że ich militarne umiejętności są bezużyteczne w magicznych zmaganiach, które zagnały ich na Arkę, Pabalan, król Healdu, i jego syn Ansar mogli teraz cieszyć się wreszcie ze sposobności do bardziej bezpośredniego działania. Gdy tylko przekonali się, że niebezpieczeństwo minęło, zebrali swoich najbliższych i po tradycyjnej wymianie pożegnań opuścili Gwiazdziste Wzgórze, by udać się do Portu Szarej Skały. Zastali tam swoje statki w zupełnie dobrym stanie. Z powodu swego centralnego położenia Arka niezbyt długo musiała znosić przejmujące zimno i stąd też szkody we flocie i porcie były znikome. Chociaż w mieście panowało, co naturalne, pewne zamieszanie, będące następstwem ostatnich dramatycznych wydarzeń, grupa Healdan czyniła szybkie postępy w przygotowaniu okrętów do podróży, obsadzając każdy załogą i pasażerami.

Pabalan i Ansar pracowali nieprzerwanie, mając w każdej chwili do pomocy czarodzieja Moroskiego, i to dzięki ich energii wyruszono na Heald po dwóch dniach od przybycia do portu.

Gdy już do tego doszło, ojciec i syn z niecierpliwością zaczęli oczekiwać chwili, kiedy przyjdzie im doprowadzić ojczystą wyspę do porządku. To, że zostali wygnani przez siły pozostające poza ich zdolnością pojmwania, nie przynosiło im wstydu, a doznawszy goręczy wygnania tym goręcej pragnęli rozpocząć żmudne dzieło odbudowy.

Podróżowali na pokładzie największego ze statków, healdańskim okręcie flagowym o nazwie „Taran”, a towarzyszyły im ich żony, królowa Adesina i księżniczka Rivera wraz ze swoją siedmioletnią córką, Gemmą. Moroski również płynął na pokładzie „Tarana”, jak zawsze w towarzystwie Atlanty, swej sokolej przyjaciółki, której dziki i dumny wygląd współgrał z jego imponującą powierzchownością. Był wysoki i ciemnoskóry, miał niemal czarne oczy. Z sokolicą usadowioną na ramieniu jego postać wywierała naprawdę duże wrażenie.

Gdy konwój statków opuszczał Port Szarej Skały, Moroski stał na wyniosłej rufie okrętu. Spoglądał na masywne granitowe bastiony, które wznosiły się po obu stronach Morskich Wrót wąskiej cieśniny, stanowiącej jedyne wejście do naturalnego portu. Adesina stanęła cicho za nim.

–Imponujące, prawda? – powiedziała.

Czarodziej odwrócił się szybko, zmuszając Atlantę do gwałtownego trzepotu skrzydłami i sfrunięcia ku bardziej solidnej grzędzie – balustradzie. Moroski uśmiechnął się, kiedy zobaczył, kto do niego podszedł. Towarzystwo królowej zawsze sprawiało mu przyjemność. Jej smukła figura, czyste zielone oczy i jasne włosy ukrywały jej wiek, a naturalną elegancję potęgowała inteligencja, która niekiedy okazywała się czymś nieocenionym zarówno dla ojca, jak i syna.

–Byłem tutaj wiele razy – odparł czarodziej, – ale to miejsce niezmiennie wydaje się wyjątkowe.

–Trudno wyobrazić sobie siły, które potrafiły stworzyć coś takiego – stwierdziła Adesina, wskazując szare urwiska, które sprawiały, że oni sami wydawali się karzełkami.

–Tak – przyznał, uśmiechając się, ponieważ myśli królowej tak często harmonizowały z jego własnymi. – Jeśli wyspy zostały rzeczywiście sformowane podczas Wojny Czarodziejów, wówczas to miejsce jest dowodem na to, jak straszliwe były te zmagania. Wydaje mi się zresztą, że są one niemal niepojmowalne.

–Niemał niepojmowalne?

Moroski zmarszczył brwi.

–Magia straciła wiele w ciągu stuleci, a jednak dopiero, co byliśmy świadkami walki przekraczającej zdolności i moce, jakimi dysponuję.

Rozważania te zostały przerwane gwałtownym krzykiem:

–Babciu! Babciu! Patrz!

Gemma biegła ku nim, nie przejmując się łagodnym kołysaniem pokładu. Adesina zobaczyła w dziewczynce miniaturową wersję własnej córki, Fontainy. Te same rude włosy i porywczy charakter – ten sam niespokojny duch i dociekliwy umysł. To, że obie cechowała również pewna agresywność i samolubstwo, nie niepokoiło jej zbytnio. Fontaina wyrosła na stanowczą, a jednak łagodną kobietę, otoczoną tak miłością, jak i głębokim szacunkiem. Adesina nie miała wątpliwości, że z Gemmą będzie tak samo – i skrycie cieszyła się, że dziewczynka odziedziczyła charakter raczej po ciotce, a nie po Riverze, swej matce, niemal przesadnie skromnej i poważnej.

–O co chodzi, maleńka?

–Nie jestem już maleńka! – stwierdziła wyzywająco Gemma. Wyciągnęła małą piąstkę, a potem dramatycznym gestem rozwarła palce. Na jej dłoni leżał lśniący czerwony klejnot, jarzący się soczystą barwą w świetle słońca.

–Kapitan Brice mi to dał. Powiedział, że przyniesie mi szczęście.

–Czy mogę? – zapytał Moroski i wziął kamień, gdy Gemma skinęła głową.

–Brice powiedział, że wypolerowało go morze.

–Miał rację. Jest piękny, Gemmo. Wiem, że będzie u ciebie bezpieczny. – Czarodziej zwrócił kamień, a dziewczynka odbiegła w podskokach, by pokazać swój nowy skarb innym wielbicielom.

Moroski i Adesina przyglądali jej się z czułością.

–Rośnie tak szybko – powiedziała w zamyśleniu Adesina.

–Myślałaś o Fontainie, kiedy była w jej wieku, prawda?

–Tak. Skąd wiesz?

Moroski tylko się uśmiechnął.

Kiedy znaleźli się na otwartym morzu, statki skierowały się na południe, aby płynąć wzdłuż wschodnich wybrzeży Arki, a stamtąd przez cieśninę, która dzieliła wyspy. Wszyscy cieszyli się, że wracają do domu, wiedząc, że bez względu na to, jakie szkody zostały poczynione przez inwazję, teraz tylko od nich będzie zależało doprowadzenie wszystkiego do porządku. Zwykły fakt, że wracali pod czystym niebem, wystarczał, by dać im wszystkim poczucie nadziei i szczęścia.

–Jeśli Laurent przeżył, z pewnością zaczął już działać – powiedział z przekonaniem Pabalan. Siedział w swojej kabinie razem z Ansarem. Chociaż nie minęło jeszcze południe trzeciego dnia podróży, przed królem stała otwarta butelka wina. Gdy jego syn odpowiadał, nalał sobie następną szklanekę.

–Miejmy nadzieję, że przeżył. Będziemy potrzebowali takich jak on. Zbyt wielu zginęło.

Pabalan skrzywił się na to wspomnienie. Warknął, a jego okolona rudą brodą twarz ściągnęła się w wyrazie obrzydzenia. Król miał duszę żołnierza i wciąż jeszcze nie mógł spokojnie myśleć o porażce doznanej z rąk wrogów, których nie można było zabić. Nawet śmiertelnie ranni najeźdźcy rozpływali się w nicość tylko po to, by przybrać nową postać i ponowić atak kilka chwil później. Pabalan uważał, że jeśli zostało się zabitym w walce powinno się być na tyle przywoitym, by pozostać martwym.

Pociągnął kolejny łyk wina.

Następnego ranka marynarz siedzący w bocianim gnieździe wysoko nad pokładem „Tarana” zaraportował, że może już dostrzec Heald. Wiadomość ta została powitana z ulgą, wszyscy,

bowiem wiedzieli, że tylko dwa dni dzielą ich od wpłynięcia do Ramsportu, stolicy wyspy i ich domu. Krótco po tym Rivera uświadomiła sobie, że już od pewnego czasu nigdzie nie widziała Gemmy. Pospieszne poszukiwania nie doprowadziły do odkrycia miejsca pobytu dziewczynki i w tej sytuacji zaalarmowano Ansara. To właśnie w odpowiedzi na jego krzyki Gemma odkryła wszem i wobec swoją ostatnią przygodę. Z takielunku spłynął cienki głosik:

–Jestem tutaj, na górze! W bocianim gnieździe!

–Natychmiast schodź na dół! – zawołał gniewnie jej ojciec. – Nie! Czekał. Wejdę tam i cię zniosę.

Do tego czasu większość znajdujących się na pokładzie wiedziała już, co się zdarzyło i patrzyła w górę, wypatrując dziewczynki wśród lin i żagli. Pabalán pomrukiwał złowieszczo na temat obserwatora, który pozwolił jego wnuczce wspiąć się na górę, ale ponieważ marynarz wrócił na pokład natychmiast po dostrzeżeniu Healdy, nic mu nie można było zarzucić.

Rivera i Adesina przyglądały się wspinaczce Ansara z twarzami ściągniętymi troską. Za nimi, wparty mocno stopami w kołyszący się pokład, wpatrywał się uważnie w bocianie gniazdo Moroski.

–Wszystko w porządku, tato! – zawołała Gemma. – Potrafię zejść sama. – Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, zaczęła gramolić się przez drewnianą boczną ściankę gniazda.

Właśnie, gdy wsparła jedną nogę na rei pod gniazdem, a drugą trzymała w powietrzu, z kieszeni wyslizgnął się jej nowy skarb, granat i spadł na pokład. Nie namyślając się, oderwała jedną rękę od takielunku i spróbowała go pochwycić.

Rivera i kilku innych krzyknęło głośno, gdy Gemma straciła oparcie dla stóp i runęła w dół. W ostatniej chwili udało jej się powstrzymać upadek, ale zawisa trzymając się rei, ze stopami dyndającymi bezsilnie w powietrzu.

Ansar i dwaj marynarze natychmiast zaczęli wspiąć się tak szybko, jak tylko mogli, ale było jasne, że małe dłonie Gemmy nie będą w stanie utrzymać jej zbyt długo. Wybawcy zbliżali się zbyt wolno.

–Pomocy! Tato! – W napiętym głosie dziewczynki dźwięczał strach, rozdzierając serca wszystkich stojących na pokładzie.

Adesina niemal natychmiast zrozumiała, że istnieje tylko jedna nadzieja i odwróciła się do Moroskiego. Jednak nie musiała nic mówić, czarodziej, bowiem już działał. Jego czarne oczy gorzały, gdy wypowiadał niezrozumiałe zaklęcie, rozwarłszy szeroko ramiona, jak gdyby w geście błagania.

–Pomocy! Tato!

Gdy rozdzierający krzyk Gemmy jeszcze raz zadźwięczał w ich uszach, przerażeni widzowie zobaczyli, jak jedna z lin biegnących do wyżej położonego żagla uwalnia się z wiążącego ją pierścienia i – całkiem samoistnie – pełźnie w kierunku zrozpaczonej dziewczynki. Wszystkie oczy utkwione były w linę, gdy owijała się wokół ciała Gemmy poniżej ramion, przywiązując ją do rei. Ręce dziewczynki opadły bezwładnie do boków, ale chociaż najwyraźniej na pół omdlała – nie spadła. Kołysała się bezpiecznie w uchwycie liny, aż do chwili, gdy dotarli do niej Ansar i marynarze i przenieśli na takielunek, a tam już doszła do siebie, bezpieczna w ojcowskich objęciach.

Wśród całego dramatu nikt nie zauważył, jak Pabalan pochylił się i podniósł coś z pokładu, a potem chwycił się za pierś. Odkaszlnął i usiadł na deskach pokładu, opierając się ciężko o burzę. Pozostał tak, zgarbiony, z głową wspartą o kolana. Wszyscy śledzili Gemmę i Ansara i dopóki nie zakończyli oni swego powolnego i ostrożnego zejścia, nikt nie spojrział na króla.

–Co z dziadkiem? – zapytała Gemma głosem, który wciąż jeszcze drżał, ale szybko odzyskiwał swoją naturalną pewność. Adesina rozejrzała się pospiesznie dokoła. To samo uczynił

Moroski, który również osunął się na pokład, kiedy Gemmie nie groziło już niebezpieczeństwo. Był zmęczony i niezwykle blady, ręce mu drżały. Wysilek wywołany przesunięciem liny z tak dużej odległości najwyraźniej go wyczerpał, ale teraz otrząsnął się i podążył za Adesina do Pabalana.

–Och, nie – usłyszał ciche westchnienie. – Och, nie... – twarz, kiedy się do niego odwróciła, była jak porażona, zbieiała od strachu i smutku.

Czarodziej podszedł do nich, podczas gdy inni gromadzili wokół. Uniósł głowę króla i przyłożył delikatnie palce do boku szyi, ale wiedział, że się spóźnili.

–Dziadku! – odezwała się Gemma przerażonym szeptem.

Czarodziej uniósł wzrok na Adesinę. Obie pary oczu były suche, ale każde z nich wiedziało, jak głęboko drugie odczuło t stratę.

–Przykro mi – powiedział Moroski. – Odszedł... – Gardło mu się ścisnęło i nie mógł wymówić ani słowa więcej. Wokół nich zapadała coraz głębsza cisza.

Adesina klękła, wyciągając rękę, aby ująć zaciśniętą pięść swego męża. Delikatnie rozwarła jego dłoń. W środku lśnił głęboką czerwienią granat.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Czas włókł się bez końca. Słońce zaszło i znowu wzeszło. Uciekinierzy zbliżali się coraz bardziej do swoich domów, ale teraz ich nastrój zabarwiony był smutkiem.

–Czy to nie ironia losu – odezwała się Adesina, – że jego serce postanowiło przestać bić właśnie teraz, kiedy wracamy w spokoju do domu po tych wszystkich niebezpieczeństwach i walkach?

Spojrzała pytająco przez szerokość kabiny na Moroskiego swymi czystymi, zielonymi oczyma, ale czarodziej nie miał na to żadnej odpowiedzi, więc milczał.

–Tak bardzo go kochałam.

–Wiem – powiedział cicho.

–Nie był doskonały. Widziałam jego błędy równie wyraźnie jak wszystkich innych – ciągnęła dalej Adesina z oczyma błyszczącymi od wspomnień. – Ale... po prostu nie mogę uwierzyć, że już go tutaj nie ma.

–Chciałbym... – zaczął czarodziej, ale królowa przerwała mu:

–Nie obwiniaj się. Nadszedł jego czas. Tak czy inaczej nie mógłbyś uratować ich obojga, a Pabalan cieszyłby się mogąc oddać życie za Gemmę. – Uśmiechnęła się smutno do czarodzieja, który nie potrafił ukryć zaskoczenia tym, skąd wiedziała, co czuje, zanim jeszcze zdołał to oblec w słowa. – Nie miej takiej smutnej miny, Moroski. Łatwo dostrzec, co czujesz.

Ich oczy się spotkały.

"Czy tak? – zapytał bez słów. – Czy naprawdę znasz wszystkie moje myśli?"

Powracająca flota została najwyraźniej dostrzeżona z północnych wybrzeży Healdu, gdyż cały tłum czekał, by ich powitać, kiedy statki wpływały do Ramsportu. Przede wszystkim dojrzeli Laurenta, szczupłego, bystrego mężczyznę, a fakt, że uratował się z rąk najeźdźców był równie radosny, co zaskakujący. To właśnie on opowiedział nowemu królowi i jego towarzyszom, co się działo, kiedy ich nie było.

Po straszliwej walce, w której tak wielu mieszkańców pałacu poniosło śmierć, mgła objęła w posiadanie miasto. Zapanował niesamowity bezruch, a tych paru bez odrobiny oleju w głowie, którzy pozostali – albo poszło do ziemi, albo uciekło. Nikt nie wiedział, jak długo trwała szara inwazja – czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, – ale porównując swoje relacje stwierdzili, że skończyła się wkrótce po tym, jak mgła opuściła Arkę. Z pewnością wielu ludzi zapamiętało wznoszącą się tej nocy gwiazdę.

Od tego czasu zaczęły krążyć różne pogłoski. Wziąwszy pod uwagę nieobecność królewskiej

rodziny, opustoszały pałac i śmierć większości strażników, kłopoty wydawały się nieuniknione. Samo miasto doznało niewielu trwałych szkód i chociaż zjadliwe zło uszkodziło część zbiorów, zapasy żywności zostały szybko uzupełnione. Gdy odrodził się handel i żołnierze, którzy uniknęli zagłady, powrócili do pałacu, życie zaczęło wracać do normy. Troski życia codziennego wkrótce przesłoniły niedające się wyjaśnić wydarzenia poprzednich dni.

Laurent wysłał posłańców na Arkę, by przywieźli wieści o każdym, komu udało się tam schronić, lecz zanim powrócili, dostrzeżono „Tarana” i jego siostrzane okręty.

–To była najlepsza wieść, jaką usłyszałem od wielu dni – powiedział Laurent. – Brak mi słów, żeby dać wyraz temu, jak się cieszę, że was znowu widzę. Pomimo smutnych wiadomości, jakie przywozicie.

–To wspaniale, że mogłeś nas tutaj powitać – odparł Ansar. – To oczywiste, jak ciężko pracowałeś. Ojciec byłby z ciebie dumny.

–Tak bardzo chciałbym, by mógł mi to powiedzieć osobiście, mój panie.

–Jak ci się udało umknąć przed widmami? – zapytała szybko Adesina.

–Nie wiem. Pamiętam walkę i odwrót, ale potem wszystko jest zamazane. W pewnym momencie zemdlałem. Musiał mi ktoś pomóc, ponieważ następne, co pamiętam, to, że jechałem na koniu... nie wiem jednak, gdzie byłem ani kto był ze mną. Kiedy mgła zniknęła, ocknąłem się sam w jakiejś opuszczonej leśnej chacie. – Zmarszczył brwi. – Tak wiele jest luk w tej opowieści, że z pewnością nigdy ich nie wypełnię.

–To bez znaczenia. Najistotniejsze, że znowu jesteś tutaj – stwierdziła królowa.

Pogrzeb Pabalana odbył się czternaście dni później. Tak jak sobie tego życzył, kurhan wzniesiono na szczycie wzgórza górującego nad stolicą; nawet po śmierci mógł czuwać nad swym miastem. Kurhan był nieoznaczony, a Pabalana złożono do grobowca niemal bez ceremonii, ale setki ludzi przybyło w procesji, która wiała się w górę zbocza, by złożyć mu swe ostatnie wyrazy szacunku. Wśród nich znalazło się kilka osób z rodziny starego króla, przybyłych z sąsiedniej wyspy, Arki: córka Pabalana, Fontaina, jej mąż, Mark, król Arki, i ich dzieci, Luk i Beka.

Narzeczona Luka, Julia, także była obecna. Wyruszyli na Heald natychmiast po otrzymaniu wieści o śmierci Pabalana, ale mogli pozostać tylko kilka dni. Na nich również czekało wiele niecierpiących zwłoki spraw na ojczyściej wyspie.

Ze szczytu wzgórza miasto rozpościerało się u ich stóp, a dym z wielu kominów mieszał się z jesienną mgiełką. Zielone wzgórza odchodziły w dal, gdzieś w głąb wyspy, zlewając się z odległymi konturami gór. Można było dostrzec wiele innych prastarych pogrzebowych kurhanów i Pabalana zajął swe miejsce wśród nich, stając się częścią wyspy i jej historii. Gdy ostatni uczestniczący w ceremonii ludzie zeszli ze wzgórza, zaczął na nie padać delikatny

deszcz.

–Ferragamo już całkiem wrócił do siebie – powiedział Mark. – Dobrze jest wiedzieć, że mogę pozostawić Arkę pod jego opieką, kiedy muszę wyjechać.

Rodziny zgromadziły się w pałacowej jadalni. Goście mieli opuścić Heald następnego ranka.

–Mam nadzieję, że zrobisz to samo dla mnie. – Ansar uśmiechnął się do Moroskiego. – Zanim zaczęła się ta straszna historia, prawie cię tu nie było!

–Teraz będę o wiele częściej – odparł czarodziej, spoglądając na Adesinę. – Oczywiście, jeśli będziesz mnie potrzebował. Twój ojciec nie przywiązywał wielkiej wagi do magii.

–Czasy się zmieniają – stwierdził ponuro Ansar. – Potrzebuję wszelkiej możliwej pomocy. – Odpowiedzialność związana z panowaniem już osiadła ciężarem na jego barkach.

Rivera ujęła pod stołem dłoń męża w swoje ręce i uścisnęła ją. Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

–Kiedy macie zamiar się pobrać? – zapytała nowa królowa Heald, spoglądając na Luka i Julię.

–Mniej więcej za miesiąc... jeśli uda nam się przygotować wszystko na czas – odparł książę, spoglądając na rodziców. Z wyrazu jego twarzy wynikało jasno, że ślub odbyłby się o wiele prędzej, gdyby to od niego zależało.

–Przybędziemy, jeśli będziemy mogli – powiedział Ansar – ale jest tyle rzeczy, które muszę tutaj zrobić, jak wszyscy bez przerwy mi to powtarzają, że być może nie będę w stanie wyjechać

–Dobrze ci służy ciężka praca – wtrącił Mark. – Sam wiesz, że inaczej byś się zanudził.

Słowa Marka okazały się prorocze – Ansar w istocie oddał się bez reszty dziełu odbudowy. Niecierpliwiły go, co prawda drobniejsze szczegóły administrowania, niemniej jednak jego żywotność i zdecydowany charakter zyskały mu uznanie wielu. Zwłaszcza Laurent łapał się na tym, że coraz bardziej lubi i szanuje króla, który w swych młodszych latach tak często wystawiał jego cierpliwość na próbę. Dworzani stał się prawą ręką Ansara i to on i Rivera udzielali niemal stale rad Ansarowi. Przez jakiś czas Adesina była również jedną z głównych osób zarządzających dworem i wyspą, lecz niewiele czasu minęło, gdy delikatnie zaczęła usuwać się na drugi plan, pozostawiając niemal wszystko w rękach młodszego pokolenia. Ciężka praca okazała się skutecznym lekarstwem na smutek wielu, nie wyłączając królowej matki, lecz gdy powoli zaczęła godzić się z nieobecnością Pabalana, Adesina zdała sobie sprawę z innego, rodzącego się w niej uczucia. Kiedy to się stało, odczuła ulgę; wiedziała, że powinna czuć się winna w tym momencie, ale nie potrafiła. Za każdym razem, gdy widziała Moroskiego – a tych dwoje spotykało się teraz często – miała coraz silniejsze i silniejsze wrażenie, że oto

teraz wreszcie świat jest urządzony właściwie, tak jak zawsze powinien być.

Siła jej uczuć zaskoczyła ją i początkowo nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Czarodziej zawsze był prawdziwym przyjacielem, a jego życzliwy i rozumny umysł o wiele bliższy jej własnemu niż męzowski. Jego towarzystwo zawsze sprawiało Adesinie wielką przyjemność, a ilekroć go nie dostawało, pałac wydawał się jej mniej interesującym, jak gdyby mniej znaczącym

Jednak pomimo tego wszystkiego była przede wszystkim królową i jej pozycja – oraz lojalność – zakazywała nawet myśleć o jakimkolwiek mężczyźnie z wyjątkiem króla jak o kimś innym niż zwykły znajomy.

Nowa sytuacja, w jakiej się znalazła, zmieniła to. Stwierdziła, że przecież może postępować według własnego uznania bez ciągłego liczenia się z opinią publiczną. Uznawszy swe własne prawo do wolności i postanowiwszy wycofać się z życia publicznego określiła również jasno swój zamiar uporządkowania życia osobistego tak, jak pragnęła, bez względu na rację stanu. Jednym słowem, mogła teraz wybrać to, co kazało czynić jej serce, a nie to, co radził jej wyszkolony na dworze rozum. Gdy tylko to zaakceptowała, szybko zyskała całkowitą pewność. Było jasne, zanim jeszcze dojrzała do tego, by stwierdzić to otwarcie, że kocha Moroskiego. Być może zawsze kochała.

A gdy to przyznała, stało się dla niej równie jasne, że on czuje wobec niej dokładnie to samo. Jediną dziwną rzeczą w tym wszystkim było to, że nigdy przedtem sobie tego nie uświadomiła.

–Muszę wam coś zakomunikować. – Ansar wstał i powiódł wzrokiem wzdłuż stołu, przy którym siedziała jego rodzina i przyjaciele. – Rivera i ja oczekujemy drugiego dziecka.

Sypnęły się serdeczne gratulacje, a młoda królowa zaczerwieniła się prześlicznie. Moroski przyłapał się na tym, że spogląda na Adesinę, lecz ona unikała jego spojrzenia.

–To cudownie! – powiedziała. – Kiedy ma nastąpić rozwiązanie?

–Za jakieś sześć i pół miesiąca. Zostało poczęte na Arce – dodała Rivera, zaoszczędzając im obliczeń.

–Ach, więc to po to tam pojechaliście! – zauważył Laurent.

Był prawdopodobnie jedynym mężczyzną, od którego Ansar mógł przyjąć taką uwagę. Przez chwilę wydawało się, że król nie jest pewien, jak ma zareagować, ale potem przyłączył się do ogólnego śmiechu.

–Będę miała braciszka, babciu! – zawołała dumnie Gemma.

–Ale to może być siostra – odparła Adesina.

–Tatuś mówi, że chłopiec. – Skąd może wiedzieć? – Spojrzała na syna, który uśmiechnął się, nieco zakłopotany. To była tajemnica, aż do teraz – ciągnęła Gemma. – Miałam tego nikomu nie mówić i nie powiedziałam, babciu. Nawet tobie.

–Cieszę się, że potrafisz dochować tajemnicy, maleńka.

–Wkrótce nie będę najmniejsza – stwierdziła stanowczo księżniczka. – Wtedy przestaniesz na mnie tak mówić.

–Być może.

Najwyraźniej usatysfakcjonowana tą odpowiedzią Gemma mówiła dalej:

–Nie pojedziemy na wesele kuzyna Luka z powodu dziecka.

–To tylko jeden z powodów, Gemmo – powiedział Ansar. – Jest wiele innych.

–Wznoszę toast! – oznajmił Laurent. – Za miłość Rivery i Ansara i za owoce ich miłości.

Wszyscy – nawet Gemma – powstali i powtórzyli jego słowa. zanim napili się wina.

–To oznacza dzieci, prawda? – zapytała poważnie Gemma.

–Tak, kochanie. Również ciebie – odparła Adesina, lecz gdy odstawiała swój kielich, wiedziała, że oczy Moroskiego znów spoczywają na niej i że jego myśli, tak jak i jej własne, błądzą gdzie indziej.

Kilka dni później Moroski i Adesina spacerowali o zmierzchu po pałacowym ogrodzie. Drzewa były nagie, a początek zimy sprawił, że powietrze wyraźnie pochłodziło, ale oni tego nie zauważali. Byli wystarczająco otuleni wzajemnym towarzystwem.

–Kocham cię – powtórzył z uporem czarodziej. – Wiesz o tym doskonale.

–Tak.

–A ty kochasz mnie.

–Tak.

–Zatem dlaczego...?

–Jestem stara... – zaczęła Adesina.

–Jestem o wiele starszy od ciebie!

–Nie to miałam na myśli. Twoje ciało...

Wyciągnął ręce i ujął jej ramiona, a ją przez chwilę ogarnął strach, wywołany napiętością bijącą z jego twarzy. Potem przemówił, a jego głos brzmiał stanowczo, a zarazem tak łagodnie... Zrozumiała, że chce być po prostu kochana.

–Miłość nie kończy się, kiedy ciało traci pierwsze młodości. Czego się boisz? Jeśli mówię ci, że jesteś dla mnie jako kobieta tak samo atrakcyjna jak przyjaciel, a jesteś!... czy sądzisz, że kłamię?

Potrząsnęła powoli głową, z oczyma utkwionymi w jego oczach

–Więc dlaczego nie godzisz się na spełnienie naszej miłości?

Po raz pierwszy w swoim życiu powiedziałaś sobie, że będziesz postępowała wedle własnego wyboru. Zatem postępuj tak, jak każe ci twoje serce!

–Lecz minęło niewiele ponad dwa miesiące od śmierci Pabalana – powiedziała Adesina, zastanawiając się równocześnie: "Dlaczego to mówię? Co chcę tym udowodnić?"

–Czy sądzisz, że odmówiłby tobie albo mnie odrobiny szczęścia? Kochał nas oboje. To, co teraz robimy, nie może go zranić. Niekiedy czułem nawet, że popiera naszą przyjaźń, chce, abym był tutaj i zaopiekował się tobą, kiedy on odejdzie.

Adesina rozważała to przez chwilę. Uznała to za pozornie słuszną, choć pociągającą myśl. Niespodziewanie się uśmiechnęła.

–Być może, ale wątpię, czy miał na myśli dokładnie taką opiekę, jaką ty sugerujesz!

Moroski uśmiechnął się ciepło w odpowiedzi.

–Zrozumiałby to – zapewnił ją, a potem obserwując jej twarz znowu spoważniał. – O co chodzi?

Adesina zawahała się. Czarodziej nigdy nie widział, by tak brakowało jej słów. „Jest zakłopotana!” – pomyślał z niedowierzaniem, a potem zmusił się do utrzymania powagi na twarzy, kiedy odgadł przyczynę jej zmieszania.

–Ale... ty jesteś...

–Czarodziejem – zakończył za nią.

–Tak – wyszeptała.

–Ale również mężczyzną. Czarodzieje też mają ciało i krew. Nie żenimy się, ponieważ nie możemy mieć dzieci. Jest to nasze błogosławieństwo i nasze przekleństwo. Ale to nie oznacza, że nie znamy pragnienia i pożądania. Żeby mieć na to dowód, wystarczy tylko popatrzeć na Ferragama i Korię.

–I na Kaia – wtrąciła Adesina.

Moroski skinął głową.

–Jest młody i wciąż szuka miłości. Proszę, nie porównuj jednak jego podbojów z moją miłością. Mój przykład jest lepszy. Ferragamo i Koria znaleźli dość powodów, by pozostać razem i pogodzić się z istotą ich związku. Nie ukrywają tego przed nikim. Ich sypialnia to radosne miejsce. Ferragamo znalazł kobietę, której szukał... i ja też.

–Od jak dawna o tym wiedziałeś? – zapytała cicho.

–Od lat – odparł. – Choć przez bardzo długi czas ukrywałem to nawet przed samym sobą.

–Mój biedaku!

Podczas całej tej rozmowy zbliżali się do siebie coraz bardziej. Teraz ich ciała zetknęły się i przywarli do siebie namiętnie. Kiedy w końcu przestali się całować, ich oczy błyszczały. Decyzja została podjęta.

–Błogosławieństwo i przekleństwo? Co przez to chciałeś powiedzieć? – wciąż pozostając w objęciach czarodzieja zapytała Adesina.

–Zrozumiesz, jeśli się nad tym zastanowisz.

–Tak czy inaczej, chcę, żebyś mi to powiedział.

–Już teraz żyję dłużej, niż jakikolwiek inny człowiek miał prawo tego oczekiwać. Każde dziecko, które mógłbym mieć będąc w wieku Kaia, już dawno by nie żyło. Zaoszczędziłem sobie tego smutku. Z drugiej strony nigdy nie doznałem radości tworzenia życia, obserwowania, jak się rozwija. Nieśmiertelność może przyjmować rozmaite formy. – W głosie czarodzieja brzmiała melancholia.

–Dzieci to również zmartwienia – odparła, uśmiechając się.

–Lecz czy wyrzekłabyś się dzieci z powodu tych zmartwień?

–Nie... – „Co też by sobie pomyślały, gdyby mnie teraz zobaczyły?“, zastanowiła się Adesina, a potem uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy rozważa, nie całkiem zdając sobie z tego sprawę, jak też inni oceniliby jej miłość do czarodzieja. Wydało jej się to tak absurdalne, że przyciągnęła go do siebie, aby jeszcze raz go pocałować.

Drżała, gdy znowu się rozdzielili.

–Zrobiło się zimno – powiedział Moroski. – Wejźmy do środka.

–Tak długo to trwało – szepnęła nie tyle do niego, co do siebie, a potem pomyślała: „Przecież

to dla mnie!" – Zostań ze mną tej nocy – powiedziała głośno.

Niemal miesiąc minął od czasu, kiedy Ansar obwieścił o tym, że Rivera jest brzemienna, jednak nieproszone myśli, które wówczas zagnieździły się w umyśle Moroskiego, wciąż go dręczyły i w końcu postanowił podzielić się nimi z Adesina. Zostali kochankami kilka dni po królewskim obwieszczeniu i od tego czasu doświadczyli takiej głębi namiętności i szczęścia, jakiej wcześniej żadne z nich nie było sobie w stanie nawet wyobrazić.

Początkowo starali się postępować niezwykle ostrożnie, ale myśl o utrzymaniu wszystkiego w tajemnicy stała się z czasem absurdalna i budziła ich odrazę. Wiele osób z dworskiego środowiska wiedziało lub domyślało się ich związku, toteż wkrótce stał się powszechnie wiadomy. Nie dbali o to. Nic się nie liczyło oprócz ich rozkwitającej miłości i tego, że powinni być razem. Wszystko inne znalazło się na drugim

Jednak pośród całej swej szalonej radości Moroski doznawał dręczącego poczucia niekompletności, jakiejś pustki, której sama miłość Adesiny nie potrafiła wypełnić. Znał na to lekarstwo, lecz nawet sama myśl o tym napawała go strachem. Nie miał pewności, czy jest to możliwe, ale wiedział, że powinien spróbować. Najpierw jednak musiał przekonać Adesinę.

–Zrobiłbyś to? Dla mnie? – Jej oczy rozszerzyły się od doznanego wstrząsu.

Skinął głową.

–Żartujesz sobie!

–Nigdy w całym swoim życiu nie byłem bardziej poważny – odparł.

–Ale to jest dla ciebie wszystkim, całym twoim światem, wszystkie te lata...

–Mój świat jest niczym bez ciebie, a tylu rzeczy nie możemy smakować razem! Bez względu na to, jak bliscy stalibyśmy się sobie, wciąż będzie nas dzielił cały świat!

–Nie mów tak!

–Posłuchaj, moje kochanie. Chcę mieć z tobą dziecko. Chcę zestarzeć się z tobą. Nie chcę żyć tak jak Ferragamo, wiedząc, że cię przeżyję. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek przedtem... i nie mogę tego mieć, jeśli pozostanę czarodziejem.

–Ale...

Moroski przyłożył palec do jej ust.

–Żadnych, ale. Podjąłem decyzję. Potrzebuję twojej pomocy.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Myśli kłębiły się w głowie Adesiny. Moroski czekał.

–Czy możesz to zrobić? – zapytała w końcu.

–Nie urodziłem się czarodziejem. Mogę utracić to, co zdobyłem. – Uśmiechnął się, rozpaczliwie pragnąc, by okazało się to tak proste.

–Jak?

–Moc, jaką posiadam, lub, jeśli wolisz tkwiąca we mnie magia, musi zostać przeniesiona w coś lub kogoś innego. Lecz nie mogę dokonać tego samodzielnie.

–Kai?

Moroski skinął głową.

–Zrozumie. Pomoże. – Gdy to mówił, przemknęło mu przez myśl, czy nie jest to tylko pobożne życzenie.

–To będzie niebezpieczne, prawda? – raczej stwierdziła niż zapytała Adesina.

–Być może.

–Czy jestem warta tego wszystkiego?

–Tak – odparł. – Jesteś warta o wiele więcej.

–Może powinnam się nauczyć, kiedy poddawać się z wdziękiem – stwierdziła, uśmiechając się słabo.

–Natychmiast wyślę wiadomość na Arlon.

Teraz, kiedy byli zgodni, nie potrafił czekać ani chwili dłużej i zaraz poszedł po papier i pióro. Adesina uśmiechnęła się, widząc jego gotowość.

Gdy czarodziej zaczął pisać, uderzyła ją pewna myśl.

–Zastanawiam się, co też Ansar na to powie!

Moroski spojrzał na nią znad listu.

–Czy naprawdę cię to obchodzi? – zapytał.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następne dni po wysłaniu wiadomości do Kaia Moroski spędził denerwując się, nieustannie wypytywać w porcie o przybyszów i wpatrując się w morze. Spędzał wiele czasu w towarzystwie Adesiny, a kiedy okoliczności zmuszały ich do rozdzielenia się zamykał się w pałacowej bibliotece, szukając jakichkolwiek wzmianek o dobrowolnym odrzuceniu czarodziejskiej mocy. Ta odrobina, jakiej się dowiedział, nie napawała otuchą. W liczącej wieki historii czarodziejstwa istniało tak niewiele udokumentowanych przykładów podobnych działań, że ich szczegółowe opisy wydawały się wyjątkowo fragmentaryczne i niepełne. Szukał jednak pilnie i w końcu udało mu się złożyć razem konieczne elementy. Omówił swe odkrycia z Adesiną, lecz ona, choć miała tak bystry umysł, szybko stwierdziła, że nie jest w stanie podążać za jego wywodami. Moroski, rozpaczliwie pragnąc wyłożyć swoje teorie komuś, kto potrafiłby je zrozumieć, nie mógł doczekać się przybycia Kaia. Wypatrywał i wyczekiwał go, zatem z niecierpliwością.

Przejmująco chłodnego zimowego dnia – szesnastego od wysłania wiadomości – jego bezustanne czuwanie zostało nagrodzone. Zaledwie zdołano zabezpieczyć liny cumujące statek z Arlonu, gdy już Moroski wbiegł na trap i wziął w objęcia swego zdumionego przyjaciela czarodzieja.

–Dzięki gwiazdom, że przybyłeś! Wyczerpało mnie już to oczekiwanie.

–Przyjechałem tak szybko, jak mogłem – odparł Kai, z mieszaniną rozbawienia i zaskoczenia na twarzy. – A twój posłaniec miał szczęście znalazłszy mnie tak od razu... Choć z drugiej strony... cóż, nie potrzebowalem szukać wielu usprawiedliwień, żeby w tych dniach wyjechać z Arlonu.

Zbyt zajęty własnymi planami, by zwrócić uwagę na znaczenie słów Kaia, Moroski tylko ponaglał go, aby jak najspieszniej wyruszyć do pałacu.

–A gdzie rój? – zapytał, zreflektowawszy się.

–Podniecają się, kiedy podróżuję – odparł Kai. – A to wywołuje kłopoty, za którymi wcale nie tęsknię, więc trzymam je w tym. – Pochylił się, aby podnieść drewnianą skrzynkę. W jej bokach i wieku wywierconych było kilka małych otworów a z wnętrza dochodziło stłumione bzyczenie.

–Zatem chodźmy – zarządził Moroski i ruszył przed siebie żwawym krokiem.

–O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Kai, gdy pospieszył, aby dogonić swego przyjaciela.

–Nie tutaj – odparł krótko starszy czarodziej, pogrążając Kaia w jeszcze większej rozterce.

Wiele głów odwracało się, żeby odprawić wzrokiem czarodziejów, kiedy spieszyli z portu do pałacu. Moroski był znaną postacią w Ramsportu, ale ostatnio niemal go nie widywano. Jego

przemarsz przez miasto, podczas którego nie zwracał na nic uwagi, obserwowano z wielkim zainteresowaniem. Pozdrawiający czarodzieja nie otrzymywali żadnej odpowiedzi, a Kai stwierdził, że jest celem kilku podejrzliwych spojrzeń, jak gdyby obywatele uważali go za przyczynę roztargnienia Moroskiego. Było to osobliwe doznanie dla młodego czarodzieja, przyzwyczajonego do ściągania na siebie uwagi, jednak z zupełnie innych, bardziej miłych powodów. Jego szczupła, lecz wspaniale umięśniona sylwetka, długie brązowe włosy i zielone oczy sprawiały, że wiele kobiet rzucało mu pełne sympatii spojrzenia. No i pszczoły. Jako czarodziej Kai stanowił wyjątek z tego powodu, że miał za przyjaciela nie pojedyncze zwierzę, lecz rój, w którym każdy drobnutki umysł tworzył jednolitą całość dzięki instynktowi i więzom pokrewieństwa. To właśnie z rojem komunikował się najczęściej Kai, a nie z poszczególnymi pszczołami. Kiedy tak jak teraz przebywały w swym ruchomym ulu, nie zwracały na siebie większej uwagi, lecz jeśli pozwalano im latać swobodnie, wtedy było całkiem inaczej. Zwykle tworzyły małą czarną chmurę, która ciągnęła w górę za głową swego mistrza, a dźwięk, jaki wydawała, wystarczał, by przestraszyć większość ludzi.

Teraz zaczęły się robić niespokojne z powodu niezwyklego duj nich uwięzienia i wstrząsów ula, gdy Kai siedł szybko przed siebie. Przesłał im uspokajającą wiadomość i obiecał wolność, gdy tylko znajdą się w pałacu.

Moroski nie odezwał się, od chwili, kiedy opuścili doki.

„Zmienił się – pomyślał Kai. – Co się z nim dzieje?”

Pracownia Moroskiego mieściła się w szczytowej komnacie najwyższej wieży pałacu. Spoglądając z niej można było objąć wzrokiem całe miasto, chociaż nie wznosiła się nawet w przybliżeniu tak wysoko jak masywna Gwiazdzista Wieża stolicy Arki. Sarny widok wywierał duże wrażenie. Kai często zastanawiał się nad upodobaniem czarodziejów do przebywania w wysoko położonych miejscach. Do głowy przychodziło mu tylko to, że powoduje je po prostu chęć podkreślenia ich domniemanej wyższości nad zwykłymi ludźmi.

Weszli do komnaty i Kai zdziwił się ujrawszy tam Adesinę. Pracownia stanowiła zwykle prywatny azyl Moroskiego.

– Witam cię, Kai. Dzięki, że tak szybko przybyłeś. – Choć jej uśmiech wyrażał zadowolenie, to jednak głos zdradzał zdenerwowanie.

– Witam, Adesino. Zawsze z przyjemnością odwiedzam Heald, nawet, jeśli jestem wezwany w tak tajemniczy sposób.

– Nie powiedział ci?

– Nie, nic – odparł Kai. Postawił ul na podłodze. – Czy mogę? – zapytał. Moroski skinął głową i młodszy czarodziej zaczął odryglowywać zatrzaski na wieku skrzynki, mówiąc przy tym: – Przypędzono mnie tu w niemal absolutnym milczeniu. Jeśli ktoś zaraz nie powie mi, o co w tym wszystkim chodzi, całkiem oszaleję.

Pojawienie się roju odwlekło odpowiedź. Okrążywszy kilka razy pokój, aby zapoznać się ze swoim nowym miejscem pobytu, pszczoły usadowiły się na fragmencie draperii. Siedząca na parapecie Atlanta przyglądała im się uważnie. Głośne brzęczenie roju ścichło do łagodnego pomruku.

–Więc? – zapytał Kai, spoglądając to na jedno, to na drugie.

–Przepraszam cię – powiedział Moroski. – Byłem tak zajęty własnymi myślami, że nawet nie powitałem cię odpowiednio. Naprawię to później, ale teraz muszę to z siebie wyrzucić... – przerwał. – Niełatwo to powiedzieć. Postanowiłem wyrzec się czarodziejstwa.

Kai osłupiał.

–Co?! – krzyknął. – Dlaczego? – Ledwie zadał to pytanie, spojrzał na Adesinę i zrozumiał, jak musi brzmieć odpowiedź. Stał oniemiały, spoglądając na dwoje kochanków. Adesina unikała jego wzroku, ale Kai nie miał wątpliwości, czyja to była decyzja. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? – zapytał.

–Tak – odparł Moroski, a potem wyjaśnił całą sytuację i powody swej decyzji tak zwięźle, jak potrafił. Od wielu dni nie myślał właściwie o niczym innym, więc łatwo znajdował słowa.

Kai w dalszym ciągu nie mógł uwierzyć w to, co słyszy

–Pomożesz mi? – zakończył Moroski.

Przez kilka następnych chwil jedynym słyszalnym dźwiękiem było niespokojne buczenie roju, a niepokój pszczoł odzwierciedlał zamęt panujący w myślach ich mistrza.

–Prawdę mówiąc, nie wiem, co powiedzieć – odezwał się w końcu Kai.

–„Tak” wystarczy – odparł z uśmiechem Moroski.

–Czy wiesz, kim jesteś...? – Młody czarodziej powstrzymał się i nie dokończył zdania, potrząsając z niedowierzaniem głową. – Oczywiście, wiesz! – wykrzyknął. – Nieba! A ja myślałem, że to ja jestem tutaj nieodpowiedzialnym czarodziejem.

Moroski uśmiechnął się, ale Adesina spytała poważnie:

–Więc myślisz, że to my jesteśmy nieodpowiedzialni?

–Tak... Nie... Nie wiem.

Bzyczenie pszczoł stawało się coraz głośniejsze. Niektóre z nich odrywały się od roju, by zaraz jednak wrócić na miejsce.

–Niech pomyślę – powiedział Kai i usiadł na najbliższym krześle. Adesina naląła mu wino, nie

pytając się, czy chce, a on napił się z nieobecny wyrazem twarzy. Moroski czekał z niecierpliwością, nie mogąc ukryć niepokoju.

–Dobrze – powiedział w końcu Kai. – Jeśli mam pomóc, to muszę zadać kilka pytań.

–Zaczynaj – odparł skwapliwie Moroski.

–Niektóre z nich nie będą przyjemne, Adesino. Czy jesteś pewna, że chcesz zostać?

–Między nami nie ma żadnych tajemnic – zapewniła z przekonaniem.

–Proszę, nie myśl, że cię atakuję – ciągnął dalej Kai. – Mam dla ciebie najwyższy szacunek, ale muszę być pewien.

–Oczywiście. – Spokojnie stawiała mu czoło. Pszczoły trochę się uspokoiły.

–Jeśli można to zrobić... – zaczął Kai.

–Można! – przerwał mu Moroski. – Znalazłem...

–Wierzę ci na słowo. Ale zostawmy to na razie. Czy masz pewność, że rozważyłeś dokładnie, czego chcesz się wyrzec?

–Tak myślę.

–Twoje długie życie...

–Ale przecież w tym tkwi sedno sprawy.

–Tak, lecz z tym związane jest starzenie się. Starość nie jest jakąś abstrakcyjną ideą. Zmienia twoje ciało, czasami umysł. Minie niewiele lat, a pewnych rzeczy nie będziesz w stanie już robić.

–Liczą się właśnie te lata.

–A poza tym dochodzi sprawa twojego zdrowia. Jako czarodziej masz nad tym kontrolę. Leczysz się i zapobiegasz powstawaniu chorób w swoim ciele, nie wiedząc nawet, że to robisz. Istnieje wiele stron ludzkiego życia, których nie doświadczyłeś. Staniesz się podatny na ataki chorób, od razu, gdy utracisz zdolność kontroli. Nie będziesz też w stanie wyleczyć ani ochronić nikogo innego. – Czy będziesz mógł przyglądać się, jak Adesina cierpi i znieść to, że jesteś bezsilny?

Kochankowie milczeli. Kai zebrał wszystkie siły, by mówić dalej, wiedząc doskonale, jak bolesne wizje roztoczą jego słowa. Zwrócił się do Adesiny:

–Wybacz mi moje słowa. Nie jesteś już dziewczyną.

Skinęła głową.

–Minęło wiele czasu od chwili narodzin Fontainy. Jeśli teraz nosisz w sobie następne dziecko, może być to związane z ryzykiem.

–Nie boję się.

–Moroski już ci nie pomoże, gdyby coś poszło źle.

–Wystarczającą pomocą będzie jego obecność.

–Czy jesteś pewna?

Spojrzała na niego z ogniem w oczach. Kai przełknął ślinę i ciągnął dalej:

–Zakochałaś się w czarodzieju. Czy jesteś pewna, że kochasz go też tak samo jako mężczyznę? Jego moc, jego magia są częścią jego samego. To, co pozostanie, będzie mniejsze niż całość.

–Zakochałam się w mężczyźnie, nie w czarodzieju, i tak pozostanie. – Adesina spojrzała na Moroskiego i uśmiechnęła się. – Nie mam żadnych wątpliwości.

Kai odwrócił się do swego przyjaciela.

–Wiem, że Adesina nie prosiła cię, byś to zrobił. Jesteś jedyną osobą, od której zależy podjęcie decyzji, ale zanim to uczynisz, muszę powiedzieć o jeszcze jednej rzeczy. Polegasz na magii od niezliczonej liczby lat. Reagujesz na różne rzeczy w sposób, który czarodziejstwo uważa za naturalny. Wszystkie twoje odruchy zostały wykształcone na tej podstawie. Jeśli stracisz tę moc, uleganie tym odruchom może się okazać ryzykowne, a nawet fatalne. Będziesz stanowił niebezpieczeństwo dla samego siebie i dla wszystkich wokół.

Moroski zawahał się, przypominając sobie sytuację, w jakiej znalazła się Gemma na „Taranie”. „Co bym zrobił? – Zamknął oczy, gdy nasunęła się oczywista odpowiedź: – Przyglądałbym się jej śmierci”. – Odsunął od siebie ten obraz i otworzył oczy, aby stwierdzić, że Adesina przygląda mu się niespokojnie.

–Wyolbrzymiasz tę sprawę – powiedział. – Nauczę się. Być może będę jak dziecko przez jakiś czas, ale to niska cena za to, co dostanę w zamian.

–Zatem jesteście pewni?

–Tak – odparli zgodnie.

–Dobrze. – Kai powoli wypuścił powietrze z płuc. – Jak to ma być zrobione?

Nie otrzymał jednak odpowiedzi, kochankowie, bowiem poderwali się na nogi i teraz trwali

połączeni w długim i namiętym uścisku. Kai dowiedział się więcej obserwując ich pocałunek niż ze wszystkich wypowiedzianych poprzednio słów.

Tego wieczora poszli powiedzieć Ansarowi o swoich planach Król wraz z małżonką przebywali w prywatnych pokojach i nie okazali wielkiego zdziwienia, kiedy Adesina i Moroski weszli tam razem.

–Mamy wam coś do powiedzenia – zaczęła królowa matka

–Najwyższy czas – odparł jej syn. – Cały pałac aż trzęsie się od plotek, o których jak widzę, mam się dowiedzieć ostatni.

Moroski przeszedł prosto do rzeczy.

–Panie, zamierzam być odpowiednim mężem dla Adesiny. Ponieważ nie mogłbym dopełnić ślubu jako czarodziej, przeto postanowiłem wyrzec się czarodziejstwa.

Ansarowi opadła szczęka. Spodziewał się pierwszej części wypowiedzi Moroskiego, ale druga pozbawiła go mowy.

–Heald zostanie na jakiś czas bez czarodzieja, ale to zostanie naprawione – mówił dalej Moroski. – Proszę cię o twoje zezwolenie, bym mógł się do tego zabrać.

–A ja proszę cię, byś pobłogosławił moje powtórne małżeństwo – powiedziała Adesina, śmiejąc się z absurdalności tej sytuacji. Spoważniała jednak, gdy zobaczyła wyraz twarzy swojego syna.

–A jeśli nie wyrażę zgody? – zapytał król. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, ale bunt malujący się na obu twarzach był wystarczająco wymowny. – To w ten sposób czcicie pamięć mojego ojca? – Wstrząs i gorycz sprawiły, że jego głos zabrzmiał głośno i ochryple.

–Nie wiesz nawet, jak bardzo go szanowałam – odparła spokojnie Adesina. – I wciąż szanuję. Byłby szczęśliwy, gdyby wiedział o naszych zamiarach. Rozumiał potęgę miłości.

–Miłości?! – wykrzyknął Ansar.

–Czy to naprawdę tak błaha sprawa? – zapytała jego matka.

W ciszy, która potem nastąpiła, zza drzwi sypialni doszedł odgłos szurania, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

–Czy możliwe jest przestać być czarodziejem? – odezwała się po raz pierwszy Rivera.

–Tak sędzę – odparł Moroski. – Wiąże się z tym pewne ryzyko, ale z tym się pogodziliśmy.

–Innymi słowy, zrobicie to bez względu na to, co ja powiem – rzucił wyzywającym tonem

Ansar. – Ponieważ czarodziej nie odpowiadał, król zwrócił się do swojej żony: – Co o tym wszystkim sądzisz? – zapytał mając nadzieję, że otrzyma jakąś wskazówkę.

–Nie mam nic do powiedzenia – odparła chłodno i Ansar, przygnębiony, sam musiał podjąć decyzję.

Rozmyślał przez jakiś czas, ale nie był w stanie rozplatać tego węzła. Rozumiał, że wobec zdecydowania kochanków jego odmowa nie ma sensu, więc poddał się z takim wdziękiem, na jaki potrafił się zdobyć:

–Masz moje błogosławieństwo. Nie udaję, że rozumiem, ale twoje szczęście jest tutaj najważniejsze. Mam tylko nadzieję, że wiecie, co robicie.

–Dziękuję ci. – Głos Adesiny zdławiła emocja.

–Kiedy...? – zwrócił się Ansar do Moroskiego.

–Wkrótce – odparł czarodziej.

Kai i Moroski zamknęli się na cały następny dzień w pracowni, gdzie ślęczeli nad odnalezionymi przez Moroskiego zapiskami.

–Niektóre rzeczy są dostatecznie jasne, inne powszechnie wiadome, ale jest kilka luk, które będę musiał wypełnić własną teorią.

–Masz na myśli domysły – powiedział Kai.

–Dokładnie – wyszczerzył zęby Moroski.

–Jak możesz być tak radosny? To może cię zabić! Albo jeszcze gorzej!

–Wiem, wiem. Przeszliśmy już przez to. Nie zaczynamy znowu.

–Dobrze. – Kai wskazał na ustęp w jednej z rozłożonych przed nimi ksiąg. – Co to znaczy?

–To klucz. Do tego miejsca wszystko jest w miarę jasne. Ostatecznie magazynowanie mocy poza nami jest czymś, co robimy przez cały czas. Ten ustęp odnosi się do przeniesienia podstawowych elementów magii, tych, które przede wszystkim umożliwiają nam gromadzenie mocy. Czy pamiętasz swoje pierwsze lekcje, jakich udzielił ci Debramani?

–Te o potencjale mocy i równowadze? – Kai się uśmiechnął. – Oczywiście. Powtarzał je wystarczająco często.

–Muszę o tym wszystkim zapomnieć, usunąć z mojego umysłu... – Moroski przerwał. – Problem w tym, że elementy te są tak fundamentalne, tak głęboko ukryte w podświadomości... Mogę chcieć się ich wyrzec... a właściwie muszę chcieć się ich wyrzec, ale nie dokonam tego

sam.

–I w tym miejscu wkraczam ja?

–Musisz przejąć kontrolę nad moim umysłem. – Moroski uniósł ręce, żeby uciszyć odruchowy protest Kaia. – To nie tak. Nie martw się! Wszystko, co masz zrobić, to stworzyć kanał i otworzyć wrota słuzy. I przyjąć największe tajemnice świata.

–Och, tylko tyle? – ironizował młody czarodziej.

–Aha, bądź bardzo ostrożny – poradził Moroski.

–Tak? Dlaczego?

–Prawdopodobnie będę usiłował cię zabić.

Tego dnia czarodzieje opuścili wieżę późnym wieczorem, Moroski poszedł prosto do pokoi Adesiny, Kai zaś wyruszył na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. Dotychczas ledwie miał okazję pozdrowić swoich gospodarzy, więc najpierw poszedł odwiedzić Ansara. Tam spotkał Gemmę, która zaproponowała, że zabierze go do kuchni, by mógł tam się pożywić. Niezmiernie lubiła młodego czarodzieja, pamiętając go z jego wcześniejszych, jakże częstych wizyt na Healdzie. Był taki śmieszny i zawsze chętny do wymyślania nowych zabaw. Nawet te jego pszczoły takie fascynujące... Toteż czuła się niezwykle zawiedziona, gdy się dowiedziała, że zostały w pracowni. Ręka w rękę szli korytarzem.

–Zostajesz na dłużej? – zapytała z nadzieją w głosie.

–Nie wiem.

–Czy jutro się ze mną pobawisz?

–Jeśli znajdę czas.

Nie była to dostatecznie entuzjastyczna odpowiedź. Gemma spojrzała na niego, lecz Kai patrzył przed siebie, niemal nie zwracając na nią uwagi.

–Obudź się! – protestowała, ciągnąc go za rękę.

–Co? – Kai wyglądał na zmieszanego. – Przepraszam cię, Gemma. Chyba jestem zmęczony. – Uśmiechnął się. – Muszę coś zjeść.

–O co babcia i tato klócili się wczoraj w nocy? – zapytała chwilę później Gemma.

–Nie wiem. – „Chociaż się domyślam”, przemknęło mu przez głowę. – Lepiej zapytaj o to babcie.

–Ma zamiar wyjść za Moroskiego, prawda? Wszyscy tak mówią.

Kai spojrział na nią zaskoczony. Najwyraźniej niewiele z tego, co działo się w pałacu, umykało uwagi Gemmy.

–To dobra wiadomość, prawda? – dodała. – Kai, czy ożenisz się ze mną, kiedy będę starsza?

–To niezwykle atrakcyjna propozycja – odparł – i jestem nią zaszczycony. Obawiam się jednak, że czarodziej się nie żenią.

–A Moroski!?

–On nie chce być już dłużej czarodziejem – objaśnił Kai, zastanawiając się, jak wiele jej powiedzieć.

Gemma zmarszczyła brwi.

–Czy to znaczy, że nie będzie mnie już mógł wyleczyć z bólu zęba? – zapytała z powagą.

Moroski i Adesina obudzili się równocześnie. Przez jakiś czas leżeli w milczeniu obejmując się, a potem Moroski się poruszył.

–Kai będzie czekał. Lepiej się przygotuję.

–Żadnych wątpliwości?

–Żadnych.

Wstali, ubrali się i wyszli z komnaty. Teraz, kiedy ten dzień wreszcie nadszedł, zdawało się, że nie ma potrzeby się spieszyć. Moroski polecił przekazać wiadomość Kaiowi, a potem zaprowadził Adesinę na blanki. Przez jakąś godzinę spacerowali pod chłodnym, bladoniebieskim zimowym niebem, spoglądając na wszystko tak, jak gdyby widzieli to pierwszy raz. Niewiele mówili, zbyt przepełnieni uczuciami, by przekładać je na słowa.

–Wracaj już – powiedział w końcu czarodziej. – Powiedz Kaiowi, że niebawem u niego będę. Najpierw jednak muszę się z kimś pożegnać.

Adesina ucałowała go delikatnie i odeszła. Zdołała jeszcze zobaczyć, jak z góry spada Atlanta i siada na blankach przy swoim panu. Adesina wiedziała, jak głęboka jest więź między czarodziejem a jego przyjacielem – ptakiem. To, że Moroski był gotów, wraz z całą resztą, wyrzec się dla niej tej więzi, stanowiło zarazem wspaniałe potwierdzenie jego miłości, jak i potworne obciążenie. Odwróciła wzrok i ruszyła wolno do wieży, pozostawiając swego kochanka pogrążonego w rozmowie, w której nie mogła brać udziału.

Wiesz, co mam zamiar zrobić?

Tak – odparła sokolica z oczami utkwionymi w oczach czarodzieja. – Umilkniez. Jak wszyscy inni. – W głosie Atlanty brzmiał smutek, ale nie słyhać było urazy.

Gdyby istniał jakiś inny sposób... – zaczął Moroski.

Tak bardzo pragniesz piskląt?

Dzieci? Tak.

Nie rozumiem, dlaczego nie możemy dłużej latać razem. Straciłam już swój własny rodzaj.

Rozdarty między swoimi pragnieniami a uczuciem, że zdradził Atlantę, Moroski nie potrafił znaleźć słów wyjaśnienia. Zamiast tego powiedział tylko:

Przykro mi. Co zrobisz?

Atlanta zaskoczyła go natychmiastową odpowiedzią.

Polecę do białego czarodzieja w górach.

Milknącego? – Moroski nigdy nie spotkał się z pustelnikiem ani nie odwiedził jego cudownej pieczary w arkijskich Górach Mroźnego Wiatru, ale słyszał wiele dziwnych rzeczy od tych, którzy to uczynili. Z opowieści wynikało między innymi, że człowieka tego cechowała wręcz niesamowita zdolność zjednywania sobie sympatii wszystkich zwierząt. Sama Atlanta była w siedzibie odludka wiele lat przedtem.

Czy potrafi z tobą rozmawiać? – zapytał z nadzieją czarodziej.

Nie tak jak ty – odparła sokolica, – ale rozumie mnie.

To sprawiło, że Moroskiemu zrobiło się odrobinę lżej na sercu. Jeśli w ogóle gdziekolwiek, to tylko u Milknącego Atlanta mogła znaleźć trochę spokoju i szczęścia.

Kiedy odleczysz?

Po tym jak odejdiesz – odparła. – Zostanę aż do końca. Być może będę mogła pomóc.

Czarodziej miał ściśnięte gardło. Nie mógłby odezwać się na głos; nawet w przekazie myślowym nie potrafił ukryć swoich uczuć.

Chodźmy, więc – powiedział łamiącym się głosem.

Po raz ostatni Atlanta zasiadła na swoim zwykłym miejscu na barku Moroskiego i razem poszli do wieży, gdzie mieli rozdzielić się na zawsze.

Adesina i Kai unieśli z niepokojem wzrok, kiedy czarodziej wszedł do pracowni. Atlanta

opuściła swoje miejsce na jego ramieniu i podleciała do okna. Trzy pary oczu obserwowały, jak zasiadała na parapecie, a potem wszyscy zajęli się tym, co ich tam prowadziło.

–Gotowy? – zapytał Kai.

–Tak. A ty?

–Zawsze chciałbym być taki gotowy. – Jego radosny ton brzmiał głucho i nieszczerze.

–Lepiej będzie, jeśli nas opuścisz – zwrócił się Moroski do Adesiny.

–Chcę zostać.

–Pozwól jej – wtrącił Kai. – Kiedy skończymy, może będziemy potrzebowali kogoś, by przez chwilę potrzymał nas za ręce. Tak długo, jak będzie trzymała się na uboczu...

–Widzę, że uknuliście spisek. Dobrze. Choć to może nie być przyjemne – dodał Moroski, biorąc Adesinę w ramiona. – Jeden pocałunek na szczęście – powiedział, uśmiechając się.

Spełniła jego prośbę.

–Mnie też! – domagał się Kai. – Inaczej nigdy tego nie zrobię.

Adesina pocałowała go w policzek.

–Możemy zaczynać? – zapytał.

–Czy nie powinienem się położyć, albo coś podobnego? – zastanawiał się Moroski.

–Dobra myśl. Wtedy nie trzeba będzie spadać z wysoka – stwierdził Kai. – Myślę, że też się położę.

Wszyscy troje roześmiali się nerwowo. Adesina zajęła miejsce pod ścianą, a czarodzieje wybrawszy kompromisowe rozwiązanie zasiedli w fotelach.

–Uprzedziłem rój, co się będzie tutaj działo – zwrócił się Kai do Adesiny, – ale nie jestem pewien, jak na to zareagują. Zrób to dla mnie i przypilnuj ich. – Podniósł się z fotela i zabrał ze stołu kilka przedmiotów. – Pierwsza część jest łatwa – zauważył, rozkładając je w zasięgu ręki Moroskiego. – Będziemy musieli zaopiekować się nimi, kiedy będzie już po wszystkim. Mogłyby być niebezpieczne w nieodpowiednich rękach.

Starszy czarodziej przyjrzał się dziwnej kolekcji.

–Sam je doбираłem – dodał Kai. – Niezły zbiór, prawda?

–Jeśli lubi się niezgodności – odparł Moroski, podnosząc największy przedmiot, prostą

drewnianą laskę okutą brązem.

–Tradycjonalista – rzucił oskarżycielskim tonem Kai, uśmiechając się do swego przyjaciela.

–Muszę od czegoś zacząć! – Tylko nie przeładuj niczego – poradził Kai. – Nie chcemy, żeby wyszły stąd o własnych siłach.

–Bądź wreszcie poważny!

–Przepraszam. Znowu zabrzmiał nerwowy śmiech, a potem się uspokoił. Gdy

Moroski zaczął uwalniać swoją moc, przelewając ją powoli w laskę, jego twarz znieruchomiała w skupieniu jak maska Adesina przyglądała się z niepokojem, ale Kai wydawał się względnie rozluźniony. Wiedział, że prawdziwa próba jest wciąż przed nimi.

Moroski skończył wreszcie i przesunął laskę do Kaia, który złożył ją ostrożnie w odległym kącie pokoju. Adesina nie dostrzegła żadnej zmiany w jej wyglądzie, ale wiedziała, że jest teraz talizmanem mocy. Moroski wziął złotą wazę, zamknął oczy i kontynuował proces przekazywania mocy.

Godzinę później na stole pozostało już tylko kilka przedmiotów, ale sam proces uległ znacznemu spowolnieniu. Moroski wyglądał na oszołomionego, a jego oczy były zamglone. Stracił równowagę, gdy sięgał po szklany przycisk do papieru.

–Spokojnie – poradził Kai. – Nie wymuszaj tego.

–Sądzę... sądzę, że wystarczy – wyszeptał ochryple Moroski. – Inaczej będę zbyt słaby. – Spojrzał na Kaia, szukając rady, a Adesina dostrzegła w jego oczach zaufanie.

„Jest bezbronny” – pomyślała, ale wkrótce zmuszona była zrewidować swoją opinię.

–Co dalej? – zapytał Moroski.

–Już czas – odparł Kai, z trudem przełykając ślinę. – Spróbuję nawiązać kontakt. Czy jesteś gotowy otworzyć kanał?

–Co? – Starszy czarodziej wydawał się zamroczony. Spojrzał na Atlantę, a potem znowu na Kaia. – Tak. Atlanta mówi, że pomoże, jeśli będzie mogła. – Jego głos był silniejszy, ale wciąż brzmiało w nim ogromne znużenie.

Kai spojrzał na Atlantę, wyczuwając milczące pożegnanie przepływające między nią a Moroskim. Głębia ich smutku rozdarła mu serce, ale odsunął to na bok i skoncentrował się na czekającym go ogromnym zadaniu. Instynktownie wyciągnął ręce i ścisnął dłonie Moroskiego. Powoli zaczął recytować słowa mocy, o których żaden z nich nie sądził, że je kiedykolwiek usłyszy.

Wokół nich samo powietrze zdawało się drzeć, jak gdyby nie byli już częścią świata ludzi. W straszliwym urzeczaniu Adesina przyglądała się, jak uścisk ich rąk staje się węzłem nieodczuwanego przez nich bólu, a wyraz ich twarzy powoli się zmienia. Podczas gdy twarz Moroskiego odbijała śmiertelne katusze, Kai uśmiechał się, – ale nie było niczego przyjemnego w wykrzywieniu jego warg ani w błysku jego oczu. Niemal płonął od gwałtownych uczuć, chwiejąc się na krawędzi szaleństwa. Pszczoły bzyczały gniewnie, a Atlanta trzepotała skrzydłami,

„Co się dzieje?” – zastanawiała się bezsilnie Adesina. Jarząca aura sformowała się wokół dwóch czarodziei, zamykając ich w skorupie migoczącej mocy.

–Nie! – krzyknął nagle Moroski, usiłując poderwać się

–Uspokój się – rozkazał Kai, lecz jego oczy lśniły demonicznie i napawały się widokiem cierpienia Moroskiego.

Adesina krzyknęła, a serce waliło jej jak młotem.

Moroski pochylił się w fotelu, wyrwał swoje ręce z rąk Kaia i jak oszalały usiłował chwycić go za gardło.

–Złodziej! Morderca! – krzyczał, gdy walczyli ze sobą.

Adesina przemogła obezwładniającą ją grozę i spróbowała dosięgnąć swojego kochanka. Ale dziwna siła, która otaczała ich obu, odrzuciła ją w tył. Zatoczyła się i upadła. Komnata wybuchła błyskami światła, w miarę jak zmagania się przedłużały.

Moroski zaciskał teraz ręce na szyi swojego przeciwnika, ale Kaia zdawało się to nie obchodzić. W rzeczy samej śmiał się bezgłośnie, nie zważając na próby uduszenia go. Ze wstrząsem, który rozszedł się lodowatym zimnem po jej ciele, Adesina uświadomiła sobie, że Kai zupełnie oszalał. Działo się coś strasznego – a ona nie mogła nic zrobić. Chciała odwrócić wzrok, aby uciec przed tą grozą, ale też nie mogła. Musiała być przy tym – aż do końca.

Rój wzleciał w powietrze. Widząc swego pana w niebezpieczeństwie, pszczoły spadły na napastnika, ale osłona, która odepchnęła Adesinę, odrzuciła i je. Wkrótce pokój wypełniała gniewna, wirująca masa. Pszczoły uderzały powtarzającymi się falami w czarodziejów, tylko po to, by zostać odrzucone w błyskach wściekłego purpurowego światła. Wirowały w gniewnym zamieszaniu, a normalna uporządkowana struktura roju uległa zniszczeniu. Tworzyły żywy obraz tego, co działo się w umyśle Kaia i Adesina wiedziała, że dopóki pszczoły znowu się nie uspokoją, niewielka istnieje nadzieja dla ich pana.

W końcu, jak gdyby nie mogąc znieść przebywania w granicach zakreślanych wspólnym obłędem, pszczoły jedna po drugiej wyleciały nieprzerwanym strumieniem przez okno, a w komnacie zapadła niespodziewana cisza. Czarodzieje wciąż pozostawali spleceni w uścisku, z zaczerwienionymi i ściągniętymi twarzami, niemal się nie poruszając. Moroskiego najwyraźniej

przepelniała mordercza wściekłość, lecz Kai w żaden sposób się nie bronił.

„Nic mu nie można zrobić” – pomyślała Adesina. – Czekaj, aż Moroski wyczerpie się, a potem sam uderzy! – Krzyknęła i ten krzyk przerwał koncentrację jej kochanka. Cierpienie, poczucie zdrady i skrucha ukazały się krótko na jego twarzy.

–Teraz! – krzyknął Kai, odrzucając ręce przeciwnika.

Oczy Moroskiego zapadły się w głąb czaszki, aż ukazały same białka i runął w tył, opadając na fotel w głębokim omdleniu. Gdy Kai usiłował powstać, z trudem łapiąc oddech, ale uśmiechając się tryumfalnie, Adesina i Atlanta spojrzały krótko na siebie, świadome, że teraz obie mogą stracić tego, którego kochały.

–Przykro mi – szepnęła Adesina.

Atlanta skierowała z powrotem na Moroskiego swoje szeroko otwarte oczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Gdy tylko znalazły się na zewnątrz, pszczoły przegrupowały się ponownie, przyjmując postać czarnej chmury, a jej widok nie był obcy tym, którzy znali Kaia. Jednak był to tylko częściowy powrót do normalności, gdyż świdrujący gniewny dźwięk rozbrzmiewał nadal, to wznosząc się, to opadając w nerwowym rytmie. Nawet na otwartym powietrzu dzikie buczenie dawało się słyszeć z dużej odległości, a kiedy, jak to miało miejsce później, ograniczyła go przestrzeń pałacowych komnat czy korytarzy – było przerażająco głośne.

Spiralę roju opadającą z wieży zauważyło ledwie parę osób, ale za to zaraz potem rozpętało się istne pandemonium; pszczoły wdarły się do niżej położonych części pałacu, skłaniając wszystkich, którzy zobaczyli wijącą się bzyzącą masę, do panicznej ucieczki. Wkrótce ci, którym się to udało, uciekli z pałacu do miasta, a ci, co pozostali, ukryli się za zamkniętymi drzwiami. Kilku nieszczęśników zostało dopadniętych przez rój i zniknęło pod bucącą i pulsującą żółto-czarną masą. Większość ofiar zemdląła od wstrząsu. Jak później stwierdzono, nikt nie został użądłony, niemniej wiele twarzy i ramion było nabrzmiałych, jak gdyby rzeczywiście wniknęły w nie żądła.

Podjęto kilka ryzykownych prób schwytania pszczół w pułapkę, lecz ilekroć wydawało się, że rój jest wreszcie unieszkodliwiony, buczenie urastało do rozszalałego bzyczenia, a pszczoły znajdowały nieoczekiwane wyjście. Za każdym razem, kiedy to miało miejsce, owady pojawiały się jeszcze mocniej rozzłoszczone i wkrótce już nikt nie przeszkadzał im w locie.

Ansar i Laurent byli wśród tych, którzy usiłowali schwytać pszczoły, lecz gdy tylko się okazało, że ich próby są bezcelowe, schronili się do względnie bezpiecznej sypialni Gemmy, najmniejszego i najlepiej zabezpieczonego z królewskich pokoi. Tam dołączyli do Rivery, bliskiej paniki, i Gemmy, podnieczonej, zupełnie nieprzestraszonej; całe to zdarzenie było dla niej czymś w rodzaju przygody.

–Czy pszczoły tu przylecą, tatusiu? – zapytała z nadzieją w głosie.

–Nie, mój pieśczochu. Nie dosięgną cię tutaj – uspokajał ją Ansar, zupełnie mylnie odbierając jej ton. Usiadł na łóżku i przyciągnął do siebie drżącą królową.

–Co dzieje się z Kaim? – zwróciła się Gemma do Laurenta

–Sam chciałbym wiedzieć – odparł. – Wyjdziemy i dowiemy się, ale trochę później, prawda? Kiedy to wszystko nieco się uspokoi. – Wymienili spojrzenia z Ansarem.

–Dlaczego nie teraz? – zapytała dziewczynka. – Może Kai się zgubił i pszczoły nie mogą go odnaleźć?

–Pszczoły oszalały, Gemmo. Zrobią ci krzywdę – powiedziała Rivera drżącym z niepokoju głosem, słyszała, bowiem wrzaski ofiar, których dopadły wcześniej owady.

Gemma spojrzała na matkę sceptycznie, ale pogodziła się ze swoim uwieszeniem. Ostatecznie nieczęsto się zdarzało, żeby jej pokój odwiedzało tak wielu gości.

–Przeczytam ci całą opowieść – zaproponowała tak poważnym tonem, że Laurent musiał się uśmiechnąć. – Usiądź tutaj – poinstruowała go, wskazując miejsce na końcu łóżka. Dworzanin posłuchał, a ona poszła odszukać właściwą książkę.

Ansar i Laurent uśmiechnęli się do siebie ponad głową Rivery, a potem znowu spoważnieli.

–Mógłbym spróbować wyslizgnąć się i dostać do wieży – powiedział cicho Laurent.

–Nie – odparł król. – Nawet gdybyś zdołał, wątpię, czy ktokolwiek z nas mógłby w czymkolwiek pomóc, bez względu na to, co dzieje się tam na górze. – Jego słowa wynikały z gorzkiej znajomości zwyczajów czarodziejów. – Lepiej zrobimy pozostając tutaj.

Rivera, drżąc w jego objęciach, skinęła głową w milczącym, płynącym z głębi serca poparciu. Gemma wróciwszy zmierzyła swe audytorium krytycznym spojrzeniem.

–To bardzo dobra opowieść, ale musicie uważać – oznajmiła stanowczo. – Przyniosę krzesło. – Odłożywszy książkę odeszła, by przynieść mały taboret, który stał przy drzwiach. Gdy się pochyliła, by go unieść, coś za drzwiami zwróciło jej uwagę i przez kilka chwil słuchała uważnie. – Pszczoły są tutaj – szepnęła i rzuciwszy spod oka szybkie spojrzenie na rodziców, sięgnęła do klamki.

Gdy drzwi się otwarły i do ich uszu dotarło gniewne bzyczenie

Pierwszy zareagował Ansar. Poderwał się na nogi, rozciągając Riverę i Laurenta na łóżku, a sam skoczył do córki. Z ust królowej wyrwał się pełen cierpienia okrzyk. Ansar zawahał się, rozdarty pomiędzy żoną a córką, i w tej chwili Gemma wyszła na wypełniony pszczołami korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Kai stał nad swoim przyjacielem czarodziejem z twarzą ściągniętą mocą i żądzą. Nie zwracał uwagi na sino czerwone pręgi na swojej szyi. Strużka śliny ściekała z kącika jego ust.

Adesina przyglądała się temu bezsilnie, wiedząc, że Kai jest poza wszystkim, co mogłaby uczynić. Ogarniało ją coraz większe przerażenie, gdy patrzyła, jak pochyła się i delikatnie dotyka pięścią czoła Moroskiego. Uśmiechnął się obrzydliwie, skręcił rękę i szarpnął gwałtownie do tyłu, jak gdyby wyrывая z korzeniami roślinę. Atlanta skrzeknęła ochryple, a przez mięśnie Moroskiego przebiegł gwałtowny skurcz. Jeszcze przez jakiś czas potem skręcał się konwulsyjnie, a w jego otwartych oczach wciąż widać było tylko białka.

Adesina ukryła twarz w dłoniach, czując mdłości, wypełniona obrzydzeniem i straszliwie przestraszona. Po kilku chwilach względnego spokoju zmusiła się, by spojrzeć znowu.

Kai zmienił się. Nie napawał się już swoim tryumfem, lecz oszołomiony rozglądał się wokół

siebie, jakby czegoś szukał. Jego czyste zielone oczy błyszcząły, ale w ich głębi czaiła się niepewność. Mówił do siebie, ale jego słowa nie miały żadnego sensu. U jego stóp Moroski osunął się w fotelu, rozciągnięty w niezgrabnej Pozycji. Pozostał tak, nieruchomy, i przez jedną straszną chwilę Adesina pomyślała, że nie żyje. Potem dostrzegła nagle wznoszenie się i opadanie jego piersi. Wokół dwóch czarodziejów wciąż jarzyła się i pulsowała aura magicznej mocy, rzucając dziwne cienie po całej komnacie.

Niespodziewanie Kai obrócił się na pięcie, wciąż wytyężając oczy w daremnym poszukiwaniu. Potem roześmiał się, a ten dźwięk sprawił, że po kręgosłupie Adesiny spłynęły sople lodu.

Objął dłońmi skronie i powoli osunął się na kolana. Kilka przedmiotów wewnątrz osłony mocy poruszyło się. Jeden z pucharów roztrzaskał się, rozsypując okruchy szkła po całej komnacie. Kai skurczył się, stał się jakby mniejszy, gdy zwinął się na podłodze i leżał tam w całkowitym bezruchu.

„Jak dziecko! – pomyślała zdumiona Adesina. Cisza się przedłużała. – Co mam robić?”

Ochronna tarcza wciąż odcinała obu mężczyzn od świata Adesiny tak pewnie, jakby była zrobiona z żelaza. Instynktownie wiedziała, że tylko Kai mógłby ją usunąć, ale on wycofał się do jakiegoś ukrytego miejsca wewnątrz samego siebie i nie był w stanie lub nie chciał go opuścić.

Adesina podniosła się ostrożnie i z taką samą ostrożnością przeszła się po komnacie, zbierając siły, aby przerwać głęboką ciszę. Atlanta przyglądała się jej uważnie.

–Kai – zawołała cicho Adesina. – Kai. Obudź się.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Rivera upadła łkając na łóżko, kiedy Ansar, mając Laurenta za plecami, wyszedł na korytarz. Ich oczom ukazał się widok, który sprawił, że król krzyknął, a jego doradca poczuł, jak skręca mu się żołądek.

Gemma stała kilka kroków dalej, spowita wirującą czarną chmurą. Dziki dźwięk wydawany przez pszczoły spowodował, że mężczyźni, pomimo oczywistego niebezpieczeństwa, w jakim znalazła się księżniczka, zawahali się i zwolnili kroku. W końcu Ansar ruszył naprzód, ale Laurent go powstrzymał.

–Czekaj! – przekrzyczał dzikie bzyczenie. – Nic jej nie robią! Patrz!

Ansar dostrzegł, że choć Gemma znajduje się w samym środku roju, nic nie wskazuje, by działo się jej jakakolwiek krzywda. Zadarła głowę do góry i kręciła się w kółko usiłując dotrzymać kroku wirującemu rojowi. Wydawało się, że nie jest ani trochę przestraszona. W rzeczywistości wręcz wyglądało to tak, jakby rozmawiała, choć niemożliwe było usłyszeć, co mówiła. Król i dworzanie patrzyli w zdumieniu, jak rój zbija się w gęsty czarny twór i z wielką

prędkością odlatuje korytarzem. Zanim któryś z nich zdążył zareagować, Gemma ruszyła za nim, biegnąc tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to małe nóżki.

–Niegrzeczne pszczoły! – usłyszeli jej krzyk. – Wracajcie.

Spojrząwszy po sobie ruszyli szybko w pościg, tylko po to, by za zakrętem korytarza natknąć się na powtórzenie poprzedniej sceny. Gemma znajdowała się znowu w środku roju. Bzyczenie brzmiało teraz jakoś mniej gwałtownie, jednak, kiedy Ansar się zbliżył, kilka pszczoł oderwało się od roju, by gniewnie podlecieć ku niemu. Zrozumiał jasne ostrzeżenie i pozostawił córcę wolną rękę. Uśmiechała się radośnie, wciąż najwyraźniej cała i zdrowa, i bez przerwy gadała.

–Wracaj i powiedz Riverze, że z Gemmą wszystko w porządku – szepnął przynaglająco Ansar. – Ja pójdę za nimi.

Laurent wycofał się, pozostawiając króla przysłuchującego się jednostronnej rozmowie.

–Nie chcę was skrzywdzić, głupie pszczoły! Chodźcie tutaj. Chodźcie ze mną. Z powrotem do wujka Kaia.

Kształt roju zmieniał się i skręcał w spiralach, ale pszczoły stopniowo się uspokajały i teraz łatwiej już było zrozumieć słowa Gemmy.

–Jest w wieży, prawda? Chodźcie, zaprowadzę was tam. Niegrzeczne pszczoły. – Gemma zrobiła kilka kroków w głąb korytarza, a potem odwróciła się, by spojrzeć na rój, który wciąż kołysał się niepewnie w powietrzu. Księżniczka tupnęła gniewnie nogą. – No, chodźcie! – wrzasnęła i ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem.

Ansar przyglądał się ze zdumieniem, jak pszczoły potulnie formują się w długie pasmo i lecą za jego córką. Zawsze wiedział, że mała była w dobrych stosunkach z niezwykle przyjacielem Kaia, ale taka poufałość przekraczała jego zdolność pojmowania. Nie pozostało mu, więc nic innego, jak podążyć za nimi w bezpiecznej odległości.

Ich pochód przerywany był, co jakiś czas pojawianiem się innych mieszkańców pałacu, z których większość uciekała w przerażeniu na sam widok dziwnego towarzystwa księżniczki. Kilku dworzan zachowało się tak, jak gdyby chcieli ją ratować, ale zostali odprawieni machnięciem ręki przez Ansara, który wciąż kroczył z tyłu, obserwując wszystko uważnie. Nie miał czasu na wyjaśnienia i jego poddani niewiele dowiedzieli się w odpowiedzi na ich szeptane pytania.

W końcu Gemma dotarła do wieży i zaczęła wspinać się do pracowni czarodzieja. Były to dla Ansara pełne niepokoju chwile, gdyż na każdym zakręcie tracił rój z oczu, na szczęście jego córka nie przerywała swego uspokajającego szczebiotu.

–Teraz już blisko. Jestem pewna, że wujek Kai będzie zadowolony mając was znowu przy sobie.

Gemma dotarła do drzwi komnaty Moroskiego właśnie w chwili, gdy Adesina postanowiła, że musi udać się po pomoc.

Niechętnie opuszczała pracownię, ale od dłuższego czasu żaden z czarodziejów się nie poruszył i wiedziała, że nadszedł czas, by zacząć działać. W rezultacie księżniczka nie musiała nawet pukać – drzwi się po prostu przed nią otwały. Wkroczyła do pokoju iście po królewsku, jak gdyby nie oczekiwała niczego innego i Adesina mogła jedynie przyglądać się z otwartymi ustami takiemu rozwojowi wydarzeń.

– Witaj, babciu. Przyproceedziłam pszczoły. – Gemma spojrziała ze zdziwieniem na dwóch czarodziejów leżących bezwładnie wewnątrz migoczącej kopuły światła. – Czy oni śpią?

– Tak – odparła Adesina, mając nadzieję, że to prawda

– Nie wydaje się, żeby było im zbyt wygodnie. Dlaczego nie dałaś im poduszek?

– Nie możesz... – zaczęła królowa matka, ale przerwała gwałtownie, gdy Gemma wzięła poduszkę i podsunęła ją delikatnie Kaiowi pod głowę. Magiczna bariera, która tak gwałtownie odrzucała Adesinę, pozwoliła przejść swobodnie maej dziewczynce. Zdawała się być całkowicie za pan brat z tajemną mocą, która migotała wokół niej, i usiadła na podłodze pomiędzy dwoma czarodziejami, przyglądając im się z opiekuńczym wyrazem twarzy.

Ansar, pojawiwszy się w wejściu, wziął matkę w ramiona. Wszedł właśnie na czas, by zobaczyć jak rój, teraz o wiele spokojniejszy, zaczyna zataczać powolne równe koła wokół swego pana. Po jakimś czasie powieki Kaia zadrgały i zaczął śledzić wirowanie owadów. Powoli, boleśnie się uśmiechnął.

– Witaj, wujku Kai. Przyproceedziłam ci twoje pszczoły – powiedziała pogodnie Gemma. – Były bardzo niegrzeczne.

– Dziękuję ci – odparł czarodziej siadając niepewnie i potrząsając głową, jak gdyby chciał ją oczyścić.

Adesina nie potrafiła się dłużej powstrzymać.

– Czy z nim wszystko w porządku? – zapytała. – Co się stało, Kai?

Spojrzzał na nią, mrugając szybko.

– Nie jestem pewien. Pozwól, niech chwilę pomyślę. – Skierował oczy z powrotem na rój, jak gdyby szukając potwierdzenia i upewnienia. Potem wymruczał kilka niezrozumiałych słów i osłona mocy zaczęła znikać. Gdy się to działo, Moroski zamknął oczy i poruszył się, jak gdyby śniąc. – Wszystko w porządku – oświadczył Kai znużonym głosem. – Niech śpi.

– Czy... czy się udało?

–Tak. – Kai skinął głową. – Udało się.

Słowa te zawierały daleko więcej treści niż ich zwykłe znaczenie, lecz Adesina miała dość rozumu, by się tym teraz nie zajmować. Osłona zniknęła całkowicie, podeszła, więc do swojego kochanka i delikatnie ujęła jego dłoń. Gdy Ansar pomógł Kaiowi wstać, a potem posadził go w fotelu, królowa spojrzała na czarodzieja i powiedziała po prostu:

–Dziękuję.

Kai tylko potrząsnął głową i zamknął oczy. Jedna po drugiej pszczoły siadały na oparciu fotela wokół swego mistrza. Wkrótce one również spały.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wieczne cienie gęstniały, gdy Kai w końcu otworzył oczy. Spojrzał na Adesinę, wciąż siedzącą przy swym śpiącym kochanku. Ansar i Gemma, ta ostatnia pod przymusem, już opuścili wieżę.

–Jak się czujesz? – zapytała cicho królowa matka.

–Zmęczony... i raczej zbyt potężny jak na swoje potrzeby -odparł z namysłem. – Nigdy nie sądziłem, że wykorzystując sztukę magiczną można się upić.

–Czy czujesz się dobrze z powodu tego przepicia?

–Co? – Kai wydawał się zmieszany. – Nie. To nie tak. Poza tym – uśmiechnął się – mogę się upić, jeśli chcę, ale nigdy nie uważałem za potrzebne, by cierpieć z tego powodu. Bycie czarodziejem wiąże się z pewnymi korzyściami... – Jego głos zamarł, gdy Adesina spojrzała na Moroskiego. – Jeszcze się nie obudził? – zapytał, poważniejąc. Adesina potrząsnęła głową. – Prawdopodobnie będzie oszołomiony, kiedy się ocknie – ciągnął dalej Kai. – Musimy po prostu czekać i patrzeć.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

–Prawie się nie udało, prawda? – odezwała się w końcu Adesina.

–Tak. Ostrzegł mnie, ale ja nie uprzytomniłem sobie, jak potężny będzie to czar – odparł Kai przejętym grozą głosem. Chwilę później dodał: – Gdyby Gemma nie sprowadziła roju, prawdopodobnie nie miałbym dość sił, żeby się temu oprzeć.

–Oprzeć, czemu?

–Możliwości posiadania Moroskiego jako bezwolnej marionetki, całkowicie podległej mojej woli, z całą jego mocą i zdolnościami na mój rozkaz. – Młody czarodziej zmarszczył brwi pod wpływem własnych słów. – W grę wchodziło coś jeszcze, ale to trudno wyrazić...

–To mi w zupełności wystarczy, – Adesina zadrżała. – Zdaje się, że moja wnuczka objawiła pewne ukryte zdolności.

–Z pewnością – zgodził się Kai, z zamyśleniem spoglądając na śpiące wokół niego pszczoły.

–To, dlatego Moroski cię zaatakował? – zapytała po chwili Adesina. – Ponieważ mogłeś nim zawładnąć?

–Nie. To był zwykły instynktowny mechanizm obronny czarodzieja – odparł dotykając ostrożnie pręgi na swojej szyi. – Bez względu na to, jak bardzo pragnął pozbyć się swych podstawowych mocy i umiejętności, czyli tego, co tworzyło jego istotę jako czarodzieja, nie

potrafił pogodzić się z ich utratą. Tego, co robiłem, nie mógł postrzegać inaczej jak wyrządzenia mu zła... nawet jeśli chciał, bym to robił! Reakcje takie jak te sięgają daleko głębiej niż zwykle myśli i pragnienia.

–Lecz wy dwaj wiedzieliście to wszystko, zanim zaczęliście, prawda? – W jej głosie zabrzmiał oskarżycielski ton.

–Nie myśleliśmy, że będzie to tak silne – odparł usprawiedliwiając się Kai. Wstał, podpierając się ręką, gdy zachwiał się nieco. – Przypuszczam, że w końcu przyzwyczaję się do tego – mruknął, – ale na razie... – Wziąwszy ze stołu jeden z niewykorzystanych przedmiotów, uczynił to samo, co poprzednio robił Moroski: zmagazynował w nim część przepelniającej go mocy. Gdy tego dokonał, wyglądał na nieco silniejszego. – Ból głowy po przepiciu daje się leczyć – powiedział do siebie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Minęły jeszcze dwie godziny, zanim Moroski w końcu się przebudził. Lampy się już paliły, a Kai, który wyszedł na krótko, by porozmawiać z Ansarem, siedział znowu w swoim fotelu. To właśnie młodego czarodzieja Moroski zobaczył najpierw, kiedy otworzył oczy; przez jego twarz przemknęła szybko cała gama uczuć: strach, nienawiść, zawiść zamigotały w jego oczach, lecz przewyższającym wszystko uczuciem było rzucające się w oczy zmieszanie. Omiótł oczyma komnatę, ogarniając wzrokiem pszczoły, rozrzucone nieporządnie rekwizyty pracowni, zatrzymując oczy na nieruchomym kształcie Atlanty, która wciąż siedziała na parapecie okna... Dopiero, kiedy odszukał wzrokiem Adesinę spojrział wprost w jej przepelnione miłością oczy, powrócił mu spokój, co sprawiło, że jego twarz zaczęła przypominać dawną twarz czarodzieja.

–Cieszę się, że znów tu jesteś, mój kochany – powiedziała Adesina, uśmiechając się łagodnie. Jej głos odzwierciedlał ulgę, jaką odczuwała.

–Skończone? – zapytał ledwo dosłyszalnie.

–Skończone – upewnił go Kai.

–Co się stało?

–Nie martw się tym teraz. Po prostu odpoczywaj i przyzwyczajaj się do swojego nowego życia – poradził Kai.

Moroski przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jak gdyby rozważając doniosłość tych słów, a potem wolno skinął głową. Szelest piór zwrócił jego uwagę i z wysiłkiem, przy pomocy podtrzymującej go za ramię Adesiny podniósł się na nogi. Atlanta kiwnęła głową, a potem odwróciła się i sfrunęła z parapetu.

–Zegnaj – szepnął Moroski, gdy sokolica odleciała. Odwrócił się i zaskoczyły go łzy spływające po policzkach Adesiny.

Odczuwała smutek tego rozstania i bardzo pragnęła, by upewnił ją, że wciąż cieszy się ze swego poświęcenia, lecz ściśnięte gardło sprawiło, iż nie była w stanie zapytać się o to. Moroski wyczuł, co ją gnębi i wziął ukochaną w ramiona.

–W porównaniu z naszym uczuciem nie ma to żadnego znaczenia – powiedział, a miłość i pewność brzmiące w jego głosie były silniejsze od jakiejkolwiek magii.

–Gemma! – krzyknął Kai. – Chcę z tobą porozmawiać.

Dziewczynka odłączyła od grupy swoich przyjaciół i podbiegła do czarodzieja. Razem poszli do jego apartamentów.

–Twoja babka powiedziała mi, co wczoraj zrobiłaś – zaczął. Chciałbym ci podziękować.

–Wszystko w porządku – orzekła pogodnie. – To było zabawne.

–Zawsze widziałem, że dobrze żyłaś z rojem, ale jak ci się udało sprowadzić je z powrotem do wieży?

–Po prostu kazałam im – odparła Gemma.

–Jak?

Księżniczka rozważała przez jakiś czas to pytanie.

–Nie były szczęśliwe – stwierdziła w końcu, najwyraźniej nieco zmieszana.

–Czy sprawiłaś, że poczuły się szczęśliwe?

Skinęła wolno głową.

–Potem zaprowadziłam je z powrotem do ciebie. Czy to źle?

–Och, nie! – powiedział zdecydowanie Kai. – Gdybyś tego nie zrobiła... – przerwał. – Ale jak przedostałaś się przez osłonę?

–Jaką osłonę?

Kai przyjrzał się jej z namysłem.

–Wiesz, Gemmo, wcale nie będę zdziwiony, jeśli któregoś dnia zostaniesz czarodziejką.

–Czy wtedy ożenisz się ze mną? – zapytała natychmiast.

Już wkrótce przewidywania Moroskiego, co do własnej przyszłości potwierdzone zostały namacalnym dowodem. Kiedy pięć miesięcy później Rivea urodziła syna Ansara, Kerana, ciąży

Adesiny była już dobrze zaawansowana. Czuła się nieco dziwnie doglądając rozwiązania młodszej o połowę od niej kobiety.

Do tego czasu pałacowa społeczność – jak zresztą i cały Heald – pogodziła się z ponownym zamążpójściem królowej matki i jej ciążą. Jeśli ktokolwiek uważał ją za głupią lub, co najmniej niemądrą, musiał zamilknąć na widok jej oczywistego szczęścia. Pomimo coraz bardziej zaawansowanej ciąży wciąż była aktywna i aż promieniowała dobrym zdrowiem i zadowoleniem. To jednak nie powstrzymało Moroskiego przed zabieganiem o nią i denerwowaniem się z byle powodu i przy każdej okazji. Czuł się nieco przygnębiony, ponieważ nie mógł wykorzystać swych dawnych zdolności leczniczych, by kontrolować rozwój ciąży, i bez przerwy zadręczał Kaia, każąc mu potwierdzać wciąż na nowo prawdziwość zapewnień Adesiny, że zarówno ona, jak i dziecko czują się doskonale.

Młodszy mężczyzna przejął, na podstawie milczącej obopólnej zgody, obowiązki czarodzieja Healdu i przez wszystkich był tak traktowany. Nawet ci, którzy ucierpieli z powodu spotkania z rojem, zaakceptowali obecność jego i jego przyjaciela bez żadnych uwag.

Na początku wielu ludzi zastanawiało się, dlaczego Kai nie wrócił na swoją rodzinną wyspę. Nie wykazywał ku temu żadnych chęci; powody stały się jasne, kiedy w końcu Ansar zapytał go wprost o jego plany na przyszłość.

–Pozostałem na Arce jeszcze przez kilka dni po waszym wyjeździe – powiedział czarodziej. – Nie wiem, dlaczego, ale miałem złe przeczucia, co do powrotu na Arlon. Jednak obowiązki wzywały i wyruszyłem w drogę w towarzystwie kilku posłów Marka. Równie dobrze mogłem pozostać w Gwiazdzistym Wzgórzu. – W jego głosie brzmiały zarówno gorycz, jak i smutek.

–Dlaczego? – zapytał jak zawsze bezceremonialny Asnar

–Zastałem Arlon pogrążony w chaosie. Mieszkańców pałacu rozpędzono na cztery wiatry. Sądzę, że większość z nich nie żyje, ale nigdy nie miałem okazji przekonać się o tym. W mieście panował jeden zamęt... bezsensowna przemoc, choroby, brak żywności, nikt nawet nie próbował zaprowadzić jakiegoś porządku. Nie zostaliśmy powitani najżyczliwiej. Wszystkich przybyszów traktowano, jakby stanowili zagrożenie, a moja obecność został szczególnie źle przyjęta. Według nich powinienem być tam, kiedy mnie potrzebowali. Uważali, że skoro tak nie było, mogą się obyć beze mnie.

Próbowałem to zmienić, ale ludzie, z którymi byłem, na każdym kroku spotykali się z niebezpieczeństwem i w końcu doszło do walki. Paru ludzi z Arki zostało zabitych, a ja uciekłem z pozostałymi. Popłynęliśmy na Tiarlon, małą wyspę niedaleko na wschód od Arlonu, i zostaliśmy tam przez półtora miesiąca. Wylizaliśmy się z ran, naprawiliśmy statek, a ja robiłem, co mogłem, żeby naprawić szkody wywołane przez mgłę. Ale oczywiste było, że mi nie ufano.

W końcu posłowie Marka musieli wrócić do domu, tak, więc wysadzili mnie z powrotem na

Arlonie. Tym razem musiałem polegać na samym sobie. Miało to swoje dobre i złe strony, ale tak naprawdę to nic się nie zmieniło. Podróżowałem po całej wyspie przez jakiś miesiąc, znaczną część tego czasu w tajemnicy zresztą, a potem wróciłem do miasta, gdzie czekała na mnie wiadomość od Moroskiego. Nie trzeba było prosić mnie dwa razy.

–Nie mogę tego zrozumieć – powiedział Ansar, a potem zamilkł, zanim znów zapytał: – Co pomyślałeś o prośbie Moroskiego?

–Nie dowiedziałem się wtedy, o co chodzi, po prostu prosił mnie, żebym przybył tak szybko, jak to możliwe. Był bardzo tajemniczy.

–A teraz? Czy to apróbujesz?

–Kiedy widzę ich razem – odparł czarodziej – nie mogę tego nie apróbować.

Ansar odetchnął z ulgą.

–Czy zostaniesz z nami na Healdzie? – zapytał, uśmiechając się. – Wydaje się, że mamy wolną posadę na dworze.

–Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz – rzekł Kai, uśmiechając się tak samo jak król. – Poza tym, gdybym nie został, aby zajmować się Riverą i Adesiną podczas ich ciąży, zawiódłbym pokładane we mnie zaufanie.

–Czy moja matka jest w ciąży?! – wykrzyknął Ansar całkowicie zaskoczony.

–Możesz na nią liczyć – roześmiał się Kai.

Rozmowa ta miała miejsce jakieś trzy tygodnie po tym, jak Moroski wyrzekł się czarodziejstwa, ale wkrótce stało się jasne, że Kai miał rację. Początkowo wielu ludzi, łącznie z Riverą, uważało ciążę Adesiny za coś niemądrego, a nawet nienaturalnego. Lecz zanim urodził się Keran, dwie przyszłe matki królewskie spędziły ze sobą tak wiele czasu dzieląc się wzajemnymi doświadczeniami, że w końcu zaczęło się to wydawać czymś absolutnie naturalnym. I nikt nie mógł zaprzeczyć, że Adesina aż tryskała zdrowiem i szczęściem.

Chociaż minęło siedem lat od chwili, gdy Rivera wydała na świat Gemmę, poród był względnie łatwy i pod spokojnym nadzorem Adesiny wszystko poszło gładko.

–Gwiazdom dzięki, że to chłopiec! – brzmiały pierwsze słowa Rivery.

Wkrótce Ansar pomógł im zrozumieć, dlaczego jej ulga była tak głęboka. Na jego twarzy niemal stale gościł teraz uśmiech zadowolenia, a swoim synem puszył się wprost nieznośnie, choć wobec żony pozostał tak samo czuły i delikatny jak zawsze. Adesinę ogarnął niepokój, że Gemma może pojąć niewłaściwie zaabsorbowanie swego ojca jego spadkobiercą, ale dziewczynka nie okazywała żadnych oznak zazdrości, przeciwnie: była żywo zainteresowana

braciszkiem, pieściła go i rozmawiała z nim poważnie przy każdej okazji.

Podczas kiedy w Ramsport miały miejsce te szczęśliwe wydarzenia, z innych wysp nadchodziły mniej przyjemne wieści. Niepokój wywołany opowieścią Kaia o trudnej sytuacji Arlonu spotęgowało jeszcze kilka doniesień, które nadeszły albo bezpośrednio z Arki, albo za jej pośrednictwem.

Po tym jak Alzedo został odparty i mgła zniknęła, Mark wysłał posłów do wszystkich większych wysp z wyjątkiem Borgaru, który od lat był już odcięty od świata. Niektórzy powrócili z raportami niezwykle podobnymi do informacji uzyskanych później od Kaia i stało się jasne, że zewnętrzne wyspy ucierpiały jeszcze bardziej niż Arka czy Heald, choć to tu przecież zmagania osiągnęły swój punkt kulminacyjny. Część raportów była bałamutna i sprzeczna, a niektórzy wyspiarze utrzymywali, że nic w ogóle nie wiedzą o mgle. Trudno było złożyć te kawałki w jakiś sensowną całość.

Kilku emisariuszy nie wróciło w ogóle, wliczając w ta trzech z czwórki wysłanej na Strallen. Czwarty po długim pobycie w więziennych lochach na wyspie został uwolniony i powrócił szczęśliwie na Arkę w towarzystwie młodej czarodziejki zwanej Yve. Pochodziła z Lugg i Kai pamiętał ją jako uczennicę Droga. Wieści, jakie przywieźli, były zarówno straszne, jak i niewytłumaczalne. Drogo i Saronno nie żyli. lecz, podczas gdy Lugg i Arlon traciły siły w zamęcie bezkrólewia, mieszkańcy Strallen żyli w błogiej nieświadomości wydarzeń wstrząsających światem, które przecież ich również ogarnęły... Kai postanowił spotkać się z Yve, która teraz przebywała w Gwiazdzistym Wzgórzu – i jej dziwnym przyjacielem – tak szybko, jak to tylko możliwe. Już wywołali spore poruszenie na Arce, – co było nie do uniknięcia, biorąc pod uwagę płęć Yve i jej na wpół widzialnego przyjaciela smoka... Co prawda niektóre docierające na Heald wieści mogły być bez wątpienia nieco przesadzone. Kai wolałby je sam sprawdzić na miejscu, ale chwila po temu była niezbyt odpowiednia.

Ansar i Kai wymieniali wiele wieści z Markiem i Ferragamem, dyskutując, w jaki sposób mogliby wyjaśnić sprzeczne doniesienia, ale nie podjęto żadnej decyzji. Choć Ferragamo pomrukiwał złowieszczco o złu, które znowu podnosi głowę, to jednak nie lepiej od innych wiedział, co można by zrobić, aby mu się przeciwstawić. W każdym razie w czasie ostatnich miesięcy coraz rzadziej brał udział w dyskusji, ponieważ Koria, jego wielka miłość i partnerka od wielu lat, zachorowała, stając się ofiarą tajemniczej, wyniszczającej choroby. Wydawało się, że niemalie przecież moce, jakimi dysponował czarodziej, nie przydają się na nic w próbach jej powstrzymania. Choroba postępowała powoli, ale ci, którzy znali i kochali Korię – a takich było wielu – wyczuwali jej nieuchronną zabójczość. Koria zawsze wpływała uspokajająco na Ferragama i nawet teraz to czyniła, pomimo złego samopoczucia i z wolna postępującej utraty energii. Nie wystarczało to już jednak i Ferragamo na zmianę wpadał w czarną rozpacz i niczym nieuzasadnioną furię z powodu swej niemożności udzielenia pomocy osobie, która znaczyła dla niego więcej niż cały świat.

Kai i Moroski wyczuwali jego mękę, lecz z daleka nic nie mogli zrobić – bezpośrednią troską napawały ich kobiety z królewskiej rodziny Healdu. Tak, więc Keran urodził się w świecie,

którego przyszłość daleka była od pewności. W noc jego narodzin Adesina zastanawiała się, jaki też będzie los dziecka. Nikt nie mógł przewidzieć, że jego udziałem stanie się dziedzictwo dziwniejsze od ich najdzikszych wyobrażeń.

Kołysany w ramionach babki, Keran spoglądał na nią niewinnymi brązowymi oczyma.

Pięć miesięcy później urodziła się jego ciotka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Fontaina przybyła do Ramsport w ostatnim miesiącu ciąży Adesiny. Jak wszystkich innych, ją również zdumiały wieści o powtórny zamążpójściu matki i wyrzeczeniu się przez Moroskiego czarodziejstwa. Jednak szybko zrozumiała i doceniła kierujące nimi motywy i z charakterystyczną dla siebie zawziętością stawiała w ich obronie, gdy ktoś ośmielił się to krytykować.

Niepokojące wydarzenia na Arce i innych wyspach nie pozwalały jej wyruszyć wcześniej na Heald, lecz teraz, kiedy nadszedł czas rozwiązania, nic nie mogło powstrzymać jej przed trwaniem u boku matki. Pomimo doniesień o znakomitym zdrowiu Adesiny Fontaina była oczywiście zaniepokojona tym, że trudy porodu mogą okazać się zbyt ciężkie dla kobiety w wieku jej matki. Obawy te zostały jednak szybko rozproszone, gdy tylko się spotkały, gdyż Adesina jakby odmłodziła od czasu, kiedy widziały się po raz ostatni. Ewentualne skrępowanie, jakie mogły odczuwać z powodu dość niezwyklej sytuacji, szybko uległo zapomnieniu podczas ich rozmowy.

–Jakże mogłabym nie być zdrowa? – odparła Adesina w odpowiedzi na pytanie córki. – Zabiega o mnie jeden czarodziej, jeden były czarodziej, jedna wnuczka i jak się wydaje, jakieś trzy setki innych ludzi.

–Dodaj jeszcze jedną córkę do tego wykazu – powiedziała Fontaina, pławiąc się w blasku ogromnego zadowolenia bijącego od jej matki. – Wyglądasz cudownie.

–Bo czuję się cudownie, chociaż teraz meczę się dość szybko. – Uśmiechnęły się do siebie czule.

–A jak się miewa przyszły ojciec?

–Denerwuje się.

–Nie musi, sądząc z tego, jak wyglądasz.

–Z powodu spotkania z tobą – poprawiła Adesina.

–Ze mną? – Przez chwilę Fontaina wyglądała na zakłopotaną – lecz szybko zrozumiała, co kryje się pod słowami matki.

–Dość szybko zajął miejsce twojego ojca – ciągnęła Adesina. – I jeśli nie masz nic przeciwko temu, bym tak powiedziała, twój język bywa dość ostry.

–Och, to głupie! – zawołała Fontaina. – Natychmiast muszę mu to wybić z głowy. Oczywiście, początkowo byłam zaskoczona, ale, tak czy inaczej, napisałam wszystko w swoich listach.

–Mówiłam mu to, ale...

–Zawsze wiedziałam, że masz rację, a teraz, kiedy cię zobaczyłam, w ogóle nie może być żadnych wątpliwości!

–Powiedz mu to, kiedy go zobaczysz.

Fontaina skinęła głową.

–Mężczyźni! – powiedziała z irytacją, a potem się roześmiała. – Naprawdę się mnie boi? Zawsze był taką imponującą postacią. – Spoważniała. – Zmienił się?

–Po prostu nie jest już czarodziejem, jak wiesz. Lecz pozostał tym samym człowiekiem, w którym się zakochałam. Niekiedy wpada w przygnębienie, ponieważ nie może czegoś zrobić, szczególnie, jeśli dotyczy to mojego zdrowia, i wpędza Kaia w prawdziwy obłęd wszystkimi swoimi pytaniami i prośbami. Ale poza tym, nie, nie zmienił się. Może nie jest już tak gwałtowny. Atlanta, oczywiście, odeszła. – W jej głosie zabrzmiał cień żalu.

–Czy jest szczęśliwy?

–Sądzę, że tak – odparła Adesina tonem, w którym kryło się o wiele więcej pewności niż w jej słowach.

Z wrodzonym poczuciem właściwego czasu, wspólnym tak wielu noworodkom, dziecko Adesiny postanowiło przyjść na świat podczas tych szarych godzin przed świtem, znanych na wszystkich wyspach jako „wilcza pora”. Pomimo tego kilku ludzi znajdowało się pod ręką do pomocy i w końcu Fontaina musiała większość z nich odesłać, aby pozbyć się tłoku. Pozostała ona i oczywiście Moroski.

Moroski denerwował się tak bardzo, że z trudem mógł siedzieć bez ruchu. Drżał na całym ciele w odpowiedzi na jej skurcze, tak, że w końcu Adesina, przy której głowie siedział, postanowiła go uspokoić, – choć powinno być odwrotnie. Przekomarzała się z nim i zażartowała aż do ostatnich chwil, kiedy to nie miała już siły na nic, oprócz cudu i męczarni wydawania na świat nowego życia.

Fontaina również próbowała utrzymać beztroski nastrój podczas całego porodu. Zachowywała się inaczej niż większość ludzi w takich przypadkach i ukrywała swój niepokój pod maską uśmiechniętej twarzy. Kai też miał swój wkład w utrzymaniu radosnej atmosfery. Oprócz tych chwil, kiedy kontrolował stan nienarodzonego dziecka i jego matki, gadał niemal bez przerwy i okazał się w potrzebie najsprawniejszą na świecie akuszerką. Pomimo względnie młodego wieku, z uwagi na swoje magiczne wyszkolenie, obeznany był z większością spraw dotyczących zdrowia i leczenia i asystował już przy kilku porodach. Gdy Fontaina pochwaliła go za jego biegłość, odparł bez namysłu:

–To tylko kwestia zrozumienia.

–Być może, ale wątpię, czy zdołałbyś ściągnąć Ansara bliżej niż o ligę stąd w takiej chwili. Nie potrafił znieść widoku przyjscia na świat Kerana, pomimo całej jego obecnej dumy i zaślepienia na punkcie syna.

–Cóż, krew krwi nierówna – odparł Kai.

–Dajcie spokój mojemu najstarszemu – skomentowała sucho Adesina. Chociaż jej głos był napięty, słycać w nim było ukrytą radość. – Mój najmłodszy jest już w drodze.

Oburzony krzyk dziecka zmuszonego do opuszczenia swej ciepłej przystani wkrótce potwierdził prawdziwość jej słów.

Gdy tylko Moroski upewnił się, że zarówno żona, jak i dziecko są zdrowe i spokojne, napięcie błyskawicznie spłynęło z jego twarzy. Wypłynął na nią uśmiech zabarwiony radosnym zdumieniem, kiedy brał w ręce maleńką dziewczynkę. Jego dopiero, co narodzona córka spojrzała na niego spod wpełprzymkniętych powiek, a on złożył ją delikatnie w ramiona jej matki. Gdy to robił, zauważył małe znamię na lewym ramieniu dziewczynki, ale wkrótce o tym zapomniał i pochylił się, by pocałować Adesinę z oczyma błyszczącymi od łez szczęścia.

Położnica była wyczerpana, lecz całkowicie odprężona i bardzo, ale to bardzo szczęśliwa. Tak wiele lat minęło od chwili, kiedy urodziła Fontainę, że przeżycie to przepelniało jej serce jak coś zupełnie nowego. Teraz, kiedy trzymała nową istotę w ramionach i spoglądała w błyszczące oczy Moroskiego, czuła się niezwyknięta, jak gdyby ich miłość mogła pokonać wszystko. Nic na świecie nie mogło zagrozić ich szczęściu i szczęściu ich dziecka.

Kai i Fontaina pozostawili tych troje pogrążonych w błogim i milczącym zamyśleniu, które wkrótce zmieniło się w spokój zasłużonego snu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Dziewczynce nadano imię, Tzigane, prastare imię, które miało szczególne znaczenie dla jej rodziców, lecz wzbraniali się wyjawić to komukolwiek innemu.

Od początku była wymagającym dzieckiem, domagającym się nieustannej uwagi i nadzwyczajnych ilości jedzenia; na szczęście nie stanowiło to żadnego problemu. Rodzice byli absolutnie gotowi poświęcić jej każdą chwilę swego czasu, a kiedy musieli zająć się czymś innym, natychmiast znajdowało się kilku innych bardziej niż chętnych, by zająć ich miejsce. Dziesięć dni po porodzie Fontaina otrzymała z Arki niepokojące wieści, między innymi o tym, że stan Korii się pogorszył. Stało się tak pomimo nieustannej opieki i zabiegów Ferragama i obecnie czarodzieja zaabsorbowała tak bardzo choroba Korii, że niewiele uwagi poświęcał coraz pilniejszym sprawom państwowym. Pozbawiony rad czarodzieja i świadom dręczącej go troski, Mark był najwyraźniej poważnie zaniepokojony. Fontaina wiedziała, że jej miejsce jest u jego boku.

Nawet, kiedy wyjechała, Tzigane nie cierpiała na brak innych nianiek. Kai czerpał niewiarygodną dumę z faktu, że należał do tych osób, które sprowadziły ją na ten świat, i nie musiał szukać wielu usprawiedliwień, by spędzać czas z dzieckiem. Gemma również była stałym gościem, dzieląc swój czas pomiędzy Kerana i Tzigane, absolutnie nimi zafascynowana.

–Dlaczego ona nie mówi, babciu? – zapytała pewnego razu księżniczka, słysząc popłakującą Tzigane.

–Jeszcze nie potrafi, maleńka – odparła Adesina. – Dzieci muszą nauczyć się mówić, a uczą się słuchając nas. To właśnie, dlatego powinno się wciąż do nich mówić, nawet, kiedy nie odpowiadają.

Gemma rozważała to przez chwilę.

–Czy ona słucha nas teraz? – zapytała, przyglądając się uważnie dziecku.

–Oczywiście, tak.

–Nie wydaje się, żeby słuchała – zauważyła krytycznie księżniczka. – Może nie rozmawiamy dość głośno?

–Och, sądzę, że wystarczająco głośno – odparła szybko Adesina. – Po prostu ma tak wiele do słuchania, patrzenia i dotykania. Wszystko jest dla niej nowe, więc zwraca uwagę na tyle rzeczy...

Po dłuższym namyśle Gemma wyruszyła z tajną misją. Wkrótce potem jak wymaszerowała zdecydowanym krokiem z pokoju, weszli tam Moroski i Kai.

–Co powiedziałaś Gemmie? – zapytał Moroski, gdy siadł obok żony, z przyjemnością biorąc córkę na ręce. – Otrzymaliśmy ściśle instrukcje, by właściwie rozmawiać z dzieckiem.

–Tak – dodał Kai. – Odniosłem nieodparte wrażenie, że w przyszłości będziemy nieustannie kontrolowani. Witaj, moje чудо – dodał klękając, tak, że jego twarz znalazła się na poziomie twarzy Tzigane. Dziecko uważnie przyjrzało się młodemu czarodziejowi i wyciągnęło małą rączkę do jego drugich, brązowych loków.

–Nie ma dziewczyny, która potrafiłaby ci się oprzeć, prawda? – powiedziała Adesina, uśmiechając się.

–Cóż ja na to poradzę? – odparł czarodziej z miną niewiniątka, gdy delikatnie potrząsał głową pozwalając swym włosom pieścić rączkę Tzigane. – To nie moja wina, że jestem przystojny, czarujący i inteligentny. To po prostu przychodzi samo z siebie.

Adesina pchnęła go żartobliwie, a on upadł na podłogę w teatralnej pozie, śmiejąc się, dopóki dziecko nie zaczęło głośno płakać. Podniósł się na klęczki i spojrzał w oczy zapłakanemu dziecku.

–Wszystko w porządku. Nic mi nie jest – zapewnił. Tzigane natychmiast się uspokoiła, a jej krzyki zastąpiło dziwaczne pytające zmarszczenie brwi. Mina dziewczynki została odzwierciedlona na twarzy jej ojca. Było coś pomiędzy Tzigane i Kaim, czego nie rozumiał, i to wywołało jego chwilowy niepokój. Adesina niczego nie zauważywszy śmiała się z błazeństw Kaia.

–Jesteś takim samym dzieckiem – orzekła. – Gemma będzie miała ci, co nieco do powiedzenia, jeśli przyłapie cię na takim błaznowaniu!

Chwilę później wróciła Gemma, niosąc swoją ulubioną książkę z opowieściami. To, jak zdecydowała, jest najlepszy sposób, by nauczyć Tzigane szybko mówić. Opowieści są tak zajmujące, że będzie musiała zwrócić uwagę właśnie na nie, a nie na całą resztę otaczających ją rzeczy. Sama przeczytała jedną, a troje dorosłych musiało pełnić rolę słuchaczy, a potem, w drodze łaskawego wyróżnienia, pozwoliła Kaiowi odczytać wszystkie pozostałe. Zgodnie z oczekiwaniem i ku wielkiemu zadowoleniu Gemmy potok słów wręcz urzekł Tzigane. Kiedy opowieść dobiegła końca, Gemma spojrzała na dziecko i zapytała:

–Czy teraz już potrafi mówić?

To właśnie Kai pierwszy zauważył, że znamię na małym ramieniu Tzigane zmieniło kształt.

–Powiększa się, jestem tego pewien – oznajmił, wskazując je rodzicom dziewczynki.

–To nic poważnego, prawda? – zapytał Moroski, rozpaczliwie szukając potwierdzenia.

–Oczywiście, że nie! – odparła Adesina.

Niemniej jednak od tego dnia uważnie obserwowali zamię i stwierdzili, że choć początkowo niedostrzegalnie, to jednak jego kontury wyraźnie się zmieniają. Po kilku dniach wróciło do swego pierwotnego kształtu. Lecz potem cały ten dziwny proces rozpoczął się znowu i odtąd powtarzał, co mniej więcej sześć dni. Było to dziwne i niepokojące, toteż nie wspomiano o tym żadnemu innemu mieszkańcowi pałacu.

Początkowo ani rodzice Tzigane, ani też Kai nie mogli się doszukać żadnego sensu w tych zmianach, lecz stopniowo wciąż na nowo powtarzające się kształty stały się znajome, aż którejś nocy Moroski zrozumiał, co mu przypominają. Zsunął się z posłania i przekradł do dziecięcego łóżeczka, aby się upewnić. Nie mogło być żadnych wątpliwości! Wiedział dokładnie, jak zmienia się kontury małego brązowego znamienia i potwierdzenie tych przypuszczeń sprawiło, że przez całe jego ciało przebiegł dreszcz podniecenia zmieszanego ze strachem. Co to mogło znaczyć? W tej chwili nic mu nie przychodziło do głowy, ale było jasne, że Tzigane nie jest zwykłym dzieckiem.

–Co też przyszłość niesie dla ciebie?" – zastanowił się, wpatrując w pogrążoną we śnie twarz swego dziecka. Cichy pokój nie dostarczył żadnej odpowiedzi i w końcu wrócił do łóżka. Przez jakiś czas nie mógł zasnąć, gdyż jego mózg usiłował odkryć powód, dla którego jego córka została naznaczona maleńkim, wciąż zmieniającym się piętnem w kształcie lecącego sokoła.

Moroski podzielił się swym odkryciem z Adesiną i później dziwnie niechętnie, z Kaim. Oboje natychmiast dostrzegli sylwetkę sokoła, lecz tak samo jak i on nie mieli żadnego pojęcia, co to ma znaczyć.

–Być może Atlanta jest wciąż z tobą – podsunęła cichym głosem Adesina któregoś wieczoru, kiedy byli sami.

–Może – odparł, ale bez przekonania i jak się okazało nikt nie miał już potem czasu na stworzenie wiarygodnej teorii, a to z powodu pojawienia się nad miastem ptaka.

Kiedy Tzigane ukończyła zaledwie trzy miesiące, nadeszły wieści o wydarzeniach, które miały na zawsze roztrzaskać jej młody świat – i świat wszystkich wokół niej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zwiastunem wojny był ogromny, groteskowo zdeformowany orzeł, który okrążył Ramsport jak gdyby w misji zwiadowczej. Jego złowrogim czerwonym oczom nie umknął żaden szczegół, a ci, którzy mieli nieszczęście zostać pochyceni jego złośliwym spojrzeniem, dostawali dreszczy. Kiedy odleciał z powrotem na morze, mieszkańcy stolicy odczuli wielką ulgę, lecz nie mogli nie zastanawiać się, co też pojawienie się tego ptaszydła zapowiadało; nie trzeba było dysponować intuicją czarodzieja, by wiedzieć, że to złowróżbny znak.

Kiedy orzeł powrócił dwa dni później, towarzyszyła mu potężna armia. Jej przybycie poprzedziły pogłoski, a wzbudzające grozę ostrzeżenia wcale nie były przesadzone. Okręty, na pokładach, których przyłynęli, tworzyły tak wielką flotę, że zmusiło ich to do przybicia w kilku różnych miejscach na wybrzeżu, po obu stronach miasta.

Od czasu powrotu na swoją ojczystą wyspę, Ansar robił, co mógł, by powiększyć liczebność armii healdańskiej. Nie ulegało wątpliwości, że świat stał się niebezpiecznym i niepewnym miejscem i takie środki ostrożności były konieczne. Jednak, gdy tylko rzucił okiem na rozmiary gotujących się do inwazji sił, natychmiast stało się dlań jasne, jak dalece niewystarczające są jego własne. Spokojnie i pewnie przygotował się, by zrobić wszystko, co leżało w jego mocy, aby ocalić honor swej wyspy, równocześnie myśląc nad tym, jak uratować rodzinę przed mającą nastąpić masakrą.

Pierwsze starcie było niezwykle zacięte. Najeźdźcy wylali się na brzeg, nie zważając na przejmujący zimowy chłód i wzburzone morze, które siekło ich lodowatym wodnym pyłem i wyrzuciło wiele z ich mniejszych łodzi. Stawiono im czoło we wszystkich miejscach, gdzie tylko było to możliwe i jako że żołnierze healdańscy mieli znaczną przewagę pozycyjną, przez jakiś czas wszystko szło dobrze dla obrońców. Nieuniknienie jednak zwykła przewaga liczebna najeźdźców przeważała wkrótce szalę i coraz bardziej zmęczona armia healdańska osiągnęła kres swoich możliwości bojowych. Zaczęli oddawać pozycję po pozycji i szybko zawisła nad nimi całkiem realna groźba masakry, jako że najeźdźcy wciąż nieprzerwanym potokiem spływali na brzeg. Ansar niechętnie zarządził odwrót, pozwalając wrogom wylądować w spokoju. po to, aby dać swoim żołnierzom szansę na przegrupowanie się i nabranie tchu.

Król był w ponurym nastroju, który jeszcze bardziej pogłębiał fakt, że nie mógł brać bezpośredniego udziału w walce. Dowodzenie nie leżało w naturze Ansara i musiał zwalczać własne odruchy, by nie rzucić się zbrojnie przeciwko wrogom. Chociaż wiedział, że wkrótce będzie miał okazję udowodnić siłę swego ramienia, dawało mu to niewiele satysfakcji. Zdawał sobie sprawę, że do tego czasu jego wyspa będzie już niemal na pewno stracona.

Wśród wydarzeń tego straszego dnia rozbłyskiwał tylko jeden promyk nadziei. Najeźdźcy, z którymi walczyli, byli ludźmi takimi samymi, jak oni: krwawili i umierali całymi setkami. Ansara przerażała możliwość, że jego żołnierze musieliby opierać się owym widmom, które wygnały go z domu półtora roku wcześniej, i czerpał ponurą satysfakcję z widoku straszliwej rzezi w

szeregach tych, którzy pogwałcili pokój jego wyspy.

Pierwszy odwrót armii Ansara był początkiem końca: król zdawał sobie sprawę, że to musi nastąpić. Wielu mieszkańców Ramsportu usiłowało schronić się w pobliskich wioskach, ale najeźdźcy wkrótce otoczyli miasto i siali spustoszenie wśród ogarniętych paniką mieszczan. Siły Ansara były spychane coraz bardziej i bardziej, aż do chwili, gdy jedyną twierdzą pozostał otoczony wysokimi murami pałac. Ponury i zacięty Ansar zgromadził wokół siebie pozostałych przy życiu żołnierzy i przygotował do ostatniego starcia.

Król i jego ludzie patrzyli z rozpaczą w sercach jak ponad miastem zaczyna podnosić się dym. Zwycięscy najeźdźcy wpadli w szal, łupiąc i mordując, rozkoszując się bezsensownym niszczeniem. Obrazy i dźwięki tego ranka stawały się niemożliwą do zniesienia torturą dla resztek healdańskiej armii.

Laurent znalazł Ansara na blankach, kulącego się pod murem, by uniknąć strzała. Dworzanin był brudny i zakrwawiony i wyglądał jak człowiek bliski zupełnego wyczerpania. Osunął się na kamienną posadzkę u boku swego króla.

–Nic z tego nie rozumiem – warknął Ansar. – Na co oni czekają? Przez ten czas mogli już z nami skończyć kilka razy! – Wygląda, jak gdyby pozwolono się im zabawić – odparł Laurent. – Zachowują się jak zgłodniałe bestie.

–Czy kobiety opuściły już pałac? – zapytał ponuro król.

–Nie. Nie ma możliwości. Tajne przejścia wciąż jeszcze nie zostały zajęte, ale miasto pogrążone jest w chaosie.

Wydawało się, że Ansar zaraz eksploduje.

–Musi istnieć jakiś sposób! – krzyknął. – Czy one oszalały?

–Podobnie jak ty chcą opuścić pałac – odparł dworzanin. – A mężczyźni, którym powierzyłeś opiekę nad nimi, są tylko ludźmi.

Twarz Ansara przybrała spokojny i zdecydowany wyraz. Wziął Laurenta w ramiona i odezwał się poważnie.

–Stary przyjacielu, mam zamiar złożyć na twoich barkach wielkie brzemie. Nie przerywaj, po prostu słuchaj. Spełniłeś już swoją rolę w walce. A masz jeszcze o wiele więcej do spełnienia, w co nikt nie wątpi, lecz pozwól, niech ja postanowię, co to ma być. To ostatnia rzecz, o jaką chcę cię prosić.

Głos króla był tak poważny i pełen tak bezwzględного autorytetu, że Laurent mógł jedynie czekać w milczeniu na to, co usłyszy.

–Zabierz ich stąd. Riverę, Kerana i Gemnę. Moją matkę również, jeśli będzie chciała pójść. Mogę przyjąć żołnierską śmierć, ale nie zniosę myśli, że ci, których kocham, mogliby znaleźć się w rękach tych barbarzyńców. Znasz to miasto i Heald lepiej niż ktokolwiek inny. Ostatnim razem uciekłeś i ocalałeś wbrew wszelkim przeciwnościom. Uratuj ich dla mnie, Laurencie.

Dworzanin tylko skinął głową. Żadne słowa nie oddałyby tego, co w tej chwili czuł.

–Jesteś prawdziwym przyjacielem – powiedział Ansar.

Rozstali się już nic nie mówiąc, pożegnawszy się tylko gorącym uściskiem ręki. Laurent ruszył szybko przed siebie, nisko pochylony, by ukryć się przed wzrokiem otaczających pałac łuczników. Ansar patrzył za nim, dopóki nie zniknął mu z oczu, a potem przymknął powieki w milczącej udręce. Kiedy znowu je otworzył, uprzytomnił sobie, że w mieście poniżej pałacowych murów zapadła nagle cisza.

Ostrożnie zerknął znad blanków. W zasięgu wzroku znajdowało się kilku wrogów, ale wydawało się, że nie są już zajęci grabieżą i mordem. I rzeczywiście, ku zdumieniu Ansara przechadzali się teraz, jak gdyby na jakiejś beztroskiej letniej wycieczce, a gdy się temu przyglądał, zaczęły dziać się jeszcze bardziej godne uwagi rzeczy.

Z wielu domów, poprzednio zabarykadowanych i zaryglowanych, zaczęli wyłaniać się mieszkańcy Ramsportu. Wychodzili mrugając w blasku bladego zimowego słońca, jak gdyby w ogóle nie znajdowali się w niebezpieczeństwie. I w istocie tak to wyglądało! Bardzo szybko Healdanie i żołnierze połączyli się zgodnie, bez żadnych oznak wrogości, we wciąż powiększający się tłum, wypełniający ulice i place otaczające pałac.

„Co się dzieje? To czyste szaleństwo!” – pomyślał do cna oszołomiony Ansar. Tłum u jego stóp powiększał się, lecz ten niewytłumaczalny obraz rozwijał się przed jego oczyma w niesamowitej ciszy. Owa nienaturalna cisza była w jakiś dziwny sposób jeszcze bardziej złowieszcza niż rzeź, która ją poprzedzała. Ansarowi zaczęła cierpnąć skóra w pełnym grozy wyczekiwaniu i niewiele minęło czasu, a jego najgorsze obawy się potwierdziły

Zauważył w porcie ogromny szary okręt. Sprawiał, że wszystkie pozostałe wydawały się przy nim dziecięcymi zabawkami i Ansar domyślił się, że to statek flagowy floty najeźdźców. Potem w tłumie stojącym po drugiej stronie głównego placu, nastąpiło poruszenie i Ansar wraz z towarzyszącymi mu na blankach żołnierzami zobaczył, jak ludzie się wycofują, by przepuścić maszerujący pomiędzy nimi pluton żołnierzy. Kiedy nowy oddział się zbliżył, żołądek króla zmienił się w bryłę lodu. Miał okazję widzieć już te szare twarze i bezduszne oczy. Wiedział, nie potrzebując na to żadnego dowodu, że nowo przybyłymi są widma – okrutne i niezwyciężone. Tylko, dlaczego nie wzięły udziału w inwazji? – Ostatni promyk nadziei na honorową śmierć zgasł w odrętwiającym i beznadziejnym przerażeniu. Ansar modlił się rozpaczliwie w duchu, aby Laurentowi udała się jego misja. Widma zatrzymały się w szyku, oczyściły znaczną przestrzeń pośrodku placu i wtoczyły na to miejsce wóz. Potem znieruchomiały i czekały z wszystkimi innymi.

„Co teraz? Dlaczego się ze mnie naigrawają?” – Ansar niemal dotarł do kresu wytrzymałości; to, co zobaczył w chwilę później, pchnęło go jeszcze bliżej ku temu.

Gigantyczny mężczyzna wkroczył w pole widzenia. Nawet spowity w swoją falującą czarno-srebrną szatę sprawiał wrażenie potężnie zbudowanego, a bezbarwne oczy błyskały złowrogo w zdeformowanej i odrażającej twarzy. Za nim kuśtykał niezgrabnie czerwonooki orzeł. Ludzie na placu przyglądali się nadchodzącemu mężczyźnie z wyrazem zachwytu i służalstwa na twarzach. Ansara ogarnęły mdłości.

„To on!” – pomyślał z rozpaczą.

Alzedo zatrzymał się przy wozie i uniósł wzrok na pałac, spoglądając wprost na Ansara. Król powstał i wyprostował się, wiedząc, że strzały są teraz najmniejszym z niebezpieczeństw, którym musi stawić czoło. Alzedo uśmiechnął się. Był to straszny widok. Kiedy przemówił, jego głos wstrząsnął fundamentami pałacu. Nikt nie mógł umknąć przed jego złowieszczyimi słowami.

–Pozdrowienia, Ansarze. Spotykamy się znowu... wreszcie. Mam nadzieję, że twoje pojawienie oznacza, iż chcesz się poddać.

Ansar stał, drżąc cały, i nie mógł dobyć z siebie głosu.

Czarnoksiężnik ciągnął dalej, pozornie rozsądnym tonem.

–Nie mam nic do ciebie i jestem gotów wybaczyć ci głupstwa, które wcześniej popełniłeś. Inne wyspy już się poddały. Wkrótce Arka pozostanie sama, a wówczas świat będzie mój. Od twojego wyboru zależy, czy będziesz częścią nowego świata, czy też poświęcisz wszystko na próżno. Nie można mnie zatrzymać, więc, po co cierpieć na próżno?

Słaba, buntownicza myśl poruszyła się w drżącym umyśle Ansara. „Słyszałeś te argumenty już wcześniej! Nie ufaj mu!” – Wciąż nie mógł się odezwać. Potężny, przekonywający głos mówił dalej.

–Poddasz się i tobie oraz tym, którzy są z tobą, nie stanie się żadna krzywda.

„Nie – pomyślał Ansar – staną się bezrozumnymi żywymi trupami, stanowiącymi pożywkę dla twojego potwornego zła!”

Ciężka prawa ręka Alzeda wyłoniła się spod płaszcza i zakreśliła szeroki łuk, wskazując otaczający go bierny tłum.

–Los twoich ludzi leży w twoich rękach. Daj mi to, czego chcę, a oni będą żyli. Jeśli nie...

Jakaś kobieta odłączyła się od tłumu i wyszła na otwartą przestrzeń. Wdrapała się na wóz i stanęła tam, wpatrując w czarownika. Miała spokojną twarz, a oczy puste. Ukazała się lewa ręka Alzeda. Środkowy palec był groteskowo wyciągnięty w długi, ostry jak brzytwa szpon,

który błyszczał jak stał. Niedbałym ruchem przesunął szpon w górę, rozpruwając kobietę od uda aż po gardło. Krew i wnętrzności wypłynęły szerokim strumieniem, gdy ciało upadło na drewniane deski, gdzie jeszcze przez kilka chwil wstrząsały nim coraz słabsze drgawki, aż wreszcie znieruchomiło całkowicie. Alzedo uśmiechnął się.

Ansar czuł w gardle wzbierającą żołąć, a twarz zbieiała mu z gniewu i obrzydzenia. Odgłos wymiotów dobiegł od strony żołnierzy stojących na blankach. Tłum w dole tylko przysłuchiwał się temu i przyglądał, tak samo obojętny jak przedtem.

–Musisz jedynie oddać pałac i jego mieszkańców w moje ręce, a pokój znów zagości na twojej wyspie.

„Wolę nie żyć, niż zobaczyć twój pokój – pomyślał wyzywająco Ansar. – Zresztą tak czy inaczej...”

–Twoi ludzie będą bezpieczni żyjąc dalej jako moi poddani... – Alzedo przerwał. – Lecz z konieczności muszę uczynić w tym jeden wyjątek. Wszyscy tak zwani czarodzieje budzą mój wstręt i zostaną zniszczeni wraz z tymi, których skaziła ich krew. Dziecko czarodzieja musi umrzeć.

„Skąd on wie o Tzigane?” – zastanawiał się jak oszalały Ansar. Potem uświadomił sobie, że wpatruje się weń wiele par oczu. Ci z pałacu spoglądali na niego, by im powiedział, co mają robić – być może nie uświadomili sobie jeszcze, że bez względu na to, co postanowi, i tak skaże ich na zgubę. Część z nich oczekiwała, iż ulegnie żądaniom czarnoksiężnika, to było jasne on jednak w głębi serca wiedział, że nie mógłby tego zrobić.

–Twoje wahanie jest niemądre – zahuczał Alzedo.

Następny człowiek wspiał się na wóz, nie zważając na kalające go krwawe szczątki, i został z obojętnością wypatroszony.

–Nie! – krzyknął Ansar. W końcu podjął decyzję. Równało się to samobójstwu, lecz wreszcie działał instynktownie, zgodnie ze swoją naturą.

Z mieczem w ręku popędził na dół, kierując się ku głównej bramie. Po drodze zwoływał swoich ludzi, którzy reagowali z zadziwiającą szybkością. Ansarowi nie przyszło do głowy zastanowić się, dlaczego ci, którzy pozostali w pałacu, odporni są na masową hipnozę, jaka dotknęła całą resztę. Wykrzykiwał rozkazy wbiegając na czele swoich ludzi na plac miejski, gdzie znowu zapanował chaos, żołnierze wroga zabrali się, bowiem ponownie do swego krwawego zajęcia, wycinając mieszczan.

Ansar popędził ku swemu znieawidzonemu wrogowi i otaczającym go widmom.

Ponad wszystkim rozbrzmiewał szyderczy śmiech Alzeda.

Dźwięk pierwszych słów Alzeda sprawił, że wszelki ruch w pałacu zamarł. Wszystkich zmroziły jego słowa i chociaż zaoszczędzono im widoku okrucieństwa czarnoksiężnika, sama jego obecność wystarczyła, by obudzić wszystkie tłumione do tej chwili lęki.

Laurent odnalazł Riverę i jej dzieci kilka chwil wcześniej. Wciąż jeszcze ciężko oddychał, ale wiedział, że jeśli mają podjąć próbę ucieczki, muszą zdecydować się na to szybko. Kiedy wokół nich zabrzmiał głos czarnoksiężnika, przestraszył się, czy nie jest już za późno, ale zarazem stwierdził, że nie może się poruszyć ani nawet myśleć spójnie. Przysłuchiwał się bezradnie zwiastunowi zagłady. W sąsiednim pokoju Moroski i Adesina również stali jak sparaliżowani. Myśleli o Tzigane i przy straszliwych słowach: "dziecko czarodzieja musi umrzeć" ich oczy zaokrągliły się od wstrząsu, a oni sami odwrócili się mimowolnie ku śpiącej dziewczynce.

Czar prysnął, kiedy Ansar podjął decyzję o ataku, chociaż ci znajdujący się w środku nie wiedzieli o tym wówczas. Uwolniona od złośliwego czaru Adesina natychmiast wzięła dziecko w ramiona.

–Dlaczego? – zapytała cicho. – Co ona zrobiła?

Moroski nie miał na to żadnej odpowiedzi. Czuł się podwójnie i przygnębiająco bezsilny. Nawet jako czarodziej byłby bezradny wobec Alzeda, a co dopiero teraz; nie mógł myśleć, nie wiedział, w jaki sposób ochronić tych, którzy byli dla niego drożsi niż własne życie! Biorąc je obie w ramiona, mógł jedynie nie zgadzać się z losem. „Przecież nie po to się urodziła!”

Wzdrygnęli się gwałtownie, gdy drzwi się otwały i do komnaty wszedł Kai.

–Laurent będzie usiłował wydostać stąd Riverę i dzieci – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – Jeśli się pospieszycie, możecie ruszyć razem z nim. Szansa jest nikła, ale jedyna.

Kochankowie spojrzeli sobie w oczy. W jednej chwili każde z nich znało decyzję, ale Kai był niecierpliwy:

–Na co czekacie? Chodźcie!

–Uciekałem przedtem – odparł Moroski, – ale nie tym razem. To jest mój dom.

–Mój również – powiedziała Adesina.

–Ale Tzigane! – krzyknął ogarnięty grozą Kai. – Słyszeliście, co powiedział.

–Sądzi, że jest ważna – przyznał w zamyśleniu Moroski. – Nie wiem, dlaczego tak myśli, ale w takim razie Tzigane tym bardziej musi się stąd wydostać. – Był teraz niezwykle spokojny i ciągnął dalej, lekceważąc podejmowane przez Kaia próby przerwania mu. – Wyrzekłem się wielu rzeczy, aby zostać ojcem tego dziecka, ale teraz nie mogę jej pomóc. Ty jesteś jedynym człowiekiem, który może to zrobić. Weź ją ze sobą. Idź z Laurentem i innymi.

–Proszę – dodała Adesina.

–Lecz Ansar... – zaczął Kai.

–Nie da się nic dla niego zrobić – uświadomił mu Moroski. – Ocal z tej przerażającej pułapki tę odrobinę, którą możesz.

–Uratuj ją, ofiara Healdu nie całkiem pójdzie na marne – dodała Adesina. – Proszę, Kai. Dla nas.

Przez kilka chwil młody czarodziej stał zakłopotany, nie wiedząc, co robić. Potem, zdawszy sobie sprawę, że goni go czas, zapytał:

–Dlaczego również nie uciekniecie?

–Przeszkadzałybyśmy wam – powiedziała Adesina. – Musimy zostać, żeby Alzedo myślał, że Tzigane jest wciąż tutaj. Macie większą szansę na ucieczkę, jeśli będzie on zajęty szukaniem nas.

–Weź ją i idź – Moroski nie prosił już, lecz błagał.

Na korytarzu rozległo się wołanie Laurenta.

–Dobrze – zgodził się Kai niechętnie.

Adesina zawahała się spoglądając na dziecko, lecz dosłyszawszy ponaglące wołanie z zewnątrz, ucałowała czule Tzigane i oddała ją pod opiekę Kaia. Chwilę jeszcze czarodziej ościagał się, z oczyma pełnymi wszystkich tych słów, których nie było czasu wypowiedzieć.

–Idź – ponagliła go Adesina zdławionym od wzruszenia głosem.

–Żegnajcie – rzucił Kai i nie czekając na odpowiedź odwrócił się i wybiegł z pokoju, tuląc w ramionach Tzigane.

Gdy Kai zniknął, przyszedł czas na łzy, ale żadne z nich nie chciałyby cofnąć swej decyzji. Przywarli do siebie rozpaczliwie, aż łkania ucichły i myśli o działaniu pozwoliły odepchnąć im od siebie ból rozstania. Kilka chwil może stanowić o wszystkim, toteż uznali, że muszą pomóc Kaiowi i Laurentowi tyle, ile mogli, tak, aby ich własny koniec nie poszedł na marne.

–Zawiń poduszkę w szal – powiedział Moroski. – Pokażemy się. Może oszuka go to na chwilę.

Adesina zrobiła tak, jak jej powiedział, i razem zanurzyli się w bitewnym zgiełku. Walka toczyła się już w pałacu i teraz na czele wrogów stały widma.

Jeden ze stalowo okich najeźdźców spostrzegł parę i krzyknął, wskazując ich mieczem. Odwrócenie uwagi doprowadziło do jego zguby, gdyż jeden z obrońców skoczył naprzód i

przeszył go na wylot. Po krótkiej chwili ciało zniknęło, rozpuszczając się w szarym wirze, który potem znowu stał się żołnierzem, jednak zanim jeszcze doszło do tej nienaturalnej przemiany, towarzysze widma zwrócili uwagę na jego krzyk i kilku z nich ruszyło w pościg za Moroskim i Adesina.

–Do wieży! – rzucił były czarodziej, zabierając zawiniątko od żony. Puścili się biegiem, wiedząc, że od wrogów dzieli ich tylko niewielka odległość. Rzuciwszy się w pogoń, widma przestały zwracać uwagę na obrońców i wiele z nich zostało ściętych przez resztki straży pałacowej. To dało Moroskiemu i Adesinie chwilę wytchnienia, lecz i tak ledwie udało im się dostać do podstawy wieży i zaryglować wejście, a już ich prześladowcy zaczęli łomotać w okute żelazem drzwi.

Najniżej położony pokój w wieży był zimny i ciemny, ogołocony ze wszystkich sprzętów z wyjątkiem kilku zapomnianych gratów, pozostawionych tutaj, by zbutwiały.

Adesina osunęła się na podłogę, siadając naprzeciwko gołej kamiennej ściany. Z trudem łapała oddech.

–Czy sądzisz... – zaczęła.

–Nie wiem. – Moroski wzruszył ramionami. Odłożył poduszkę i usiadł obok swojej żony. – Czy chcesz wejść na górę? – zapytał, wskazując schody. – Moglibyśmy zobaczyć, co się dzieje.

–Nie sądzę, bym zdołała – odparła. Jej twarz była blada i wciąż ciężko oddychała. – Boli mnie kostka.

Siedzieli w milczeniu, nadsluchując dochodzących z zewnątrz odgłosów walki. Widma przestały walić w drzwi i teraz doszedł do nich odgłos zbliżających się ciężkich kroków.

Alzedo stanął przed wieżą, nie zwracając uwagi na toczące się wokół niego potyczki. Za nim zatrzymał się kuśtykający, szkaradny orzeł. Czarnoksiężnik uśmiechnął się, gdy widma wycofały się na bezpieczną odległość.

–To będzie dla mnie sama przyjemność – oznajmił. – Odpowiedni koniec dla tych maluczkich wrogów. – Odwrócił się do swojego przyjaciela. – Zobacz, Sivadlu, w jaki sposób usuwam przeszkody ze swojej drogi. Patrz i ucz się.

Uniósł oba potężne ramiona i przemówił. Jego słowa rozbrzmiewały szcękając w zimnym powietrzu, a zgrzytliwy dźwięk torturowanych kamieni wzmagał się, atakując z coraz większą gwałtownością uszy stojących wokół.

–To tyle, co do przepowiedni! – krzyknął Alzedo, a potem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, kierując swój tryumf ku niebiosom.

Wewnątrz wieży Adesina i Moroski trzymali się w objęciach, zastanawiając się, kiedy nastąpi

ostateczny atak. W głębi siebie odnaleźli coś w rodzaju spokoju i wiedzieli, że bez względu na to, jakie okropności jeszcze ich czekają, łatwiej będzie je znieść, gdyż stawiają im czoło razem.

–Czy było warto? – zapytał cicho.

–Och, tak – odparła natychmiast Adesina, wkładając w to całe swoje serce.

Były to jej ostatnie słowa. Na rozkaz Alzeda zaprawa, drewno i kamienie zapadły się w głąb i w ogromnej powodzi runęły na ziemię.

Ostatni uścisk kochanków pogrzebany został pod spiętrzoną masą kamieni, które odtąd na zawsze już miały być ich pomnikiem.

Część trzecia

ARKA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Fontainy nie było w Gwiazdzistym Wzgórzu niewiele ponad miesiąc, lecz wiele się zmieniło – na gorsze – od czasu, gdy wyjechała, by zająć się przyjściem na świat Tzigane. List Marka brzmiał niemal rozpaczliwie i królowa Arki nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć, dlaczego.

Stawało się coraz bardziej jasne, że wyspy pogrążają się w kryzysie. Od czasu, kiedy Alzedo, wspomagany przez złośliwą mgłę, niemal zdobył władzę nad ich światem, Mark czynił energiczne wysiłki, by odnowić serdeczne stosunki ze wszystkimi pozostałymi wyspami, z wyjątkiem Brogaru. Pochwalić mógł się jednak niewielkimi sukcesami. Wrogie nastawienie, z jakim Gale i jego towarzysze spotkali się na Strallen, wcale nie należało do wyjątków. Przeszło rok minął już od tego czasu, a władcy Arki wciąż pozostawali sami. Rozumieli potrzebę zjednoczonego działania przeciw złu, które nieuchronnie nadejdzie, ale nawet ich najbliżsi sojusznicy na Healdzie zajęci byli innymi sprawami.

Na domiar złego zdawało się, że niektóre wyspy walczyły ze sobą, obwiniając się wzajemnie o ostatnie niepowodzenia. Nawet gdyby zdołano uzupełnić brakujące szczegóły w doniesieniach wysłanników Marka, to i tak nie można było przymknąć oczu na uporczywie powtarzające się pogłoski o wojnie. Ferragamo Podejrzewał, że maczał w tym palce czarodziej odszczepieniec z Brogaru. Jednak był tak zręczliwy i przykry dla otoczenia, że niewielu potrafiło wysłuchać do końca jego tyrad, wielu natomiast uważało, że jego teorie biorą się z czystej paranoi. Kiedy Koria padła ofiarą wyniszczającej choroby, która nie chciała ustąpić pomimo wszelkich zabiegów, humory czarodzieja zaczęły stawać się coraz bardziej dokuczliwe i zmienne. Z listu Marka do

Fontainy wynikało, że obecnie Ferragamo osiągnął stan, który uniemożliwia mu prowadzenie rozsądnej rozmowy dłużej niż przez kilka chwil. Zrozpaczony czarodziej jest tak zajęty chorobą swojej kochanki, że w porównaniu z tym wszystko inne wydaje mu się niemal bez znaczenia.

–Żyje przeszłością – powiedział Mark Fontainie, gdy tylko znaleźli się sami. – Wspomina czasy, kiedy byłem dzieckiem, ale przede wszystkim mówi o początkach swej znajomości z Korią. Kocha ją tak bardzo, że nie może znieść swojej bezsilności, żyje więc wspomnieniami czasów, kiedy czuła się dobrze. Strasznie mi ich żal.

–Wygląda niemal tak, jak gdyby coś usiłowało skrzywdzić ich celowo – stwierdziła Fontaina, lecz Mark był zbyt pochłonięty własnymi sprawami, by dotarło doń ukryte znaczenie jej słów.

–Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że właśnie teraz potrzebuję go bardziej niż kiedykolwiek – rzekł ponuro. – Zdarzenia układają się w coś strasznego, a on nie może mi pomóc, bo po prostu go tu nie ma!

Związek Marka i Ferragama przechodził różne koleje, od czasu, kiedy młody książę był entuzjastycznym, – choć marzycielskim – uczniem czarodzieja. W ciągu lat zdarzały się okresy nieufności, a nawet niechęci, lecz wzajemna miłość i szacunek, jakie wciąż czuli, jednak stanowczo przeważały. Własny ojciec był dla Marka odległą i niekiedy obcą postacią, a po przedwczesnej śmierci Athera Ferragamo wręcz przez jakiś czas zastępował ojca najmłodszemu księciu Arki. Od tego też czasu rada czarodzieja – a nawet zwykła jego obecność – przydawały życiu Marka poczucia stabilności, toteż teraz boleśnie odczuwał utratę jednego i drugiego.

–Masz innych doradców – zwróciła się do niego Fontaina. – Przede wszystkim mnie!

Mark uśmiechnął się, tak jak tego chciała.

–Cieszę się, że wróciłaś – powiedział cicho.

Ferragamo siedział w sypialni, którą on i Koria dzielili od tak dawna. Prawa ręka czarodzieja spoczywała na łóżku, w którym spała jego pani. Lewa nieustannie się poruszała: stuknęła w poręcz krzesła, przeczesywała palcami jego krótkie, białe włosy, obmacywała guziki wymiętego ubrania. Ferragamo utkwiał zielone oczy w przeciwległą ścianę, gdzie siedziała Sowa, lecz widział, coś zupełnie innego.

Koria rzadko przebywała teraz poza łóżkiem więcej niż kilka godzin każdego dnia, lecz nawet, kiedy spała, czarodziej nigdy nie oddalał się dalej niż na kilka kroków. Jego niewytłumaczalna niezdolność do wyleczenia – czy nawet zdiagnozowania – tej choroby sprawiała, że znajdował się w stanie nieustannego wstrząsu. Jego umysł, niegdyś błyskotliwa i groźna potęga, zachował swoją moc, lecz stracił swoją kotwicę i teraz dryfował, zdany na łaskę wiatrów i pływów, których nikt nie potrafił zgłębić.

Pozbawiony towarzystwa jedynej kobiety, która potrafiła zawładnąć jego sercem w ciągu dwóch i pół stuleci jego życia, znajdował oparcie w ucieczce do wspomnień o szczęśliwszych czasach. Przeszłość była jego azylem. Tylko tam mógł kosztować znowu uderzającego do głowy wina ich dawnej miłości, kiedy każde pijane było drugim i nurzali się zachłannie w swej namiętności, wbrew dezaprobach całego zewnętrznego, jakże zresztą lekceważonego świata. Tam mógł spacerować u boku Korii, odkrywając wybrzeża i okolice wokół ich chaty ukrytej przed ludzkim wzrokiem w małej, leżącej na południu wiosce, zwanej Domem. Tam mogli też leżeć, w sytym cieple swoich ramion, po tym jak ich miłość potwierdziła się kolejny raz w najbardziej niezaprzeczalny sposób.

Stanowili niewątpliwie dobraną parę i akceptowali naturę ich wspólnego życia bez żadnych wahań czy skrupułów. Oboje wiedzieli, że Ferragamo pozostanie niemal niezmienny wraz z

upływem lat – nawet teraz miał wygląd trzydziestoletniego mężczyzny, – podczas gdy Korcia będzie się starzała i w końcu pozostawi go samego. Ale wszystko to było sprawą dalekiej przyszłości. Korcie daleko jeszcze było do pierwszej połowy stulecia jej życia i jak dotychczas nie znała żadnej choroby wymagającej czegoś więcej niż zwykłego leczenia – jednego leczniczego dotknięcia ręki czarodzieja. Dlatego to obecne powalenie przez chorobę – przecież przewrotne – wydawało się aktem jakiegoś bezsensownego okrucieństwa.

Zawsze była szczupła i niezwykle aktywna, lecz teraz jej ciało wyschło i osłabło, i bardzo łatwo się męczyła. Chociaż wychudzona, jej twarz zachowała urok, który dla Ferragamo był jeszcze bardziej pociągający niż zwykła piękność, lecz cierpienie malowało się w jej brązowych oczach przez większość czasu, kiedy nie spała.

Zdając sobie sprawę z konsekwencji swej słabości, Korcia znosiła ją z wielkim hartem, a wrodzona pogoda ducha pozwalała zachować jej optymizm i spokój. Nieco zbijało ją z tropu i napawało lękiem to, że jej kochanek nie jest w stanie zrozumieć przyczyn jej choroby, ale przecież już się przekonała: czarodziejstwo nie stanowi całkowitej sumy wszelkiej wiedzy świata. Zatem jeśli to się znajduje poza zasięgiem umiejętności Ferragamo przeciwstawi się temu wszystkimi innymi środkami pozostając do jej dyspozycji. Bardziej zresztą, pomimo swego złego samopoczucia, martwiła się fatalnym stanem psychicznym swego kochanka niż sobą i wiele energii poświęcała na to, by dla jego dobra pozostać radosną i spokojną. Niestety, męczyły ją te wysiłki i w konsekwencji przesypiała znaczną część każdego dnia, zagubiona w snach, które przeplatały pamięć zmęczenia z chwilami szczęścia, kiedy to mogła razem z czarodziejem spacerować po ogrodach przeszłości.

Spała teraz, a obok niej, jak gdyby pogrążony w transie siedział Ferragamo. Sowa przyglądała im się dużymi smutnymi oczyma, dzieląc oszołomienie swego pana i widząc wraz z nim obrazy szczęścia, które jak się zdawało, odeszły na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Luka i Julii nie było w Gwiaździstym Wzgórzu, kiedy księżęca matka powróciła tam z Healdu. Odwiedzili mały północny port Koro i teraz nie spiesząc się wracali do stolicy, wykorzystując do końca łagodną jesienną pogodę. Wokół nich faliste zielone wzgórza tworzyły sielski krajobraz, od zachodu ujęty w ramy niemal niknących we mgle gór. Jednak pomimo tchnącego spokojem tła i powolnego kroku wierzchowców ich myśli pełne były złowieszczych przeczuć.

W Koro usłyszeli pogłoski o gwałtach i zamieszkach na północnych wyspach, a to tylko potwierdziło ich przecucia nadciągającego kryzysu. Niewielu ludzi wyraziło zdziwienie, że królewska para podróżuje bez eskorty. Arka wolna była od niesnasek od dnia, kiedy tych dwoje połączyło swoje siły, by pokonać spirale wrogości, która ogarnęła wszystkie wyspy. Możliwość, że on i Julia mogliby potrzebować ochrony, nigdy nawet nie przyszła Lukowi do głowy, lecz gdy teraz wracali do Gwiaździstego Wzgórza, zastanawiał się głośno, czy przypadkiem nie okaże się to konieczne.

–Będzie to smutny dzień dla Arki – odparła jego młoda żona.

Cieszę się, słysząc, jak oboje wygadujecie głupstwa na ten temat. Dobrana z was para, jak zawsze – zabrzmiał w ich myślach bezdźwięczny głos.

Te sarkastyczne słowa wyrzekł kot, który jechał na siodle przed Lukiem. Zawadiaka był czarno-biały, z wyjątkiem czterech brudno brązowych łap, i jak jego rodzica, Długowłosego, cechowała go skłonność do złośliwego wyrażania się.

Jeśli zamieszki, o których mówimy, rzeczywiście nadchodzą – ciągnął dalej – oznacza to inwazję z zewnątrz. Wówczas wszyscy będą potrzebowali ochrony, nie tylko wy. Jeśli nie, wówczas jedynymi ludźmi, których musicie się bać, są wasi poddani, czyli jedyni wyspiarze, którzy nie sprawiają kłopotu...

Luk i Julia spojrzeli z zaskoczeniem na Zawadiakę, który do tej pory sprawiał wrażenie, że śpi sobie spokojnie, tak, że jego głos odebrali z czymś w rodzaju wstrząsu. Zwykli porozumiewać się z kotem w myślach, choć nie ze sobą nawzajem. Odkrycie, że są w stanie rozmawiać w ten sposób, stanowiło dla nich niegdyś źródło wielkiego zdumienia, lecz teraz było dla nich czymś zupełnie codziennym. Mark i Długowłosey również mogli porozumiewać się ze sobą bezpośrednio w myślach, dokładnie tak, jak czarodzieje ze swoimi przyjaciółmi.

–W porządku, zręczne pazurki – powiedział Luk, mówiąc głośno, tak żeby Julia mogła usłyszeć obie strony biorące udział w rozmowie. – Jeśli wszystko układa się tak wspaniale, dlaczego jesteś niespokojny?

–Ja zresztą też – dodała Julia.

Ponieważ tylko kompletny tuman mógłby nie być – odparował kot. – Wszyscy są niespokojni.

–Ale to coś więcej niż... – zaczął Luk.

Oczywiście, że tak. Jesteście Sługami, ty i ona. A może zapomnieliście? – Zawadiaka ziewnął bezczelnie. – Sam fakt, że rozmawiam z wami w ten sposób, jest tego dowodem i z tego też powodu jesteście tak wrażliwi.

–Ale prawdziwi Słudzy żyli wiele stuleci temu – upieraj się Luk.

No, może rzeczywiście macz źle poukładane w głowie – stwierdził kwaśno Zawadiaka i Luk umilkł, po raz tysięczny zastanawiając się nad swoimi starożytnymi przodkami.

Pierwsi Słudzy byli bohaterami, ludźmi, którzy pomogli czarodziejom tamtych czasów pokonać niebezpiecznego, dążącego do tyranii, potężnego czarodzieja. Nazwali się tak sami z racji sprawy, której służyli. Wojna Czarodziejów, jak w przyszłości miała być nazywana, została stoczona przy użyciu niewyobrażalnych sił, tak magicznych, jak i ludzkich, i zmieniła oblicze świata. Czy zawisłe nad nimi teraz niebezpieczeństwo mogło być rzeczywiście tak poważne jak to, przeciwko któremu zobowiązali się walczyć Słudzy? Podobieństw było wiele, lecz jeśli... Luk przed samym sobą wzbraniał się przyznać, że mógłby grać wiodącą rolę w tych wydarzeniach, choć z drugiej strony... Jakże często kierowały nim instynkty, z istnienia, których nie zdawał sobie sprawy, a jego magiczne uzdolnienia – prawda, że niepodobne do tych, jakimi dysponują czarodzieje – często wymykały się spod jego kontroli, ich skutki zaś były nie do przewidzenia. Wyglądało to tak, jak gdyby był wykorzystywany jako narzędzie do realizacji jakichś wyższych celów czy też przeznaczenia, do czego tak naprawdę nie przygotowało go nawet jego dziwne dzieciństwo.

Julia również zatopiła się w rozmyślaniach. Jej własne pochodzenie okryte było całunem grozy, lecz przewyciężyła swe nieszczęsne dziedzictwo. Uwolniła się od wpływu Alzeda, niemniej wciąż ją prześladowały wspomnienia i przerażeniem napawała następna próba sił. Wiedziała, że wkrótce nastąpi.

Rozmyślania obojga przerwał Zawadiaka, który podjął na nowo swój komentarz:

Właściwie wam dwojgu niewiele grozi. Wystarczy na was spojrzeć i większość łotrów ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

Mąż i żona spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

–Dlaczego? – zapytała Julia. – Nie jesteśmy aż tak szpetni!

Macie oczy czarodziejów – odparł kot drżącym tonem, wyszydając reakcje części niedowiarków mieszkających na Arce. – To wystarczy, żeby silni mężczyźni zrobili siusiu ze strachu. Niech padnę trupem, jeśli skłamałem, choć słowem!

Luk i Julia roześmiali się, ale wiedzieli, że w żartach kota tkwiło ziarno prawdy. Rzeczywiście, niewiele było takich młodych par, jak oni. Jasne włosy Luka i wysoka,

muskularna postać nadawały mu imponujący wygląd, zupełnie niepasujący do jego siedemnastu lat. Julia była szczupła, lecz atletycznie zbudowana, a jej śliczną twarz okalały czarne, przetykane pasemkami srebra włosy, choć przecież była tylko kilka miesięcy starsza od swego męża. Jednak to ich oczy, jak trafnie zauważył Zawadiaka, zwracały największą uwagę. Oczy Luka były złoto bursztynowe, jarzące się w chwilach podniecenia i potrafiły zahipnotyzować każdego, kto spojrzał w ich płynne głębie. Stały się takie od czasu, kiedy w wieku dwóch lat zjadł całą księżycową jagodę, ale nawet przedtem jego spojrzenie uderzało intensywnością. Oczy Julii były natomiast jak delikatny fioletowy cień, który potrafił usidlić wielu, równocześnie wywołując ledwo uchwytny dreszcz zagrożenia. Ich barwa sprawiała, że Luk od czasu do czasu mimowolnie wzdrygał się, przypominały mu, bowiem o minionej walce ze złem uosabianym przez Alzeda.

–Cóż, nic na to nie poradzimy – rzekła Julia.

Tak właśnie oni wszyscy mówią – zakończył Zawadiaka.

Jechali dalej w milczeniu. Po jakimś czasie Luk powiedział głośno:

–Zastanawiam się, jak się czuje Korja.

Przy takim tempie możesz się tego dzisiaj nie dowiedzieć – odparł jego koci towarzysz. – *Czy te wielkie niezdary muszą iść tak wolno? Możemy przez to nie zdążyć na kolację.*

–Wiesz doskonale, że narzekałbyś, jak to cię strasznie trzęsie gdybyśmy ruszyli szybciej – odciął się Luk, niemniej jednak spięli wierzchowce ostrogami, by zdążyć do miasta przed wieczornym chłodem.

Wjechali do Gwiazdzistego Wzgórza przez Bramę Gwiazdy jedno z pięciu wejść równomiernie rozmieszczonych na obwodzie kolistych miejskich murów. Zamieniwszy pozdrowienia z żołnierzami w wartowni, ruszyli wzdłuż brukowanej ulicy, która prowadziła prosto do centrum, gdzie wznosił się zamek. Takie same drogi wiodły w głąb stolicy od każdej z bram, dzieląc miasto jak szprychy koła na pięć sektorów. Sektory te nazywano przewrotnie ćwiartkami.

Kiedy dotarli już niemal do celu, Julia nawiązała do tego, co ich gnębiło.

–Chodźmy i poszukajmy Yve – zaproponowała. – Jeśli ktokolwiek będzie coś wiedział o Korii to ona.

Luk skinął głową z powagą. Młoda czarodziejka z Lugg była jedyną osobą, która wciąż cieszyła się zaufaniem Ferragama. Wszystkich swoich starych przyjaciół, którzy nie mogli mu przecież w niczym pomóc, traktował z mniejszą lub większą obojętnością – albo jeszcze gorzej – natomiast Yve, choć tak niedawno przybyła, zawsze witał z radością. Ona jedna mogła asystować mu przy doglądaniu Korii i dlatego też występowała jako pośrednik między nim a resztą dworu.

–Tak – zgodził się ze smutkiem Luk. – Nie sądzę, bym mógł porozmawiać z Ferragamem. Mamy już tylko Yve.

Yve przebywała na Arce już od siedmiu miesięcy i została zaakceptowana jako członek zamkowej społeczności, gdy tylko minął podwójny wstrząs wywołany jej niespotykaną wśród czarodziejów płcią oraz jej niezwykłym przyjacielem. Zrozumiało samo przez się, że była przedmiotem wielkiego zainteresowania i wspomagana przez Durka, Gale i Brama musiała kilka razy przed różnymi audytoriami opowiedzieć swoją historię. Bez przyjemności słuchano okropnych opowieści o Lugg, Arlonie i Strallen, lecz podobne relacje przekazywano i z innych wysp, więc nie stanowiły wielkiego zaskoczenia.

Potem już uwaga skierowała się na samą czarodziejkę i w konsekwencji na Słodycz. Historia Yve była czymś zupełnie nowym i zmusiła wielu ludzi do zrewidowania swych poglądów na świat. Szczególnie Julia odczuwała wielki podziw dla samotnej walki czarodziejki o to, by zostać zaakceptowaną, i dwie młode kobiety zostały bliskimi przyjaciółkami; opowiedziały sobie nawzajem różne historie ze swego życia, które spędziły na przeciwległych krańcach znanego świata.

Kiedy Yve przybyła na Arkę, Koria chorowała już od pewnego czasu, lecz pomimo tego powitała serdecznie przybyłą, gdy tylko Ferragamo przedstawił je sobie. Najwyraźniej miał nadzieję, że czarodziejka będzie w stanie rozwikłać tajemnicę choroby, lecz Yve okazała się tak samo bezsilna, jak on, ku ich wielkiemu rozczarowaniu i zmartwieniu. Niemniej jednak zbliżyło ją to do jej małomównego starszego kolegi i jego ukochanej, tak cierpliwiej w swej chorobie. Napęliło ją to smutkiem i bezsilnym gniewem, że tak samo jak Ferragamo może jedynie przyglądać się, jak Koria osuwa się coraz głębiej w mroczne otchłanie cierpienia i w konsekwencji robiła wszystko, co mogła, by pomóc jej w inny sposób. Jej wysiłki zostały należycie ocenione i Yve nie mogła wyjść z podziwu, w jaki też sposób Koria pozostaje tak radosna i spokojna pomimo swego cierpienia.

Wiele innych osób na dworze poznało bliżej i polubiło Yve i z czasem stała się powszechnie uznaną postacią na zamku. O jej przyjacielem nie można było jednak powiedzieć tego samego.

Dla większości ludzi Słodycz był w dalszym ciągu tajemniczym zjawiskiem i być może wychodziło to na dobre obu stronom. Wielu nie potrafiło w ogóle dostrzec smoka, z wyjątkiem sporadycznych zaburzeń atmosfery w polu widzenia, i dlatego też przyzwyczaili się traktować go jak miraż, ważny jedynie dla Yve. Parę osób traktowało go poważnie. To z kolei drażniło Słodycz i kilka razy wywołał panikę ognistymi demonstracjami. Yve położyła temu kres i teraz znaczną część czasu smok spędzał poza murami miasta, znajdując tam dla siebie odpowiedniejszą atmosferę. Pomijając kilka pomniejszych problemów z jednym czy drugim pastuchem, ta sytuacja odpowiadała wszystkim. Szczególnie Mark był zadowolony, że Słodycz rzadko znajduje się w zasięgu wzroku. Choć ledwo mógł dostrzec kontury stworzenia i na mgnienie uchwycić wzrokiem spojrzenie jego błyszczących oczu, wystarczało to aż nadto, by przywołać niechciane wspomnienia stoczony w młodości walki z jednym z krewniaków smoka.

Bekę natomiast Słodycz fascynował, widziała go też wyraźniej niż większość innych. Często towarzyszyła Yve w spotkaniach z jej przyjacielem i przyglądała się ze strachem, jak Słodycz pyszni się i paraduje dla niej.

–Jest taki piękny! – zawołała z podziwem księżniczka którejś okazji.

–Nie zachęcaj go za bardzo – rzekła Yve, uśmiechając się

W myślach upomniała smoka: Czy nikt nie powiedział ci, jak okropnie się popisujesz?

Ale ja mam tak wiele do pokazania!

–Czy jeździsz na nim? – zapytała z zapartym tchem Bek

–Nie. Niestety nie – odparła z żalem Yve. – Słodycz nie jest całkowicie w naszym świecie. Dotknij go, a zobaczysz, co mam na myśli.

Niezwykłe ostrożnie Beka wyciągnęła rękę w stronę posłuszni znieruchomiałej paszczęki smoka. Gdy jej palce przeszły przez niego, pisnęła cicho z zaskoczenia, a Słodycz odsunął się szybko, kichając gwałtownie.

–Czy zrobiłam mu krzywdę? – dopytywała się z niepokojem księżniczka.

–Nie – roześmiała się Yve. – Ale teraz rozumiesz, dlaczego nie mogę na nim jeździć.

Nigdy nawet nie próbowałaś – odezwał się niespodziewanie Słodycz. – Zawsze możesz wejść do mojego świata. Oga powiedział, że mógłby nam pokazać, w jaki sposób.

Yve była zmieszana i nieszczęśliwa, pewna, że stało się coś złego. Słodycz mówił z entuzjazmem, ale jego słowa brzmiały fałszywie.

Kto to jest Oga? – chciała wiedzieć.

Przyjaciół. – Smok był w odwrocie, niespodziewanie niepewny siebie.

Mieszka w twoim świecie?

Słodycz wyglądał tak, jak gdyby nie rozumiał pytania. Skinął wreszcie głową, ale nie chciał powiedzieć nic więcej.

–Co się stało? – zapytała Beka, świadoma niesłyszalnej rozmowy.

–Nic – odparła Yve. – Lepiej będzie, jak już wrócimy.

Nikt, nawet Ferragamo, nie był w stanie rzucić jakiegokolwiek światła na dziwną półgzyścencję Słodyczy i Yve nie próbowała dalej rozwiązywać tej zagadki. Zaakceptowała

swojego niezwykłego przyjaciela i tylko przy takich okazjach jak ta zdarzało się, że wywoływał w niej jakiś nieokreślony niepokój.

–Dobrze byłoby jeździć na nim, prawda? – powiedziała Beka, gdy szły w kierunku zamku. – Unosić się na niebie jak ptak.

–Tak – odparła Yve. – Wspaniale. – I dodała w myślach: „Chciałabym, żeby to było takie proste.”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Mark siedział na kamiennej ławce na dziedzińcu, gdzie rosło drzewo księżycowych jagód, myśląc o minionych walkach, których świadkiem było to miejsce. Teraz był już pewien, że niedługo czekają ich następne. Luk i Julia wrócili poprzedniego dnia wieczorem z Koro, przywożąc nowe wieści o zamieszkach i Mark, tak jak oni, czuł wzbierający niepokój. Miał nadzieję, że jego życie po wszystkich próbach i przygodach młodości będzie biegło w spokoju i zadowoleniu, lecz tak się nie stało. Zaznał wiele szczęścia, lecz również chwil grozy i rozpacz.

„Chciałbym, żeby to się już skończyło – pomyślał tęsknie, a potem wzdrygnął się na myśl, że złożona przed wiekami obietnica Sług może nigdy się nie spełnić. Nieskończone stulecia wypełnione czujnością rozciągnęły się przed oczyma jego duszy. Nie był to czas na odpoczynek, na odprężenie, na zwykłe, spokojne życie. – Chciałbym, żeby to się już skończyło.”

Jego wzrok spoczął na drzewie księżycowych jagód rosnącym pośrodku dziedzińca. Smukły pień nie przewyższał człowieka, a wdzięcznie wygięte gałęzie wciąż pokrywały bladozielone liście, pomimo nadciągającej szybko zimy. Drogocenne owoce, srebrno-szarej barwy i wielkości paznokcia kciuka, wyglądały dość niewinnie, ale Mark wiedział swoje. Wielekroć już zademonstrowały, jaka kryje się w nich potęga.

Z miejsca gdzie siedział, król zaczął liczyć jagody, zastanawiając się równocześnie, czy pozostały jeszcze jakieś na innych wyspach. Jeśli opowieść Yve była typowa, jeśli to samo wydarzyło się na innych wyspach, możliwe, że nie ostała się żadna, a w najlepszym wypadku tylko kilka. Nie była to pocieszająca myśl.

"Dziewiętnaście. Koria musiała zerwać ostatnio jedną do posiłku".

Ta myśl pojawiła się w głowie Marka mimowolnie, lecz zaraz uświadomił sobie, że ktoś inny musi teraz nadzorować wymagającego wielkiej ostrożności dodawania księżycowych jagód do jedzenia przygotowywanego dla wszystkich mieszkańców zamku. Niegdyś była to tylko tradycja, lecz ostatnio stawało się to coraz bardziej dosłownie sprawą życia i śmierci. Nawet pod nieobecność Korii personel kuchni nie zapomniał o tym i Mark zapamiętał sobie, by ich za to pochwalić. Drzewo rodziło tyle, ile trzeba owoców i wkrótce nowa jagoda zajmie miejsce tej, którą zerwano. Przynajmniej tego można było być pewnym. Zadumę Marka przerwało pojawienie się Janiego, który wyłonił się z wejścia u podstawy Wieży Czarodzieja. Zaskoczyło to króla. Ponieważ Ferragamo niemal wcale nie opuszczał teraz swoich apartamentów, wieżę odwiedzano z rzadka. Stanowiła szczególnie chroniony azyl Ferragama; Luk, Julia i inni bywali tam częstymi gośćmi, ale przecież nie teraz. Mark nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wspinał się pełnymi przeciągów schodami do pracowni czarodzieja.

Jani uśmiechnął się, na pozór bez troski, lecz Mark wiedział, że nie otrzyma żadnych wyjaśnień od wielkiego mężczyzny. Jani był głuchoniemy. Jego muskularne ciało okrywały jedynie cienka koszula i spodnie; pomimo zimna, stopy i łysą głowę miał gołe. Jak zawsze wydawał się spokojny i pełen godności, a jego łagodne usposobienie nie pasowało zupełnie do

imponujących rozmiarów. Trudno było uwierzyć, że niegdyś kucharzył bandzie zbójów.

Mark uśmiechnął się z zakłopotaniem, zastanawiając się, co też Jani robił w wieży. Odpowiedź otrzymał z najbardziej nieoczekiwanej strony.

Pomagał mi – odezwał się w królewskiej głowie znajomy głos. – Niestety, muszę przyznać, że otwieranie drzwi nie należy do moich rozlicznych umiejętności.

Długowłose Mysizmór wyłonił się z wieży, z wyprostowanym ogonem i jak zawsze zmierzwioną na wszystkie strony czarno-białą sierścią. Kot dzielił zdolność wzajemnego rozumienia się nie tylko z Markiem, ale także z Janim, który nie mogąc korzystać z bezpośredniego kontaktu z królem, pozwalał mu w razie potrzeby w ten sposób dzielić się swoimi myślami i uczuciami. Luka i Zawadiakę również łączyła podobna bliskość odczuwania z byłym banitą.

Co robiłeś? – zapytał Mark.

Chciałem zobaczyć jeszcze raz komnatę, w której odbyła się narada – odparł Długowłose.

Dlaczego?

Aby przypomnieć sobie sny – rzekł kot. – Żeby następnym razem były pod ręką.

Mark był zaintrygowany.

Ale nie będzie żadnej innej narady – powiedział z absolutnym przekonaniem.

Być może nie tutaj.

Długowłose, o czym ty mówisz?

Zbliża się następna próba sił – odparł ze zniecierpliwieniem kot. – Niektórzy z nas usiłują przygotować się do niej, zamiast tylko siedzieć i pogrążyć się w czarnych myślach.

Co powinienem zrobić? – zapytał Mark, dotknięty tonem oskarżenia, brzmącym w głosie jego przyjaciela.

Długowłose nie odpowiedział od razu. Prześlizgnął się wokół kostki Janiego, ocierając jego stopę, jak gdyby w podziękowaniu. Olbrzym pochylił się, by pogłaskać głowę kota, a potem wymaszerował wielkimi krokami z dziedzińca, machnąwszy ręką Markowi na pożegnanie. Długowłose zbliżył się do króla.

To chyba lepiej, że sobie poszedł – oznajmił kot. – Nie chciałem wprawiać cię przy nim w zakłopotanie.

Dzięki ci za twoją troskę – odparował z ironią Mark, ignorując sarkastyczny ton Długowłosego.

Mógłbyś przynajmniej okazać trochę zdecydowania i animuszu. Cytryna jest słodsza od twojej miny.

Mam prawo być przygnębiony, jeśli zechcę – odparł z irytacją władca Arki, nie mogąc zachować spokoju w obliczu krytyki Długowłosego.

Nie! – sprzeciwił się kot. – Zbyt wielu ludzi uważa cię za przywódcę. Jeśli poddasz się teraz...

Nie poddam się – wtrącił Mark. – Po prostu nie wiem, co robić!

Aha, więc nie robisz nic – zadrwił Długowłosey.

Co byś sugerował?

Pomyśleć – brzmiała natychmiastowa odpowiedź. – Wiem, że ten proces jest ci obcy, ale nie zajęłoby znów tak wiele czasu dotarcie do kilku ścieżek, którymi warto byłoby podążać.

Mark czekał.

Sny, na początek.

Sny?

Dwie ostatnie konfrontacje były poprzedzone symbolicznymi snami – wyjaśniał cierpliwie Długowłosey. – Twoim, o Wojowniku Miraży, a potem Luka, o wirze. Wskazywały wam drogę.

Głowę Marka wypełniły nieproszone wspomnienia. Odsuwając je od siebie zapytał:

Ale jak mogłoby to nam pomóc teraz?

Kto miał ostatnio dziwne sny? – zawołał Długowłosey. – Pytaj!

Kogo?

Wszystkich!

To szaleństwo, Długowłosey.

Większe niż utrata Arki? – odparował kot. - I jeszcze jedno Na scenie muszą pojawić się Słudzy. Pierwszym byłeś ty, potem Luk i Julia. Wszyscy jesteście Sługami. Może są jeszcze inni.

Mark rozważył to.

Nie sądzę. Tylko my troje potrafimy porozumiewać się w myślach, oczywiście z wyjątkiem czarodziejów. Nie ma nikogo innego. To bez sensu. – Zniechęcony, odwrócił wzrok.

Nie skończyłem jeszcze – prychnął kot, jeżąc na wszystkie strony sierść. – Nie wspomnieliśmy dotąd o najbardziej rzucającym się w oczy ogniwie: przepowiedniach. Stary pergamin, który znalazłeś, i inskrypcja przywieziona przez Julię ze Strocku. Gdzieś musi być, więc trzecia. Wszystko, co trzeba zrobić, to ją odnaleźć.

Wszystko?! – zawołał Mark, bliski utraty panowania nad sobą z powodu nieustannej irytacji. – Nie odnajduje się po prostu takich rzeczy! – rzucił zapalczywie. – Nie mamy pojęcia, gdzie szukać. Może być gdziekolwiek, nawet na innej wyspie.

Cały kłopot z tobą – stwierdził Długowłosey – polega na tym, że wszystko przychodziło ci zbyt łatwo. Proroctwa po prostu spadały ci na kolana.

Drobny okrucieństwo prawdy, który zabarwił te niesprawiedliwe uwagi, pozostawił Marka pogrążonego w milczeniu i gotującego się ze złości. Długowłosey ciągnął dalej nieubłaganie.

Wciąż uroczyście zapewniasz o swojej niemocy i w ten sposób usprawiedliwiasz swoją beczynność. Gdybyśmy znaleźli jakąś przepowiednię, wówczas wszyscy musielibyśmy coś zrobić dla jej spełnienia. Nawet gdyby w rzeczywistości nie istniała!

Marka ogarnęło zdumienie, wyraźnie widoczne na jego twarzy. Natomiast oczy Długowłosego jarzyły się kocim rozbawieniem.

Dałaby nam ceł. Podbudowałyby morale.

Nie możesz jej po prostu wymyślić! – zaprotestował osłupiały Mark.

Najłatwiejsza rzecz na świecie – odparł nie okazując żadnej skruchy kot i przyjął teatralną pozę, z łapami ustawionymi w kwadracie i wysoko uniesionym ogonem. – Tak się zaczynały, prawda? – i zaintonował żalobnym głosem:

Z morza – niebezpieczeństwo, z morza – bezpieczeństwo.

Przestań – ostrzegł go Mark, ale Długowłosey nie zwrócił na to żadnej uwagi. Król usiłował zamknąć swój umysł, ale kot nie dał się zbyć. Wpatrując się w oczy Marka nieustępliwym wzrokiem zaczął recytować uroczystym głosem:

Kot Arkona, Ten, Który Nie Tchórzy,

Królowi swemu czarną rozpacz wróży.

Słudzy śnić muszą i zająć się wojną,

Wiedzeni kocią łapą, w pazury zbrojną.

Mark nie wiedział: śmiać się, płakać czy też wybuchnąć gniewem. Monolog ciągnął się dalej.

Wykorzystując swój wielki talent dramatyczny,

Szlachetny Mysizmór, łapę na sercu położywszy...

W tym miejscu Długowłosa dopasował ruchy do swoich słów i sztywno uniósł prawą przednią łapę do piersi. Gdy to uczynił, jego pysk przybrał niedorzeczny wyraz osłupienia i powoli, komicznie, przewrócił się, nie próbując w żaden sposób odzyskać równowagi. Wyraz udanego zaskoczenia na jego pysku był tak doskonale oddany, że Mark, wbrew sobie, stwierdził, iż się śmieje. To było dobre.

Długowłosa podniósł się, udając urażoną godność.

Możesz się śmiać – powiedział, delikatnie prostując swoje wąsy. – Ale to wcale nie jest śmieszne!

Jego obrażony ton sprawił tylko, że Mark zaczął się śmiać jeszcze głośniej i chociaż zrozumiał już, iż nim manipulowano, był wdzięczny swemu małemu przyjacielowi. Przedstawienie kota rzuciło jasny promyk na ponurą szarość tego dnia i polepszyło samopoczucie króla. Nic tak naprawdę się nie zmieniło, ale teraz czuł, że potrafi stanąć przed światem z lepszym sercem.

W porządku – powiedział Mark. – Będę pamiętał o twoich szalonych pomysłach. Swoją drogą, w jaki sposób udaje ci się za każdym razem wciągając mnie do rozmowy na ten temat?

Elementarna psychologia – odparł zadowolonym tonem Długowłosa. – Za każdym razem tracisz od tego głowę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

–Luk i Julia pytali o ciebie zeszłej nocy – powiedziała Yve. – Czy chciałabyś, aby cię odwiedzili?

–Nie powinnaś się przemęczać – wtrącił szybko Ferragamo.

Koria uśmiechnęła się do niego słabo.

–Towarzystwo ludzi, których kocham, nie może mi w żaden sposób zaszkodzić – rzekła. – Wręcz odwrotnie. – Zwracając się do Yve, powiedziała: – Poproś ich, żeby przyszli jutro, dobrze?

Yve i Ferragamo siedzieli już jakiś czas przy chorej. Raczej z nawyku niż z przekonania, że mogłoby to w czymś pomóc, sprawdzili uprzednio za pomocą swych specjalnych uzdolnień zasięg dręczącej ją choroby. I jak zawsze natknęli się w Korii na nieprzekraczalną barierę. Jak zawsze szukali przyczyn słabości, lecz nic nie znaleźli. Cokolwiek ich powstrzymywało, było niezwykle silne, a poddana temu Koria po prostu gasła.

–Czy mógłbyś przynieść mi coś do picia? – poprosiła.

Ferragamo wstał, pochylił się i pocałował ją delikatnie, a potem poszedł do kuchni. Koria odprowadziła go wzrokiem, potem westchnęła i osunęła się na poduszki.

–Czy myślałaś kiedyś o małżeństwie? – zapytała.

–Nie. – Yve była nieco zaskoczona. – Nigdy nie stanowiło to dla mnie jakiejś realnej możliwości. – Przerwała, a potem dodała: – I do tego nie mogę mieć dzieci.

–Oczywiście – przytaknęła Koria.

Przez kilka chwil siedziały w milczeniu, każda myśląc o różnych możliwościach.

–Magia też ma swoje granice. Zawsze to wiedziałam – powiedziała w końcu Koria. – Będzie potrzebował kogoś, by nim zaopiekował się, kiedy ja odejdę.

–Co ty mówisz? Wydobrzejesz – stwierdziła stanowczo

–Oczywiście. – Koria uśmiechnęła się, ale jej głos zdradzał, co naprawdę o tym sądzi. – Lecz nawet... jeśli wyzdrowieję, będzie to tylko sprawa czasu. Nie jestem czarodziejką.

Yve nie znalazła na to żadnej odpowiedzi, więc się nie odezwała, wspominając to, co słyszała o Moroskim. Następne stwierdzenie Korii sprawiło, że jej myśli gwałtownie powróciły do rzeczywistości.

–Lubi cię, prawda? A ty będziesz żyła tak długo jak on.

Słowa te zawisły pomiędzy nimi.

–Zrobię wszystko, co będę mogła, by mu pomóc... – powiedziała w końcu Yve.

–Dziękuję.

–...jako przyjaciel. Nigdy nie pokocha innej kobiety. – Czarodziejka wiedziała, że mówi prawdę, i była pewna, że Koria wie to również.

Przedmiot ich rozmowy powrócił, niosąc tacę z trzema parującymi kubkami. Dostrzegłszy powagę na ich twarzach, odezwał się z wymuszoną wesołością:

–Kolejka dla wszystkich. Mój specjalny napar, żeby uchronić się przed zimowym chłodem.

Rozdał kubki i usiadł na swoim krześle.

–O czym rozmawialiście? – zapytał.

Czas mijał, lecz niewiele zmieniał. Atmosfera nadciągającej zagłady gęstniała; każdy statek, który wpływał do portu, przywoził pogłoski o zamieszkach, lecz życie na Arce toczyło się dalej niemal bez zmian. Dwór, miasto, wyspa wciąż zajmowały się potrzebami dnia codziennego. Żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo nie zagrażało Arce i jeśli nawet inwazja miała nastąpić jutro, dzisiaj i tak ludzie musieli jeść.

Jednak, kiedy z północnych wysp, Reku i Trieku, nadeszły zagmatwane doniesienia o rozpoczętych na dużą skalę działaniach wojennych – doniesienia, po których nastąpiła złowieszcza cisza – wzmożono czynione już uprzednio wysiłki dla wzmocnienia obronności Arki. Od kilku miesięcy dowódcy armii przemierzali wyspę wzdłuż i wszerz, dokonując naboru ludzi, kontrolując zbrojownie i fortyfikacje, dając zlecenia płatnerzom. Utworzono sieć łączności obejmującą całą Arkę, tak by informacje mogły szybko docierać do stolicy, a rozkazy – do oddziałów. Mark był przekonany, że te działania są korzystne, nawet gdyby w końcu miały się okazać niewystarczające lub niewłaściwe. Jak stwierdził Długowłosey, było to lepsze niż bezczynność.

Inne propozycje Długowłosego zaowocowały raczej nikłymi rezultatami. Nikt z dworu Gwiazdzistego Wzgórza nie miał snów, które można by zinterpretować jako prorocze. Królowi opowiedziano zdumiewającą mnogość nocnych wizji, z których część była mocno przejaskrawiona, ale do niczego to nie doprowadziło. Jego poddani reagowali na wypytywanie z mniejszym lub większym zakłopotaniem i Mark w końcu zlecił to zadanie innym. Dowiedział się wiele o swoim dworze – łącznie z rzeczami, których wolałby nie wiedzieć, – lecz żaden z chaotycznych i absurdalnych snów nie był nawet w przybliżeniu podobny do tego, którego doświadczył tak wiele lat temu.

Nikt też nie przejawiał oznak dysponowania talentami, którymi obdarzeni byli on, Luk i Julia, wskazującymi na dziedziczenie uzdolnień starożytnych Sług. Jeśli pomoc rzeczywiście miała nadejść z tej strony, wszystko wskazywało na to, że będzie to coś niezapowiedzianego.

Poszukiwanie przepowiedni, która mogłaby wskazać im drogę, wydawało się początkowo najbardziej obiecującym terenem działań. Tutaj przynajmniej istniało całe mnóstwo ścieżek, które należało zbadać. W każdej bibliotece na wyspie ślęczeli nad tekstami wyznaczeni mężczyźni i kobiety szukając czegokolwiek, co przypominałoby poprzednie wiersze. Wyznaczono nagrody dla tych, którzy przekażą informacje o starożytnych inskrypcjach lub rzeźbach. Postanowiono tak ze względu na przepowiednię, która została utrwalona w ten sposób na Strockeru, gdzie odnalazł ją stary opiekun Julii, czarodziej Ashula. Zaowocowało to całą powodzią ofert, – z których większość nie miała nic wspólnego ze starożytnością – od komicznych i sprośnych aż po całkowicie niezrozumiałe. Nie trzeba dodawać, że żadna nie przydała się na nic.

Ferragamo nie brał w tym wszystkim udziału i w konsekwencji Yve często proszono o rady. Dawała je chętnie, lecz często czuła się dziwnie powstrzymywana, niemal tak, jak gdyby coś siedziało na koniuszku jej języka, czekając na wypowiedzenie. Było to denerwujące, lecz zbyt wiele innych trosk zaprzętało jej myśli, by zwrócić na to uwagę. A gdy wreszcie zrozumiała, co tkwiło w jej podświadomości, było zbyt późno, by zmienić los Arki – lub jej własny.

W ciągu trzech następnych miesięcy, po powrocie Fontainy z Healdu, stan Korii stale się pogarszał i dla Ferragama zewnętrzny świat niemal przestał istnieć. W końcu Korii nie była w stanie się podnieść i czarodziej niemal cały czas przebywał u boku swej ukochanej. Jego nastroje zmieniały się gwałtownie, od czarnej rozpaczki przez maniacką złość, skierowaną przeciwko samemu sobie, aż po długie okresy duchowego niebytu, kiedy to przebywał w innych, szczęśliwszych miejscach. Yve obserwowała go niemal tak uważnie, jak on doglądał Korii i ogarnął ją niepokój, że w swym coraz bardziej dalekim od równowagi stanie może uczynić coś rozpaczliwego. Szalony czarodziej – to nie najprzyjemniejsza perspektywa. W rezultacie znaczną część swego czasu spędzała razem z Korii i Ferragamem, wbrew wszystkiemu mając nadzieję na cud, który uratowałby ich oboje. Jej szacunek i coraz większą miłość do Korii potęgował hart ducha tej kobiety, pomalutką też, pomimo wszystkich jego kaprysów i niezręczności, dostrzegła w czarodzieju człowieczeństwo godne miłości. Z ciężkim sercem obserwowała upadek tej pary i wiedziała, że wielu dzieli ogarniającą ją trwogę.

Arka trwała w żelaznym uścisku zimy. Cienka warstwa śniegu i lodu błyszcząca na kocich łbach i dachówkach w księżycowym świetle wczesnego zmierzchu, gdy Yve spieszyła przez dziedziniec, zmierzając do ciepłej przystani zamkowej jadalni. Pozostawiła Korii śpiącą, z Ferragamem czuwającym w milczeniu u jej boku. Nie był to łatwy dzień i cieszyła ją perspektywa ciepła, jedzenia i wesołego towarzystwa. Z wysokich okien jadalni sączył się zachęcająco blask lamp i płonącego w kominku ognia.

W środku powitano ją serdecznie i posadzono na krześle w pobliżu huczących płomieni. Zadano jej kilka pytań – wszyscy wiedzieli, gdzie spędza większość czasu – a ona krótko

odpowiedziała na nieuniknione wypytywanie o zdrowie Korii. Pojawiło się jedzenie, spożyła je nie zwracając większej uwagi na to, co je, a potem wsparła się o oparcie krzesła i zaczęła drzemać.

Przed nią ogień strzelał i huczał, buchając w górę płachtami czerwieni i różu. Oczy Yve zamknęły się, a jej głowa zaczęła powoli pochylać do przodu. Kiedy gwałtownie się kiwnęła, ruch ją obudził i przez chwilę kręciło jej się w głowie. Całe jej jestestwo zdawało się opadać ku żarzącym się węglom, które drgały i migotały przed nią. Odczuła chwilowy, niewytłumaczalny, rozpaczliwy strach. Jej twarz musiała to zdradzić i kilka osób spojrzało na nią z niepokojem.

–Jesteś zmęczona, Yve. Dlaczego nie położysz się wcześniej spać?

Jakaś twarz pojawiła się przed nią. Musiała wysilić się żeby zobaczyć ją wyraźnie, lecz zaraz potem uśmiechnęła się. To był Bram.

–Sądzę, że tak zrobię – powiedziała i ujęła podaną jej rękę.

W milczeniu poszli do pokoju czarodziejki. Przed drzwiami zatrzymali się.

–Nikommu nie będziesz w stanie pomóc, jeśli wyczerpiesz wszystkie siły – powiedział spokojnie Bram. – Może oni znajdują się poza zasięgiem twoich starań.

–Muszę próbować.

–Tak, wiem – przyznał. – Wszyscy tutaj są ci wdzięczni za to, co robisz. Ale powinnaś odpocząć od czasu do czasu.

Yve skinęła ze znużeniem głową.

–Dobrej nocy, Bram... i dziękuję ci.

–Śpij dobrze – powiedział i odszedł.

Yve odprowadziła go wzrokiem, myśląc o tym, że rzadko go ostatnio widuje. Nie miała pojęcia, jak Bram spędza teraz dni. Ogarnęło ją poczucie winy i żalu i już miała go zawołać, lecz wszystko to pokonała nagle fala znużenia. Odwróciła się i weszła do pokoju, i wkrótce potem leżała już wygodnie opatulona kołdrą.

Koszmar spadł na nią jak dziki zwierz, wyrwał z bezpiecznego kokonu i cisnął w chłodny słoneczny blask ponad chmurami.

Jeszcze raz jej żołądek zmienił się w kamień, kiedy smok, na którym siedziała, zaczął nurkować. Chmury objęły ich swoim zimnym i wilgotnym uściskiem, a potem wyrzuciły w zgiełk leżącego niżej świata. Ich lot wyrównał się, a ona, w zdumieniu, przyglądała się widocznym pod skrzydłami smoka niewiarygodnym obrazom. Choć zmniejszona przez ich ogromną wysokość i

tak skala przemocy wzbudzała przerażenie. Łąd pustoszyły huragany i burzowe deszcze. Ogromne fale pędziły przez morze potęgując grozę białych, spienionych wód oceanu, które przewalały się przez brzeg, odrywając wielkie głazy z urwisk i miażdżąc kruche domy ludzi. Lawiny skał i śniegu pozostawiały po sobie szlaki zniszczenia, gdy góry dygotały, a ziemia pękała.

W dole wybuchał ogromny wulkan, zwiększając ciemność chmurami dymu i popiołu i zabarwiając cały obraz ponurą czerwienią, gdy płomienie strzeliły w górę, a lawa popłynęła kipiącymi potokami. Niezmierzona ognista furia groziła rozerwaniem świata na części i zniszczeniem wszystkiego, co na nim

Yve wiedziała, co się zdarzy potem. Jak wiele innych rzeczy stłumionych podczas długich dni spędzonych w lochach Ahrenholdu, wciąż siedziało to w jej głowie, ukryte gdzieś głęboko.

Groza powróciła, lecz ona była bezsilna i nie mogła jej powstrzymać. Nie potrafiła pokierować nawet tym, co sama robiła

W dół! – rozkazała.

Zanurkowali w kierunku serca wulkanu.

Gdy zaczęli spadać, ich świat się skurczył. Czerwone piekło rozrosło się i wypełniło całą przestrzeń wokół nich. Powietrze rozpalilo się, wypełnione drażniącym odorem siarki. Zbliźali się coraz bardziej. Teraz czarodziejka mogła rozróżnić już poszczególne pęknięcia, rzygające roztopioną skałą. Mogła dostrzec drobne szczegóły potoku lawy, widziała głazy topiące się w niewiarygodnym gorącu.

Pośrodku tej niezmiernej pożogi tryskał szeroki gejzer lawy. Rzeki czerwieni płynęły we wszystkich kierunkach, unosząc wyrzucane erupcjami rozpalone skalne odłamki, które wystrzeliwały na setki kroków w górę.

To właśnie w kierunku tego wiru rzucili się smok i ta, co go dosiadała. Krzyczących, pochłonał odmęt ognia i bólu. Wszystkie jej zmysły pierzchły i Yve doświadczyła chwili nicości, zanim znowu odrodziła się w świecie tak obcym, że jej umysł nie potrafił go objąć.

Wraz ze Słodyczą, – jeśli to rzeczywiście był on – wciąż lecieli, jednak już nie w powietrzu; nie oddziaływały na nich siły ciężkości i wiatrów. Lecieli lub może płynęli wewnątrz samej ziemi. Żarzące się czerwienią, różem i bielą spirale energii wiły się, przesuwając obok Yve. Wyczuwała je bardziej, niż widziała, ponieważ wzrok i inne zwykłe zmysły nie działały tutaj.

Zacząła wypróbowywać rodzące się w niej moce, zabawiając się otaczającymi ją siłami i wiedząc, że jest to coś ważnego. Wszelki ból zniknął, zniknęło też poczucie miejsca i czasu. Smok krążył radośnie wśród nowych żywiołów, lecz w czarodziejce, wewnątrz tego, co niegdyś było jej sercem, zaczęło narastać – ledwo wyczuwalne na początku – zimne odrętwienie. Chłód rozkwitł wszechogarniającą niepewnością i przerażeniem, a te stały się istotą samej Yve – i

pozostawiły ją w stanie całkowitego zagubienia.

Yve przebudziła się, drżąca i zlana potem, z otwartymi w bezdźwięcznym krzyku ustami. Leżała, wsłuchując się w ochryply, nieprzyjemny dźwięk i dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że to jej własny, nierówny oddech. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w baldachim nad swym łóżkiem, lecz nie widziała nic oprócz obrazów z jej snu. Nawet po przebudzeniu nie chciały jej opuścić i wciąż bez końca doświadczała straszliwej dezorientacji z ostatnich chwil koszmaru.

Gdyż w jakiś sposób była pod ziemią, uczestnicząc w jej ukrytych tajemnicach, lecz równocześnie była poza nią.

Była poza jakimkolwiek zasięgiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ferragamo, tak jak Yve, śnił. Lecz w przeciwieństwie do niej, nie spał.

Siedział nieruchomy jak kamień przy łóżku Korii, ściskając w dłoniach jej bezwładną rękę. Całkowity bezruch panujący w pokoju burzyła tylko Sowa, która stroszyła pióra, nie czując się dobrze w ciepłym powietrzu.

W swym śnie czarodziej rozmawiał. Być może słyszała go Sowa, być może nikt, lecz Ferragamo nie potrzebował żadnych słuchaczy, z wyjątkiem tego jednego, który teraz nie mógł go słyszeć. Jego głos brzmiał tylko odrobinę głośniejszy niż szept, niekiedy wznosząc się aż do pełnego bólesci jęku lub też urywając się w śmiechu... Przez całą długą noc słowa wypływały z niego, wyczarowując sceny radości i goryczy, miłości i żalu. Wspomnienia mnożyły się przed jego niewidzącymi oczyma, przywoływał kolejne przeżycia, aż w końcu wzory, w jakie układała się jego egzystencja, straciły wszelkie znaczenie i nie potrafił już nakładających się obrazów ułożyć w żadnym racjonalnym porządku. Przemawiał do Korii – do spokojnej i zrównoważonej kobiety, której miłość i duchowe wsparcie pomogły mu w ciężkich czasach po upadku Athera. Potem rozmawiał z dziewczyną, która dopiero, co przybyła na dwór, pełna lęku przed Gwiazdzistym Wzgórzem i rojącymi się w nim ludźmi. Równocześnie widział kruchą, złożoną cierpieniem kobietę, która zestarzała się tak okrutnie i szybko, zdradzona przez siły pozostające poza jej możliwością zrozumienia. To znowu rozmawiał z Korią, jakiej nigdy nie miał okazji poznać, z wyjątkiem jej opowieści – wiejską dziewczyną, której dzieciństwo było tak szczęśliwie, aż do przedwczesnej śmierci jej rodziców, i która wyruszyła samotnie do miasta w poszukiwaniu swego przeznaczenia.

Były też inne Korie: nigdy nie miała własnego dziecka, lecz była matką dla kilku. Szczególnie Mark skorzystał wiele z jej promieniującej dobrem, ciepłej obecności, po tym jak zmarła jego własna matka, gdy był jeszcze dzieckiem. Koria lepiej niż większość ludzi wiedziała, co się wtedy czuje.

Była również kochanką; początkowo niepewną, niemogącą uwierzyć w to, co się dzieje, a jednak niezdolną tego odrzucić, potem niepohamowaną i do końca zdecydowaną osiągnąć to, czego pragnęła, co uważała za słuszne. Kochała namiętnie, lecz nie było żadnego okrucieństwa w jej namiętności. Była zmysłowa, lecz niewielu dorównywało jej zdrowemu rozsądkowi i nie tylko Ferragamo często szukał jej rady.

Były i inne Korie: kucharka, biegła w przygotowaniu znakomitych posiłków z najskromniejszych składników – umiejętność, którą jej kochanek uważał za bardziej zdumiewającą od swej magii; kobieta czująca się równie dobrze – i serdecznie witana – wśród członków rodziny królewskiej i wśród prostych rybaków: mądra wiedźma obznajomiona z wiedzą o dzikich ziołach i owocach; człowiek, którego hartu ducha nie potrafiło złamać żadne niebezpieczeństwo.

Tak wiele Korii i wszystkie były z czarodziejem w pokoju...

–Pamiętasz świnię? – daleki uśmiech zapłonął w jego oczach. – Tę, którą mój poszukujący czar sprowadził do chaty? Niemal stratowała Marka, zanim udało nam się nad nią zapanować. I mój kapelusz. Znalazłaś mój stary kapelusz i założyłaś mi na głowę, pokryty pajęczyną, łupinami od cebuli i całym tym śmieciem! – Ferragamo roześmiał się cicho, kierując myśli ku innym, wcześniejszym wydarzeniom, a jego słowa płynęły dalej niepowstrzymanym potokiem. – Mewy krążące nad plażą, białe na tle czerni, noc, kiedy tańczyliśmy wokół naszego obozowego ogniska. Było ciepło, pełnia lata, ale wino było zimne, bo zostawiliśmy je na skraju przyboju. A kiedy żar przygasł, leżeliśmy na plecach na piasku i obserwowaliśmy spadające gwiazdy.

Znowu przeskoczył myślami, tym razem naprzód, do innej, wznoszącej się gwiazdy, tak bardzo widowiskowej. Twarz czarodzieja zmieniła się, oczy zaśniły ponuro prześladowającym go złym wspomnieniem.

–Omal cię wtedy nie straciłem. Nie mogłem tego znieść... i nie mogłem się poruszyć. To wstrętne szare okropieństwo próbujące mi ciebie odebrać. Nikomu na to nie pozwolę. Nigdy! Co by pozostało?

Ferragamo ścisnął mocniej rękę Korii, gdy ta myśl przyszła do głowy; twarz ściągnęła mu nienawiść.

–To on! – wysyczał. – On! On to robi! Nie zdołał wtedy mi ciebie zabrać, więc uderza znowu, w ten sposób. – Głos czarodzieja urósł do krzyku, lecz zaraz przycichł. – Musisz czekać, nie pozwolić mu zwyciężyć. Walczyć – mówił zrozpaczony, natarczywie. – Teraz, kiedy wiem, że to on, potrafię cię uratować. Gdybyrn tylko miał więcej czasu... – Przerwał. – Zabiję go! – krzyknął, a jego twarz wykrzywiła się nienawiścią. – Zabiję!

Nagle uspokoił się, a napięte mięśnie jego karku i ramion rozluźniły się nieco. Wymruczał kilka niezrozumiałych sylab, jego głowa pochylila się na piersi, potem uniósł wzrok, uśmiechając się. Kiedy odezwał się znowu, wyglądało tak, jak gdyby nic nie przerywało potoku jego wspomnień.

–Cieszę się, że zabiorę cię w góry. Powinienem zrobić to już dawno temu, ale w ogóle nie przyszło mi to do głowy, taki głupiec ze mnie. Każdy powinien spotkać się z Milkącym. Kim jestem, żeby rezerwować sobie jego towarzystwo tylko dla siebie? Pamiętasz jaskinię? Jest zdumiewająca, prawda? Cudowne miejsce. Czy pamiętasz naszą wspólną kąpiel w gorącej źródlanej wodzie? Ogniki migoczące i śmiejące się z naszej nieśmiałej miłości? Wkrótce znowu się tam znajdziemy. Zrobi to dobrze nam obojgu.

Dobry nastrój czarodzieja rozwiął się, gdy spojrzał na leżącą na poduszkach głowę Korii.

–Jest ci zimno – powiedział cicho. Jedną ręką, z czułością, okrył ją kocami, w drugiej wciąż ścisnął jej dłoń. – Ogrzeję ten pokój.

Z jego ust wydobyło się kilka dźwięków i temperatura w pokoju gwałtownie wzrosła. Sowa

poruszyła się niezdecydowanie na swojej grzędzie i mrugnęła wolno.

Pogrążony w swoim śnie czarodziej rozmawiał. Godziny mijały, a on wciąż siedział, z ręką swojej kochanki w swoich dłoniach, wylewając z siebie potoki słów. Mówił o każdej chwili, każdym miejscu, które poznali i o ludziach, z jakimi zetknęli się w życiu. Mówił o wydarzeniach, wielkich i małych, ważnych i trywialnych, Poczynając od magicznych zmagania ostatnich lat, a kończąc na odkryciu wspólnego, niepohamowanego apetytu na orzechy laskowe. Przypominał ich pieśczęty, tak czule i szczegółowo, że poruszyły jego ciało, choć były to tylko słowa. Mówił o tym, jak bardzo jest z niej dumny i o miłości innych ludzi do niej.

Ochrypli, lecz wciąż przepełniony słowami, mówił aż do wilczej pory.

– Jest coś, co muszę zrobić – powiedział w końcu. – Zanim

Wstał i wsunął jej ramię pod okrycie, uwalniając jej rękę z widoczną niechęcią. Pochylając się, pocałował ją delikatnie.

– Kocham cię – szepnął z bólem. – Zawsze będę cię kochał.

Gdy się wyprostował, ukazał posępną, pozbawioną wyrazu twarz. Okręcając się na pięcie, wskazał dramatycznym gestem drzwi pokoju.

Drzwi eksplodowały.

Wybuchały powoli, bezdźwięcznie. Odłamki drewna płynęły przez komnatę, obracając się w leniwym wirowaniu. Małe kawałki metalu z zamka i zawiasów rozleciały się we wszystkich kierunkach jak puch dmuchawca niesiony łagodnym, lecz żwawym podmuchem wiatru. Światło lampy zakołysało się, gdy pokój, zadrżał od bezdźwięcznego wstrząsu. Jeden większy kawałek strzaskanych drzwi, zwęglony na krawędzi wybuchem skierowanej na drewno mocy, wirował ociężale lecąc w stronę czarodzieja na przemian czarny i biały, biały i czarny, gdy się kręcił w powietrzu. Ferragamo machinalnie kopnął go, odrzucając na bok, i zmierzył okiem rezultaty swego czynu.

Był to akt samowoli człowieka, który wiedział, że posiada moc zdolną zniewolić demony lub poruszyć góry, a jednak nie potrafił skierować swej potęgi, by wykonała proste zadanie, ważniejsze dla niego od całego świata. Był to akt człowieka, który przekroczył już granice swej wytrzymałości, akt przygnębienia i bezsilnego gniewu.

Poszarpane, puste wejście, szydziło z czarodzieja.

Ferragamo spojrział za siebie, na kobiecą głowę na poduszce. Z powodu, którego nie zrozumiał, zobaczył w krótkiej wizji łabędzia, białego i wytwornego, o długiej szyi i czystych oczach, sunącego po srebrzącej się wodzie.

– Żegnaj, mój łabędziu – powiedział cicho, a potem odwrócił się i wyszedł, zanurzając się w

szarym brzasku przed świtem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

DZIEWIĄTY

Kiedy Yve wstała następnego ranka, słońce już od pewnego czasu było na niebie. Białe światło, które sączyło się przez okno jej komnaty, niesło niewiele ciepła i drżała, kiedy się ubierała, wzbraniając się użyć magii dla osobistej wygody.

Czuła się wyczerpana, a jej usta były suche i szorstkie, jak gdyby całą noc oddychała dymem. Zmuszając się do pozostawienia za sobą obrazów ze snu, Yve spryskała twarz lodowatą wodą, a potem napiła się chciwie z dzbanka.

Leżała nie śpiąc, jak jej się zdawało, przez godziny całe, po tym jak opuścił ją koszmar, lecz zmęczenie w końcu przewyciężyło jej niepokój. Zawładnął nią sen, lecz teraz czuła, że niewiele przyniósł jej dobrego. Pełna złych przeczuc, wzburzona i niespokojna, opuściła swój pokój i ruszyła szybko do apartamentów Korii.

Wiedziała, że stało się coś bardzo złego, zanim jeszcze zobaczyła strzaskane resztki drzwi sypialni. Pobliski korytarz wypełniały dziwne emanacje, echa wzburzonych emocji, a i samo powietrze było skażone. Drobiny kurzu tańczyły w gwałtownych podmuchach wiatru, zbyt ciepłego, aby go uznać za naturalny.

Yve zatrzymała się w opuszczonym pierwszym pokoju i spojrzała ze zgrozą na spustoszenie spowodowane katuszami Ferragama. Drzwi sypialni po prostu nie było. Zostały roztrzaskane w drobny mak; pozostał po nich postrzępiony, ziejący otwór. Szczątki drzwi zaśmiecały cały pokój, jednak wszystko inne było całe i na swoim miejscu. Yve przeraziła myśl o mocy użytej z taką dzikością, a zarazem tak doskonale kontrolowanej. I w jakim celu? Zbierając wszystkie siły, by stawić czoło temu, co znajdowało się za poszarpanym wejściem, Yve ruszyła wolno przed siebie na ołowianych nogach.

Wewnątrz sypialni leżały porozrzucane szczątki drzwi, jednak w pokoju panowała dziwna atmosfera spokoju i nic nie zostało w nim zniszczone – okrycie łóżka nie było nawet zmięte. I znowu to bardzo ciepłe powietrze. Małe pióro łagodnie spłynęło z sufitu.

Koria miała zamknięte oczy, spokojna, blada twarz okolona rozrzuconymi na poduszce włosami. Nie poruszyła się, gdy czarodziejka zbliżyła się do łóżka, i Yve zrozumiała, że Koria nigdy już nie obudzi się ze snu, w którym leży pogrążona.

Yve odczuła małą cząstkę niszczycielskiego szaleństwa, które ogarnęło Ferragama. Czuła jego niezmierne przygnębienie i mogła doświadczyć wciąż trwających oznak jego miłości. Koria nie żyła już od kilku godzin, lecz jej ciało wciąż było ciepłe, chronione pożegnalnym aktem dobroci jej kochanka. Ferragamo pozostał, pragnąc pomóc jej w pierwszych krokach w nieznanym i ona doceniła jego towarzysztwo – ostatni z trwających całe życie darów. Jej twarz

była spokojna, nie malowała się na niej żadna obawa, a zmarszczki cierpienia zniknęły. Jej odwaga, tak samo jak miłość nie opuściły jej do końca.

Spoglądając na nią teraz, Yve niemal nie mogła uwierzyć, że Koria nie przebudzi się, nie przemówi, nie roześmieje w swój zwykły sposób. Coś niewiarygodnego, niemieszczącego się w głowie – a jednak było to prawdziwe.

Koria odeszła. I tak też zrobił, na swój własny sposób, Ferragamo.

–Wszystkie?! – zawołał Mark, z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

–Tak. Chodź i sam zobacz – odparł ponuro Luk.

Razem opuścili królewskie apartamenty, idąc wzdłuż wewnętrznego muru zamku do wejścia na dziedziniec z drzewem. Wspięli się po stopniach i weszli na podwórzec, gdzie dołączyli do Julii, która stała jak skamieniała, wpatrując się w rosnące pośrodku dziedzińca drzewo. Gdy Mark ruszył wolno przed siebie, aby je obejrzeć, Luk podszedł do Julii i objął ręką jej ramiona.

Zrazu wydawało się niewiele zmienione. Smukłe gałęzie pochylały się nie bardziej niż zwykle; wąskie liście miały swój zwykły odcień bladej zieleni. Ale nienormalność zaraz rzuciła się w oczy. Małe srebrno szare jagody zniknęły – wszystkie zerwano, pozostały tylko łodyżki. Mark szukał jak szalony, choć jednej tylko jednej, – którą być może przeoczono, lecz na próżno. Wszystkie zniknęły; zerwano je brutalnie, jak gdyby w pośpiechu i bez żadnej troski o zdrowie drzewa. Krople soku zakrzepły pod kilkoma bliznami, w miejscach gdzie łodyżki oderwano od gałęzi.

Przy bliższym zbadaniu Mark zobaczył, że to jeszcze nie całe zło. Kilka liści zwinęło się na końcach, jak gdyby odcięte je od życiodajnych sił ziemi.

Mark ostrożnie wyciągnął rękę. Dotknięty jego palcami liść jak gdyby cofnął się, a potem skurczył i spadł suchy na ziemię. Gdy król Arki spoglądał na to ze zgrozą, całe drzewo obwisło, odcięte od źródeł swego istnienia, i rozpoczęło wędrówkę w głąb ziemi, skąd przybyło. I tak w końcu dla drzewa księżycowych jagód nadeszła jesień.

Mark odwrócił się do Luka i Julii. Na jego twarzy nie było widać gniewu, tylko oszołomienie.

–Kto to zrobił? – zapytał cicho.

–Nie wiemy – odparł Luk. – Najbardziej zdumiewa mnie to, że drzewo nie podjęło żadnej próby, by się obronić. Jestem pewien, że mogłoby to zrobić.

Julia skinęła głową, nie będąc w stanie się odezwać. Moc księżycowych jagód wybawiła ją od życia przepełnionego niewyobrażalną nikczemnością i utrata zapewnianego przez drzewo bezpieczeństwa sprawiła, że cała drżała, przerażona.

–Sprowadź Ferragama – polecił Mark z nagłą stanowczością.

–Ale... – zaczął Luk.

–Nie obchodzi mnie to – odparł jego ojciec. – Tylko on może nam pomóc i wyjaśnić, co się stało.

–Od wielu dni nie opuszczał swoich apartamentów – protestował Luk.

–Czy nie słyszałeś, co... och, nieważne. Sam go sprowadzę. – Mark odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, lecz zatrzymał się, gdy w wejściu pojawiła się Yve.

–Nie możesz – powiedziała po prostu. – Odszedł. Koria nie żyje.

Wraz z tym lapidarnym oświadczeniem wewnętrzne tamy czarodziejki pękły i potok łez, który powstrzymywała, wyrwał się na wolność. Julia podeszła, by ją pocieszyć, ze łzami błyszczącymi w jej własnych oczach, pozostawiając Luka i jego ojca wpatrujących się w siebie w niemym osłupieniu. Obie twarze odzwierciedlały wstrząs wywołany tym drugim niszczycielskim uderzeniem. Resztki ufności opuściły Marka i osunął się na niski kamienny mur, który otaczał umierające drzewo. Ukrywszy twarz w dłoniach, załkał.

Nieszczęścia, które dotknęły ich tego dnia, nie skończyły się jeszcze. Dano im tylko kilka godzin na oplakiwanie śmierci Korii i zastanawianie się, dlaczego – jak przypuszczali – Ferragamo dokonał kradzieży jagód, nim do zamku przygalopował jeździec na wyczerpanym i pokrytym pianą koniu. Posłaniec, ostatni z łańcucha jeźdźców łączącego Gwiaździste Wzgórze z południem wyspy, przywiózł okropne wieści. Heald zalały potężne siły inwazyjne i wkrótce miano zaatakować Arkę. Żołnierz doniósł również, że mała grupa z Healdu umknęła przed atakiem i dotarła do Domu. Byli teraz w drodze do Gwiaździstego Wzgórza i przy odrobinie szczęścia mogli dotrzeć do stolicy nieco później tego samego popołudnia.

–Kto znajduje się w tej grupie? – zapytała Fontaina rozpaczliwie szukając uspokojenia. Lecz posłaniec nie wiedział, co pozostawiło królową w męczarniach strachu, nadziei i przerażenia. Podczas gdy Mark i jego dowódcy czynili niecierpiące zwłoki przygotowania, by stawić najlepiej jak potrafili czoło nadciągającej inwazji, Fontaina mogła jedynie czekać i wyglądać zblizających się od południa koni.

Przybyli późnym popołudniem, wkraczając do pełnego zgiełku miasta. Przygotowania do wojny były już w pełnym toku – gromadzono zapasy na wypadek długiego oblężenia, spędzano w bezpieczne miejsca zwierzęta, wzmacniano fortyfikacje. Żołnierze eskortujący Healdan zaprowadzili ich prosto do zamku, gdzie na spotkanie wyszła im Fontaina.

Szybko przebiegła wzrokiem po twarzach nowo przybyłych. Choć była szczęśliwa widząc kilka, które знаła, brak tak wielu wstrząsnął nią o wiele bardziej. „Przynajmniej dzieci się wydostały” – pomyślała i odsunęła od siebie posępne spostrzeżenie, że ich ucieczka mogła być tylko czasowa.

Podróżnicy byli wyczerpani, toteż Riverę z dwójką dzieci szybko umieszczono w wygodnych pokojach. Yve, pomimo protestów Kaia zajęła się Tzigane, pozostawiając czarodzieja i Laurenta, by porozmawiali z Fontaina. Mark przyłączył do nich, gdy opowiadali o klęsce Healdu i swej późniejszej ucieczce.

–Ansar rozkazał mi, bym ich zabrał – powiedział Laurent Siedział znużony na krześle w pokojach królowej. – Nie miałeś wyboru. – Jego zmęczone oczy błagały ich o zrozumienie, a być może o wybaczenie.

–Dobrze zrobiłeś – stwierdził stanowczo Mark. – Nic by to nie dało, gdybyś został na miejscu, a ci, którzy przybyli z tobą, byliby zgubieni.

–Twoja matka i Moroski błagali mnie, bym zabrał Tzigane – odezwał się Kai, spoglądając smutno na Fontainę. – Sami nie chcieli uciekać. Nie mogłem odmówić.

–Wszystko w porządku, Kai. Rozumiem – powiedziała cicho Fontaina.

–Powiniem być z nią teraz – ciągnął czarodziej. – Oddano ją pod moją opiekę. – Uczynił ruch, jak gdyby chciał powstać.

–Siedź – powiedział Mark. – Tzigane jest w dobrych rękach, a ty potrzebujesz odpoczynku.

Kai znieruchomiał, potem skinął głową.

–Od jak dawna Yve jest tutaj? – zapytał.

–Blisko rok – odparł król. – Wszyscy znaleźliśmy w niej wspaniałego przyjaciela.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każdy zajęty swoimi myślami i wspomnieniami. Przybyszom opowiedziano już o śmierci Korii i zniknięciu Ferragama. Wszystkim zdawało się, że ten dzień był aż nadto przepełniony przerażeniem i grozą, – że właściwie niemożliwe jest znieść to wszystko i pozostać przy zdrowych zmysłach.

–Jak się wam udało wydostać? – zapytała w końcu Fontaina.

–Opuściliśmy pałac przez tajne przejście wychodzące na boczne uliczki – odparł Laurent. – Potem najszybciej jak można ruszyliśmy ku północnym dzielnicom miasta.

–Robiłem, co mogłem, aby osłonić nasze przejście – dodał Kai. – Ale wydaje się, że tego nie potrzebowaliśmy. Szczęście było po naszej stronie.

–Tak, niemal jak gdyby jakaś niewidzialna przyjacielska istota wskazywała nam drogę – przytaknął Laurent.

–Też to odczułeś? – zdziwił się Kai.

Laurent skinął głową.

–Widziano nas, a jednak nikt nie zwrócił na naszą ucieczkę żadnej uwagi, nawet żołnierze wroga. – Wzruszył ramionami. – Ta część miasta była zupełnie spokojna. Po tym jak zwała się wieża, wydawało się, że nic się nie porusza. Ukradliśmy konia i powóz i opuściliśmy miasto. Jechaliśmy wolno i wciąż myśleliśmy, że w każdej chwili zostaniemy pochwyceni. Potem nadciągnął zmierzch i mgła. Było zimno i podążaliśmy jeszcze wolniej, ale przynajmniej ukrywało nas to przed wścibskimi oczami. Wędrowaliśmy długo po zapadnięciu nocy, wykorzystując stare ścieżki. w końcu niemal straciliśmy orientację, wiedzieliśmy tylko, że jesteśmy w północnych lasach. Potem znaleźliśmy opuszczoną chatę drwala. Była w dość dobrym stanie, a dzieci potrzebowały ciepła i odpoczynku, więc stanęliśmy na popas.

–To było bardzo dziwne miejsce – wtrącił w zamyśleniu Kai.

–Tak, lecz przyjęło nas gościnnie – opowiadał dalej Laurent. – Wbrew wszystkiemu, spaliśmy dobrze. Nawet ja... a miałem czuwać. – Uśmiechnął się ponuro, a potem kontynuował opowieść: – Śniłem – powiedział, marszcząc z lekka brwi – o lesie i złym człowieku, który zrywał żywe gałęzie, jak gdyby na złość. Sprowadził ogień. Drzewa nienawidziły go i sprawiły, że zgubił drogę, tak, że kręcił się w kółko przez wiele dni, aż w końcu położył się i nigdy już nie powstał.

Laurent przerwał, świadomy zdziwionych spojrzeń, jakie wywołały jego słowa. Mark chciał coś powiedzieć, ale Fontaina uciszyła go gestem ręki i healdanski dworzanin ciągnął dalej opowieść:

–Sroka ukradła coś z kieszeni tego człowieka i odleciała z tym wysoko w korony drzew. Potem upuściła swoje znalezisko, które spadło ku ziemi, migocząc i błyszcząc w słońcu. W tym śnie widziałem, że to spada w moim kierunku. Potem obudziłem się i stwierdziłem, że spoglądam na mały przedmiot zawieszony na gwoździu wbitym w ścianę chaty. Kołysał się leciutko. Zdjąłem go i włożyłem do kieszeni, mając zamiar obejrzeć rankiem. I zapomniałem o tym, aż do teraz. – Sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki, szukał przez chwilę, wreszcie wyciągnął złoty pierścień. Spojrzał na niego i uniósł na Fontainę rozszerzone ze zdziwienia oczy. – Sądzę, że jest twój – stwierdził, podając go jej.

Królowa wzięła pierścień, natychmiast zdając sobie sprawę, że Laurent ma rację. Zmatowiał nieco, lecz pieczęć była wystarczająco wyraźna: litera „F” wyryta nad herbem Healdu.

–Znak okupu... – Było wszystkim, co powiedziała.

–Może ktoś nam pomógł – zastanowił się Kai. – Zbyt wiele rzeczy poszło nam łatwo w tej podróży.

–Mgła i las, i przygotowane do rozpalki drewno, i...

–Mój sen – zakończył Laurent. – Wszystko działo się tak, jak przedtem, kiedy uciekłem przed mgłą. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak mi się udało wydostać.

Mark pierwszy przerwał zapadłą ciszę.

–Jest tak wiele aspektów tego konfliktu, których nigdy nie zrozumiemy – rzekł. – Po prostu musimy je zaakceptować. – Teraz wy dwaj powinniście się trochę przespać, a ja muszę pomóc moim dowódcom. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Laurent przytaknął.

–Dostaliśmy się tutaj dość szybko, dzięki waszym stacjom z koniami na zmianę, ale nawet pomimo to nie mogą być zbyt daleko za nami.

–Pójdę z tobą i pomogę – zaoferował się Kai.

–Nie. Prześpij się teraz – powtórzył Mark. – Rano postanowimy, co robić.

Trzej mężczyźni wyszli, pozostawiając królową samą. Wolno wsunęła pierścień na palec, wspominając czas, od którego minęło niemal osiemnaście lat, – kiedy po raz ostatni ozdabiał dłoń Fontainy, księżniczki Healdy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Ferragamo rozpoczął podróż przed świtem i nie przerywał jej dla jakiegokolwiek powodu. Koń czarodzieja, wybrany dla swych rozmiarów i siły, sunął przez mgłę i puszysty śnieg, przez zielone wzgórza i rzeczne brody w górę po skalnych ścieżkach. Nieustający galop rozerwałby serce rumaka, gdyby Ferragamo nie obdarzył go częścią swej własnej magicznej energii. Miał jej wiele do odstąpienia.

Czarodziej nie wziął ze sobą nic oprócz ubrania, które nosił na sobie, i małej skórzanej torby, zawieszanej na rzemieniu u szyi. Siedział sztywno w siodle, kierując wierzchowcem jedynie małą częścią swego umysłu. Krajobrazy przemykały zamazane, niezauważone.

Gdy zapadła noc, był już wysoko w Górach Mroźnego Wiatru, lecz nawet tam pędził dalej na złamanie karku. Koń zupełnie nie kierował się swoją naturalną ostrożnością, wspomagany blaskiem kamienia, który pozwalał mu dostrzec drogę, nawet, gdy zgasło światło dnia, a jego siły wciąż podtrzymywały ogromne fale mocy wysyłane przez szalonego jeźdźcę. Zimowe wiatry zawodziły wokół białych szczytów, kłęby zamieci przemykały obok, lecz oni wciąż galopowali dalej, wbrew logice, która nakazywała uznać jazdę w takich warunkach za samobójczą. Prawdę mówiąc, Ferragamo ledwo zauważał okropne warunki, w jakich przyszło im się poruszać. Myślami był już u kresu swej podróży, planując następny krok zmierzający do realizacji jego straszego, z góry określonego celu.

Kiedy przybył do jaskini, Milknący czekał na niego. Jak zawsze czas i sposób przybycia jego przyjaciela nie stanowił dla prastarego pustelnika żadnego zaskoczenia. Stał u wejścia do swego domu, nie zważając na zimno, ubrany jak zwykle w ekscentryczną szatę ze skrawków kozich skór. Gdy Ferragamo się zbliżył, pozwoliwszy wreszcie koniowi zwolnić do stępa, z jaskini wyleciały dwa ptaki. Przysiadły na ramionach Milknącego, sprawiając, że jego sylwetka wydawała się jeszcze bardziej niezwykła. Ferragamo rozpoznał sokolicę – znał Atlantę od wielu lat – lecz nie przypominał sobie drugiego ptaka. Była to mewa, siedząca krzywo na swej niepewnej grzędzie, z przekrzywioną na jedną stronę głową.

Milknący skinął głową na powitanie, a wiatr rozwiewał mu brodę i długie, białe włosy. Ferragamo w milczeniu zeskoczył z konia i podążył za pustelnikiem do jaskini. Wewnątrz powietrze było ciepłe i nieco wilgotne, skały jarzyły się różnokolorowym światłem, rozjaśniając główny korytarz i jego liczne boczne rozgałęzienia. Koń wszedł do jaskini bez obawy. Nic tutaj nie wywołało u czarodzieja najmniejszego zdziwienia – gościł u Milknącego już wiele razy i cuda pieczary uważał za coś zupełnie naturalnego.

Po umieszczeniu konia w „stajni” – pieczarze zaopatrzonej w bieżącą słodką wodę i na taką okazję również w paszę – Ferragamo, poruszając się jak w transie, poszedł z Milknącym do pomieszczenia, które służyło pustelnikowi za sypialnię. Dwa ptaki poleciały naprzód, sadowiąc się w ściennych wnękach. Gdy to uczyniły, od strony wejścia do jaskini dobiegło żalobne pohukiwanie i wkrótce potem, ku wyraźnej radości Milknącego, do jego sypialni wleciała Sowa,

stając się trzecim pierzastym widzem. Ferragamo wytrzeszczył oczy na swojego przyjaciela, początkowo z zaskoczeniem, a potem z zawstydzeniem na twarzy. Sowa najwyraźniej podążała za swym panem, towarzysząc mu w jego rozpaczliwej, karkołomnej jeździe, lecz Ferragamo nie był nawet świadom jej obecności. Mewa powitała ją ochryplym skrzekiem.

–Kirt – powiedział Milkńczy, wskazując siedzącego krzywo ptaka.

Było to pierwsze słowo, jakie padło pomiędzy dwoma mężczyznami.

Ferragamo spojrział na mewę i poprzez mgłę zasnuwającą jego oszalały umysł rozpoznał ją: „Przyjaciół Kubiaka”.

Młody czarodziej z ojczystej wyspy Julii został zamordowany Ponad rok temu. Ferragamo zrozumiał, że Moroski również nie żyje. „Wszystkie kończą tutaj, pomyślał. – Czy Sowa również pozostanie z Milkńczym, kiedy ja odejdę?”

Rozmyślenia te stanowiły rzadką chwilę jasności w rozgorączkowanym mózgu Ferragama. Jednak nie trwała ona długo. Gdy czarodziej zaczął zmagać się z torbą zawieszoną na szyi, Milkńczy zmarszczył brwi i wyciągnął rękę, zażądawszy w ten sposób, aby mu pokazać zawartość. Czarodziej zawahał się, a potem ze znużeniem wręczył mu worek. Pustelnik rozluźnił rzemień i zerknął do środka, nie okazując żadnego zdziwienia na widok księżycowych jagód. Powiedział tylko:

–Później – i wyszedł z pomieszczenia, zabierając worek ze sobą.

Ferragamo miał dość oleju w głowie, by się z nim nie spierać i kiedy po krótkiej chwili Milkńczy powrócił z drewnianą czarką pełną parującej, aromatycznej mikstury, z zadowoleniem wypił ją i poddał się naglej, przemożnej senności.

„Jutro – pomyślał. – Jutro to zrobię”.

Milkńczy stał i przyglądał się swemu śpiącemu przyjacielowi z mieszaniną troski i zadowolenia na twarzy.

Wczesnoporanna debata w Gwiaździstym Wzgórzu nie doprowadziła do podjęcia żadnych ostatecznych postanowień W wielkim holu Mark założył centrum dowodzenia, które natychmiast – tak jak i on sam – stało się ośrodkiem nieustannej bieganiny. Król pozostawił większość spraw wojskowych swoim dowódcom, Shillowi i Durkowi, a sam podjął energiczne śledztwo, by ustalić, dokąd odszedł Ferragamo i dlaczego. Wysunięto wiele teorii, lecz żadna z nich nie miała sensu. Doniesiono, że jakiś mężczyzna opuścił Gwiaździste Wzgórze wczesnym świtem przez Górską Bramę, lecz do chwili powrotu zwiadowców nie można było mieć żadnej pewności, że trasę tę obrał właśnie Ferragamo.

Mark żył teraz na skraju nerwowego załamania. Słyszał wszystko, co mówili otaczający go ludzie, lecz większość słów nie miała dlań żadnego znaczenia. Narastało w nim poczucie

absolutnej bezsiły, utraty wszelkich nadziei. Z ogromnym wysiłkiem bronił się przed całkowitym załamaniem i tylko poczucie, że ciąży na nim obowiązek sprawowania przywództwa nad jego narodem pomagało mu stawić czoło zewnętrznemu światu.

–To Ferragamo musiał zerwać księżycowe jagody – upierał się Luk. – Drzewo nie pozwoliłoby nikomu innemu tak się uszkodzić.

–Ale dlaczego? – zapytała Fontaina.

–Nie wiem, lecz z pewnością coś sobie zaplanował.

–Tak, i to coś drastycznego – dodał Kai – skoro potrzebował wszystkich jagód i musiał stąd wyjechać, aby to zrobić.

–Czy śmierć Korii sprawiła, że oszalał? – westchnęła Fontaina.

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Nawet Yve.

W głosie Marka rozbrzmiał głos Długowłosego.

To zupełnie jasne prawda? Poszedł do Milknącego.

Król od jakiegoś czasu nie odzywał się do nikogo, ale pobudzony sugestią kota ocknął się wreszcie.

–Pieczara Milknącego? Czy mógłby się tam udać?

–Tak! – zawołali jednocześnie Luk i Julia.

–To zawsze było jego schronienie – zgodziła się królowa. –

Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się pieczara? – odezwała się głośno Yve. – Mam pewien pomysł.

–Mogę spróbować – odparł Mark i przy pomocy innych, którzy odwiedzili dom Milknącego, opisał wiodącą doń trasę.

Yve skinęła głową, a potem opuściła komnatę.

–Co to ma znaczyć? – zapytał Shill.

Zaskakujące, ale to Beka udzieliła im odpowiedzi.

–Poszła, żeby wysłać Słodycz! – zawołała. – Może pojedzie na nim! – I księżniczka podreptała za Yve, pozostawiając oniemiałe ze zdumienia towarzystwo.

Czy potrafisz ją odnaleźć? – zapytała Yve.

Oczywiście – odparł Słodycz. – *Czy mam lecieć zaraz?*

Yve skinęła głową, ale nagle odezwała się Beka, która pobiegła za nią aż do miejskich murów:

–Czy ja też mogę polecieć? Nigdy nie byłam w pieczarze.

Smok wyglądał na zakłopotanego i złego, ale w końcu się rozpogodził.

Tylko, jeśli Yve również poleci – stwierdził dziwnie ochoczy.

–Co on powiedział? – zapytała bez tchu Beka.

–Nie, Beko. Nie możesz na nim polecieć – odparła czarodziejka z nieruchomą twarzą. – Słodycz musi udać się w drogę sam.

Smok na chwilę sposepniał, rozglądając się wokół siebie, a potem znowu ożywił.

Wrócę za chwilę – zapowiedział i zniknął z migotem.

Yve odczuła niepokój, jaki zawsze ogarniał ją w takich chwilach.

–Czy mogłabyś przejść do jego świata, gdybyś chciała? – zapytała Beka.

–Myślę, że tak – przyznała niechętnie czarodziejka.

–Więc dlaczego...?

–Boję się tego – powiedziała cicho Yve. – Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie wrócić.

–Och! – Beka była najwyraźniej rozczarowana. Spojrzała na czarodziejkę, lecz widząc zmartwienie i niepewność wypisane na jej twarzy, rozsądnie postanowiła nie mówić nic więcej.

Słodycz wrócił w ciągu godziny i ubolewał nad tym, bo jak twierdził, mógłby wrócić szybciej, gdyby nie to, że Ferragamo spał, gdy przybył. Biały człowiek – Milkńczy, jak domyśliła się Yve – nie pozwolił przeszkodzić czarodziejowi. Jednak zbudził się wkrótce potem i Słodycz mógł zadać mu pytania, z jaki posłała go Yve. Prowadzili rozmowę korzystając z pośrednictwa Milkńca, który zgodnie z oczekiwaniami Yve, był w stanie porozumieć się ze smokiem, tak zresztą jak i ze wszystkimi przyjaciółmi czarodziejów. Ferragamo jednak nie sprecyzował swoich planów i w rezultacie Słodycz niewiele się dowiedział. Yve wróciła do zamku i poinformowała Marka o swych odkryciach

–Oto, jakie są fakty – zakończyła. – Ferragamo rzeczywiście jest w pieczarze, ma księżycowe jagody i planuje coś, co według jego własnych słów powinno zostać już dawno zrobione. Nie chciał powiedzieć Słodyczy, co to takiego, ale stwierdził, że jakakolwiek pomoc

stąd będzie mile widziana. Bez względu jednak na to, czy postanowimy mu pomóc, czy nie i tak zrealizuje swój plan.

–Jak możemy mu pomóc, skoro nie wiemy, co zamierza zrobić? – zapytał Mark, wyrażając w ten sposób pytanie dręczące wiele umysłów.

Yve wzruszyła ramionami.

–Na końcu powiedział dziwną rzecz – stwierdziła: – „Powiedz Lukowi, żeby rozważył precedensy”.

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na księcia, ale on milczał – tak jak cała reszta nie wiedział, o co chodzi. To Kai się odezwał:

–Bałem się tego – stwierdził. Nie patrzył nikomu w oczy, a jego twarz była ściągnięta w niezwykle dla niego sposób. Czekając, by zaczął mówić dalej, zebrani wymienili między sobą wiele zaniepokojonych spojrzeń. – To nawiązanie do nieudanej narady – powiedział w końcu Kai. – Luk może tego nie pamiętać, ale Ferragamo przerwał obrady słowami bardzo podobnymi do tych. Usiłował przekonać czarodziejów, aby zgodzili się wykorzystać Rytuał Yzalbe. Myślę, że właśnie teraz chce to zrobić.

–Na własną rękę?! – zawołała Yve.

–Z Milkącym. Z tego, co słyszałem, tworzą groźną parę.

–To szaleństwo! – odpowiedziała gwałtownie Yve, lecz gdzieś w głębi siebie czuła narastającą, przerażającą pewność.

–Po cóż innego zabrałby wszystkie księżycowe jagody? Samo wskazuje na ogromne zdesperowanie. Nie będziemy mieli drugiej okazji. – Kai spojrział na czarodziejkę, widząc, jaki wstrząs wywołały jego słowa. Zrozumiał, że ją przekonał, lecz była jeszcze bardziej przestraszona niż on.

–Chcesz powiedzieć, że ma zamiar zjeść je wszystkie? – zapytała z niedowierzaniem Fontaina. – Przecież jedna omal go nie zabiła!

–Nie sądzę, by Ferragamo spodziewał się przeżyć tym razem – odparł cicho Kai.

–Oszalał! – stwierdził Mark.

–Był szalony już od miesięcy – mruknął Shill.

–Bez księżycowych jagód nie będziemy w stanie przeciwstawić się długo magii Alzeda, jeśli w ogóle – ciągnął dalej król. – Ferragamo pozbawił nas ostatniej i jedynej obrony.

–Nie! – zaprotestował gwałtownie Luk. – Księżycowe jagody nie mogłyby nam teraz pomóc.

Jeśli nie pokonamy Alzeda tym, co już w nas jest, wówczas tak czy inaczej jesteśmy martwi. Słyszaleś, co wydarzyło się na Healdzie. Jaką mamy szansę przeciwko armii takich rozmiarów?

W zapadłej ciszy król i księżę spoglądali na siebie, jeden wątpiący, drugi uparty.

–Więc to koniec. Tak czy inaczej.

Ciche słowa Julii spadły jakby kamień w nieruchomą wodę, wywołujący rozchodzące się coraz dalej kręgi zagłady. Kiedy powierzchnia znowu się wygładziła, odezwał się Laurent. Milczał aż do tej pory, lecz wiedział, że teraz nadszedł czas, aby powiedzieć coś, co odwróciłoby nastrój przygnębienia.

–Więc sprawa jest prosta – zaczął.

–Cieszę się, że tak sądzisz – mruknął pod nosem Durk.

–Możemy wybierać – Laurent mówił, nie zważając na to, że mu przerwano. – Możemy pozostać tutaj, bronić Gwiazdzistego Wzgórza i Arki najlepiej, jak potrafimy, i pozostawić Ferragama samemu sobie. Albo pójdziemy do niego i pomożemy mu w tym, w może być naszą ostatnią szansą. Co wybieramy? – Healdański dworzanin spojrzał wprost na Marka, mając nadzieję na rozstrzygającą decyzję, ale to Shill, jako dowódca straży zamkowej, odezwał się pierwszy.

–Jak możemy pomóc Ferragamowi? Jestem żołnierzem. Już wypędzono mnie z mojego domu i nie opuszczę go ponownie.

–Wybaczcie mi – wtrącił Durk – ale Ferragamo od dłuższego czasu był dziwny. Może śmierć Korii całkowicie wytrąciła go z równowagi. Czy nie znajdziemy się w niebezpieczeństwie wspomagając jego oblężenie, gdybyśmy chcieli mu pomóc? – Zwrócił się do Yve. – Czy smok nie powiedział ci nic o tym, jak wyglądał?

–Nic, co potrafiłabym zinterpretować – odparła.

–Czy roztrzaskanie drzwi na kawałki to czyn człowieka zdrowych zmysłach?

–Smutek przybiera wiele postaci – oponowała Yve.

–Może on chce być szalony – wtrącił w zamyśleniu Kai.

Shill wydał odgłos, jakby ktoś go dusił, lecz Laurent włączył się do rozmowy, zanim kapitan zdołał się odezwać, ponownie usiłując rozsądnie argumentować.

–Z pewnością jest to tylko sprawa wyboru – powiedział – Czy możemy pokonać Alzeda tym, czym dysponujemy?

Nikt nie odpowiedział. Nie było potrzeby.

–Więc jeśli nawet plan Ferragama jest szalony, to i tak pozostaje naszą jedyną szansą, nieważne jak małą na to, aby nasz świat nie znalazł się we władzy tego potwora.

–Nie wiesz, co mówisz – odezwał się ponuro Kai. – Rytuał może zupełnie zniszczyć świat. I prawdopodobnie zniszczy.

–No to tym bardziej możemy pomóc Ferragamowi realizować jego plan – przerwał mu Luk. – Z nami będzie miał większą szansę powodzenia, a jeśli mu się nie uda... nie będzie nas czekało nic gorszego.

–Tak, w końcu nie chcielibyśmy żyć w świecie Alzeda – poparła go Julia z absolutną pewnością, co do tego.

Yve, której myśli gonili jedna drugą, włączyła się do rozmowy. Pomimo dręczących ją obaw, zaczęła się zgadzać z argumentami Laurenta i Luka.

–Rytuał może się przecież powieść – stwierdziła. – Okropnie mnie przeraża, ale kiedyś już zadziałał. Być może powinno się było do niego odwołać już przed laty, po naradzie. Wówczas zaoszczędzono by nam tego wszystkiego... Julia ma rację. To jest nasza jedyna szansa i nawet, jeśli większość czarodziejów już nie żyje, musimy spróbować.

–Mówisz, jakbyś wiedziała o tym rytuale wszystko – powiedział Mark.

–Przestudiowałam historię Yzalbe, z oczywistych powodów.

–Z jakich?

–Yzalbe była jedyną oprócz mnie kobietą, która kiedykolwiek została czarodziejką – odparła Yve. – Niekiedy wydaje mi się bardzo bliska. – „Zbyt bliska”, dodała do siebie, czując jak przebiega ją dreszcz.

–Dlaczego nie ma nic o tym w starych opowieściach? – zapytał Luk. – Wtedy nie uważano tego za ważne – rzekła Yve. – A kiedy później przepisywano te opowieści, większość skrybów przypuszczała, że Yzalbe to mężczyzna.

–Ten historyczny szczegół jest sam w sobie niezwykle interesujący – odezwał się ze zniecierpliwieniem Durk. – Ale co właściwie mamy zamiar zrobić?

–To jasne, prawda? – odpowiedział mu Luk. – Musimy iść w góry.

–To szaleństwo!

–Nie wszyscy z nas. Tylko ci, którzy są w stanie pomóc Ferragamowi. Czarodzieje, ci z nas, którzy są Sługami, i może kilku innych. Poza tym mała grupa będzie mogła poruszać się o wiele szybciej.

–Oczekujesz, bym oddał Gwiaździste Wzgórze wrogowi? Tak po prostu opuścił moich poddanych? – W głosie Marka słyhać było niedowierzenie. – Nie mogę tego zrobić!

Jeszcze raz ojciec i syn zmierzyli się wzrokiem. Inni przyglądali się temu w milczeniu, świadomi, że losy wszystkich na Arce zależą będą od wyniku tej konfrontacji.

–Słudzy są ważni, ojcze. Wciąż się to potwierdza i jestem pewien, że mamy w tym swoją rolę do odegrania. Jeśli zostaniemy tutaj, to albo umrzemy, nic w ten sposób nie osiągnąwszy, albo się poddamy, upadlając siebie i wszystko, co sobą reprezentujemy. – Słowa Luka brzmiały ostro nawet dla niego samego, ale wiedział, że były konieczne.

–Jestem władcą tej wyspy – odparł Mark. – Czy w tym widzisz moją powinność? W ucieczce?

–Nie będziesz uciekał! – odparł gniewnie Luk. – To może być jedyna szansa, by uratować twoich poddanych. A jeśli sprawowanie władzy królewskiej tak bardzo cię męczy, abdykuj! Przekaż koronę, komu chcesz. Takie tytuły nie mają teraz znaczenia!

Mark oniemiał.

–Mówisz tak, jak gdyby chodziło tu tylko o tytuł – Powiedział wreszcie cicho.

–Świat się zmienia, ojcze. Czy ci się to podoba, czy nie. Teraz jesteśmy odpowiedzialni za przyszłość, nie za rodzinne dziedzictwo.

Napięta cisza stawała się niemal bolesna. Mark jakby skurczył się w sobie. Stał się mniejszy.

„To go zabija – pomyślał Luk, czując litość zabarwi dumą. – Ale zaakceptuje prawdę”.

Mark podniósł się powoli z krzesła.

–Pójdę – oznajmił cichym, lecz stanowczym głosem. – Zdecydujcie, kto jeszcze ma iść i niezwłocznie po tym wyruszymy – Nie będąc w stanie przebywać z nimi ani chwili dłużej, Mark odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł z holu.

Po chwili pospieszyła za nim Fontaina.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

PIERWSZY

Ferragamo obudziwszy się, leżał przez jakiś czas z zamkniętymi oczyma, zbierając myśli. Szaleństwo, w jakim był pogrążony w czasie jazdy, opuściło go, zastąpione zimnym, nieubłaganym zdeteminowaniem. Wiedział, że Milknący rozmyślnie go uspił, i był mu za to wdzięczny. Czuł się wypoczęty i gotowy, i tak spokojny, jak nie był już od wielu miesięcy.

„Koria nie żyje. – Specjalnie sformułował te słowa, zmuszając się, by uznać je za prawdę. – Zrobię to dla niej”.

Postanowił, że przeprowadzi swój rozpaczliwy plan, który powziął po śmierci kochanki. Powrót do normalności w żaden sposób nie osłabił jego zdecydowania.

Powitany przez Sowę usiadł i zobaczył coś naprawdę dziwnego, nawet dla oczu czarodzieja. Milknący i Słodycz pogrążeni byli w rozmowie bez słów, najwyraźniej zafascynowani sobą nawzajem. W sali sypialnej znajdowała się jedynie głowa smoka, lecz dziwne skalne światło odbijające się od jego łusek sprawiało, że wydawał się solidniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Gdy Ferragamo się poruszył, smok się odwrócił, aby na niego spojrzeć. Najwyraźniej dowiedział się już sporo od Milknącego, ale w jego błyszczących oczach wciąż jeszcze malowały się pytania i Słodycz wiercił się niecierpliwie.

–Nasz przyjaciel spoza życzyłby sobie poznać twoje myśli na przyszłość – powiedział pustelnik. Uśmiechał się, gdy to mówił, lecz Ferragamo odczuwał niewytłumaczalną niechęć przed wyjawieniem swoich planów temu stworzeniu i nie odzywał się.

Milknący odwrócił się do smoka i po jeszcze jednej bezdźwięcznej wymianie zdań Słodycz potrząsnął głową i znowu spojrzął na Ferragama.

–Czym on jest? Skąd przybywa? – zapytał czarodziej.

–Spoza – odparł Milknący tonem, który znaczył, że pytanie „skąd” nie ma absolutnie żadnego sensu.

–Czy powiedziałaś mu, co mamy zamiar zrobić?

–Jaka będzie przyszłość? – zdziwił się Milknący i wzruszył ramionami. – Kto to wie?

–Rozumiem to jako nie – powiedział Ferragamo, przynajmniej raz wdzięczny za niejasny sposób wyrażania się pustelnika.

Zwrócił się do Słodyczy:

–Powiedz Yve, że to, co zdarzy się tutaj, winno zdarzyć się już dawno. Jeśli ona lub ktokolwiek inny chce pomóc, to dobrze, ale nie mają żadnego sensu próby powstrzymywania mnie... nas – poprawił się, spoglądając na Milknącego. – Powiedz Lukowi, żeby rozważył precedensy – dodał po chwili milczenia.

Jego słowa tylko zmieszały smoka, który po jeszcze jednej krótkiej konsultacji z pustelnikiem wycofał się. Milkńczy odprowadził go wzrokiem, a potem usiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Jego prastare oczy jaśniały z podniecenia. Z zakamarków kozich skór, które okrywały jego ciało, wydobyl worek z księżycowymi jagodami. Rozwiązawszy rzemienie wyjął jeden owoc i podał go Ferragamowi.

„Tak po prostu? – pomyślał czarodziej, a potem: – Dlaczego nie?” Wziął jagodę i włożył ją do ust. Delikatnie zmiażdżył skórkę zębami i powoli, kropelka po kropelce, wysał sok. Gdy to uczynił, ogarnęła go potężna fala ciepła i mrowiący prąd mocy przeniknął jego ciało. Przez chwilę czuł się oszołomiony, przepełniony nieskończonym optymizmem i niezwykłymi. Potem zmusił się, by zapanować nad całym procesem, tak by zmagazynować bezmierne rzeki napływającej energii, ująć ją w karby i podporządkować swemu groźnemu celowi – musiał go określić jasno i uczynić dominującym.

„Koria nie żyje” – przypomniał sobie i to mu wystarczyło, by pozostać spokojnym i zdecydowanym. Choć już jej nie było, miłość, jaką do niej czuł, osłaniała go i dawała mu siłę.

Milkńczy przyjrzał się uważnie swojemu towarzyszowi, a potem najwyraźniej zadowolony, wyjął następną księżycową jagodę.

„Za szybko – pomyślał Ferragamo. – Jeszcze nie jestem gotowy”.

Ale pustelnik miał inny plan. W przeszłości zawsze wzbraniał się zjeść cokolwiek, co zawierało jagody, twierdząc, że jest „zbyt biały”. O ile można się było zorientować, nawiązywał do czasu, odległego o całe stulecia, kiedy to spożył znaczną ilość wyciągu z księżycowych jagód. Zdarzenie to na zawsze odizolowało go od kontaktu ze zwykłymi ludźmi.

Teraz Milkńczy włożył jagodę do ust i zgryzł ją, jak gdyby nie było w niej więcej mocy niż w zwykłym winogronie. Gdy przepełniony mocą sok wypełnił jego usta, oczy pustelnika rozjarzyły się, a ciało zadrżało, lecz on sam uśmiechnął się szeroko, jak gdyby stanowiło to największą przyjemność jego życia. Ferragamo przyglądał mu się, zdumiony nieustanną zdolnością jego przyjaciela do zaskakiwania innych. Milkńczy, odrzucając głowę do tyłu, chichotał z radości.

Do jego chichotu dołączył się niespójny chór głosów Atlanty, Kirta i Sowy.

Gdy następnego dnia po południu Mark i inni przybyli do pieczary, większość jagód była już zjedzona. Ani Ferragamo, ani Milkńczy nie spali tej nocy; w rzeczy samej żaden z nich nie był nawet świadom upływu czasu.

Gdy podróżnicy wprowadzali zmęczone konie na ostatnie strome zbocze, cieszyli się

perspektywą schronienia i ciepła. Wyjeżdżali z Gwiaździstego Wzgórza pospiesznie, toteż nie byli przygotowani do spędzenia nocy w pokrytych śniegiem górach, trafnie zwanych Górami Mroźnego Wiatru.

Nikt jednak nie wyszedł, aby ich powitać. Luk, który stał się faktycznym przywódcą grupy, zajął się wszystkim: umieścił konie w „stajni” i poskładał w jednym miejscu te kilka rzeczy, które ze sobą przywieźli. Kai i Yve ruszyli na poszukiwania Ferragama, podczas gdy Mark odszukał tylko pierwszą z brzegu wolną grotę i osunął się tam ciężko na ziemię. Były król wpadł w głębokie przygnębienie i nic nie mogło podnieść go na duchu. Nie potrafił uwolnić się od uczucia, że abdykacja i odwrót do pieczary oznaczają zdradę jego wyspy, poddanych i samego siebie.

Widzę, że przygotowujesz się do wniesienia swego zwykłego, istotnego wkładu do prac.

Przestań mi dokuczać, Długowłoso! – warknął Mark. – *Jestem tutaj, czyż nie?*

Tak. To już coś. Ale wszyscy inni zajęci są czymś użytecznym – odparł kot, wskazując na krzątanicę w głównej grocie.

Mój udział w tym już się skończył. Twój też, gdybyś był tylko w stanie to przyznać. Nic nie możemy im pomóc, jeśli chodzi o Rytuał Yzalbe. - W głosie Marka brzmiał smutek i znużenie. – *Chciałbym, żeby to się już skończyło.*

Przynajmniej raz Długowłoso nie znalazł żadnej odpowiedzi, a Markowi, wbrew logice, zrobiło się przykro, że nawet nieugięty koci duch zmarniał wraz z jego własnym. Po raz pierwszy odkąd sięgał pamięcią, zwyciężył w dyskusji ze swoim kotem, lecz to zwycięstwo nie dało mu żadnej przyjemności.

Przykro mi, Długowłoso – dodał cicho.

Prześpijmy się – odparł kot w chwilę później. – *Jutro możemy potrzebować wszystkich naszych sił.* - Z jego tonu wynikało jasno, że w to nie wierzy.

Gdy później tego wieczora Fontaina szukała swego męża, znalazła go śpiącego z Długowłosym zwiniętym na jego piersi. Widok ten przypomniał jej dawne czasy i ścisnął za gardło. Przyglądała im się przez chwilę ze smutkiem, a potem pozostawiła ich na ten krótki czas spokoju, jaki im pozostał.

Fontaina i Julia zajęły się przygotowaniem noclegu dla Kerana i Tzigane, usiłowały też zająć się starszymi dziećmi, tak by nie sprawiały kłopotu. Beka wzięła pod swoje skrzydła Gemnę i obie dziewczynki wyruszyły na wyprawę badawczą, oznajmiając piskami radości swe odkrycia.

Rivera sprawiła, że zadanie Fontainy wcale nie było łatwe. Wyczerpana nieustannym podróżowaniem i wstrząśnięta ostatnimi wydarzeniami, królowa Healdy załamała się. Jej głos brzmiał piskliwie, zaostrzony paniką, i minął jakiś czas, nim zdołano ją przekonać, że można

uznać pieczarę za bezpieczne schronienie. W końcu ułożyła się na przygotowanym posłaniu, żeby odpocząć.

Do tego czasu Luk, wspomagany przez pozostałych członków grupy – Laurenta, Janiego i Brama – oraz radami Zawadiaki, przygotował kwatery dla nich wszystkich w głębszych zakamarkach labiryntu pieczary. Chociaż teraz w domu Milknącego przebywało szesnaście osób i wiele zwierząt, wcale nie byli stłoczeni.

–Można by tu pomieścić połowę armii – zauważył ze zdumieniem Bram.

–Tak – zgodził się Luk, kwitując uśmiechem osłupienie swego towarzysza. – I nie troszczyć się o wodę, żywność, światło i ciepło. – Potem znowu spoważniał. – Wejście – powiedział tylko.

Laurent skinął głową.

–Powinniśmy być przygotowani – wyjaśniał, gdy kierowali się z powrotem ku otwartemu powietrzu. – Nie jest nas wielu, ale to miejsce nadaje się znakomicie do obrony. Moglibyśmy...

–Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do tego – wtrącił Luk. – Zastanawiam się, jak się miewają czarodziejki?

Chyba urządzili sobie przyjęcie, sądząc z odgłosów – zauważył

Zawadiaka. Rzeczywiście, z groty, do której udali się Kai i Yve, dochodziło sporo hałasu, a nawet śmiechu. Widok, jaki powitał nowo przybyłych, gdy tam weszli, stanowił mieszanię nocnego koszmaru i farsy.

Ferragamo i Milknący siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, wpatrując się w siebie i gadając bez przerwy. Wyraz ich twarzy nieustannie się zmieniał. Były pogodne, pełne udręki, szczęśliwe, groteskowe; ich oczy jarzyły się, wysyłając snopy światła rozblyskujące po całej grocie. Ich skóra również przeświecała, jak gdyby ciała obu mężczyzn zrobiono ze światła. Nawet ich włosy, krótkie i zjeżone Ferragama oraz długie i zmierzwione Milknącego, lśniły, jak gdyby oświetlone od wewnątrz.

Pomiędzy nimi leżała torba zawierająca ostatnie księżycowe jagody, a ściany groty wokół nich stanowiły coraz to inny wir barw – różnobarwnych prążków zmieniających z każdą chwilą natężenie koloru i strukturę. Skała zdawała się niekiedy pulsować, lecz ptaki siedziały w swych wnękach nieruchomo, z rzadka tylko poruszając się nieznacznie w podnieceniu i dołączając swe głosy do paplaniny czarodziejów.

Wielkiego wysiłku woli wymagało od Yve wkroczenie w ten wir, nawet z Kaim z boku. Żadne z nich nie było całkowicie pewne, czy skała pod stopami wytrzyma ich ciężar. Jednak musieli zaryzykować.

Minął jakiś czas, zanim Milknący ich zauważył. Z wolna uciął i w końcu odetchnął głęboko,

wzdrygając się przy tym. Ferragamo wyjął jagodę z worka i podał ją pustelnikowi, który cofnął się i wskazał na Yve i Kaia.

Ferragamo rozejrzał się, błyskając oczyma, i roześmiał. Trzymając jagodę na otwartej dłoni zapytał: – Chcesz trochę? – i pogrążył się w nowym napadzie wesołości. Milknący i ptaki natychmiast przyłączyli się do niego i minęło nieco czasu, nim owa niewytłumaczalna wesołość opadła. Dopiero, kiedy w końcu zapadła cisza, Yve była w stanie otrząsnąć się z transu, w jakim się pogrążyła. Nagromadzenie magicznych sił w jaskini wręcz ją przygniatało i zaczęła się obawiać o całość swych własnych zmysłów. Zdążyła nabrać już poważnych wątpliwości, co do stanu zdrowia psychicznego Ferragama.

–Co robicie? – zapytała, choć odpowiedź była oczywista. Wbrew wszystkiemu jej własny głos zabrzmiał uspokajająco i to, zdaje się, pomogło odzyskać spokój Ferragamowi.

–Koria nie żyje – stwierdził z powagą na twarzy.

–Wiem – odparła cicho Yve. – Przykro mi.

–Czy smok jest z tobą? – zapytał ostro Ferragamo.

–Nie – powiedziała zaskoczona Yve. – Został na zewnątrz jako zwiadowca.

Ferragamo skinął z zadowoleniem głową, a potem odezwał się po raz pierwszy Milknący.

–Przybyliście. – Wskazał palcem na podłogę. – Pomoc?

–Tak – potwierdził Kai. – Jeśli potrafimy.

–Dobrze – stwierdził Ferragamo. – Siadajcie. Rytuał jest trudny i wymaga wielu przygotowań.

–Może na początek parę słów wyjaśnień? – poprosiła Yve – Musimy objaśnić innym, co tu się dzieje.

–Kto jeszcze jest tutaj?

Yve powiedziała mu.

–Słudzy może będą w stanie nam pomóc. Kto wie? – zastanawiał się Ferragamo. – A moc, którą wy dwoje przynosicie jest z całą pewnością mile widziana, lecz reszta niech lepiej trzyma się z daleka. – Znowu się roześmiał. – Nie chcemy, żeby ktoś nam przeszkadzał, kiedy będziemy bawić się w koniec tego świata!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Dwa dni po tym jak Mark i jego grupa opuścili Gwiaździste Wzgórze, świat zajaśniał nad nieruchomym, cichym miastem.

„Zbyt spokojnie” – pomyślał Durk, gdy wytężył oczy, usiłując wychwycić najmniejsze poruszenie na horyzoncie. Shill stał przy nim na blankach wieży wznoszącej się pomiędzy Morską a Polną Bramą. Gdy w z wolna jaśniejącym półmroku wypatrywali wschodu słońca, dowódca straży zamkowej głośno wyraził myśli swego towarzysza.

–Powinni już tu być – powiedział Shill. – Doniesiono nam przecież, że Szara Skała została zdobyta przedwczorajszej nocy.

–Może cieszy ich to utrzymywanie nas w niepewności – odparł sucho Durk. – Nie ma złej taktyki, jeśli się ma wszystkie atuty w ręku, tak jak oni.

–Jesteśmy przygotowani do wielomiesięcznego oblężenia, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeden dzień nie będzie stanowił żadnej różnicy.

–Wątpię, czy ktoś z nas spał dobrze tej nocy – powiedział Durk. – Co z pewnością nam nie pomoże.

–To prawda – przyznał Shill. – Czekanie zawsze jest najgorsze.

–Tak myślisz? – zapytał Durk. – Wcale mi nie spieszo spotkać się z tymi chłopcami.

Słońce wyjrzało znad horyzontu, rozbłyskując kilkoma poziomymi promieniami wśród łożwianych szarych chmur.

–Może zasypał ich śnieg – podsunął Shill, uśmiechając się.

–Może mogę zdmuchnąć słońce jak świeczkę – odparł Durk.

Poranne światło nie ujawniło żadnych śladów armii najeźdźców – żadnych dymów z obozowych ognisk, żadnych refleksów na zbrojach czy klingach, żadnego w ogóle ruchu. Gwiaździste Wzgórze czekało. Wszyscy jego mieszkańcy wiedzieli, że ważą się ich losy, ale niewielu miało ochotę rozmawiać. Spędzali czas wyglądając wroga, przygotowując się najlepiej jak potrafili do obrony swoich domostw i próbując bez przekonania kontynuować zwykłe zajęcia życia z dnia na dzień.

Kilka osób postanowiło wymazać mroczną przyszłość ze swych myśli topiąc rzeczywistość w winie, ale nie sprawiali dużych problemów. Miasto było złowieszczo spokojne.

Późnym rankiem wciąż nie dało się dostrzec śladu wroga. Zaczęły padać drobne płatki śniegu, lecz mimo tego widoczność wciąż była na tyle dobra, by wierzyć obserwatorom, że nie nadciąga

żaden atak.

Durk i Shill pozostali na wschodniej wieży, przestępując z nogi na nogę i chuchając w ręce, żeby zwalczyć przejmujące zimno. Jeden z oficerów Shilla podszedł do nich.

– Nasi zwiadowcy właśnie powrócili – zameldował. – Bez żadnych wieści.

– Dziękuję ci, Luka. Co o tym sądzisz?

– Nie wiem. Może próbują okrążyć nas od północy lub południa i uderzyć z nieoczekiwanego kierunku.

– Ale, po co? – W głosie Shilla słychać było niedowierzanie. – Muszą wiedzieć, że będziemy obserwowali wszystkie możliwe kierunki, z których mogą nadejść. Nie sposób ukryć armii takich rozmiarów.

– Może rozmyślnie nie podchodzą, mając nadzieję, że to my wyjdziemy, aby ich poszukać – podsunął Luka. – Może nie mają ochoty szturmować tych murów, a na otwartym polu byłiby dla nas nie do pokonania.

– Nieba! – wykrzyknął nagle Durk.

Żołnierze spojrzeli na niego.

– To jasne! Nie możemy ich zobaczyć, bo tu nie idą! – Na ogorzałej twarzy Durka malowała się złość na samego siebie. – Są w drodze do gór. Luk miał rację. To nie my im zagrażamy, Gwiaździste Wzgórze mogą zdobyć, kiedy tylko będą chcieli! To, co ich martwi, to Ferragamo i Rytuał Yzalbe. Dlatego tam zdążają!

Przekonanie brzmiące w jego głosie sprawiło, że obaj żołnierze zamilkli na kilka chwil. Durk ciągnął dalej:

– Musimy ich ostrzec... pomóc im...

– Czekał – wtrącił Shill. – To może być pułapka. Gdy tylko znajdziemy się poza miastem, łatwo możemy wpaść w zasadzkę.

Dyskusja toczyła się przez jakiś czas i skończyła się, gdy Durk stracił cierpliwość.

– Nie będę brał udziału w tym szaleństwie – zakończył zimno. – Odchodzę. I to zaraz. Im dłużej czekamy, tym mniejszą mamy szansę na ostrzeżenie Ferragama.

Odszedł szybkim krokiem, pozostawiając Shilla i jego oficerów wstrząśniętych, lecz przekonanych, że obrona Gwiaździstego Wzgórza jest ciągle ich najważniejszym zadaniem.

Durk nie opuszczał jednak miasta sam. Pięciu innych jechało wraz z nim – Zunik, jego

najstarszy sojusznik, i czterech żołnierzy, którzy słyszeli dyskusję i zostali przekonani jego argumentami. Jechali szybko wśród zacinającego wiatru, nieustannie rozglądając się na wszystkie strony. Późnym popołudniem dotarli do miejsca, skąd było widać szlak wiodący ku podgórzu. Śnieg przestał padać, a oni wciąż podążali naprzód, chociaż ich tempo było teraz wolniejsze. W zmierzchającym świetle prowadzili swe wierzchowce w górę biegnącej ubitymi piargami zygzakowatej ścieżki, która wiodła do niżej położonych śnieżnych połaci. W końcu osiągnęli płaskowyż, skąpany w pomarańczowym świetle wiszącego tuż nad horyzontem słońca. Gdy to uczynili, stało się jasne, że przybyli za późno.

Daleko przed nimi wznosiły się smugi dymu i mrugały obozowe ogniska; metal błyskał w promieniach zachodzącego słońca. Całe górskie zbocze zdawało się roić od żołnierzy.

–Przekłęci! – zawołał z rozpaczą Durk. – Ich przednie strażę muszą być już pod jaskinią.

–A nawet gdyby nie, to i tak w żaden sposób nie zdołamy ich prześcignąć – przytaknął ponuro Zunik.

–I co teraz? – zapytał jeden z ich towarzyszy.

Durk nic nie odpowiedział. Wydał tylko z siebie długie, bardzo długie westchnienie rozpacz.

Słońce zgasło jak świeczka, a oni pogrążyli się w przyprawiającej o dreszcze ciemności.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

–Zgromadziłeś więcej mocy, niż przypuszczałem – powiedział Ferragamo, spoglądając na Kaia. – To dobrze.

–To nie tylko moja zasługa – odparł Kai. – Od chwili, kiedy Moroski... – Głos młodszego czarodzieja zamarł, gdy zobaczył cierpienie na twarzy Ferragama.

Czarodziej Arki nie mógł znieść przypomnienia o jedynej ofierze, jakiej nie był w stanie ponieść dla swej miłości. „Koria nie żyje” – przepowiedział sobie Ferragamo, jakby ten fakt był probierzem śmierci w jego życiu. Minęła chwila.

Kai i Yve powrócili do groty roztańczonych światła i teraz wszyscy czworo siedzieli na podłodze, obserwowani przez rój i ptaki. Luk i Julia przyszli z nimi i zajęli miejsce przy wejściu. Zawadiaka zwinął się u ich stóp, ze zjeżoną sierścią, wodząc błyszczącymi oczyma po grocie.

Doszedłem do wniosku, że znajduje się tutaj naprawdę spora liczba ptasich mózdków – zauważył kot.

Uspokój się! To jest naprawdę ważne – zgromił go Luk.

I to mnie właśnie martwi – odparł Zawadiaka.

Rozgrywająca się przed nimi scena była rzeczywiście dziwaczna i Luk zaczął się zastanawiać, czy jego ojciec nie miał racji wzbraniając się przyjść tu z nimi. Zbudziwszy się, Mark oświadczył, że jego przeznaczeniem, – jeśli jakieś posiadał – jest walczyć z mieczem w ręku w razie konieczności i że nie weźmie już żadnego udziału w rytuałach czarodziejów i Sług. Luk był wstrząśnięty postawą ojca, lecz pod znużeniem wyzierającym z oczu Marka dostrzegł smutną pewność, więc się nie spierał.

Ferragamo od pewnego czasu znowu mówił równym i spokojnym głosem, choć było jasne, że nadaje mu takie brzmienie kosztem znacznego wysiłku.

–Samo wezwanie nie jest trudne – powiedział. Słyszając to Yve uniosła brwi z zaskoczenia, lecz nie odezwała się, gdyż Ferragamo mówił dalej:

–Trudne będzie kontrolowanie Rytuału potem. Dusza Ziemi zawiera więcej mocy niż jesteśmy w stanie objąć umysłami. Cała nasza nadzieja leży w tym, by ująć ją w karby, wykorzystać do naszych celów. Żeby zniszczyć Alzeda! – Jego twarz ściągnęła się w szkaradną maskę nienawiści, szokująco kontrastującą z jego normalnymi rysami. Małe, białe iskry strzeliły z jego włosów i paznokci.

Milknący poruszył ospale ręką i Ferragamo wzdrygnąwszy się odzyskał spokój. Potem,

powodowany kolejną nagłą zmianą nastroju, roześmiał się.

–Lepiej będzie, jeśli wy dwoje zjecie kilka – powiedział, wskazując pozostałe księżycowe jagody. – Ja i Milknący mamy już całkiem dość.

Pustelnik wyszczerzył do niego zęby i wywrócił komicznie oczy. Luk, przyglądając się temu w męczarniach niepewności, przypomniał sobie słowa Kaia: „Może on chce być szalony”.

–Dalej – ponaglił Ferragamo. – Są wcale dobre, kiedy się w nich zasmakuje. Prawda, Luk?

Kai wybawił księcia od konieczności udzielenia odpowiedzi.

–Nie sędzę, bym kiedykolwiek w nich zasmakował. Mam już w sobie tyle mocy, na ile mogę sobie pozwolić, by nią bez przeszkód pokierować. Te jagody najprawdopodobniej uniemożliwiłyby mi jej wykorzystanie.

–Kotwica – powiedział Milknący, a oni wszyscy, zaintrygowani, spojrzeli na niego.

Ponieważ nie wyjaśnił, co miał na myśli, Ferragamo ponaglił go:

–Co?

–Kai kotwica – odparł pustelnik, jak gdyby tłumaczyło się to samo przez się. – Nie biały.

Julia odezwała się ze swego miejsca pod ścianą groty.

–Mówi, że Kai będzie działał jako kotwica dla reszty was, więc nie powinien jeść żadnych jagód. Tak myślę.

Milknący skinął radośnie głową, potem odrzucił ją do tyłu i wydał z siebie długi skowyt, jak wyjący o północy wilk. Ferragamo zignorował go i powiedział:

–To śmieszne. Jeśli ta rzecz zadziała, wszelka moc, którą Posiada Kai, będzie całkowicie zużyta. A jeśli nie, nikogo to już nie będzie obchodziło!

–Wszystko jedno – zdecydował Kai. – Wolałbym nie.

–A co z tobą, Yve? – zapytał Ferragamo. – Czy ty też masz zamiar się powstrzymać?

Na twarzy Yve wyraźnie widać było niezdecydowanie. Przypuszczała, że wie o Rytuale więcej niż ktokolwiek tu obecny i myśl o niezmierzonej ilości energii, którą mogły jej przekazać księżycowe jagody, była niezwykle kusząca. Lecz...

–Ja nigdy... – zająknęła się. – Nie wiem, czy... Musze być trzeźwa. – Spojrzała na Kaia, prosząc go wzrokiem o poparcie. – Nie wezmę teraz żadnej – powiedziała w końcu. – Może później.

–Później może już nie być żadnej – stwierdził beztrąsko Ferragamo. Spojrzał na Milkającego.
– Więc zostaliśmy ty i ja. Jeszcze jedną na szczęście?

Mówiąc to wziął jagodę, podrzucił ją w górę i przechylając głowę do tyłu, złapał ją zręcznie w otwarte usta.

Gdy nad górami zajaśniał świt, oświetlił piękną scenę. Pierwsze promienie słońca zamigotały na majestatycznych, pokrytych śniegiem szczytach, a niebo przybrało barwę najbledszego błękitu, nieskalanego najmniejszym obłokiem. Przed wejściem do pieczary niewielka płaskość zielonej murawy, chronionej przed zamarzeniem ciepłem tryskających w głębi gorących źródeł, lśniła jak drogocenny klejnot oprawiony morzem bieli.

Stali tam Bram i Laurent, ubrani ciepło dla ochrony przed przejmującym górskim chłodem. Częstką umysłu chłonęli otaczające ich pierwotne piękno, lecz przede wszystkim zajęci byli wyglądem jakichkolwiek oznak pościgu. Bystrymi oczami badali wschodni horyzont, ale nic z wyjątkiem wiatru nie poruszało się wśród bezludnego krajobrazu.

–Jak sądzisz, ile mamy czasu? – zapytał Bram.

–To zależy od tego, jak szybko uświadomili sobie, gdzie jesteśmy – odparł Healdanin.

Żaden z nich nie był na tyle obznajomiony z geografią Arki, by dalej spekulować na ten temat, a poza tym nie mieli żadnej pewności, czy armie wroga uznały, że warto będzie dopaść ich małej grupy. Obaj mieli gorącą nadzieję, że nie.

W końcu, zadowoleni, że nie zagraża im żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, wrócili do jaskini, przeciskając się przez pospiesznie przygotowane umocnienia u jej wejścia. Dołączyli do Janiego, który siedział całkowicie odprężony, wpatrując się w leżącą poniżej dolinę. Długowłosey leżał u jego stóp, obok troskliwie rozłożonego małego arsenału rozmaitych broni. Niewielu było obrońców jaskini, ale z pewnością nie stanowiliby łatwej zdobyczy.

Mark i Fontaina wyłonili się z jednej z mniejszych grot, idąc ręka w rękę. Mark uśmiechnął się z zakłopotaniem, gdy wartownicy odwrócili się, żeby na nich spojrzeć.

–Żadnego znaku? – zapytał, ścierając sen z oczu.

–Nic nie widać – odparł Bram.

–Czy nie powinieneś być z czarodziejami, mój panie? – zasugerował Laurent. – Uważają, że Słudzy są ważni.

–Nie zaczynaj – odpowiedział Mark. – Luk dość mi dopiekl. A jeśli już przy tym jesteśmy, zapomnij o tytułach. Nie jestem dłużej ani królem, ani Sługą. – Jego głos był zmęczony, lecz stanowczy. – Jeśli czymś się jeszcze przysłużę to tym. – Dotknął gałki rękojeści miecza, który zwiślał mu u pasa.

–Przy odrobinie szczęścia nie dojdzie do tego – burknął Bram.

–Mam taką nadzieję – dodała Fontaina.

Ja też – rozległo się w głowie Marka przytaknięcie Długowłosego. – Sądząc z tego, jak wyglądasz, twoja małżonka pozbawiła cię już części sił.

Czarodzieje i ich pomocnicy nie opuścili groty przez całą noc – nikt nawet nie pomyślał o śnie.

Ferragamo wciąż okazywał dzikie zmiany nastrojów, lecz pomimo to był w stanie zapoznać ich wszystkich z kolejnymi etapami Rytuału. Milknący, co jakiś czas wtrącał jedno czy dwa słowa, wspomagając swego starego przyjaciela w sposób, który tylko on sam potrafił zrozumieć. Ku pewnemu zaskoczeniu Ferragama Yve również wniosła do dyskusji cenne informacje i wkrótce starszy czarodziej zaczął spoglądać na nią, szukając potwierdzenia.

W końcu niemal ukończyli przygotowania i ucichli, pogrążając się w dziwnie uroczystym nastroju. Nawet skalne światło, potęgowane krystalicznymi intruzjami i żyłami minerałów, przygasło do jednostajnej poświaty. Luk i Julia przyglądali się temu, świadomi bliskiej kulminacji, lecz czuli się odlegli i wyłączeni z ezoterycznego rytuału. Nie mieli pojęcia, co powinni robić, uważali jednak, by nie zburzyć koncentracji głównych uczestników w tak decydującej chwili. Mogli tylko czekać, ściskając się za ręce.

–Pozostały dwie jagody – odezwał się cicho Ferragamo. – czy chcecie je?

–Nie – powiedziała Yve.

–Nie – powtórzył jak echo Kai.

–Zatem jesteśmy gotowi. Zaczynajmy.

–Ale... – zaczęła Yve, oszołomiona.

–Nie ma już nic więcej do zrobienia – odparł Ferragamo.

–Ale... – spróbowała znowu Yve, lecz Milknący przerwał jej

–Córko czasu. Zaczynaj. – Głos prawniecznego pustelnika był nasycony uczuciem, władzą, pewnością, może nawet miłością. Gdy uśmiechnął się do Yve, zobaczyła twarz tak otwartą i tak wolną od zakłamania jak twarz dziecka; jego oczy były oknami wychodzącymi na stulecia życia, długie wieki zrozumienia i wiedzy. Wpatrując się w ich głębie, Yve czuła jak niknie jej własna osobowość. Nie miała już prawa do swobodnego wyboru własnej drogi, a równocześnie poczuła, jak z jej barków zostaje zdjęty ciężar odpowiedzialności. Pomimo wciąż trapiących ją wątpliwości i niezdecydowania wiedziała, że posłucha rozkazu Milknącego.

Yve, z trudnością, w głosie wypowiadającym pierwsze słowa Rytuału Yzalbe rozpoznała swój

własny. Inne głosy dołączyły do niego i świat przestał istnieć. Podłoga, na której siedziała, Luk i Julia, zwierzęta, sama jaskinia, góry, Arka, odległy dom jej młodości – wszystko to zniknęło. Pozostały tylko głosy. Stawały się jednym. Bezosobowym. Wszechogarniającym.

Yve, wiedząc, że i tak musi do tego dojść, pozwoliła, by to doznanie nią owładnęło i nagle poczuła, że staje się ono nieznośnie znajome. Początkowo niesło ze sobą otuchę, lecz wkrótce napłynęły wizje, a wraz z nimi przerażenie.

Była świadkiem niesłychanie okrutnych scen; widziała wojowników rozrywanych na kawałki przez zgłodniałe bestie; bezbronne kobiety padające ofiarą koszmarnych stworzeń o wijących się, chwytnych mackach; zobaczyła marynarzy wciąganych w otchłań przez ryczące fale ogromnego wiru, krzyżących rozpaczliwie o ratunek; olbrzymia kruszącego gołymi rękoma ludzkie czaszki; żołnierzy, których zbroje ognisty oddech smoka zmienił w rozpalone do czerwoności narzędzia tortur.

Potem, niespodzianie, była wolna, unosząc się wysoko nad ziemią, niematerialna. Tylko głos za nią podążał.

Na niebie, daleko od niej, pojawiły się dwa maleńkie punkciki. Zdażały ku niej, powiększając się. Gdy się nieco zbliżyły, Yve ogarnął strach. Stwory wciąż były nie do rozpoznania, lecz wiedziała, że stanowią kwintesencję jej dziecięcych koszmarów i grozy wieku dorosłego.

Powiększały się, zbliżając, a Yve wciąż nie mogła się ruszyć.

Gdzieś za nimi pojawił się smok. Na jego potężnym karku ktoś siedział.

–Yzalbe! – krzyknęła Yve, lecz wiedziała, że jeźdźczyni jej nie słyszy. – Jak to się kończy? Nie wiemy, jak to się kończy! Odległy smok nagle skręcił, a potem zanurkował w niewidzialną otchłań. Stwory z koszmaru wciąż się zbliżały.

Słodycz – zawołała z błaganiem Yve – *pomóż mi!*

To Jani pierwszy dostrzegł oznaki zbliżania się wroga. Uniósłszy pokrytą grubymi węzłami mięśni rękę wskazał na niebo i w chwilę później inni również zobaczyli dwa ptaki.

–Orły – powiedział Bram. – Chociaż nie wyglądają jak prawdziwe orły.

–Bo nie są nimi – odparł ponuro Laurent. – Są zdeformowane. W Ramsport był tylko jeden, ale rozpoznalbyśmy te straszliwe kształty wszędzie. To pieszczochy Alzeda.

Obserwowali w milczeniu zbliżanie się dwóch ogromnych ptaków. Mimo całej niezgrabności ich lotu poruszały się z wielką prędkością.

Odrażające stworzenia przeleciały, nie spuszczając złowrogich czerwonych oczu z wejścia do jaskini i wszyscy instynktownie skulili się pod falą rozchodzącej się od ptaków wrogości. Potem

zawróciły z powrotem na wschód, pozostawiając za sobą jedynie cień strachu.

–Czy mi się zdawało, czy też jeden z tych potworów był rzeczywiście przezroczysty? – zapytał Brani.

–Masz rację – stwierdziła Fontaina. – Sądzę, że to była iluzja.

–Jakie to ma znaczenie? – zapytał Laurent. – Jeden taki na wpół widoczny stwór jest już wystarczająco zły.

Nie mieli jednak wiele czasu na spekulacje – w ciągu godziny inne sprawy spadły im na głowę.

Armia Alzeda wmaszerowała do doliny. Nawet z odległości ponad dwóch lig widać było, że jest ogromna. Jednak nie to było najbardziej przerażające.

Straż przednia stanowiła masę jednolitej szarości. Nikt nie miał żadnych wątpliwości, jakiemu to wrogowi będą musieli wkrótce sprostać.

***Są tutaj-* zameldował Słodycz zabarwionym strachem głosem**

Widzę –* odparła Yve, wciąż zagubiona w swej przerażającej wizji. – *Gdzie jesteś?

Była zrozpaczona. Dwa orły, z których jeden migotał, jak gdyby był przezroczysty, zbliżyły się jeszcze bardziej. Yve mogła dostrzec ich łyse głowy, okrutne paciorki oczu, ogromne, postrzępione skrzydła i ostre jak brzytwa szpony.

Gdzie jesteś, Słodycz?

Smok nie odpowiedział wprost. Zamiast tego zaczął recytować:

Z morza – niebezpieczeństwo.

Z morza – bezpieczeństwo.

Yve opanował nagły niepokój; ogarnęła ją fala mdłości, poczuła zawroty głowy.

Z przeszłości – przyszłość.

Z przyszłości – wiara.

Więzy krępujące myśli Yve zaczęły pękać. „Adara” – pomyślała, lecz to głos Słodyczy pobudzał jej podświadomość.

***Nie przerywaj –* zażądała. Odpowiedź smoka zmieszała ją.**

Co? Nie mówiłem do ciebie.

Przerwał i Yve wyczuła jego zdezorientowanie. Potem znowu dobiegły do niej strofy wiersza.

Niedostrzegalne skrzydła odnajdą źródło

I powstrzymają straszliwy pochód.

Yve niemal krzyknęła z radości i bólu. Tak istotne wspomnienia, które zepchnęła głęboko w podświadomość, w czasie, kiedy była uwięziona na Strallen, przerwały teraz barierę zapomnienia, wyzwolone pobudzającą pamięć recytacją i potrzebą, w jakiej się znalazła.

Otwarła oczy i wokół niej zmaterializowała się grota. Ferragamo, Kai i Milknący siedzieli jak posągi, jednak wciąż rozbrzmiewał chór ich połączonych głosów. Gdzieś poza nimi widać było Luka i Julię skamieniałych, niezdolnych do objęcia umysłem rozgrywającej się przed nimi sceny. Skalne światło błyskało i migotało.

Ostatni uczynek okaże się pierwszym,

w okamgnieniu dwie wyspy staną się jednym.

Głos umilkł.

Ziemia zadrzała. Niewyobrażalne siły gromadziły się, czekając na wyzwolenie.

Gdy czarodzieje ocknęli się ze swego transu, z ich oczu wyzierała straszliwa wiedza.

–Co się stało? – wyszeptał Kai. – To jest tam. Czuję to. Dlaczego...?

–Skończyliśmy – szepnął Ferragamo.

–Nie! – krzyknęła Yve. – Nie wiemy, jak to skończyć. próbowałam...

Ziemia zadygotała.

–Co zrobiliśmy? – jęknął Ferragamo, kryjąc twarz w dłoniach.

Tylko prastary pustelnik pozostał spokojny. Yve stwierdziła, że Milknący patrzy na nią i nie wiedząc dobrze, dlaczego, powiedziała głośno:

Dziecko z magii zrodzone i lotem napiętnowane

Swój niemy głos do głosów innych dodaje.

–Tzigane? – powiedział Kai. – Tzigane!

Przez wejście do groty wpłynęło kręcąc się małe zawiniątko. Rozwinęło się i ukazała się uśmiechnięta twarzyczka Tzigane.

Uradowana swoją nowo odkrytą zdolnością poruszania się, dziewczynka śmiała się, machała rączkami i kopała nóżkami, dopóki nie znalazła się w samym środku groty. Tam zatrzymała się, unosząc w powietrzu, niczym niepodtrzymywana, dobre trzydzieści centymetrów ponad ziemią. Wszystkie oczy były w nią wbite, a ona rozkoszowała się skupioną na sobie uwagą. Gdy Tzigane zachichotała, w głowie Yve rozbrzmiały następne wersy.

Córka czasu, jej los przepowiedziany,

Wysłuchać musi słów wieków minionych.

Yve spoglądała na Tzigane i widziała też inne twarze, przemykające tak szybko, że zlewały się w jedną. Były tam Adara i Ciana, Koria, Fontaina i Adesina, i wiele, wiele innych.

Bliskich sobie miłością w kręgu zgromadzi

–Julia! – krzyknęła Yve.

Luk spojrział szybko na swoją żonę, lecz jej nie zaskoczyło nagłe wezwanie. Fioletowe oczy jarzyły się łagodnym blaskiem, twarz miała niewzruszoną, zdecydowaną i pewną.

–Wszystkich? – zapytała.

–Oczywiście – odparła Yve.

Rzuciwszy szybkie spojrzenie swemu mężowi, Julia wybiegła z groty, pozostawiając w niej oszołomionego Luka.

Po kilku chwilach wróciła z Beką i Riverą. Królowa Healdu szlochała i szła potykając się, tak, że Julia i Beka musiały ją podtrzymywać.

–Nie mogę znaleźć Gemmy – powiedziała Julia. – Luk, idź i sprowadź swoją matkę. Potrzebujemy jej tutaj.

W tej samej chwili od wejścia do jaskini dobiegło wykrzyczane na całe gardło zawołanie bitewne.

–Słudzy!

Luk rozpoznał głos swojego ojca i pobiegł. Równocześnie rój wzbił się w górę i wyleciał na główny korytarz, podążając za nim w głąb czeluści góry.

Julia i Yve spojrzały na siebie, dzieląc się swą nadzieją i przerażeniem.

Gdy czekali, Sowa, Atlanta i Kirt opuściły swoje grędy i wyfrunęły z groty, podążając za Lukiem w stronę otwartego powietrza.

Obserwowali zbliżanie się szarych widm od niemal dwóch godzin; Mark uznał, że były to dwie najdłuższe godziny jego życia. Gdy wroga armia dotarła do stóp zbocza, perspektywa walki przyniosła niemal ulgę. obrońcy wiedzieli, że choćby z uwagi na liczebność wroga, kwestią czasu będzie tylko to, kiedy ich mała grupa zostanie zmiażdżona, lecz zamierzali drogo sprzedać swoje życie.

W pierwszej fazie walki Mark i jego ludzie wykorzystali do końca swoją przewagę pozycyjną. Każdy uzbrojony był w łuk i cała piątka słała śmiertelny deszcz strzał na zbliżające się szeregi. Choć nie mogło to zabić widm, to jednak znacznie zwolniło ich pochód, zwłaszcza, że w miarę jak czas mijał, ich makabryczna regeneracja przebiegała wolniej. Z drugiej jednak strony było ich tak wiele, że wkrótce nadszedł czas, kiedy łuki odrzucono jako bezużyteczne.

Widma w końcu znalazły się przy nich i wywiązała się walka wręcz. Mimo to obrońcy wciąż mieli przewagę pozycyjną i w pełni ją wykorzystywali. Marka ogarnął szal bitewny, gdy jego miecz posłał na ziemię pierwszą ofiarę.

–Słudzy! – zawołał, wiedząc, że jego zmagania się nie skończyły. Jeszcze nie.

Kilka chwil później Luk zastąpił Fontainę na jej miejscu pomiędzy Markiem i Janim.

–Idź do czarodziejów! – zawołał przekrzykując zgiełk bitwy. – Potrzebują cię!

Gdy Fontaina odwróciła się, aby odejść, rzucając przy tym spojrzenie swemu walczącemu zajadle mężowi, obok niej przeleciały trzy ptaki, wzbijając się w mroźne górskie powietrze.

Mark, Luk, Jani, Bram i Laurent walczyli dalej zaciekle, bez żadnej realnej nadziei, lecz z niedorzecznym uporem. Otuchy dodawały im ogromne straty, jakie zadawali wrogom, oraz niezwykle fakt, że widma, które powalił miecz Marka nie odżywały, lecz leżały nieruchome, martwe i zimne jak normalne zwłoki.

Szturm stracił nieco na szybkości, ale napastnicy parli bezlitośnie naprzód. Kiedy Bram osunął się z wbitą w piersi włócznią, wiedzieli, że jest to koniec, jakiego oni wszyscy mogą oczekiwać – i to szybko. Paradoksalnie jednak śmierć towarzysza pobudziła Marka do jeszcze bardziej szaleńczej walki. Skoczył naprzód, rezygnując z ochrony umocnień i kładąc wokół siebie lany trupów.

Ponad nimi, choć niezauważona, toczyła się jeszcze jedna bitwa. Sowa, Atlanta i Kirt przeciwstawiły swe drobne dzioby i szpony odrażającej potędze orłów Alzeda i szybko odkryły, że jeden z przeciwników jest całkowicie niewrażliwy na ataki. Po prostu nie istniał w ich świecie i wszystkie ciosy przenikały tylko przez jego ciało, nie czyniąc mu żadnej szkody. Z drugiej zaś strony, orzeł ten również nie mógł ich w żaden sposób zranić.

Z Sivadlem rzecz miała się inaczej. To było solidne ciało i krew z tego świata, a haczykowały dziób i ogromne szpony sprawiały, że jego napastnicy wyglądali śmiesznie. Niemniej szybkość i zwrotność mniejszych ptaków zrobiła swoje i skutecznie odwracały uwagę orła, zapobiegając

jego atakowi na jaskinię. Tak skutecznie dręczyły Sivadla, że wpadał w coraz większy szal i nie spostrzegł, że jest spychany coraz bliżej i bliżej skalnego urwiska. Ostre szpony Atlanty wiele już razy zetknęły się z szyją i skrzydłami orła. Same w sobie rany te nie mogły wiele zaszkodzić Sivadlowi, jednak ich piekący ból naprawdę doprowadzał go do szału.

Wreszcie ptaki wybrały odpowiedni moment. Sowa i Atlanta zanurkowały z obu stron pod skrzydła orła, burząc ich rytm, podczas gdy w tym samym czasie Kirt trzepotał skrzydłami, polatując przed straszliwym, kłapiącym dziobem. Lot Sivadla zmienił się w śmiertelne pikowanie, gdy jego unieruchomione skrzydła nie zdołały go uchronić od zderzenia z poszarpaną oblodzoną skalną ścianą. Uderzenie strzaskało mu kark i ogromne, niezgrabne ciało zadrgało i runęło bez życia w przepaść. Wraz z nim odeszło dwóch jego przeciwników. Śmierci Atlanty i Sowy nie zauważył nikt z wyjątkiem ich pozostałego przy życiu, samotnego przyjaciela.

Drugi orzeł krzyknął z bezsilnej wściekłości.

Daleko w dole walka niemal dobiegała końca. Zarówno Luk jak i Laurent otrzymali zbyt ciężkie rany, by móc dalej walczyć i tylko jeszcze Mark i Jani odpierali nawałnicę, oczekując nieuniknionego. Krótka przerwa w ataku dała im chwilowe wytchnienie, lecz zaraz potem nowa fala szarości ruszyła naprzód

„Oto koniec – doszedł do wniosku Mark i uniósł miecz. Starł się z dwoma widmami. Ściął jednego szarego żołnierza, wiedząc, że w tej samej chwili drugi zakończy jego życie. – Daliśmy z siebie wszystko” – pomyślał jeszcze w ostatniej chwili, kiedy czekał na śmiertelny cios.

Nigdy nie spadł.

Zamiast tego powietrze wokół niego zaroilo się od futer i piór, pazurów i rogów, wypełniły je barwne smugi – czerwone, brunatne, białe – a w uszy uderzył nieziemski skowyt. Górskie zwierzęta, od tak dawna goszczące Milknącego, w końcu przybyły, by go bronić. Lisy, rysie, jelenie, kozice, myszołowy – wszystkie tu były, gryząc, warcząc, drapiąc i kopiąc. Poprzez mgłę krwi i zmęczenia Mark zobaczył wśród wrogów poruszającego się ciężkim krokiem niedźwiedzia, który walił jak maczugą ogromnymi łapami. Mark i Jani przyglądali się temu wszystkiemu wytrzeszczonymi z niedowierzania oczami. Za nimi Długowłosa i Zawadiaka powitali swych pobratymców własnym, dziwacznym okrzykiem.

Potem nagle wszystko ucichło.

Zwierzęta i widma zniknęły.

W ich kierunku, w górę stromego zbocza, kroczył sam Alzedo, z płonącymi nienawiścią i gniewem oczyma.

Po raz drugi tego dnia, i teraz z absolutną pewnością, Mark przygotował się na śmierć.

–Gdzie Gemma? – W głosie Yve słycać było rozpaczliwe błaganie.

–Nie mogą jej znaleźć – rzekł Kai, a Rivera zanosła się płaczem.

–Kaź im się rozdzielić – powiedziała Yve.

–Juź to zrobiłem – odparł. – Jestem pewien, że wkrótce tu

–Musi być. Potrzebujemy wszystkich ogniów łańcucha.

Ferragamo uniósł wzrok, najpierw na Milknącego, który uśmiechał się dobrotliwie i nie zwracał żadnej uwagi na zgiełk wokół niego, a potem na Tzigane. Dziewczynka wciąż wierciła się w swojej powietrznej kołysce i wydawała się całkiem spokojna. Zwrócił się do Yve.

–Co się dzieje? – zapytał. – Dlaczego...?

Skały wokół nich zadrżały; z głębi górskich trzewi dobył się ryk jak gdyby góra przygotowywała się do wyrwania swych korzeni.

Ponad całym tym zgiełkiem Yve powiedziała:

–Bliscy się gromadź. Potem zakończymy Rytuał. – Jej oczy świeciły pulsującym blaskiem.

–Zagadki – orzekł, gdy ziemia znowu zadygotała. – Cokolwiek masz do zrobienia, zrób to szybko!

Yve skinęła głową. Do groty wbiegła Gemma, otoczona chmurą pszczół. Dziewczynka upadła i Rivera krzyknęła, ale to drżenie skał i wciąż zmieniające się światło sprawiły, że jej córka się potknęła. Księżniczka spojrzała na Kaia.

–Co się dzieje? Boję się. Dlaczego podłoga się trzęsie?

Nie otrzymała odpowiedzi. Zamiast tego Yve zaczęła szybko mówić im, co mają robić.

–Ustawcie się w koło, wszystkie. Teraz! Szybko. Potrzebujemy waszej pomocy. Tak jest! Beka, pomóż Riverze. Fontaina tutaj. Gemma za Kaim. Szybko! – Czarodziejka wskazywała miejsca, gdy kobiety się zbliżały. – Julia ze mną. – Dwie przyjaciółki uśmiechnęły się do siebie.

–Spójrzcie na Tzigane!

Wszyscy skierowali na nią oczy, odzwierciedlające różne stopnie przestachu i zafascynowania.

–Jej znamię się porusza! – zawołała Gemma. – Leci!

Usta Tzigane otworzyły się i dziewczynka krzyknęła głosem sokoła. Gdzieś w oddali inny ptak

odpowiedział na jej wezwanie, a ona się roześmiała.

Wypowie witaj i w ten sposób...

–Gotowe. Musimy tylko powitać...

Wówczas wszyscy to poczuli, każdy na swój własny sposób.

Dla Tzigane było to po prostu jeszcze jedno nowe w jej młodym życiu i przyjęła je bez zastrzeżeń. Czuła się otulona ciepłą ciemnością, która ją wykarmiła i ukształtowała i która śpiewała w jednostajnym rytmie uderzeń matczynego serca.

Dla Rivery było to zarazem straszne i utęsknione, zrównoważone poczuciem słuszności, które sprawiło, że odrzuciła swoje dotychczasowe wyobrażenie świata. Poddała się temu całkowicie, po raz pierwszy w życiu stając się naprawdę wolna.

Dla Fontainy stanowiło to pokrzepienie i bezpieczeństwo: zrozumienie jej związku z historią i wieloma innymi kobietami, które nosiły w sobie przyszłość Sług, kontynuując trwające wieki zadanie, by teraz, – jeśli w ogóle kiedykolwiek – miało zostać wypełnione.

Dla Beki były to obrazy domu i rodziny, pogmatwane, lecz niosące otuchę, sięgające daleko poza znany jej świat. W tych, którzy ją otaczali, wyczuwała niezachwiane dążenie do celu i wiedziała, że ona również ma w tym swoją rolę do odegrania.

Dla Gemmy było to tak, jak gdyby jej ojciec tulił ją w swych silnych ramionach. Czuła się bezpieczna, chroniona i niewrażliwa na jakikolwiek atak – i czuła coś jeszcze. Rozkwitały w niej możliwości, których na razie nie potrafiła zrozumieć. Słyszała głos Kaia mówiący: Któregoś dnia, i pszczoły brzęczące na znak zgody.

Dla Julii było to powtórne narodzenie się; skamieniałe drzewo rozsadzane młodymi pędami. To, że w tej właśnie chwili wspierała tych ludzi, stanowiło ostateczne usprawiedliwienie jej istnienia i przyjęła to z uczuciem zdumienia i radości.

Dla Yve, pośrodku kręgu, była to kulminacja wszystkich jej tęsknot, wszystkich jej tłumionych pragnień. Jej wizja wreszcie stała się kompletna i gdzieś w głębi czarodziejki głos Yzalbe szepnął: *Witaj*.

Wówczas odezwał się głos; ten sam głos, jednak nieco zmieniony. Był jednym i był siedmioma. Był młody i był stary, ufny i przestraszony. Wszystkie usta, wszystkie języki poruszyły się, lecz wyszło z nich tylko jedno słowo.

–Witaj.

...zbudzi.

Ziemia się zbudziła. Niewyobrażalna moc spłynęła w krąg tych, których związała miłość.

Tzigane i czarodzieje stali się czystym światłem.

Alzedo zatrzymał się i krzyknął.

Słońce zgasło, zanurzając ich w zupełnej ciemności.

"Czy jestem martwy?" – zastanowił się Mark.

Potężny głos zahuczał w pustce.

–Wy głupcy! – ryczał Alzedo. – Zniszczyliście swój świat!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Sen powrócił. Yve wciąż jeszcze znajdowała się w grocie, stojąc w kręgu nieruchomych, wytrzeszczających oczy kobiet, jednak jej cząstka była już gdzieś wysoko w górze, wzlatując ku niebu. Pochyliła się, by podnieść dwie pozostałe księżycowe jagody, a następnie połknęła je.

Słodycz! Teraz chcę polecieć z tobą!

Ledwie zawołała, a już tam był, promieniujący siłą i blaskiem swej pokrytej łuskami, wielobarwnej skóry.

„Od tysięcy lat nie było żadnych smoków” – powróciła myśl z przeszłości Yve.

Pochylił łeb i czarodziejka wspięła się na jego kark.

Lecimy? – zapytał.

Lecimy.

Wzniesli się z jaskini światła, przenikając przez sklepiające ją warstwy skał jak przez powietrze i wystrzelili w ciemniejące niebo.

Łysy orzeł o czerwonych, błyszczących oczach, runął na nich natychmiast, by rozerwać Yve nienawistnymi szponami. Czarodziejka pochyliła się, a Słodycz skręcił, żeby uniknąć ataku, zmuszając Yve, aby przywarła do niego jeszcze mocniej.

Gdy zdeformowany ptak zawrócił, Słodycz krzyknął:

Oga! Dlaczego to robisz? – Jego głos brzmiał bardzo młodo i był pełen lęku.

Mój brat zginął przez ciebie – skrzeknął w odpowiedzi. – *Zdradziłeś nas. Zdradziłeś swój świat.*

Znowu był przy nich.

Nie! – protestował Słodycz. Jego oddech zmienił się w płomień, osmalając niebo wybuchem ognistego różu. Orzeł próbował powstrzymać swój karkołomny, nurkujący lot, lecz nie zdołał.

Ogień liznął jego skrzydła, powlekając czernią postrzępione upierzenie i wypełniając powietrze odorem palonych piór. Bezwładny, runął ku odległej, czarnej ziemi.

Słodycz wzbijał się coraz wyżej i Yve przyglądała się odsłaniającej się pod nimi panoramie. Obrazy zniszczenia stawały się coraz bardziej znajome. Nie potrafiła ich jednak odnieść do prawdziwych doświadczeń mieszkańców wysp, więc odrzuciła od siebie wszelkie spekulacje i skoncentrowała się na swoich poszukiwaniach. Wkrótce odnalazła to, czego szukała.

W dół! – rozkazała, tym razem w pełni kontrolując to, co robi.

Wulkan wyrósł na ich powitanie i Yve zanurzyła się w jego sercu bez strachu, wiedząc jednak, że dźwiga na swych barkach wielką odpowiedzialność.

Wraz ze Słodyczą przekroczyli dolną strefę pomiędzy światami Powietrza i Ziemi i raz jeszcze popłynęli wśród składników Duszy Ziemi. Spirale energii – wyzwolonej Rytuałem – wiły się wokół czarodziejki. Wyczuwając ich wzór, Yve podążyła za nim, szybko zdobywając wiedzę. Poznała słabe i mocne punkty wzoru; miejsca, gdzie zagrażał chaos, i te, gdzie wciąż jeszcze istniała równowaga; aż wreszcie zobaczyła chorobę: rakowate narośla na tkankach ziemi. Jeszcze raz skontrolowała moce, jakimi dysponowała.

Jestem uzdrowicielką – pomyślała.

Z wolna, kłębiąca się wokół niej energia zaczęła odpowiadać na jej namowy. Ostrożnie manipulowała wzbudzającymi lęk siłami, które teraz znajdowały się w jej dyspozycji, jak gdyby rzeczywiście stanowiły część jej własnych, skromnych przecież uzdolnień.

Powoli pacjent, którym była cała Ziemia, zaczął reagować na kurację czarodziejki. Choroba nie ustępowała łatwo, ale wypędziła ją – złośliwe ropnie zostały oczyszczone, przecięte i wypalone leczniczym dotknięciem Yve.

Zadowolona wreszcie, że Ziemia, choć poważnie osłabiona, odzyska teraz pełnię sił, Yve zaprzestała swego mozołu i odpoczęła. Ogarnęło ją miłe zmęczenie.

Dźwigając czarodziejkę, Słodycz leciał, unosząc ją wciąż dalej.

Poza.

Mark zbudził się, by stwierdzić, że na świat spłynęła noc – prawdziwa tym razem. Mógł dostrzec kilka gwiazd, daleko na wschodzie. Miejscami niebo jarzyło się czerwienią. Gdy zmusił się, aby powstać, czując, jak każdy mięsień protestuje przeciwko ruchowi, ziemia pod nim zadygotała. Odległy łoskot oznajmił lawinę.

W pobliżu Jani wolno podnosił się z ziemi. Jeden podtrzymywał drugiego, gdy wspinali się na umocnienia, wracając do jaskini. Kiedy wgramolili się do środka, znowu pojawiło się skalne światło, rzucając słabe cienie. Wewnątrz leżeli Luk i Lauret. Choć nieprzytomni, żyli jeszcze. Gdy Mark dotknął ręki swego syna, Luk się ocknął, wraz z bólem powracając do świata.

–Co się stało? – zapytał ochryple.

–Alzedo odszedł – odparł Mark.

–Nie żyje?

–Mam nadzieję. W każdym razie nigdzie nie widać widm.

–Czy oni...? – zaczął Luk, usiłując spojrzeć w głąb jaskini – Julia...?

–Nie wiem. – Zwracając się do Janiego, Mark pokazał: zostań z nim.

–Nie – zaprotestował Luk. – Ja też idę.

Powiedział to z takim zdecydowaniem, że jego ojciec nie mógł się spierać. Zostawiwszy Janiego, by zaopiekował się Laurentem, pomógł powstać swojemu synowi i razem pokuśtykali w głąb pieczary, do groty czarodziejów, obejmując się nawzajem, splamieni krwią, czując znużenie we wszystkich kościach. W grocie skalne światło odzyskało swą dawną intensywność i obraz, jaki ich tam powitał, pozostał w nich na zawsze.

Pośrodku, cisi i nieruchomi, leżeli Ferragamo, Milkńczy i Kai. Fontaina klęczała u boku Ferragama. Gdy uniosła wzrok i zobaczyła swego męża i syna, jej ściągnięta twarz rozplynęła się w łzach ulgi i żalu. Między czarodziejami spoczywało małe zawiniątko. Ono również było nieruchome.

Za nimi, w głębokim omdleniu, leżała Rivera. Beka siedziała przy niej rozcierając delikatnie rękę swojej ciotki. W pobliżu stała Gemma z pobladłą twarzą, rozglądając się wokół szeroko rozwartymi oczami. Najbliżej dwóch mężczyzn była Julia i to ona pierwsza zareagowała na ich przybycie. Drżała, lecz radość, z jaką powitała Luka, przemogła w niej wszystko. Gdy wzięła go w ramiona, posadziła i zaczęła opatrywać jego rany, Mark zostawił syna i podszedł do Fontainy.

–Czujesz się dobrze? – zapytał cicho, klękając, aby ją objąć.

–Tak. – Jej głos drżał, ale był wyraźny. – Teraz, kiedy cię widzę.

–A inni? – Mark rozejrzał się wokół.

–Ferragamo nie żyje. I Tzigane. – Jej oczy spoczęły na chwilę na leżącym pośrodku małym zawiniątku, a potem wciągnęła głęboko powietrze i ciągnęła dalej: – Kai żyje, ale ledwo oddycha j jak mi się wydaje, Milkńczy też przeżył. Choć nie mam pewności. Jest bardzo dziwny.

–Yve?

–Odeszła.

–Dokąd?

–Ze Słodyczą. Na końcu była taka sama jak on. Można było widzieć przez ich ciała.

–Poleciała na nim! – dodała bez tchu Beka. – Polecieli prosto w górę, przez sklepienie.

Mark wznosił oczy, a potem opuścił je na Fontainę. Skinęła głową.

–Z resztą wszystko w porządku, tak myślę. Rivera zemdląca. A co z wami?

–Bram nie żyje, a Laurent stracił mnóstwo krwi. Jest z nim teraz Jani. Wszystkim nam się trochę dostało, ale to chyba nic poważnego.

–Widma?

–Zniknęły.

Fontaina odetchnęła z ulgą, a potem wzdrygnęła się, gdy jakiś nowy głos zabrzmiał w korytarzu.

–Jest tu kto?

W wejściu pojawił się Durk, trzymając w ramionach śpiącego Kerana.

–Myślałem, że nie ma tu nikogo z wyjątkiem tego maleństwa – powiedział. – Na zewnątrz świat zupełnie oszalał.

–Tutaj też nie jest całkiem normalny – odparła ze znużeniem Fontaina.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ów rozstrzygający dzień przyniósł w następstwie wiele zmian. Minęły trzy lata, lecz skutki straszliwego wstrząsu wciąż były odczuwalne. Kai wyjaśnił Gemmie jakiś czas później, że siły, które zostały uwolnione owego dnia, były dla nich zbyt potężne, aby mogli nad nimi zapanować.

–Jak śpiący olbrzym? – zapytała, nawiązując do jednej ze swych ulubionych opowieści.

–Tak. Tylko o wiele większe.

Oczy Gemmy rozszerzyły się, a potem skinęła poważnie głową.

–O wiele większe – powtórzyła cicho.

–To, dlatego świat jest teraz inny. Yve zapewniała, że wszelkie zło zostanie zniszczone, lecz mnóstwo innych rzeczy również musiało się zmienić.

–Dokąd odeszli Yve ze Słodyczą?

–Nie wiem, Gemmo.

–Czy są szczęśliwi?

–Sądzę, że tak – odparł natychmiast Kai, wiedząc, że wahanie pozostawiłoby księżniczkę niepewną i nieszczęśliwą. I dodał w myślach: „Mam nadzieję... Gdziekolwiek są”.

Gemma spojrzała na niego uważnie, lecz najwyraźniej była zadowolona z odpowiedzi.

–Ale góry się nie zmieniły – powiedziała po chwili.

–Ponieważ ty tam byłaś! – odparł Kai, niewiele mijając się z prawdą, po raz kolejny zaskoczony trafnością obserwacji tego dziecka.

Jak na tak młodą osobkę, niewiele umykało jej uwagi!

Najbardziej rzucającymi się w oczy zmianami były zmiany geograficzne. Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów pograżyły niektóre wyspy w morskiej otchłani i wyniosły inne. Towarzyszące temu ogromne fale pływowe dopełniły dzieła zniszczenia, ścierając wiele portów z oblicza ziemi. Morze objęło w posiadanie część lądu, lecz w innych miejscach zostało zepchnięte w tył. Góry wypiętrzyły się, podczas gdy inne runęły, chociaż jak zauważyła Gemma, pasmo Gór Mroźnego Wiatru pozostało względnie niezmienione – stanowiło epicentrum niszczycielskich sił.

Rzeki zmieniły bieg, miasta zostały zrównane z ziemią, a ogromne pożary lasów dołączyły swoje do pióropuszy wulkanicznego dymu i popiołów rozpostartych na niebie. Słońca nie

widziano przez wiele dni i pozostali przy życiu wyspiarze trzęśli się w chłodzie najzimniejszej z zim, jakiej kiedykolwiek doświadczyli.

Kartografowie dopiero, co rozpoczęli ogromne zadanie sporządzenia nowych map świata. Jego realizacja postępowała wolno; nie najmniej ważnym z powodów było, że niemal wszystkie statki i okręty zniszczył kataklizm; długo trzeba było czekać, nim ludzie znaleźli dość energii i czasu, by zająć się odbudową floty. W końcu kilku śmiazków stawiało czoło niezbadanym morzom i łączność pomiędzy wyspami z wolna została na nowo nawiązana. Tak wiele rzeczy było obcych dla tych odważnych nawigatorów, że początkowo nikt nie mógł doszukać się sensu w ich doniesieniach. Jednak stopniowo niektóre fakty stawały się jasne.

Brogar zniknął; przepadła dla świata wyspa, która była pożywką dla piekielnego zła Alzeda, starł ją całkowicie wybuch ogromnego wulkanu. Chociaż wówczas nie zdawali sobie z tego sprawy, sprawiła to ta sama erupcja, która zgasiła zachodzące słońce, gdy Mark i Jani stali u wejścia do jaskini, czekając na śmierć.

Żaden ślad nie pozostał po splugawionej wyspie. Na zachodzie rozciągało się tylko morze, chociaż w późniejszych latach miały pojawić się uporczywe pogłoski o powstającym, co jakiś czas gigantycznym wirze, właśnie w miejscu, gdzie niegdyś wznosił się Brogar; miało to czynić żeglugę na tych obszarach niezwykle ryzykowną.

Drugą wielką zmianą, która szybko znalazła swe potwierdzenie, był fakt, że Arka i Heald, – jeśli dalej można było je tak nazywać – stanowiły teraz jedną wyspę. Cieśnina, która niegdyś je dzieliła, zniknęła, zastąpiona dziwną, niesamowitą połączeniem ziemi. Przez wiele miesięcy prawie nikt nie ośmielił się tam zapaść. Chociaż pogłoski o niezwykłych stworach, tajemniczej roślinności i dziwnych krajobrazach grały w tym pewną rolę, głównym powodem było jednak to, że ludzie woleli poświęcać czas na próby odbudowy swego życia w miejscach, które przynajmniej nie do końca stały się im obce. Badania, ustępowały pierwszeństwa potrzebom dnia codziennego, kiedy zapewnienie schronienia, ciepła i żywności wymagało tak znacznego wysiłku.

Poza tymi dwoma odkryciami wiele innych rzeczy było niepewnych. Najwyraźniej wiele nowych wysp pojawiło się daleko na południu; z niektórych doniesień wynikało, że kilka z nich połączyło się tworząc masyw lądowy, daleko większy od jakiegokolwiek, który istniał w uprzednio znanym świecie.

Strallen wciąż istniała, – choć zmieniała się niemal nie do poznania – nic natomiast nie słyszano o wyspach leżących na wschodzie lub północy, z wyjątkiem doniesień o dostrzeżeniu z wielkiej odległości czegoś, co przypominało dym.

Katastrofa pociągnęła za sobą ogromne straty w ludziach. Tysiące ludzi zginęło, zniszczeniu uległy całe społeczności. Większe i mniejsze miasta ucierpiały najbardziej i pozostali przy życiu odnowili teraz swoją więź z rolą, powracając do wiejskich korzeni swoich przodków. Zimno i ciemności, które nadciągnęły po trzęsieniach ziemi, doprowadziły wielu do śmierci, lecz gdy

niebo z wolna oczyściło się i w końcu przybyła wiosna, ci, których los oszczędził, stwierdzili, że znajdują się w posiadaniu znacznych zasobów. Ziemia rodziła dość, by utrzymać przy życiu zdziesiątkowaną ludność i – rzecz zadziwiająca – przeżyła znaczna część zarówno dzikich, jak i domowych zwierząt. Rozpoczęło się żmudne dzieło odbudowy cywilizacji.

Gwiaździste Wzgórze nie ucierpiało tak bardzo jak niektóre z innych wielkich miast. Wieża Czarodzieja runęła, grzebiąc w gruzach znaczną część zamku, lecz masywne miejskie mury wciąż stały. Pomimo chaosu, zrujnowanych budynków, pożarów i powodzi, niedostatków żywności i epidemii, które spadły na ludność, mieszkańcy stolicy Starej Arki mogli się uważać za szczęśliwców. Przynajmniej nie padli ofiarą grabieżczego oddziaływania Alzeda i by przywrócić, choć szczątkowo normalny tryb życia musieli jedynie uporać się ze skutkami naturalnej katastrofy. Los miast na innych wyspach nie był tak szczęśliwy. Przebudziwszy się z koszmaru narzuconego im przez złośliwość czarnoksiężnika, ich mieszkańcy znaleźli się w koszmarze rzeczywistości – całkowicie nie przygotowani, by stawić czoło zniszczeniom i przemocy żywiołów.

Największe pocieszenie znajdowano w doniesieniach, z wolna rozchodzących się po całym świecie, dotyczących Alzeda. Pierwszymi, którzy usłyszeli tę opowieść, byli Mark i jego przyjaciele. Opowiedział im ją Durk w pieczarze Milknącego.

–Właśnie dotarliśmy do płaskowyżu i zobaczyliśmy znajdującą się przed nami armię. A był to widok, który chciałbym zapomnieć tak szybko, jak to tylko możliwe.

Ogromna czarna chmura nadciągnęła w takim tempie, że słońce zostało po prostu starte z nieba. Myślałem, że oślepiłem! Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Potem nasze oczy przywykły do słabego światła gwiazd... wtedy już ziemia drżała i słyszeliśmy z oddali grzmot lawiny. Myślę, że musiała spaść na wrogów, ponieważ panował u nich jeszcze większy bałagan niż u nas. Tam, gdzie staliśmy, dochodziły nas odgłosy paniki, jaka wśród nich wybuchła. Rozbiegli się we wszystkich kierunkach, pełząc po całej dolinie jak oszalałe termity. Nasze konie denerwowały się i też niemal oszalały, lecz w końcu uspokoiły się i mogliśmy ich dosiąść.

–To była szalona jazda – przerwał siedzący obok swego dowódcy Zunik. – Nigdy nie zrozumiałem, jak udało nam się utrzymać w siodłach.

–Zjechaliśmy galopem na płaskowyż – powiedział Durk, podejmując na nowo opowieść. – Tych kilku mężczyzn, których widzieliśmy, uciekło przed nami jak przed dyszącymi żądzą krwi bestiami i wreszcie dotarliśmy do wejścia do jaskini.

–Zatrzymanie koni było trudniejsze niż jazda na nich – wtrącił Zunik.

–To, co zobaczyliśmy, kiedy wreszcie powściągnęliśmy wierzchowce, sprawiło, że niemal je zawróciliśmy, aby uciec stamtąd jak najdalej – ciągnął dalej Durk. – Kiedy galopowaliśmy, mignęło wokół nas kilka dziwnych światła, ale nie byliśmy w stanie powiedzieć, czym one są. Teraz mogliśmy przypatrzeć się temu z bliska. – Zmarszczył brwi, a jego twarz pobraźniała. – To

byli żołnierze widma. Na pierwszy rzut oka wyglądali prawie jak zwykli ludzie, z wyjątkiem szarego światła w oczach... Ślaniali się, skowycząc w agonii. Nie zwracali na nas żadnej uwagi. Kiedy tak im się przyglądaliśmy, jeden z nich wydał z siebie rozdzierający uszy wrzask i zaczął płonąć. Rozszarpywał sobie twarz. Widziałem, jak czerniała i pokrywała się bąblami jak świeża gałąź w ogniu, a potem wybuchnął, rozlatując się w kuli ognia, skwierczącej i sypiącej iskrami. Cały czas krzyczał. – Durk przełknął ślinę i zamknął na chwilę oczy. – Kiedy płomienie zgasły, nie pozostało nic. Potem zaczęło się to dziać z następnym... i następnym, a potem... zobaczyliśmy Alzeda.

Stał zwrócony do nas plecami, wsparty pod boki, na zboczu w połowie drogi do jaskini. Był tak nieruchomy w tej swojej czarnej narzucie, że ledwo go dostrzeżliśmy. Wyglądało to tak jak gdyby zapuścił korzenie.

–Kiedy ostatnie widmo zniknęło, on się poruszył. Srebro na jego szacie zamigotało. Powiedział coś, ale nie zrozumiałem tego... brzmiało jak „sivaddle”. Zwykły nonsens. Chociaż to, co wykrzyknął potem, było całkiem wyraźne.

–Praktycznie mnie ogłuszyło – dodał Zunik.

–Krzyczał „nie” i rozpoczął coś w rodzaj tańca. Bardzo wolnego. I otaczała go poświata. Nie taka jak u widm, była błękitna i migotała, gdy się poruszał. Nie trwało to długo. Wydaje się, że stanowiło to dla niego coś w rodzaju ochrony... tarczy, i kiedy zniknęło...

Durk przerwał. Wszyscy wokół niego zachowywali absolutne milczenie, czekając na dalszy ciąg opowieści.

–Wolno rozwarł ręce i zobaczyłem, że jeden z jego palców stał się długim ostrzem.

Laurent, domyślając się tego, co miało nastąpić, zadrzał.

–Stopniowo, jak gdyby był do tego zmuszany, wyciągnął przed siebie rękę. Potem całe jego ciało targnęło się gwałtownie i czubek ostrza wychynął spomiędzy jego łopatek. Przebił sobie serce!

–Ale nie upadł – powiedział Zunik. – Stał tylko, a krew wypływała z niego pulsującą strugą.

–Ale nie wyglądała jak zwykła krew – podjął Durk. – Była czerwona, lecz o pomarańczowym odcieniu, jak roztopiona skała. Skwierczała i pryskała, i buchała płomieniami, kiedy spadała na ziemię. Potem szarpnął ostrzem w górę i w dół – usiłując przeciąć się na pół. Znowu krzyczał, błagając, lecz nie mogliśmy rozróżnić słów. Cały był pokryty krwią, a jego płaszcz płonął, lecz wciąż uderzał się ostrzem i krzyczał. W końcu mogliśmy zobaczyć już tylko płomienie. Wydawało się, że jego ciało się roztopiło. Do czasu, kiedy mogliśmy bezpiecznie się zbliżyć, jedyną rzeczą, która pozostała, była czarna bryła czegoś, co wyglądało jak lepka skała, zbyt gorąca, żeby jej dotknąć... nie żebyśmy chcieli to zrobić. Będziecie mogli zobaczyć ją jutro rano sami. – "Jeśli będzie ranek", pomyślał, przypominając sobie nagłą ciemność, która

ogarnęła zachodni nieboskłon.

Gdy Durk skończył, nikt się nie odezwał. Makabryczna opowieść oszołomiła ich i przyprawiła o mdłości, i chociaż śmierć Alzeda dodawała otuchy, to jednak świat na zewnątrz wciąż nie odzyskał równowagi. Nikt nie miał nastroju, by rozmawiać.

W ciągu tej nocy zarówno Kai, jak i Milknący odzyskali – na krótko – przytomność. Kai był tak słaby, że nie mógł nawet mówić. Ukryli maleńkie ciało Tzigane przed jego wzrokiem, nie chcąc pogrążyć go w jeszcze większym cierpieniu. Milknący czuł się jakby lepiej, ale nikt nie mógł być tego całkiem pewien, gdyż mówił, jak zwykle, prawie niezrozumiale. Rozejrzał się wokół siebie i uśmiechnął, najwyraźniej nie dostrzegając nic godnego troski w tym, co go otaczało, i nie okazał cienia smutku z powodu śmierci Ferragama.

Inni spędzili tę noc najlepiej jak potrafili. Rany zostały opatrzone, w czym bardzo pomocne okazały się dodatkowe medykamenty przywiezione przez Durka i jego ludzi. Potem Durk i Zunik objęli straż, podczas gdy reszta spała.

Rano ci, co znaleźli w sobie odrobinę sił, poszli obejrzeć okropne resztki Alzeda. Bryła czarnej skały była zaokrąglona i matowa w przyćmionym, słabym świetle sączącym się przez szare chmury kryjące niebo.

–Wygląda na mniejszą – zauważył Zunik.

Ziemia wciąż drżała od czasu do czasu, tak, że nikt nie oddalał się tego dnia od pieczary. Słyszeli odgłosy schodzących lawin i głazów spadających z urwisk. Powróciwszy do bezpiecznego schronienia jaskini zajęli się sobą, opatrując rany i odpoczywając, by jak najszybciej odzyskać siły.

Następny dzień nie różnił się prawie od poprzedniego, lecz Zunik zauważył, że czarny kamień znowu jakby się zmniejszył. Tym razem inni zgodzili się z nim.

–Pogrąża się w ziemi – powiedziała Julia. Mówiła z taką pewnością, że nikt się nie spierał i jak się okazało, miała rację, każdego dnia, bowiem coraz mniej czarnego głazu wystawało nad trawą. W końcu zniknął zupełnie – jak gdyby nigdy nie istniał – nie pozostawiając na murawie żadnego śladu.

–Ziemia upomniała się o swoją własność – stwierdziła Julia.

–Cieszę się, że nie muszę płacić takich długów – dodał Durk.

Działo się to na dziesięć dni przedtem, nim poczuli się na tyle odważni i silni, by opuścić jaskinię i zagłębić się w nowy świat. Ziemię wciąż okrywały ciemne chmury i panowało przejmujące zimno, lecz trzęsienia ziemi ustąpiły i wszyscy pragnęli zobaczyć na własne oczy, w jakim stanie znajdują się ich domy i wyspy.

W latach, które od tego czasu minęły, zmieniła się nie tylko topografia. Większość z tych, którzy brali udział w rozstrzygających wydarzeniach w Pieczarze Milknącego, mieszkała teraz w dźwigającym się z gruzów Gwiaździstym Wzgórzu, wszyscy zaangażowani w trwające dzieło odbudowy.

Luk i Julia zostali zmuszeni – ku ich dużemu zaskoczeniu – do przyjęcia odpowiedzialności spoczywającej na przywódcach, gdy miasto i wyspa otrząsnęły się z katastrofy i zaczęły odczuwać potrzebę rządów. Przyjęli na siebie to zadanie, z zadowoleniem pogrążając się w pracy, lecz Luk nie chciał królewskiej korony. Powiedział, że jego ojciec wyrzekł się tytułu, przeto on, Luk, nie domaga się go. Kiedy odkryto, że Arka i Heald stanowią fizycznie jedność, zaproponował, że on i Julia będą władać jako regenci działając w imieniu Kerana, który osiągnąwszy odpowiedni wiek obejmie władzę nad połączonymi wyspami. Ideę tę chętnie zaakceptowano.

Rivera, wraz z Gemmą i Keranem, również osiadła w Gwiaździstym Wzgórzu. Nigdy nie odnaleziono żadnego śladu po Ansarze. Kilka lat później, głównie, aby uczynić zadość oczekiwaniom swych dzieci, wyszła powtórnie za mąż i dalej żyła w ciszy i spokoju, z dala od zgiełku nowego dworu. Gemma stała się ukochanym i stałym towarzyszem Kaia, który również zamieszkał w stolicy. Czarodzieja nawiedzały dziwne sny, o których rozmawiał tylko z nią, i w miarę jak dorastała, Gemma rozumiała go coraz lepiej i lepiej. Teraz używał magii tylko do leczenia – i jedynie wówczas, gdy zawodziły prostsze metody. Magia stała się dla niego czymś nienaturalnym, nawet bolesnym, i nie chciał, by nazywano go czarodziejem.

–Magia się skończyła – powtarzał. – Jest martwa. Spójrzcie na drzewa księżycowych jagód.

Drzewo w Gwiaździstym Wzgórzu rzeczywiście było bez życia, już od dawna zwiędłe i wyschłe, i podobny meldunek otrzymano z obszaru, który niegdyś był Healdem.

Wielu ludzi sądziło, że Kai stał się jakby bardziej stateczny i przyciszony, i tak było w rzeczywistości, choć nie zawsze. Wspomnienie krótkiego życia Tzigane prześladowało go i winił się za jej śmierć, pomimo wszystkiego, co mówili inni, by mu to wyperswadować. Widział ciemniejszą stronę świata i piętno, jakie to na nim wycisnęło, było widoczne na pierwszy rzut oka. Jednak wciąż zdarzały się chwile – szczególnie wtedy, gdy zostawał sam, bez swojej pupilki, – kiedy powracał jego dawny beztroski nastrój. Nie zabawiał się już rozkochiwaniem w sobie niezliczonych młodych kobiet, ale nie zapomniał, jaką mu to sprawiało radość.

Z okazji dziesiątych urodzin Gemmy podarował jej olbrzymi latawiec. Zdumiewające, że udało mu się zachować jego budowę w tajemnicy – gdyż była to zaskakująco ogromna konstrukcja o metalowej ramie, opięta płótnem, ze zwisającymi linami. Zapiawszy się w specjalnie przystosowanej uprzęży, Kai i Gemma mogli zeskakiwać z miejskich murów i szybować nad głowami zdumionych pasterzy, ucząc się wykorzystywać delikatne podmuchy wiatru i prądu powietrza.

Swe loty kończyli niezmiennie zwalając się bezwładnie na jednym czy drugim polu, lecz –

wbrew straszliwym przepowiedniom Rivery i jej nieprzychylniej postawie – nie działa im się żadna krzywda, a latawiec można było łatwo naprawić. Czuli, że warto było narazić się na to niebezpieczeństwo dla czystego podniecenia znanego powietrznym podróżnikom i krzyczeli, i śmiali się, kiedy krążyli nad ziemią, jak jakiś ogromny drapieżny ptak.

Kai nie spędzał całego swojego czasu w mieście. Co kilka miesięcy, tak jak przedtem Ferragamo, odczuwał potrzebę odwiedzenia Milkącego w jego górskiej pieczarze. Pustelnik wciąż nie okazywał żadnych oznak chęci opuszczenia tego miejsca. Kirt, kulawa mewa, był teraz stałym towarzyszem starca, lecz poza tym właściwie nic się nie zmieniło.

Kai zawsze wybierał się w góry sam i kiedy wracał, był wyraźnie w lepszym nastroju.

Beka, która szybko stawała się piękną, młodą kobietą, litowała się nad Gemmą, podczas jednej z jego nieobecności.

–Co on widzi w tym starym pustelniku? – zdumiewała się. – Jest taki dziwaczny!

–Zwierzęta go lubią – odpowiedziała z namysłem Gemma.

–Ta jaskinia jest niesamowita!

–Tak. Chciałabym, żeby Kai mnie zabrał ze sobą.

–Może któregoś dnia cię zabierze – powiedziała Beka z zachęcającym uśmiechem.

–Mam nadzieję. Przecież mamy się pobrać, gdy tylko będę dostatecznie duża.

–Czy nie jesteście odrobinę za młode, aby rozmawiać o małżeństwie, moje panie? – zapytał Laurent. Zbliżył się niepostrzeżenie, gdy dziewczynki zajęte były rozmową.

–To nieładnie podsłuchiwać prywatną rozmowę – oświadczyła z dezaprobatą Gemma. – A poza tym, mam prawie jedenaście lat.

–Tysięczne przeprosiny – powiedział dworzanin, kłaniając się oficjalnie.

–Myślałam, że wyruszyłeś na południe – oskarżyła go Beka

–To było dwa miesiące temu – odparł Laurent. – Czyżbyś tak mało za mną tęskniła? – Wydawał się dotknięty, lecz jego oczy się śmiały.

–Przestań dokuczać mojej przyjaciółce – rozkazała Gemma. – I powiedz nam, co robiłeś.

Przez następną godzinę Laurent opowiadał im o swej podróży do ruin Ramsportu i badaniu ziem, które niegdyś były Healdem. Malował smutny obraz, ale i nie pozbawiony nadziei. Tam również, tak jak na Arce, życie się odbudowywało.

Laurent nie był jedynym badaczem. Durk i Zunik powrócili do dawnych włóczęgowskich zwyczajów. Niewiele czasu spędzali w swych domach w Gwiaździstym Wzgórzu, woląc dawać upust żądzy przygód w coraz bardziej ryzykownych wyprawach. Tak jak przedtem jego ojciec Luk miał powody, by być wdzięcznym byłym banitom za ich zasługi i polegał na nich w sprawie dostarczania informacji o świecie rozciągającym się poza jego królestwem.

–Czy słyszałaś o ich ostatnim wyczynie? – zapytał Luk Julię, gdy wypoczywali w swej sypialni po wyczerpującym, ale satysfakcjonującym dniu.

Julia potrząsnęła głową.

–Popłynęli na północ usiłując odnaleźć Stroock.

Julia zeszywniała na wzmiankę o swej dawnej rodzinnej wyspie i Luk szybko zaczął mówić dalej.

–Nie dotarli na miejsce, zagroziła im drogę wielka rafa koralowa. Zdaje się, że niemal rozbili statek. Zobaczyli olbrzymie żółwie pełzające po rafie i spędzili całe wieki usiłując złapać jednego. Wszystko, co osiągnęli, to, że podrapali się do krwi i niemal utopili. Chciałbym ich widzieć... – Zachichotał. Przez chwilę leżeli w milczeniu.

–Zmęczona? – zapytał.

–Mmm.

–Chcesz spać?

–Nie – odpowiedziała cicho i przytuliła się mocniej.

Ale ja chcę! – dobiegł głos spod łóżka. – *Spróbujcie nie robić zbyt wiele hałasu.*

Zawadiaka, wynoś się stąd! – krzyknęli jednocześnie.

Niektórzy nie powrócili do Gwiaździstego Wzgórza. Ferragamo i Tzigane zostali pochowani w górach i nikt nigdy nie odkrył, dokąd odeszła Yve. Marka i Fontainy również nie było w Gwiaździstym Wzgórzu. Mark, mając dość publicznego życia, pozostał wierny swej decyzji o abdykacji. Wiedział, że walka z widmami była ostatnim czynem, jakiego dokonał jako Sługa; dane przed wiekami przyrzeczenie zostało wypełnione i tym samym odzyskał wolność. Nie pragnął niczego więcej jak cieszyć się Fontainą, zobaczyć się niekiedy ze swoimi dziećmi – pod warunkiem, że to one do niego przybędą – i przeżyć resztę swego życia w spokoju i prostocie.

Razem z Janim i Długowłosym wyruszyli na południe, kierując się do miejsca, które niegdyś zwano Domem. W końcu odnaleźli wioskę, chociaż zmieniła się prawie nie do poznania. Dom był niegdyś wioską rybacką, a jego mała przystań i kamienne molo zapewniały kotwicowisko i schronienie dla jaskrawo pomalowanych łodzi. Teraz najbliższy odcinek linii brzegowej

znajdował się wiele lig stąd i molo, które ocalało z trzęsień ziemi, sterczało bezsensownie nad suchymi kamieniami i strzaskanymi skałami. Południowe urwiska wykruszyły się w niektórych miejscach i tworzyły dziwny krajobraz, który przypominał dno morza. Plaża na północ od wioski zniknęła zupełnie.

Sam Dom ucierpiał wiele od wypiętrzających wstrząsów, lecz jego usytuowanie – zatoka otwarta była na południowy wschód – uchroniło wioskę od gigantycznych fal, które dokonały tak ogromnych spustoszeń na zachodnich brzegach.

Większość domów uległa zniszczeniu i niewiele znalazłoby się rodzin, które nie utraciły przynajmniej jednego ze swych domowników, lecz do czasu przybycia Marka i Fontainy proces odbudowy był już mocno zaawansowany.

Nowo przybyli zostali serdecznie powitani i udzielono im pomocy przy budowie ich domu, stawianego na fundamentach Chaty, dawnego schronienia Ferragama. Mark czerpał wielką przyjemność ze stolarki i innych prostych prac, ucząc się pilnie od ludzi, którzy kiedyś byli jego poddanymi. Wieśniacy udzielali im schronienia w różnych domach, dopóki ich własny nie stanął gotowy do zasiedlenia, a oni odpłacali się za tę gościnność pracą, chociaż nie proszono ich o nic w zamian. Mieszkańcy Domu musieli z konieczności zmienić swój tryb życia – nie mogli być już dłużej rybakami – toteż zawsze znalazło się wiele rzeczy do zrobienia.

W miarę upływu lat odnawiali kontakty z zewnętrznym światem, a ich wiedza o uprawie roli rosła, co sprawiało, że życie mieszkańców Domu stawało się lżejsze. Wśród ich codziennego mozołu zaczęły zdarzać się chwile, które można było przeznaczyć na odpoczynek i Marka w końcu przekonano, aby opowiedział o przeszłości. Wzbraniał się przed tym, bojąc się ożywić zbyt wiele bolesnych wspomnień, lecz Fontaina obdarzyła go tak głębokim szczęściem, że przestał pogrążać się w czarnych myślach. W końcu stwierdził, że może mówić o Gwiaździstym Wzgórzu, Ferragame i Korii, Milkącym i innych bez goryczy czy bólu. Jego opowieści wkrótce zaczęły cieszyć się wielkim powodzeniem „Pod Syreną” – która została odbudowana – a on znajdował radość w swej roli gawędziarza. Jego słuchacze siedzieli skupieni, lecz Mark nigdy nie był całkiem pewien, czy wierzą w to, co im opowiada, czy też po prostu są urzeczeni opowieściami – tak, jak jego samego urzekały stare mity. Ale nie dbał o to; opowiadając historie ze swego życia i z życia tych, którzy niegdyś byli przy nim, sprowadzał przeszłość do właściwej perspektywy, wypędzając demony.

„Jestem teraz rolnikiem – powtarzał sobie. – Cóż wiem o smokach, czarodziejach i królach?”

Był zadowolony.

Przez wiele miesięcy nikt nie postawił nogi na ziemi, którą niegdyś pokrywało morze. Wierzono, że jest to niebezpieczny obszar, zagrażający ruchomymi piaskami, pełen nieznanych potworów. Panowało ogólne przekonanie, że z powodu soli ziemia ta będzie nieurodzajna, tak, więc nie podejmowano wielu prób, aby je wykorzystać. Jednak rosły tam dziwne rośliny i w końcu ciekawość przewyciężyła naturalną ostrożność, i ludzie rozpoczęli badania tych ziem.

Był to krajobraz rozkładu i wzrostu, prawdziwego niebezpieczeństwa i dziwnego, obcego piękna – i urzekł Marka, który coraz częściej zapuszczał się na nieznanie terytorium. Zawsze wracał z jakimś nowym znaleziskiem: rośliną, skamieniałością, kawałkiem szkieletu dziwnego morskiego stwora. Wkrótce stał się prawdziwym ekspertem w dziedzinie tych osobliwych przedmiotów, na które dawni rybacy z Domu spoglądali z podejrzliwością. Jednak stopniowo jego działania zaczęły przynosić rezultaty i dla wioski. Okazało się, że dawne morskie dno można zagospodarować, o ile tylko wprowadzi się odpowiednie uprawy, a poza tym była tu obfitość dzikiej zwierzyny. Dom zaczął rozrastać się ku wschodowi.

Tylko jeden głos nie zaprzestał narzekań na odwrót morza – głos Długowłosego. Według kocich kryteriów przyjaciel Marka był już bardzo, bardzo stary. Przeżył wielu ze swych potomków; jego życie wydłużyło się, bowiem znacznie z uwagi na szczególny związek łączący go z Markiem. Niczym jednak nie dawał poznać, że ulega w jakiś sposób starości. Wciąż był aktywny i wraz z Markiem, Fontainą i Janim, swymi ochoczymi niewolnikami, wiódł dostatnie życie. Lecz jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

Dom nie jest tym, czym był kiedyś – zauważył, gdy siedział wraz z Markiem na starym molu, przyglądając się wieśniakom pracującym na nowych polach.

Dlaczego? – zapytał Mark, unosząc wzrok znad notatek, które właśnie sporządzał.

Nie ma ryb – odparł kot. – Wszystko, co można teraz złapać, to stare kości!

W potoku są ryby.

Sam drobiazg! – stwierdził pogardliwie Długowłosey.

Już jesteś zbyt tłusty – powiedział Mark uśmiechając się, ale nie patrząc na swego oburzonego towarzysza.

Nie zaszczycę tego odpowiedzią.

Nie ma za wysokiej ceny na spokojne życie – drażnił go Mark.

Sam powinieneś wiedzieć – odciął się Długowłosey.

Przez chwilę przyglądali się sobie, a potem wybuchnęli śmiechem, kot oczywiście po swojemu.

Zasłużyliśmy sobie na spokojne życie, nie sądzisz? – zapytał Mark.

Być może... – Długowłosey przerwał. – Biorąc wszystko pod uwagę, myślę, że razem z Zawadiaką wychowaliśmy was raczej dobrze. Oczywiście z takim materiałem jak Luk Zawadiaką mógł osiągnąć o wiele więcej.

Zadając kłam swemu podeszłemu wiekowi, Długowłosey z łatwością umknął przed

przyjacielskim szturchańcem, jaki wymierzył mu Mark.

Musiałbyś być o wiele szybszy – powiedział z wymówką w głosie. – Nie bez powodu nazywają mnie Długowłosą Błyskawicą.

Czy to oznacza, że ich oplacasz, by cię podziwiali? – zapytał Mark z szyderczym zdziwieniem.

Domyślam się – odparł wyniośle Długowłosy, – że w twoim zamierzeniu miało być to czymś, co uchodzi za żart.

Uśmiechając się, Mark powrócił do swoich notatek, ale Długowłosy jeszcze nie skończył.

I jeszcze jedno... – zaczął, a potem nagle przerwał, z oczami utkwionymi w atrakcyjnej młodej kotce, która przysiadła na końcu mola. Wąsy Długowłosego zadrgały.

Mark podążył za jego spojrzeniem i roześmiał się.

Doprawdy, Długowłosy! W twoim wieku!

Niektórzy z nas – powiedział kot – są w stanie połączyć dojrzałość i męskość. Cóż na to poradzę, że ludzie mogą chwalić się tylko albo jednym, albo drugim? – Odszedł dumnym krokiem, z wyprostowanym ogonem. – Patrz – dodał. – Możesz się czegoś nauczyć!

EPILOG

Z morza – niebezpieczeństwo.

Z morza – bezpieczeństwo.

Z przeszłości – przyszłość.

Z przyszłości – wiara.

Niedostrzegalne skrzydła odnajdą źródło

I powstrzymają straszliwy pochód.

Ostatni uczynek okaże się pierwszym.

W okamgnieniu dwie wyspy staną się jednym.

Dziecko z magii zrodzone i lotem napiętnowane

Swój niemy głos do głosów innych dodaje.

Córka czasu, jej los przepowiedziany,

Wysłuchać musi słów wieków minionych.

Bliskich sobie miłością w kręgu zgromadzi,

Wypowie witaj i w ten sposób... zbudzi.

–To on – powiedziała Yve do małej dziewczynki, która trzymała ją za rękę.

Dziecko skinęło głową, lecz wyraz zamyślenia nie zniknął z jego twarzy.

–Nie mogą nas zobaczyć ani usłyszeć, prawda? – zapytała.

–Nie. To jest ich świat, Tzigane. Nie nasz. My możemy tylko przejść tutaj dzięki bramie.

–Bramie, którą stworzyliśmy?

–Tak.

–Pomogłam, prawda? – Tzigane z dumą spojrzała na Yve.

–Byłaś najważniejsza!

Tuż przed nimi Kai i Milknący siedzieli na trawie, spoglądając ze spokojem na górską dolinę. Kirt, utykając na krótszą nogę, przechadzał się w pobliżu dwóch mężczyzn. Słońce pełni lata prażyło z błękitnego, bezchmurnego nieba.

„Kiedy byłam tutaj ostatni raz, wszystko wyglądało zupełnie inaczej” – pomyślała Yve. Znowu opadły ją gryzące wyrzuty sumienia, gdy wspomniała śmierć Brama, swego wiernego towarzysza. Poległ w jej obronie, a ona przez tak długi czas nie miała o tym pojęcia. Żyła gorącą nadzieją, że bez względu na to, jaki świat zamieszkuje teraz, znalazł tam odrobinę zadowolenia.

–Ten białowłosy wygląda śmiesznie – zauważyła Tzigane.

–Jest bardzo, bardzo wyjątkowy.

–Dlaczego?

–To dzięki niemu ta brama wciąż jest tutaj. Trzyma ją otwartą dla przyjaciół. Bez Milknącego nie mogłabym cię przyprowadzić, żebyś zobaczyła Kaia.

–Jest miły – powiedziała Tzigane, kierując swą uwagę na młodego czarodzieja. – Wiedziałam, zresztą, że będzie.

–Ty i Kai byliście wielkimi przyjaciółmi, kiedy mieszkałaś w jego świecie – zauważyła Yve.

–Więc dlaczego jestem tutaj z tobą?

Pytanie dziewczynki wywołało u jej opiekunki niepokojący ból serca.

–Nie mogłaś zostać – odparła nieprzekonywająco.

–Dlaczego?

–Nadszedł czas i musiałaś odejść.

–Przecież byłam taka mała.

–Tak – przytaknęła Yve. – Większość ludzi musi czekać o wiele dłużej. Ale ty byłaś wyjątkowa.

Tzigane rozważyła to.

–Czy ostatecznie wszyscy przybędą do naszego świata? – zapytała po namyśle.

–Nie. To wymaga specjalnego rodzaju magii – odparła czarodziejka, gorąco pragnąc, aby ta odpowiedź okazała się wystarczająca.

Zapadła jeszcze jedna długa chwila ciszy, gdy Tzigane przyglądała się Kaiowi, a potem dziewczynka powróciła do swoich pytań.

–Dlaczego przedtem mnie tu nie przyprowadziłaś?

Tym razem Yve była w stanie odpowiedzieć z większą pewnością siebie.

–Ponieważ byłaś zbyt mała. Nie mogłabyś dosiąść Słodyczy.

–Ty też nie mogłaś kiedyś na nim jeździć.

–Tak, ale to coś innego. On nie był wtedy realny.

Z pewnością byłem!

Wiesz, co chciałam powiedzieć, Słodycz.

To ty nie byłaś realna – ciągnął smok, zdecydowany postawić na swoim.

Nieważne, teraz oboje jesteście realni – odparła stanowczo Yve.

Tzigane spoglądała to na smoka, to na czarodziejkę, z miną dającą wyraźnie do zrozumienia, że uważa ich oboje za zupełnie pomylnych.

–Oczywiście, że oboje jesteście realni – stwierdziła. – Nie bądźcie tacy niemądrzy.

–Kiedyś mieszkaliśmy w różnych światach – odparła Yve i zaraz ugryzła się z język, gdyż Tzigane najwyraźniej to zaintrygowało.

–To jak Słodycz przybywał do ciebie, kiedy jeszcze nie otwarto bramy? – zapytała po pełnej namysłu chwili.

–Miałam własną bramę – odparła Yve, – ale tylko Słodycz mógł z niej korzystać.

Teraz korzystamy z bramy Milknącego – dodał smok. – Był moim przyjacielem. Zrozumiał wszystko, zanim ja się spostrzegłem.

–O czym on mówi? – zapytała Tzigane.

Yve wzięła głęboki oddech. „Czy te pytania nigdy się nie skończą?” – pomyślała.

–Zanim przybyliśmy do tego świata – zwróciła się do dziewczynki – istniał zły człowiek, a ty wspierałaś nas w walce z nim, mimo że byłaś tylko małym dzieckiem. Źli ludzie pomogli mu oszukać Słodycza, co pozwoliło na poznanie naszych tajemnic.

–Strasznie głupio! – orzekła dziewczynka zwracając się do smoka, który nagle utracił całe

zainteresowanie rozmową.

–Słodycz był wtedy bardzo młody, niewiele starszy niż ty jesteś teraz, oczywiście według smoczyczych kryteriów.

Tzigane nie przekonało to wyjaśnienie, ale nic nie powiedziała.

–Poza tym – ciągnęła dalej Yve – Milknący wiedział, że oszustwa złego człowieka obrócą się w końcu przeciwko niemu. Oszukując Słodycz pozwolił mi dowiedzieć się najważniejszej rzeczy: jak otworzyć bramę. To jego zakłamanie doprowadziło go do upadku.

–Więc Słodycz tak naprawdę był bohaterem – zakończyła dziewczynka.

–Oczywiście.

Smok natychmiast odzyskał zainteresowanie opowieścią Yve opuścił swój wielki łeb i potarł nosem kark czarodziejki.

–Łaskocze cię! – zawołała rozradowana dziewczynka.

Wkrótce będziemy musieli wracać – powiedział Słodycz.

Tak – zgodziła się Yve. Ona również czuła przyciąganie ich świata. – Chodźmy – zwróciła się do Tzigane, jej córki, córki, której nigdy nie mogła mieć. – Czas wracać do domu.

Rzuciwszy kilka pożegnalnych spojrzeń na Kaia i Milknącego mała ruszyła za nimi do pieczary. Tam ona i Yve wspięły się na kark Słodyczy, który skoczył w górę, wlatując przez kamienne wrota, i dalej w niebo – poza.

–Czułem się dzisiaj bardzo dziwnie – powiedział Kai. – Jak gdybym był obserwowany.

Siedzieli teraz w grocie pustelnika, rozleniwieni po zakończonym wieczornym posiłku.

–Górskie oczy, niejedne oczy – odparł Milknący rozkładając ręce. – Niewidzialne skrzydła.

Kirt skrzeknął potakująco.

–Nie wątpię – roześmiał się Kai. Młody czarodziej był odprężony – jak zawsze po kilku dniach oddychania górskim powietrzem. Przywykł wysoko sobie cenić pieczarę i jej ekscentrycznego mieszkańca, podobnie jak niegdyś Ferragamo. Jeszcze raz miejsce to stało się oazą spokoju po wstrząsających wydarzeniach poprzednich lat, – choć przecież wiązało się z nim tak wiele wspomnień. Gdy tak siedzieli razem w pełnym zrozumienia milczeniu, Kai rozważał raz jeszcze niektóre z tych wydarzeń i wkrótce poczuł potrzebę porozmawiania o nich. Rozmowa z Milknącym szybko stawała się jednostronna i raczej zagmatwana, ale pustelnik był wspaniałym słuchaczem.

–To dziwne – zaczął Kai. – Ferragamo i Korja byli tak nierozłączni, jak żadna inna para. Zawsze myślałem, że znajdą jakiś sposób, aby pozostać razem, niezależnie od tego, jak bardzo różnie się starzeli. To nie w porządku, że śmierć nie zabrała ich oboje. Nawet pochowani zostali oddzielnie.

Kai leżał na plecach, z oczyma utkwionymi w sklepieniu groty, i nie zauważył zmiany w wyrazie twarzy Milknącego. W oczach pustelnika odbiło się najpierw zaskoczenie, a potem rozbłysły zrozumieniem. Wymruczał coś i wskazał na najgłębsze zakamarki groty, ponagając Kaia, by tam spojrzął.

Kai spojrział – i westchnął.

Ściana pieczary wciąż tam była, a w niej morze, z załamującymi się na plaży falami. Korony drzew kołysały się na wietrze, a po piasku ramię w ramię szła jakaś para. Gdy się zbliżyli, Kai rozpoznał ich. Ferragamo wyglądał jak zawsze ze swoimi zjeżonymi białymi włosami i lśniąco zielonymi oczyma, lecz Korja była młoda – nie dziewczyna, ale kobieta w kwiecie wieku, o czarnych, rozwiewanych wiatrem włosach i pełnej wyrazu twarzy, gdy mówiła coś do czarodzieja. Roześmiali się, spoglądając sobie w oczy, a potem pocałowali.

Znowu coś powiedzieli, ponownie Wybuchając śmiechem, ale Kai nie mógł ich dosłyszeć. Serce mu niemal pękło na widok Korii takiej, jaka była przed chorobą – szczęśliwej i pełnej energii. Jej okrutny los wstrząsnął nim bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

–Dlaczego? – zapytał Kai, usiłując powstrzymać łzy. – Dlaczego mi to pokazujesz? Wystarczy mi już wspomnień.

–Teraz – powiedział pustelnik. – Teraz. Druga strona.

Uwaga Kaia skierowana była na wizję przedstawiającą jego dawnych przyjaciół i słowa Milknącego początkowo do niego nie dotarły. Kiedy je zrozumiał, ogarnęło go wzruszenie.

–Teraz?

–Teraz.

Świadomość rosła w nim, stając się mocą, która była jego własną, ale również sięgającą poza niego, łączącą. Zwrócił wzrok na Milknącego, lecz uśmiech pustelnika był tak samo tajemniczy, jak zawsze. Łzy toczyły się po policzkach czarodzieja, gdy się odwracał, by popatrzeć jeszcze raz na wizję.

Szum przyboju wypełnił jego uszy. Potem usłyszał głosy. Ferragamo i Korja wciąż rozmawiali.

–Ty niegodziwy starcze! – zawołała Korja wśród chichotów. Usiłowała bez przekonania wyzwolić się z jego objęć.

–Tylko nie starcze – odparł Ferragamo. – Mogę być w takim wieku, w jakim zechcę. I ty tak samo.

–Wciąż mi to mówisz.

Twarz czarodzieja spoważniała.

–Wystarczająco straszne było stracić ciebie raz – rzekł. – Usiłowałem... miałem nadzieję... wiedziałem, że to możliwe, i teraz, kiedy jesteś tutaj, nigdy nie pozwolę ci już odejść. Ja stanowią tutaj prawa. Ile razy mam ci powtarzać, że zawsze będę cię kochał? Cóż, tak właśnie zamierzam zrobić. Nie zestarzejesz się, dopóki sama tego nie zechcesz.

–Dla ciebie – odparła Koria, całą swoją istotą promieniując szczęściem – przyjmuję ten dar magii.

–Nie magii – zaprzeczył Ferragamo. – Wyboru.

„Czy to możliwe?” – pomyślał Kai z bijącym sercem.

Ferragamo odwrócił się i poprzez niewyobrażalną otchłań pomiędzy dwoma światami ich oczy się spotkały. Ferragamo się uśmiechnął. I to wystarczyło za wszystko.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/